

POWIEŚĆ O KORSARZACH SIEDEMNASTEGO WIEKU

KAPITAN BLOOD



RAFAEL SABATINI

Rafael Sabatini

Kapitan Blood

POWIEŚĆ O KORSARZACH
SIEDEMNASTEGO WIEKU

Przełożył Jerzy Pański

I

WYSŁANNIK

Piotr Blood, bakałarz medycyny i mistrz wielu innych umiejętności, palił fajkę i pielęgnował pelargonie rosnące w skrzynce na parapecie okna nad ulicą Water Lane w mieście Bridgewater, w zachodniej Anglii.

Mogłoby się zdawać, że nie dostrzegał surowych oczu spoglądających nań krytycznie z przeciwległego okna. Całą uwagę skupił na swym zajęciu i potoku ludzkim, który płynął wąską ulicą w kierunku Castle Field, już po raz drugi tego dnia. Ferguson, kapelan księcia¹, wygłaszał tam wczesnym popołudniem kazanie, nawołujące raczej do zdrady niż do pobożności.

Podniecone wałęsające się grupy ludzi składały się głównie z mężczyzn w kapeluszach z zielonymi gałązkami i z najzabawniejszą pod słońcem bronią w ręku. Niektórzy co prawda nieśli na ramieniu flinty myśliwskie, a inni obnażone rapiery, większość jednak zbrojna była w pałki i olbrzymie piki, przekute z kos, budzące grozę swoim widokiem, lecz nieporęczne w użyciu. Wśród tych zaimprovizowanych wojaków byli tkacze, piwowarzy, cieśle, kowale, szewcy, murarze, kamieniarze i przedstawiciele wszystkich innych zawodów uprawianych w czasie pokoju. Bridgewater, zarówno jak i Taunton, wyprawilo hojną ręką kwiat swojej męskiej ludności na służbę księcia-bastarda i ktokolwiek zdolny do noszenia broni pozostał w domu, był piętnowany jako tchórz lub papista².

A jednak Piotr Blood, nie tylko zdolny do noszenia broni, lecz wprawnie i umiejętnie nią władający, a co więcej z pewnością nie tchórz ani papista,

którym był tylko wtedy, gdy uważał to za wygodne, tego ciepłego lipcowego wieczoru pielęgnował swoje pelargonie i ćmił fajeczkę tak obojętnie, jak gdyby nie działo się nic nadzwyczajnego.

Uczył również coś jeszcze. Ogarniętych animuszem wojennym entuzjastów pożegnał słowami wiersza Horacego, dla którego dzieł od dawna już żywił niecodzienny afekt:

*Quo, quo, scelesti, ruitis?*³

A może już zgadujecie, czemu gorąca krew Blooda, dziedzictwo po awanturniczych rycerzach z Somersetshire, przodkach matki; pozostała chłodna wśród rozgorzałego fanatyzmu, czemu niespokojny duch, co w swoim czasie kazał mu zerwać więzy studiów akademickich, narzucone przez ojca, pozostawał teraz obojętny w samym ognisku buntu? Wyobraźcie sobie, jak patrzył on na tych mężczyzn zbierających się pod sztandary wolności, sztandary haftowane przez dziewczęta z Taunton, pensjonarki ze szkół panny Blake i pani Musgrove, które – jak głosi ballada – rozpruły swoje spódnice, aby uszyć proporce dla armii króla Monmoutha. Łaciński wiersz, ciśnięty w ślad za tłumem tupocącym, po bruku, odsłania nam jego myśli. Dla niego powstańcy byli szaleńcami, pędzącymi w złowrogim opętaniu na pewną zgubę.

Blood zbyt dużo wiedział o księciu i pięknej ciemnowłosej dziewczę, jego matce, aby dać się zwieść legendzie o jego prawowitym pochodzeniu, w imię którego wzniesiono sztandar rebelii. Przeczytał niedorzeczną proklamację wywieszoną na rozdrożu w Bridgewater, w Taunton i w innych miejscowościach, głoszącą, że „po zgonie najjaśniejszego pana, Karola II, prawo do dziedziczenia korony Anglii, Szkocji, Francji i Irlandii wraz z dominiami i ziemiami do nich przynależnymi przypada jaśnie oświeconemu i wysoko urodzonemu królewiczowi Jakubowi, księciu Monmouthowi, synowi i prawowitemu następcy rzonego króla Karola II”.

Rozśmieszył go zarówno ten początek, jak i dalsze oświadczenie, że „Jakub, książę Yorku, zlecił otruć króla Karola II i natychmiast po jego zgonie uzurpował koronę...”

Jedno i drugie było wierutnym kłamstwem. Blood spędził część swego

życia w Niderlandach, gdzie ten sam Jakub Szkocki, który teraz proklamował, się z łaski bożej Jakubem II, królem *et caetera*, ujrzał światło dzienne jakieś trzydzieści sześć lat temu. Znał też, rozpowszechnioną wtedy historię jego prawdziwego pochodzenia. Monmouth natomiast, drugi pretendent, prawdopodobnie nie był ani legalnym synem z morganatycznego małżeństwa Karola Stuarta z Lucy Walter, ani nawet nieprawym dzieckiem zmarłego króla. Do czego, jak nie do ruiny i nieszczęścia prowadziło to groteskowe uroszczenie? Jak można było się spodziewać, że Anglia kiedykolwiek strawi takiego fanfarona? I to w jego imieniu; dla podtrzymania jego fantastycznych pretensji te łyki z zachodniej Anglii, prowadzone przez kilku wojowniczych wigów⁴, dały się wciągnąć w rebelię!

Quo, quo, scelesti, ruitis?

Uśmiechnął się i westchnął jednocześnie, lecz śmiech górował nad westchnieniem, gdyż Blood nie trwoniał współczucia, podobnie jak większość ludzi liczących tylko na siebie. Nauczyły go tego przeciwnieństwa losu. Człowiek o czulszym sercu, obdarzony jego wiedzą i wyobraźnią mógłby znaleźć powód do łez w widoku tych prostych, zapalonych protestantów, gdy tak szli na rzeź jak barany, odprowadzani na punkt zborny w Castle, Field przez żony i córki, narzeczone i matki, przekonani, że ruszają na bój w obronie prawa, wolności i religii. Wiedział bowiem, tak jak i całe miasto, że Monmouth zamierza stoczyć bitwę jeszcze tej nocy. Książę miał poprowadzić swych stronników do niespodziewanego ataku na armię rojalistów dowodzoną przez Fevershama, obozującego teraz w Sedgemoor. Blood przypuszczał, że lord Feversham jest dokładnie poinformowany o wszystkim. Przypuszczenie to, jeśli nawet było mylne, opierało się na pewnych podstawach. Nie należało bowiem posądzać dowódcy rojalistów o nieznamość zawodu żołnierskiego.

Gdy Blood wybił popiół z fajki i cofnął się, by zamknąć okno, wzrok jego padł na przeciwległą stronę ulicy i spotkał się nareszcie ze spojrzeniem śledzących go wrogich oczu. Należały one do panien Pitt, dwóch miłych, sentymentalnych starych panien, najgorętszych z całego Bridgewater wielbicielek pięknego Monmoutha.

Blood uśmiechnął się i pochylił głowę, gdyż żył w przyjaznych stosunkach z tymi pannami, a jedna z nich była nawet przez krótki czas jego pacjentką. Lecz nie odwzajemniono jego powitania. Zamiast tego dwie pary oczu posłały mu spojrzenie pełne zimnej wzdury. Uśmiech cienkich warg Blooda stał się nieco mniej uprzejmy. Rozumiał przyczynę tej wrogości, która rosła z każdym dniem w ciągu ostatniego tygodnia, to jest od czasu, kiedy Monmouth zawrócił głowy wszystkim kobietom bez względu na wiek. Panny Pitt potępiały Blooda, widząc, jak ów młody i rześki mężczyzna, zaprawiony w sztuce wojennej, który mógł oddać usługi sprawie, pozostał na uboczu, paląc spokojnie fajkę i pielęgnując pelargonie nawet tego wieczoru, kiedy prawi mężowie jednoczyli się wokół protestanckiego księcia, gotowi przelać krew, aby osadzić prawowitego władcę na tronie.

Gdyby Blood zniżył się do dyskusowania o tych sprawach z damami, mógłby im odpowiedzieć, że dość już miał w życiu wędrowek i przygód, że powrócił teraz do zawodu, do którego był pierwotnie przeznaczony i do którego przygotowały go studia. Był lekarzem, nie żołnierzem; powołanym do leczenia ran, a nie zadawania ich. Odparłyby prawdopodobnie, że w takiej potrzebie każdemu prawdziwemu mężczyźnie przystoi chwycić za broń. Damy postawiłyby też za wzór swego kuzyna Jeremiasza, żeglarza z zawodu, kapitana okrętu, który na swoje nieszczęście teraz właśnie rzucił kotwicę w zatoce Bridgewater i opuścił ster, by chwycić muszkiet w obronie prawa. Lecz Blood nie należał do tych, którzy dyskutują. Jak już powiedziałem, był człowiekiem zadufanym w sobie.

Zamknął okno, zasunął firanki i odwróciwszy się objął spojrzeniem przyjemny pokój i stół z zapalonymi świecami, który jego gospodyni, pani Barlow, nakryła właśnie do kolacji. Zwracając się do niej, głośno wypowiedział swoje myśli:

– Nie jestem w łasce u tych skwaśniałych na ocet dziewic z przeciwka.

Miał przyjemny, wibrujący głos o metalicznym brzmieniu, złagodzonej nieco wymową irlandzką, nie zatartą mimo wszystkich jego wędrowek. Był to głos zdolny uwodzić i pieścić lub też wydawać nie dopuszczające sprzeciwu rozkazy. Przebijająca w nim prawdziwa natura tego mężczyzny. Blood był wysoki i szczupły, o smagłej, cygańskiej cerze i błękitnych oczach, kontrastujących z ogorzałą twarzą i czarnymi brwiami. Błyszczące, przenikliwe oczy, osadzone przy dumnym, orlim nosie, miały wyraz powagi

i pychy. Wskazywały na nią również zaciśnięte usta. Ubrany był w czerń, jak przystało człowiekowi jego zawodu, jednakże wytworny krój stroju pasował raczej do byłego poszukiwacza przygód niż do obecnego solidnego medyka. Kaftan z cienkiego kamlotu lamowany był srebrem, a okalający szyję żabot oraz mankiety zdradzały wytwornego londyńskiego bieliźniarza. Czarna, wielka peruka była misternie trefiona, niczym na królewskim dworze.

Gdy się już poznało Blooda i przeniknęło jego prawdziwą naturę, można było zaryzykować pytanie, jak długo taki człowiek będzie się zadowalał cichą przystanią w tym małym światku, gdzie przeznaczenie rzuciło go jakieś sześć miesięcy temu, i jak długo będzie uprawiał zawód, do którego przeznaczono go jeszcze w kolebce? Aczkolwiek komuś znającemu jego dzieje przeszłe i przyszłe nie łatwo byłoby w to uwierzyć, mógłby kontynuować swój spokojny żywot, zadowolony z kariery lekarza w tym rajskim zakątku Somersetshire'u, gdyby nie przekora losu. Wydaje się to możliwe, lecz nieprawdopodobne.

Blood był synem irlandzkiego medyka i szlachcianki z Somersetshire. W żyłach jego matki płynęła korsarska krew Frobisherów, co wyjaśnia pewną dzikość, jaka cechowała chłopca od najmłodszych lat. Dzikość ta głęboko zatrwożyła jego ojca, człowieka o dziwnie pokojowym jak na Irlandczyka usposobieniu. Postanowił wcześniej poświęcić syna swemu szacownemu zawodowi, a Piotr zdolny do nauki i żądny wiedzy, zaspokoił jego ambicje otrzymując w wieku lat dwudziestu stopień bakałarza medycyny, w Trinity College w Dublinie. Ojciec przeżył ten sukces tylko o trzy miesiące. Matka umarła już kilka lat wcześniej. Blood odziedziczył paręset funtów i wyruszył poznać świat i dać na jakiś czas folgę opanowującemu go duchowi przygód. Splot dziwnych wydarzeń zawiódł go w szeregi najemnych wojsk Holandii, która prowadziła wtedy wojnę z Francją, a zamiłowanie do morza kazało mu wybrać służbę związaną z tym żywiołem. Miał okazję wziąć udział w wyprawie pod słynnym de Ruyterem i walczyć w bitwie na Morzu Śródziemnym, w której zginął, ten wielki holenderski admirał. Po zawarciu pokoju w Nimegue mrok okrywa jego dalsze poczynania. Wiemy jednak, że spędził dwa lata w hiszpańskim więzieniu, chociaż nie wiemy, w jaki sposób tam trafił. Być może dlatego po uwolnieniu oddał swą szpadę na usługi Francji i walczył u boku Francuzów w czasie działań wojennych przeciwko hiszpańskim Niderlandom. W trzydziestym drugim roku życia strącił

ochotę do przygód, podupadł bowiem na zdrowiu wskutek zaniedbania rany, a serce jego opanowała tęsknota za ojczyzną. Wsiadł więc na okręt w Nantes z zamiarem powrotu do Irlandii, lecz burza zapędziła statek do zatoki Bridgewater. Zdrowie Blooda pogorszyło się w czasie podróży, postanowił tedy zatrzymać się tam, tym bardziej że była to ojczyzna jego matki.

W ten sposób w styczniu 1685 roku przybył do Bridgewater jako posiadacz niemal takiej samej fortuny, z jaką opuścił Dublin przed jedenastu laty.

Polubił miejsce, w którym szybko przyszedł do zdrowia, a ponieważ uważał, że doświadczył już dość przygód jak na jedno życie, postanowił osiedlić się tutaj i praktykować w zawodzie lekarskim, tak lekkomyślnie kiedyś porzuconym.

Oto cała historia Blooda, a przynajmniej najważniejsza jej część do momentu bitwy pod Sedgemoor.

Blood rozumował słusznie, iż rozgrywająca się wojna domowa wcale go nie dotyczy. Obojętny wobec wydarzeń, które postawiły na nogi Bridgewater, nie reagował na dochodzące odgłosy i wcześniej położył się do łóżka. Zasnął spokojnie na długo przed jedenastą, kiedy to, jak wiadomo, Monmouth wyruszył razem z goszczącym go lordem-buntownikiem bristolską drogą i począł okręzać bagniska położone między armią jego a królewską. Przewaga liczebna wojsk księcia Monmountha – prawdopodobnie zrównoważona większą odpornością regularnych oddziałów przeciwnika – oraz szansa, jaką dało mu zaskoczenie żołnierzy częściowo już pogrążonych we śnie, zostały zmarnowane wskutek błędów nieporadnego dowództwa, zanim jeszcze zdołał się wziąć za bary z Fevershamem.

Armie zetknęły się około godziny drugiej nad ranem. Daleki grzmot armat nie przerwał spokojnego snu Blooda. Obudził się dopiero o czwartej, kiedy wschodzące słońce rozproszyło ostatnie ławice mgły na pobojuwisku. .

Usiadł w łóżku, przecierając senne oczy i zbierając myśli. Drzwi jego domu drżały pod ciosami i jakiś głos wołał coś niezrozumiale. Ten hałas go obudził. Blood przypuszczał, że chodzi o nagły poród, sięgnął więc po szlafrok i pantofle, żeby zejść na dół. W korytarzu nieomal zderzył się z panią Barlow, wyrwaną ze snu, rozchełstaną i trzęsącą się ze strachu.

Uciszył jej gdakania, i zeszedł otworzyć drzwi.

Na dworze stał mężczyzna o dzikim wejrzeniu i zgrzany koń, ozłoceni skośnymi promieniami wschodzącego słońca. Młody człowiek, zakurzony i wybrudzony, z odzieniem w nieładzie i lewym rękawem kurtki zwisającym w strzępach, otworzył usta, żeby przemówić, lecz przez długą chwilę nie mógł wykrztusić ani słowa.

Ale Blood poznał już w przybyłym młodego szypra, Jeremiasza Pitta, kuzyna starych panien z przeciwka, który – porwany powszechnym entuzjazmem – dał się wciągnąć w wir rebelii.

Ulica budziła się, poruszona przybyciem żeglarza; otwierano drzwi, odmykano okiennice, z okien wychylały się niecierpliwe, zaciekawione głowy..

– Uspokój się i poczekaj – rzekł Blood. – „Spiesz się powoli”.

Lecz młodzieniec o dzikim wejrzeniu nie zwrócił uwagi na upomnienie. Łapiąc oddech wyrzucił z siebie wartki potok słów. – To lord Gildoy – dyszał – został ciężko ranny... na farmie Oglethorpe’a nad rzeką. Zaniósłem go tam... i... i on posłał mnie po was, panie. Zbierajcie się w drogę! Jedźcie ze mną! Byłby chwycił doktora i zaciągnął siłą, tak jak stał, w szlafroku i pantoflach, gdyby ten, nie umknął przed zbyt żwawą ręką.

– Pojadę z pewnością – odparł.

Wytworzyła się nieprzyjemna sytuacja, Gildoy był serdecznym, wspaniałomyślnym opiekunem lekarza od czasu jego osiedlenia się w tych stronach i Blood pragnął spłacić swój dług wdzięczności, ale nie w tej chwili, wiedział bowiem doskonale, że porywczy młody szlachcic był czynnym stronnikiem księcia Monmoutha.

– Pojadę z pewnością, lecz wpierw pozwól mi się ubrać i przygotować niezbędne narzędzia.

– Nie ma czasu do stracenia!

– Uspokój się, nie stracę ani chwili. Jeszcze raz powtarzam: „spiesz się powoli”. Wejź i siadaj. Weź sobie krzesło – to mówiąc otworzył drzwi do salonu.

Młody Pitt machnął odmownie ręką.

– Poczekam tu. Śpieszcie się, panie, na Boga!

Blood poszedł się ubrać i wziąć skrzynkę z narzędziami. Pytanie dotyczące stanu lorda Gildoya mógł zadać po drodze. Wciągając buty do

konnej jazdy doktor dawał pani Barlow zlecenia na nadchodzący dzień, między innymi dotyczące obiadu, którego nie przeznaczone mu było spożyć.

Kiedy ponownie wyszedł na ulicę, nie zważając na niezadowolone gderanie pani Barlow, zastał młodego Pitta otoczonego gromadą przestraszonych, na wpół odzianych mieszczan – przeważnie kobiet – żądnych wiadomości o wyniku bitwy. Z lamentów rozdzierających poranną ciszę można było wywnioskować, jakie przyniósł nowiny.

Na widok doktora, ubranego do drogi, ze skrzynką narzędzi pod pachą, posłaniec oswobodził się od cizby. Strząsnął z siebie zmęczenie i obie zapłakane ciotki czepiające się go natarczywie, chwycił za uzdę i wskoczył na siodło.

– Chodźcie, panie – zawołał. – Dosiądźcie konia za mną!

Blood bez słowa usłuchał wezwania. Pitt dotknął wierzchowca ostrogą. Mały tłumek rozproszył się i w ten sposób, na grzbiecie podwójnie obładowanego konia, trzymając się pasa towarzysza, Piotr Blood rozpoczął swoją Odyseję. Albowiem Pitt, którego uważał tylko za posłańca rannego szlacheckiego rebelianta, w rzeczywistości okazał się wysłannikiem losu.

II

DRAGONI KIRKE'A

Farma Oglethorpe'a leżała na prawym brzegu rzeki o jakąś milę na południe od Bridgewater. Rodzina właściciela zamieszkiwała szary, obrośnięty bluszczem, rozłożysty budynek w stylu Tudorów. Zbliżając się do niego teraz poprzez wonne sady pogrążone w arkadyjskim spokoju nad brzegiem skrzącej się w porannym słońcu rzeki Parret, Blood nie mógł uwierzyć, że w tym zakątku świata szalały walki i lała się krew.

Po drodze z Bridgewater spotkali na moście czołówkę zbiegów z pola bitwy, zmęczonych i złamanych. Wielu było rannych, a wszyscy ogarnięci paniką. Resztkami sił wlekli się do miasta w nadziei, że znajdą tam schronienie. Zmęczone oczy wyzierały ze strachem i żalością z wymizerowanych twarzy i spoglądały na przejeżdżającego Blooda i jego towarzysza; ochryple głosy ostrzegały ich, że bezlitośni prześladowcy są już niedaleko. Nie zważając na to młody Pitt pędził pokrytą kurzem drogą, którą napływali coraz tłumniej nieszczęśni uciekinierzy spod Sedgemoor. W pewnej chwili skręcił w bok i ruszył ścieżką przecinającą zroszone łąki. Również i tu spotykali pojedyncze grupki niedobitków, błędzących we wszystkich kierunkach wśród wysokiej trawy i oglądających się trwożliwie za siebie w obawie przed pojawieniem się czerwonych kołotów⁵ dragonii.

Lecz ponieważ Pitt zdążył na południe, ku głównej kwaterze Fevershama, spotykali coraz mniej rozbitków, aż wreszcie znaleźli się wśród spokojnych sadów. Drzewa chyliły się pod ciężarem dojrzewających owoców,

co zapowiadało wyjątkowo obfite zbiory.

Wreszcie zsiadli z konia na brukowanym podwórcu. Gospodarz dworku, Baynes, powitał ich z grobową i zmieszaną miną.

W przestronnym, wyłożonym kamiennymi płytami hallu doktor ujrzał lorda Gildoya – bardzo wysokiego, ciemnowłosego, młodego szlachcica z wysuniętą brodą i wydatnym nosem – rozpostartego na trzcinowym łożu przy jednym z ostrołukowych okien, pod opieką pani Baynes i jej urodziwej córki. Policzki rannego miały szarość ołowiu, oczy były zamknięte, a z sinych warg za każdym oddechem wydobywały się słabe jęki.

Blood stał przez chwilę w milczeniu, obserwując swego pacjenta. Bolał nad tym, że młodzieniec, dla którego życie miało tyle obietnic, ryzykował wszystko, być może nawet istnienie, dla poparcia roszczeń, nędznego awanturnika. Lubił i szanował dzielnego szlachcica i złożył mu teraz w dani współczucie. Następnie ukląkł, rozpruł kaftan i bieliznę rannego, obnażył jego bok i zażądał wody, płótna oraz innych rzeczy potrzebnych do opatrunku.

W pół godziny później, gdy lekarz wciąż jeszcze zajęty był opatrywaniem rannego, na farmę wpadli dragoni. Tętent kopyt i ochryple krzyki oznajmiające ich przybycie nie przeszkodziły mu wcale. Uwagę jego trudno było bowiem rozproszyć, a teraz przykuwał ją sam zabieg. Lord Gildoy jednak odzyskał już przytomność i okazywał najwyższą trwogę. Pitt zaś, którego odzienie nosiło jeszcze ślady bitwy, pośpiesznie schował się do garderoby. Baynes przeląkł się, a jego żona i córka drżały. Blood uspokajał ich.

– Czegóż się obawiacie? – pytał. – To przecież kraj chrześcijański, a chrześcijanie nie wojują z rannymi ani z tymi, którzy niosą im pomoc.

Jak widzicie, miał on jeszcze złudzenia co do chrześcijan. Podniósł kielich przygotowanego według jego wskazówek, kordiału do ust lorda:

– Zachowaj spokój ducha, milordzie. Najgorsze już minęło.

Wtem do hallu wyłożonego kamiennymi płytami wpadli z brzękiem i chrzęstem dragoni – dobry tuzin zbrojnych z tangerskiego regimentu, odzianych w czerwone kolety i botforty⁶. Dowodził nimi krępy oficer o czarnych brwiach, w kolecie szamerowanym złotem.

Baynes stał nieruchomo, w postawie lekko wyzywającej, jego żona i córka cofnęły się, ogarnięte znów obawą. Blood spojrział przez ramię sponad

wezgłowia rannego, mierząc oczyma intruzów.

Oficer warknął komendę, a żołnierze stanęli na baczność, po czym butnie postąpił naprzód, przyciskając dłonią gardę rapieru, a jego ostrogi pobrzękiwały melodyjnie w takt poruszeń. Oznajmił swoją rangę farmerowi:

– Jestem kapitan Hobart z dragonii pułkownika Kirke’a. Jakich rebeliantów kryjesz tutaj?

Wobec tak brutalnego i agresywnego wystąpienia trwoga ogarnęła farmera. Głos jego zadrżał.

– Ja... ja nie ukrywam buntowników, sir. Ten ranny gentleman...

– Sam zobaczę.

Kapitan podszedł do łoża i rzucił gniewne spojrzenie na ziemistą twarz cierpiącego.

– Nie ma potrzeby dochodzić, co doprowadziło go do tego stanu i skąd się wzięły jego rany. Przeklęty buntownik i tyle. Dalej, chłopcy, zabrać go stąd! – rzucił rozkaz dragonom.

Blood stanął między łożem a żołnierzami.

– W imię ludzkości, sir! – powiedział z nutą gniewu w głosie. – To Anglia, a nie Tanger. Ten gentleman jest ciężko ranny. Przenoszenie zagrażałoby jego życiu.

Kapitan. Hobart był wyraźnie rozbawiony tą uwagą.

– Co? Ja mam dbać o zdrowie buntowników! Do diaska! Czy, sądzisz, że będziemy się z nim cackać? Wzdłuż drogi z Weston do Bridgewater wystawiono szubienice, znajdzie się tam miejsce i dla niego. Pułkownik Kirke da tym dysydenckim bękartom nauczkę, której nie zapomną przez pokolenia.

– Wieszacie ludzi bez sądu? W takim razie naprawdę się pomyliłem! Jesteśmy widocznie w Tangerze, skąd przybył wasz regiment.

Kapitan płonącym wzrokiem zmierzył go od podeszew butów aż po czubek peruki. Miał przed sobą szczupłą, ruchliwą postać, z butnie wzniesioną głową i wyrazem powagi na twarzy. Żołnierz poznał żołnierza.

Oczy kapitana zwężyły się. Obudziło się w nim odległe wspomnienie. – Kim, do pioruna, waćpan jesteś? – wybuchnął.

– Nazywam się Blood, sir, Piotr Blood, do usług.

– Tam do diabła! To samo imię! Byłeś waćpan we francuskiej służbie, o ile sobie przypominam?

Jeżeli nawet Blood zdziwił się, nie okazał tego po sobie.

– Byłem.

– W takim razie pamiętam cię; pięć lat temu czy więcej byłeś w Tangerze.

– To prawda. Znałem waszego pułkownika.

– Obawiam się, że odnowisz tę znajomość. – Kapitan uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Co waćpana tu sprowadza?

– Ten ranny gentleman. Wezwano mnie, abym udzielił mu pomocy. Jestem lekarzem.

– Doktor, ty?! – Wobec tak widocznego kłamstwa pogarda zabrzmiała w ochrypłym, zawadiackim głosie.

– *Medicinae baccalaureus*⁷ – rzekł Blood.

– Nie zamydlaj mi oczu francuszczyzną – uciał Hobart. – Gadaj po angielsku.

Blood uśmiechnął się kpiąco.

– Jestem lekarzem praktykującym w mieście Bridgewater. Kapitan skrzywił się szyderczo.

– Trafiłeś tam w orszaku waszego księcia-bastarda. Teraz z kolei Blood zmarszczył się drwiąco.

– Gdyby twój dowcip był równie mocny jak głos, mój drogi panie, byłbyś już teraz wielkim człowiekiem.

Dragon oniemiał na chwilę. Twarz jego ściemniała.

– Może się okazać, że jestem dość wielkim, aby cię powiesić.

– Gotów jestem w to uwierzyć. Masz wygląd i maniery kata. Lecz jeżeli zamierzasz uprawiać swój zawód na moim pacjencie, uważaj, żebyś nie ukreślił powrozu na własną szyję. Nie jest on człowiekiem, którego mógłbyś powiesić bez żadnych ceregieli. Ma prawo, by sądzili go parowie Anglii.

– Parowie Anglii?

Takie słowa, wypowiedziane z naciskiem przez Blooda, zaskoczyły kapitana.

– Tylko głupiec czy człek nieokrzesany może grozić komuś szubienicą, nie znając nawet jego nazwiska. Ten szlachcic to lord Gildoy. Wtedy lord odezwał się słabym głosem:

– Nie zamierzam ukrywać moich stosunków z księciem Monmouthem. Jestem gotów ponieść konsekwencje. Lecz jeśli pan pozwoli, poniosę je po wyroku sądu parów, jak powiedział mój doktor.

Słaby głos zamarł i nastąpiła chwila milczenia. Jak większość zawadiaków, Hobart był w głębi duszy tchórzem. Wiadomość, z kim ma do czynienia, poruszyła tę ukrytą właściwość. Służalczy parweniusz żywił respekt dla tytułów. Bał się również swego pułkownika, który nie miał lekkiej ręki dla ludzi popełniających gafy.

Wstrzymał gestem żołnierzy. Sprawa wymagała rozwagi. Blood, widząc jego wahanie, dorzucił jeszcze jeden szczegół godzin rozpatrzenia.

– Pamiętaj, mości kapitanie, że lord Gildoy ma krewnych i przyjaciół wśród torysów i ci będą mieli coś do powiedzenia pułkownikowi Kirke’owi, jeśli lord zostanie potraktowany jak zwykły przestępca. Postępuj ostrożnie, kapitanie, albo ukręcisz dziś powróż na własną szyję.

Kapitan Hobart pogardliwie odrzucił ostrzeżenie, lecz mimo to nie zapomniał o nim.

– Zabrać to łoże i przenieść jeńca do Bridgewater! Umieścić w więzieniu, dopóki nie dostanę rozkazów dotyczących jego osoby.

– Ranny może nie przeżyć podróży – protestował Blood. – Stan jego zdrowia nie pozwala na przenoszenie.

– Tym gorzej dla niego. Mnie kazano łapać buntowników. – Potwierdził swój rozkaz gestem. Dwóch dragonów chwyciło łoże i uniosło je, gotując się do wyjścia.

Gildoy z wysiłkiem podał rękę Bloodowi.

– Sir – powiedział – jestem twoim dłużnikiem. Jeżeli będę żył, pomyślę, jak spłacić ten dług.

Blood skłonił się w odpowiedzi, a następnie zwrócił się do żołnierzy:

– Nieście go ostrożnie – rozkazał – Jego życie od tego zależy.

Po wyniesieniu lorda kapitan szorstko zagadnął farmera.

– Jakich jeszcze przeklętych rebeliantów ukrywasz?

– Nikogo więcej. Jego lordowska mość...

– Skończyliśmy na razie z jego lordowska mością. Za chwilę załatwimy się z tobą, jak tylko przeszukamy twój dom. I na Boga, jeżeliś zełgał... – Przerwał rzucając warkliwy rozkaz. Czterech dragonów wyszło. Za chwilę słychać było ich hałaśliwą krzątaninę w przyległym pokoju. Przez ten czas kapitan przeszukiwał hall opukując boazerię kolbą pistoletu.

Blood nie widział potrzeby, aby dłużej pozostawać na farmie.

– Za pańskim pozwoleniem, chciałbym pana najuprzejmiej pożegnać –

powiedział.

– Za moim pozwoleniem pozostanie pan tu na razie – rozkazał kapitan.

Blood wzruszył ramionami i usiadł.

– Nudny pan jesteś – rzekł – dziwię się, że pański pułkownik dotychczas tego nie odkrył.

Lecz kapitan nie zwracał na niego uwagi. Pochylił się, aby podnieść zakurzony i brudny kapelusz z przypiętym pęczkiem dębowych liści. Leżał on koło garderoby, do której schował się nieszczęsny Pitt. Kapitan uśmiechnął się złośliwie. Jego oczy obiegały pokój i zatrzymały się szyderczo najpierw na farmerze, następnie na dwóch stojących za nim kobietach, a w końcu na Bloodzie. Ten ostatni siedział z nogą założoną na nogę i obojętną miną, która nie uzewnętrzniała jego nastroju.

Kapitan podszedł do garderoby i pociągnął masywne, dębowe drzwi. Złapał skulonego w szafie nieboraka za kołnierz kurtki i wywłókł go na zewnątrz. – A to co za diabeł? – zapytał. – Jeszcze jeden lord?

Blood ujrzał w duchu wizję szubienic, wspomnianych przez kapitana Hobarta, a na jednej z nich nieszczęśliwego młodego szypra, powieszzonego bez sądu w miejsce innej ofiary, która wymknęła się kapitanowi. W jednej chwili zmyślił nie tylko tytuł, lecz i całą rodzinę młodego buntownika.

– Rzekłeś, kapitanie. To wicehrabia Pitt, siostrzeniec sir Thomasa Vernona, ożeniony z tą zdziwą Moll. Kirke, siostrą waszego pułkownika, a poza tym damą dworu królowej.

Zarówno kapitan, jak i jego więzień oniemieli ze zdumienia. Lecz o ile młody Pitt zaczął dyskretnie grać swoją rolę, o tyle kapitanowi wyrwało się brzydkie przekleństwo. Spojrzał znowu na więźnia.

– On łże, prawda? – zapytał łapiąc chłopca za ramię i spozierając mu w twarz. – Drwi sobie ze mnie, na Boga?

– Jeśli tak sądzisz – rzekł Blood – powieś go, a zobaczysz, co się z tobą stanie.

Dragon spojrział na doktora, a później na Pitta.

– Precz! – Tu rzucił chłopca w ręce swoich ludzi. – Zabierajcie go do Bridgewater. Przytrzymajcie też tego człowieka – wskazał na Baynesa – przekona się, co to znaczy ukrywać i wspierać buntowników.

Nastąpiła chwila zamieszania. Baynes wyrывał się z rąk żołnierzy, protestując z oburzeniem. Przestraszone kobiety krzyczały, aż naraz stało

się coś jeszcze straszniejszego: kapitan stanął przed nimi i złapał za ramię dziewczynę. Było to piękne, złotowłose stworzenie o łagodnych, błękitnych oczach, wpatrzonych żałośnie i błagalnie w twarz dragona. Oficer pochylił się nad nią z płonącymi oczyma, wziął ją pod brodę i brutalnie pocałował.

– Bez żartów – rzekł uśmiechając się ponuro. – Niech cię to uspokoi, mały buntowniku, dopóki nie załatwię się z tymi hultajami.

Odwrócił się i pozostawił ją drżącą i omdlałą w ramionach przestraszonej matki. Żołnierze stali, szczerząc szyderczo zęby, i oczekiwali rozkazów dowódcy. Dwaj więźniowie byli już mocno skrępowani.

– Zabrać ich! Niech kornet Drake zaopiekuje się nimi. – Płonące oczy kapitana znowu odszukały dziewczynę. – Zostanę tu na chwilę, żeby przeszukać ten dom. Mogą tu być ukryci jeszcze inni buntownicy.

Po namyśle dodał: – Zabierzcie ze sobą i tego. – Tu wskazał na Blooda. – Żwawo!

Ten rozkaz wyrwał doktora z zadumy. Myślał o lancecie, spoczywającym w skrzynce z narzędziami, za pomocą którego mógłby dokonać pozytywnej operacji na kapitanie Hobarcie. Operacji pozytywnej dla ludzkości oczywiście. W każdym razie dragon najwidoczniej był apoplektyczny i puszczanie krwi sprawiłoby mu ulgę. Trudność polegała na znalezieniu odpowiedniej okazji. Blood zaczął się właśnie zastanawiać, czy nie można by zwabić kapitana na ubocze jakąś opowieścią o ukrytym skarbie, gdy niewczesne odezwanie Hobarta przerwało te interesujące rozmyślenia. Blood próbował zyskać na czasie.

– To mi najzupełniej odpowiada – rzekł. – Zamierzałem właśnie wrócić do Bridgewater i gdyby mnie nie zatrzymano, byłbym już w drodze.

– Pójdiesz tam waćpan do więzienia.

– Ba! To chyba żarty!

– Znajdzie się tam i szubienica, gdybyś ją wolał. Prędzej czy później nie minie cię ona z pewnością.

Szorstkie ręce chwyciły Blooda i cenny lancet pozostał w skrzynce na stole, poza jego zasięgiem. Lekarz wyrwał się dragonom, gdyż był silny i zręczny, lecz oni rzucili się na niego i obalili na ziemię. Związano mu ręce za plecami i brutalnie postawiono z powrotem na nogi.

– Zabrać go stąd – rzekł krótko Hobart i odwrócił się, by wydać rozkazy innym oczekującym żołnierzom. – Przeszukać cały dom od strychu do

piwnicy. Później wrócić tu do mnie i zdać raport.

Żołnierze wyszli kolejno przez drzwi wiodące do wnętrza domu. Strażnicy wypchnęli Blooda na podwórze, gdzie czekali już Pitt i Baynes. Na progu lekarz odwrócił się i spojrzął na kapitana, a jego szafirowe oczy gorzały. Na ustach drżała groźba, że odpłaci Hobartowi, jeżeli tylko wyjdzie żywy z tej opresji. W porę przypomniał sobie, że gdyby ją wypowiedział, nie uszedłby z życiem. Dzisiaj bowiem siepacze królewscy byli panami zachodniej Anglii i uważali ją za kraj nieprzyjacielski, w którym zwycięzcom wolno dopuszczać się wszelkich okrucieństw. Na tym terenie kapitan jazdy był panem życia i śmierci.

W sadzie pod jabłoniami przytroczono do strzemion jeźdźców Blooda i jego towarzyszy niedoli. Na ostry rozkaz korneta mały oddziałek wyruszył do Bridgewater. Kiedy odchodzili, sprawdziło się okropne przypuszczenie Blooda, iż dla dragonów był to zawojowany kraj nieprzyjacielski. Słychać było odgłosy rąbania, rozbijania i wywracania mebli, krzyki i śmiechy żołdaków, co wskazywało, że polowanie na buntowników było tylko pretekstem do rabunku i zniszczenia. W końcu ponad wszystkie inne dźwięki wzbily się rozdzierające krzyki kobiety.

– Baynes przystanął w udęcie i z twarzą szarą jak popiół odwrócił się do tyłu. W następstwie zwalił go z nóg sznur, którym był przywiązany do strzemienia, i włókł bezradnego metr czy dwa, zanim jeździec nie powstrzymał konia. Rzucił farmerowi brzydkie przekleństwo i uderzył go płazem rapieru.

Przekonało to Blooda, wlokącego się w ten wonny, wspaniały lipcowy poranek pod ciężkimi gałęziami jabłoni, że człowiek – jak już od dawna podejrzewał – był najnikczemniejszym stworzeniem boskim i że tylko szalenciec mógł zajmować się leczeniem gatunku, który winno się być wytępione.

III

LORD PRZEWODNICZĄCY TRYBUNAŁU KRÓLEWSKIEGO

Dopiero w dwa miesiące później, 19 września, Piotr Blood stanął przed sądem oskarżony o zdradę stanu. Choć nie był winien tej zbrodni, niewątpliwie dojrzał do niej teraz całkowicie. Dwa miesiące nieludzkiego traktowania w więzieniu przepełniły go zimną, śmiertelną nienawiścią do króla Jakuba i jego popleczników. Fakt, że w tych okolicznościach potrafił zachować zdolność do jakichkolwiek uczuć, przemawia na korzyść siły jego charakteru. Mimo iż położenie tego całkowicie niewinnego człowieka było straszne, miał dwa powody do wdzięczności: pierwszy, że w ogóle postawiono go przed sądem, drugi, że sprawa została wyznaczona na ten akurat dzień, a nie wcześniej. Chociaż sobie tego nie uświadamiał, owa irytująca zwłoka uchroniła go od szubienicy.

Gdyby nie uśmiech losu, mógłby stać się jednym z tych, których następnego dnia po bitwie wyciągnięto, mniej lub bardziej przypadkowo, z przepelnionego więzienia w Bridgewater i powieszono na rynku miasta z rozkazu krwiożerczego pułkownika Kirke'a. Dowódca tangerskiego regimentu działał z tak okrutnym pośpiechem, że powywieszałby w ten sposób wszystkich więźniów, choć było ich wielu, gdyby energiczna interwencja biskupa Mewsa nie położyła końca doraźnemu sądowi wojennemu.

W każdym razie w ciągu pierwszego tygodnia po bitwie pod Sedgemoor

Kirke i Feversham zdołali wspólnie wytracić razem ponad setkę ludzi, skazanych przez sąd ferujący wyroki tak pośpiesznie, że nie zasługiwał w ogóle na nazwę sądu. Zwycięzcy, żądali ludzkiego żeru dla szubienic pokrywających kraj i nie troszczyli się zbytnio o sposób zdobywania go ani o to, czy powieszeni byli winni, czy niewinni. Bo i cóż warte było życie chłopca? Oprawcy ciężko pracowali ścinając, wieszając i gotując w smole. Oszczędzę wam szczegółów tych okropności. Interesuje nas przecież los Piotra Blooda, a nie rebeliantów Monmoutha.

Blood przeżył masowe stracenia i został włączony do jednego z tych smutnych konwojów więźniów, które pędzono w kajdanach z Bridgewater do Taunton. Ciężko rannych, niezdolnych do marszu, stłoczono brutalnie na wozach, nie zważając na ich nie opatrzone i jątrzące się rany. Szczęśliwi ci, co zmarli w drodze.

Gdy Blood zażądał, aby pozwolono mu nieść ulgę cierpiącym, potraktowano go jako opornego i zagrożono chłostą. Teraz, żałował już tylko jednego: że nie walczył po stronie Monmoutha. Było to oczywiście nielogiczne, lecz trudno wymagać logiki od człowieka w jego położeniu.

Obok Piotra szedł Jeremiasz Pitt, sprawca jego obecnych nieszczęść. Młody szyper był mu od chwili aresztowania najbliższym towarzyszem. Przypadkowo skuto ich razem w przepelnionym więzieniu, gdzie omal nie uduśli się od upału i zaduchu w ciągu tych strasznych dni lipca, sierpnia i września.

Z zewnątrz przenikały do więzienia strzępy nowinek. Niektórym rozmyślnie dozwolono przenikać. Do nich to należała wieść o straceniu Monmoutha. Wywołała ona najgłębsze przerażenie wśród ludzi cierpiących za księcia i religię, której głosił się bojownikiem. Wielu nie chciało w to wierzyć. Zaczęły krążyć fantastyczne pogłoski, że zamiast Monmoutha poświęcił się człowiek podobny do księcia, Monmouth jakoby pozostał przy życiu, aby powrócić w glorii dla ocalenia Syjonu i pomszczenia Babilonu.

Blood słuchał tych bajek tak samo obojętnie jak wiadomości o straceniu Monmoutha. Jedna tylko haniebna pogłoska poruszyła go i spotęgowała wzbierającą w nim wzdarcę dla króla Jakuba. Jego królewska mość zgodził się pono udzielić Monmouthowi posłuchania. Uczynić to bez zamiaru ułaskawienia więźnia, a tylko po to, by okazać wzdarcę dla jego skruchy, było postępkem nad wyraz wstrętnym i nikczemnym. Później więźniowie

dowiedzieli się, że lord Grey, który po księciu, a może nawet i przed nim był głównym przywódcą rebelii, okupił ułaskawienie sumą 40 000 funtów. W opinii Blooda zgadzało się to z całością obrazu. Jego wzgarda dla króla Jakuba wybuchła z całą siłą.

– Co za podła kreatura siedzi na tronie! Gdybym dawniej Wiedział o nim to, co wiem dzisiaj, niewątpliwie dałbym powód do uwięzienia mnie. .
A później, rażony nagłą myślą, zapytał:

– Jak sądzisz, gdzie teraz może być lord Gildoy?

Zagadnięty o to Pitt zwrócił ku niemu oblicze, z którego po tylu miesiącach więzienia znikła prawie zupełnie ogorzałość żeglarza. Jego szare oczy były okrągłe i pytające. Blood dodał:

– Od dnia pobytu na farmie Oglethorpe’a nie widzieliśmy jego lordowskiej mości. A gdzie reszta szlachty, prawdziwi przywódcy tej zadumionej rebelii? Sprawa Greya wyjaśnia, jak sądzę, ich nieobecność. Wszystko to zamożni ludzie, których stać na okup. Tutaj oczekują śmierci tylko nieszczęśni ich stronnicy. Ci, którzy mieli zaszczyt przewodzić – są wolni. Jest to ciekawe i pouczające zarazem odwrócenie zwykłego porządku rzeczy. Zaprawdę, w jakim niepewnym świecie żyjemy!

Roześmiał się i pełen pogardy wkroczył do wielkiej sali sądowej w Taunton Gastle. Razem z nim szli Pitt i farmer Baynes. Wszyscy trzej mieli być przesłuchiwani jednocześnie i ich sprawa miała zapoczątkować posiedzenie trybunału w tym strasliwym dniu.

Sala i galerie – zatłoczone widzami, wśród których przeważały kobiety – przybrane były purpurą. Miły ten pomysł zrodził się w głowie lorda przewodniczącego trybunału, który ze zrozumiałych przyczyn lubił kolor odzwierciedlający jego krwawą naturę.

Na podium siedzieli sędziowie koronni i pięciu sędziów w szkarłatnych togach i wielkich, ciemnych perukach. Lord Jeffreys królował pośrodku.

Więźniów prowadzono pod strażą. Woźny nakazał publiczności ciszę pod groźbą więzienia i podczas gdy szmer głosów cichł stopniowo, Blood, z zaciekawieniem obserwował „dobrych i prawych mężów”, z których składała się ława przysięgłych. Nie wyglądali ani na dobrych, ani na prawych, wydawali się natomiast gromadą niespokojnych, wystraszonych, podłych złodziejasków, schwytanych na gorącym uczynku z ręką w kieszeni sąsiada. Tych dwunastu ludzi, wahających się i niepewnych, stało między mieczem

krwawego oskarżenia przewodniczącego trybunału królewskiego a głosem własnego sumienia.

Spokojny, rozważny wzrok Blooda przesunął się z ławy przysięgłych na sędziów koronnych, a w szczególności na przewodniczącego sądu, lorda Jeffreysa, który przybył z Dorchester poprzedzony straszliwą sławą.

Był to wysoki, szczupły człowiek, lat około czterdziestu, o owalnej, subtelnie pięknej twarzy. Ciemne plamy cierpienia czy bezsenności pod oczyma, nakrytymi ciężkimi powiekami, podkreślały blask oczu i łagodną ich melancholię. Twarz jego była zupełnie biała, tylko pełne wargi miały żywy kolor, a na wysokich, lecz niezbyt wystających kościach policzkowych kwitły gorączkowe rumieńce. Jedyne w wyrazie ust było coś, co psuło doskonałość tego oblicza, coś brzydkiego, ledwie dostrzegalnego, lecz niewątpliwie istniejącego, co kryło się tam, zaprzeczając subtelnej wrażliwości nozdrzy, miękkości ciemnych, wilgotnych oczu i szlachetnemu spokojowi czoła.

Blood oglądał sędziego okiem lekarza, ze szczególnym zainteresowaniem rozpoznając śmiertelną chorobę, na którą cierpiał jego lordowska mość, i ślady hulaszczego życia, jakie prowadził mimo choroby, a może właśnie wskutek niej.

– Piotrze Blood, podnieś rękę!

Chrapliwy głos pisarza przywołał go nagle do rzeczywistości. Usłuchał mechanicznie, a tamten monotonnym głosem odczytał oskarżenie głoszące, że Piotr Blood dopuścił się zdrady jego królewskiej mości Jakuba II, z łaski bożej króla Anglii, Szkocji, Francji i Irlandii, swego najwyższego przyrodzonego pana. Akt opiewał też, że bez bojaźni bożej w sercu i zwiedziony przez diabła, złamał on w stosunku do rzeczonoego pana i króla wiarę i przyrodzone posłuszeństwo, a także naruszył pokój królestwa, podżegając do wojny i rebelii w celu złożenia z tronu prawowitego rzeczonoego władcy i króla tudzież pozbawienia go tytułu, honoru i królewskiego prawa do korony imperium... Oskarżano go jeszcze o wiele innych zbrodni, a na zakończenie wezwano, aby powiedział, czy przyznaje się do winy. Odparł obszerniej, niż tego wymagano.

– Jestem zgoła niewinny.

Mały człowieczek o ostrym profilu, siedzący przy stole po prawej stronie, podskoczył. Był to pan Pollexfen, obrońca z urzędu.

– Przyznajesz się do winy czy nie? – uciął ten zgryźliwy gentleman. – Decyduj się!

– Decydować się? – spytał Piotr Blood. – Och, nie! Nie przyznaję się. – I zwrócony do ławy sędziowskiej, kontynuował swoją przemowę: – Jeżeli chodzi o przyznanie się, niech ich lordowskie moście wiedzą, że nie popełniłem nic, co by usprawiedliwiało słowa tego oskarżenia. Przyznaję się jedynie do braku cierpliwości, gdyż jestem więziony od dwóch z górą miesięcy w cuchnącej turmie, co naraża na wielkie niebezpieczeństwo moje zdrowie, a nawet i życie.

Rozpoczynając przemowę miał zamiar powiedzieć o wiele więcej, lecz w tym momencie lord przewodniczący trybunału królewskiego wtrącił łagodnym, melancholijnym głosem:

– Słuchaj no, mój panie! Muszę ci teraz przerwać, gdyż winniśmy tu zachować zwykły tryb postępowania. Nie są ci zapewne znane formy prawne?

– Nie tylko nie znam ich, milordzie, ale co więcej, dotychczas byłem z tego bardzo zadowolony. Chętnie obyłbym się w ogóle bez tej znajomości.

Blady uśmiech na chwilę rozjaśnił zamyślane oblicze.

– Wierzę ci. Zostaniesz wysłuchany, kiedy przyjdzie kolej na twoją obronę. Lecz wszystko, co mówisz teraz, jest zupełnie nieprawidłowe i niewłaściwe.

Ujęty tak widoczną sympatią i współczuciem, Blood odpowiedział, jak żądano, że będzie sądzony przez Boga i ojczyznę. Po czym, prosząc Boga o zesłanie mu dobrej rady, oskarżyciel wezwał Andrzeja Baynesa do podniesienia w górę prawej ręki i złożenia zeznania.

Po Baynesie, który nie przyznał się do winy, oskarżyciel wywołał Pitta. Młody żeglarz śmiało przyznał się do winy. Lord przewodniczący trybunału podniósł wzrok.

– Ach tak! To najlepiej! – rzekł, a czterej sędziowie w purpurze kiwnęli głowami.

– Gdyby wszyscy byli tak uparci jak ci dwaj buntownicy, nigdy nie byłoby temu końca.

Po tej złowroziej uwadze, wygłoszonej z nieludzkim, przejmującym chłodem, wstał pan Pollexfen. Wielce rozwlekłe zreferował sprawę trzech oskarżonych, a w szczególności sprawę Piotra Blooda, który miał pierwszy

otrzymać wyrok.

Jedynym świadkiem korony był kapitan Hobart. Zeznał szorstko, jak znalazł i zaaresztował trzech więźniów razem z lordem Gildoyem. Na mocy rozkazu swego pułkownika byłby powiesił Pitta bez żadnych ceregieli, gdyby nie to, że Blood przedstawił go jako para Anglii i ważną osobistość.

Po zeznaniu kapitana lord Jeffreys spojrzął na Piotra Blooda.

– Czy więzień Blood chce zadać świadkowi jakieś pytanie?

– Nie, milordzie, świadek zeznał wszystko tak, jak było.

– Miło mi usłyszeć to bez żadnych wykrętów, jakich zwykle używają ludzie twego typu. Pamiętaj, że wykręty ci nie pomogą. W końcu zawsze dojdziemy prawdy. Możesz być tego pewien.

Baynes i Pitt również potwierdzili prawdziwość zeznania kapitana, po czym szkarłatna postać lorda przewodniczącego wydała westchnienie ulgi. – Skoro tak jest, idźmy dalej w imię boże, gdyż mamy wiele roboty.

Teraz nie było już śladu łagodności w jego szorstkim i zgrzytliwym tonie. Wargi, skrzywiły się pogardliwie.

– Uważam, mości Pollexfenie, że zdrada tych trzech łotrów została udowodniona, a ponieważ przyznali się do wszystkiego, nie ma tu więcej o czym mówić. W głosie Piotra Blooda zabrzmiał tłumiony śmiech.

– Za pozwoleniem waszej lordowskiej mości, mam jeszcze wiele do powiedzenia.

Sędzia spojrzął na niego, zrazu pełen zdumienia na widok takiej odwagi, później zaś z wyrazem tępego gniewu. Szkarłatne wargi ułożyły się w nieprzyjemną, okrutną linię, przeobrażając całe oblicze.

– Jakże to, hultaju? Chcesz zajmować nam czas próżnymi wykrętami?

– Chciałbym, aby wasza lordowska mość i panowie przysięgli wysłuchali mojej obrony, tak jak to mi przyrzeczone.

– Przyrzeczenia dotrzymamy, łotrze! Przyrzeczenia dotrzymamy! – Głos lorda był szorstki jak pilnik. Mówiąc obrócił się nieco i na chwilę rysy jego uległy zniekształceniu. Delikatna, trupiobladą ręką z błękitnymi żyłami wyciągnęła chusteczkę, którą sędzia wytarł usta i czoło. Oko Blooda-lekarza natychmiast rozpoznało chorobę niszczącą organizm lorda.

– Przyrzeczenia dotrzymamy. Lecz skoro się już przyznałeś, co masz jeszcze do powiedzenia.

– Będziesz mógł osądzić, milordzie.

– Po to właśnie tu siedzę.

– I wy również, panowie. – Blood przeniósł wzrok z sędziego na ławę przysięgłych. Ci ostatni poczuli się nieprzyjemnie pod ufnym błyskiem jego niebieskich oczu. Słyszając brutalne oskarżenie, rzucone w twarz lordowi Jeffreysowi, podupadli zupełnie na duchu. Nie mogliby się go więcej obawiać, gdyby to ich samych więziono za zdradę.

Piotr Blood stał wyprostowany, opanowany i spokojny. Zjawił się przed sądem świeżo ogolony, a jego peruka, jakkolwiek nie trefiona, była starannie uczesana i związana.

– Kapitan Hobart zeznał, że znalazł mnie na farmie Oglethorpe'a w poniedziałek rano po bitwie pod Weston, lecz nie powiedział, co tam robiłem.

Sędzia przerwał:

– A cóż tam mogłeś robić w towarzystwie dwóch buntowników, którzy obaj, lord Gildoy i ten twój przyjaciel, przyznali się już do winy?

– O tym właśnie chcę opowiedzieć waszej lordowskiej mości.

– A więc proszę, opowiadaj i na Boga, streszczaj się, człowieku! Gdybym miał wysłuchiwać gadania wszystkich zdradzieckich psów, musiałbym siedzieć tutaj aż do sesji wiosennej.

– Byłem na farmie, milordzie, w charakterze lekarza, aby opatrzyć rany lorda Gildoja.

– Co takiego? Chcesz nam tu wmówić, że jesteś lekarzem?

– Jestem absolwentem Trinity College w Dublinie.

– Dobry Boże! – zawołał lord Jeffreys donośnym głosem, patrząc na ławę przysięgłych. – Co za bezczelny łotr! Słyszeliście zeznanie świadka, który znał go w Tangerze kilka lat temu jako oficera w służbie francuskiej? Słyszeliście również, jak więzień potwierdzał zeznanie świadka?

– Tak też było. Jednakże to, co ja mówię, jest również prawdą. Przez kilka lat byłem żołnierzem, lecz przedtem byłem lekarzem i wróciłem do dawnego zawodu w styczniu tego roku, gdy osiedliłem się w Bridgewater. Mogę na to przedstawić setki świadków.

– Niepotrzebnie zajmujesz nam tym czas. Skażę cię na podstawie zeznań, które wyszły z twych własnych, łajdackich ust. Zadam ci tylko jedno pytanie: Jak to się stało, że ty, jakoby lekarz, uprawiający spokojnie swój zawód w Bridgewater, znalazłeś się w armii księcia Monmoutha?

– Nigdy w tej armii nie byłem. Żaden świadek nie zeznał tego i na pewno żaden nie zezna. Nie miałem nic wspólnego z tym buntem, który uważałem za nędzne szaleństwo. Pozwalam sobie zapytać waszą lordowską mość – tu zabrzmiała wyraźniej niż zwykle jego irlandzka wymowa – co miałbym robić ja, papista z urodzenia i wychowania, w armii protestanckiego bojownika?

– Tyś papistą? – Sędzia przez chwilę posepnie przyglądał się Bloodowi. – Wyglądasz na obłudnego, zawodzącego kaznodzieję prezbiteriańskiego. Powiadam ci, człowieku, poczuję nosem prezbiterianina o czterdzieści mil.

– W takim razie dziwię się, że mając tak czuły nos wasza lordowska mość nie wywąchał papisty o cztery kroki.

Na galerii wybuchnął przyciszony śmiech, momentalnie stłumiony surowym spojrzeniem sędziego i okrzykiem woźnego.

Lord Jeffreys pochylił się nad stołem i wznosił delikatną, wypieszczoną białą rękę, która wciąż jeszcze ściskając chusteczkę wychyliła się z piany koronkowego mankietu.

– Zostawmy na razie twoją religię na boku, przyjacielu – rzekł. – Zapamiętaj jednak, co ci powiem. – Sędzia groził wskazującym palcem w takt swych słów. – Wiedz, że każda religia, bez względu na to, jaką wyznajesz, potępia kłamstwa. Twoja nieśmiertelna dusza to najcenniejsze, co posiadasz. Nic na świecie nie dorównuje jej wartością. Pan nieba i ziemi, przed którego sądem ty i my, i wszyscy ludzie staną ostatniego dnia, weźmie odwet na tobie za każde fałszywe świadectwo i sprawiedliwie wrzuci cię w ogień piekielny, w otchłań siarki i smoły, jeśli odstępisz od prawdy choćby o włos. Gdyż zaprawdę powiadam ci, Boga nie oszukasz! Dlatego zaklinam cię, ażebyś odpowiedział szczerą prawdę: Jak to się stało, że ujęto cię razem z tymi rebeliantami?

Piotr Blood patrzył przez chwilę na sędziego skonsternowany. Ten człowiek był nieprawdopodobny, nierzeczywisty, fantastyczny. To nie był sędzia, to była zmora. Niebawem opanował się i pośpieszył z odpowiedzią:

– Wezwano mnie tego ranka dla niesienia pomocy lordowi Gildoyowi. Uważałem to za swój obowiązek.

– Doprawdy? – Sędzia wyglądał teraz strasznie: twarz blada, zaciśnięte wargi, czerwone jak krew, której były żądne, oczy złe i szydercze.

Rychło, jakby z wysiłkiem, lord Jeffreys pohamował się i westchnąwszy

powrócił do dawnego, łagodnego, skarżącego się tonu.

– Boże! Ileż czasu traci się przez ciebie! Lecz będę cierpliwy. Kto cię wezwał?

Młody Pitt. Może to potwierdzić.

– Och! Potwierdzi to młody Pitt, który sam przyznał się do zdrady. To twój jedyny świadek?

– Jest tu również pan Baynes.

– Poczciwy Baynes będzie musiał odpowiadać za siebie i nie będzie mu łatwo wykręcić się od stryczka. Dalej! Czy to jedyni twoi świadkowie?

– Mógłbym sprowadzić z Bridgewater wielu innych, którzy widzieli mnie tego ranka, gdy wyjeżdżałem konno razem z mości Pittem.

Sędzia uśmiechnął się.

– To niepotrzebne. Zważ bowiem moje słowa. Nie zamierzam marnować czasu na twoją sprawę. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie: Czy gdy młody Pitt przyjechał po ciebie, wiedziałeś, że jest stronnikiem Monmoutha?

– Wiedziałem, milordzie.

– Wiedziałeś! Ha! – Lord spojrzał na wijących się ze strachu sędziów przysięgłych i zaśmiał się krótkim, ostrym śmiechem. – A mimo to pojechałeś z nim?

– Niesienie pomocy rannemu człowiekowi jest moim świętym obowiązkiem.

– Twoim świętym obowiązkiem? – zawołał sędzia wybuchając wściekłością. – Miły Boże! W jakimże pokoleniu gadów teraz żyjemy! Twoim świętym obowiązkiem, hultaju, jest służyć twemu królowi i Bogu! – Ale mniejsza z tym. Czy powiedział ci, komu to masz okazać pomoc?

– Tak, lordowi Gildoyowi.

– Wiedziałeś, że lord Gildoy został ranny w bitwie i po czyjej stronie walczył?

– Wiedziałem.

– Jednakże będąc, jak nas chcesz zapewnić, dobrym i wiernym poddanym jego królewskiej mości, okazałeś mu pomoc?

Blood stracił na chwilę cierpliwość.

– Obchodziły mnie jego rany, milordzie, a nie jego zapatrywania polityczne!

Z galerii, a nawet z ławy przysięgłych zerwał się w odpowiedzi na jego

słowa szmer uznania. Pobudziło to jednak straszliwego sędziego do jeszcze większej furii.

– Chryste Panie! Czy widział kto kiedy na świecie równie bezczelnego łotra? – Odwrócił blade z wściekłości oblicze ku ławie przysięgłych. – Ufam, panowie, że zauważyliście niecną postawę tego buntownika. Widzicie teraz, jakim duchem ożywieni są ci ludzie, te łotry i diabły wcielone. Jego własne słowa wystarczą, aby go powiesić tuzin razy. Lecz nie tylko o to chodzi. Odpowiedz mi waćpan: Czemuś okłamał kapitana Hobarta co do wysokiego rodu tego drugiego zdrajcy, Pitta?

– Chciałem go ocalić od powieszenia bez sądu, czym mu grożono.

– Cóż cię obchodziło, jak i kiedy ten nędznik będzie powieszony?

– Sprawiedliwość obchodzi każdego wiernego poddanego, gdyż niesprawiedliwość popełniana przez kogoś, kto jest w służbie króla, przynosi ujmę majestatowi władcy.

Był to silny cios, chytrze wymierzony w ławę przysięgłych. Świadczył o bystrości i przytomności umysłu oskarżonego, nie słabnących w chwili największego niebezpieczeństwa. Na innych ławnikach słowa te musiałyby wyrzucić zamierzony skutek. Może wpłynęły nawet i na te biedne, małoduszne owieczki, lecz nieubłagany sędzia już śpieszył zatrzeć ich wrażenie. Zaczerpnąwszy tchu, rzucił się gwałtownie naprzód..

– Wielki Boże! – zaryczał. – Czy widział kto kiedy takiego obłudnego, bezczelnego łotra? Lecz skończyłem już z tobą. Widzę cię, draniu, widzę cię już z powrozem wokół szyi.

Po tych słowach, dławiąc się wściekłością, sędzia opadł na fotel i z trudem opanował wzburzenie. Wyglądało to tak, jak gdyby na jego bladą twarz, z której znikły wszelkie ślady silniejszych uczuć, osunęła się zasłona. Powrócił dawny wyraz łagodnej melancholii. Gdy po chwili zabrał głos, brzmiał on łagodnie, prawie tkliwie, a jednak każde słowo rozlegało się donośnie w ciszy wystraszonej sali sądowej.

– O ile znam własne serce, nie leży w mojej naturze chęć krzywdzenia kogokolwiek, tym mniej narażania go na wieczne potępienie. Tylko ze współczucia dla ciebie użyłem ostrych słów. Chcę, byś miał wzgląd na swoją nieśmiertelną duszę i nie narażał jej na potępienie przez trwanie w błędzie i kręactwa. Lecz dostrzegam już, że współczucie i miłosierdzie całego świata nie wpłyną na twoją zatwardziałość, i dlatego nie rzeknę więcej ani

słowa.

Zwrócił ku ławie przysięgłych piękne, zamyślane oblicze.

– Panowie przysięgli, muszę pouczyć was o prawie, którego winniście przestrzegać. Zapamiętajcie sobie, że jeżeli ktoś wznieca rebelię przeciwko królowi, a druga osoba, nie biorąca udziału w buncie, gości buntownika, udziela mu schronienia, pomaga lub wspiera go, sama przez to staje się winna zdrady, podobnie jak ten, co chwyta za broń. Nasze sumienie i wiążąca nas przysięga każą wyjaśnić wam obowiązujące prawa, wasza zaś przysięga i wasze sumienia nakazują wam dać wyraz prawdzie poprzez sprawiedliwy wyrok.

To rzekłszy sędzia podsumował przebieg rozprawy. Baynesa i Blooda uznał winnymi zdrady, pierwszego za ukrywanie, drugiego zaś za opatrywanie buntownika i niesienie mu pomocy. Przemówienie swe przeplatał Jeffreys pochlebczymi aluzjami pod adresem króla, prawego władcy i pana, pomazańca bożego, Oraz przekleństwami rzucanymi na protestantów i Monmoutha. Pozwolił sobie nawet zauważyć, że najędźniejszy poddany, pochodzący z prawego łóża, ma większe prawa do korony królewskiej niż ten bastard.

– Chryste Panie! w jakich to czasach, wśród jakich wyrzutek żyjemy! – zawołał w krasomówczym zapale. Później, zaś przechylił się do tyłu, jakby wyczerpany gwałtowną przemową. Przez chwilę milczał, przyciskając chusteczkę do ust, po czym poruszył się niespokojnie. Rysy jego twarzy wykrzywiły się pod wpływem bólu i w kilku chrapliwych, zaledwie zrozumiałych słowach odprawił przysięgłych, by zatwierdzili wyrok.

Piotr Blood słuchał gwałtownego, bluźnierczego i nieomal plugawego wybuchu obelg z obojętnością, która jego samego później dziwiła. Był tak zaskoczony zachowaniem się tego człowieka, wzajemnym związkiem między jego psychiką a ciałem, jak również brutalną metodą zastraszania przysięgłych i zmuszania ich do rozlewu krwi, że nieomal zapomniał, iż stawką w tej grze było jego własne życie. Po krótkiej nieobecności osłupiali przysięgli wrócili, aby ogłosić werdykt. Wszystkich trzech oskarżonych uznano winnymi zdrady. Blood objął wzrokiem obwieszoną purpurą salę sądową. Przez chwilę wydawało mu się, że zalewa go spienione morze ludzkich twarzy. Odzyskawszy przytomność umysłu usłyszał głos zapytujący, co ma jeszcze do powiedzenia na swoją obronę, jakie

zastrzeżenia może wysunąć przeciwko oczekującej go karze śmierci.

Roześmiał się, a śmiech jego zabrzmiał niesamowicie wśród śmiertelnej ciszy sali. To wszystko było taką groteską, takim szyderstwem ze sprawiedliwości, wymierzanej przez melancholijnego pajaca w purpurze, który był pośmiewiskiem, przekupnym narzędziem brutalnego i mściwego króla. Śmiech skazanego oburzył sędziego-marionetkę.

– Ośmielasz się śmiać z powrozem dokoła szyi, u progu wieczności, który wkrótce przestąpisz? – zapytał.

Wtedy to Blood zemścił się.

– Zaprawdę więcej mam powodów do śmiechu niż wasza lordowska mość. Mam ja jeszcze coś do powiedzenia, zanim zapadnie wyrok ostateczny: Wasza lordowska mość widzisz z powrozem na szyi mnie, człowieka niewinnego, którego jedyną zbrodnią było praktykowanie miłosierdzia. Wasza lordowska mość, jako sędzia, wie, co mnie spotka. Ja, jako lekarz, wiem, co spotka waszą lordowska mość. I powiadam ci, milordzie, nie zamieniłbym się z tobą! Nie zamieniłbym tego powroza na kamień co go dźwigasz w swojej piersi. Śmierć zgotowana mi przez ciebie będzie rozkoszą w porównaniu ze śmiercią zgotowaną ci przez Najwyższego Sędziego, z którego imieniem tak czelnie sobie poczynasz.

Przewodniczący trybunału królewskiego siedział sztywno wyprostowany, z twarzą szarą jak popiół i drgającymi wargami, wśród głębokiego milczenia, jakie zapadło po przemówieniu Blooda.

Ci, co znali lorda Jeffreysa, uważali to za ciszę przed burzą i przygotowywali się do gwałtownego wybuchu. Lecz wybuch nie nastąpił. Z wolna słaby rumieniec zabarwił oblicze sędziego. Ubrana w szkarłat postać utraciła sztywność i pochyliła się naprzód. Jego lordowska mość zaczął mówić. W krótkich, głucho brzmiących słowach, znacznie zwięźlejszej niż zwykle w podobnych okolicznościach, tak jakby nie myślał o tym, co mówi, ogłosił wyrok śmierci w przepisowej formie, bez najmniejszej aluzji do wypowiedzi Piotra Blooda. Dokonawszy tego, opadł wyczerpany na oparcie fotela, z na wpół przymkniętymi oczyma i czołem pokrytym kroplami potu.

Więźniów wyprowadzono.

Pan Pollexfen, w głębi serca wig, mimo iż zajmował stanowisko obrońcy z urzędu, szepnął do ucha sąsiadowi:

– Na mą duszę ten smagły łotr napędził strachu jego lordowskiej mości.

Szkoda, że będzie wisiał, gdyż człowiek, który potrafi nastraszyć Jeffreysa, powinien zejść wysoko.

IV

ŻYWY TOWAR

Pan Pollexfen miał rację i mylił się zarazem, co zdarza się znacznie częściej, niż zwykle przypuszczamy.

Miał rację niedbale wyrażając myśl, że człowiek, którego postawa i słowa zdołały poskromić tak straszliwego męża jak lord Jeffreys, winien był już z racji przewagi swego charakteru zapewnić sobie świetną przyszłość. Mylne natomiast, jakkolwiek uzasadnione, było jego przypuszczenie, że Blood zostanie powieszony.

Mimo przykrości, jakie go spotkały za okazanie miłosierdzia na farmie Oglethorpe'a Blood wiele zawdzięczał szczęśliwemu przypadkowi. Po pierwsze, postawiono go w ogóle przed sąd, po drugie, sądzono go właśnie w dniu dziewiętnastego września. Do osiemnastego września bowiem wyroki, wydawane przez trybunał królewski, wykonywano szybko i dokładnie. Lecz rankiem dziewiętnastego przybył do Taunton umyślny sekretarza stanu, lorda Sunderlanda, z pismem do lorda Jeffreysa, zawiadamiającym, że zgodnie z życzeniem jego królewskiej mości 1100 buntowników ma się oszczędzić i przewieźć na południowe plantacje królewskie na Jamajce, Barbados lub którejs z Wysp Podwietrznych na Morzu Karaibskim.

Nie sądźcie, iż rozkaz ten podyktowany został łaskawością króla.

Lord Churchill nie bez racji nazwał serce królewskie nieczułym jak marmur. Monarcha zrozumiał po prostu, że masowe stracenia są

bezmyślnym marnowaniem cennego ludzkiego materiału. Na plantacjach odczuwano wielki brak niewolników i zdrowy, silny mężczyzna osiągał wartość co najmniej dziesięciu do piętnastu funtów. Poza tym przy dworze było wielu panów, którzy rościli sobie pewne pretensje do udziału w łupach wojennych jego królewskiej mości, a teraz właśnie nadarzała się tania i łatwa możliwość spłacenia takich zobowiązań kosztem uwięzionych buntowników, z których część postanowiono oddać w ręce tych panów.

Pismo lorda Sunderlanda zawierało szczegółowe dyspozycje dotyczące tego żywego towaru. Tysiąc skazańców miano rozdzielić między ośmiu dworzan. Przepisek do listu żądał też postawienia do dyspozycji królowej pozostałej setki. Więźniowie mieli być natychmiast przewiezieni do południowych plantacji jego królewskiej mości i trzymani tam przez dziesięć lat, to jest do czasu, aż będzie im zwrócona wolność. Właściciele ich mieli obowiązek wykonać to zarządzenie możliwie najszybciej.

Sekretarz lorda przewodniczącego królewskiego trybunału opowiada, jak lord Jeffreys, ogarnięty tej nocy pijackim szałem, protestował przeciwko aktowi miłosierdzia, do którego namówiono jego królewską mość. Próbował nawet listownie skłonić króla do zmiany decyzji, lecz Jakub II pozostał przy swoim. Było to bowiem, nie mówiąc już o pośrednim zysku, miłosierdzie godne tego władcy. Wiedział, że pozostawienie rebeliantów przy życiu oznacza w tym wypadku zamianę ludzi w żywe trupy. Ci, którzy nie przetrzymają męczarni niewolnictwa w Indiach Zachodnich, żegnani będą zazdrością towarzyszy.

I tak Piotr Blood, Jeremiasz Pitt i Andrzej Baynes uniknęli powieszenia, włóczenia końmi i ćwiartowania, czego żądały wyroki, a zostali odprowadzeni pod eskortą do Bristolu i razem z pięćdziesięciu innymi niewolnikami zaokrętowani tam na „Kupcu Jamajskim”. W rezultacie ciasnoty pomieszczeń w ładowni, złego odżywiania i stęchłej wody wybuchła wśród nich zaraza, która zabrała jedenastu ludzi. Między innymi zmarł też nieszczęśliwy farmer Baynes, brutalnie oderwany od swej spokojnej zagrody wśród wonnych sadów owocowych za to tylko, że okazał samarytańską pomoc bliźniemu.

Śmiertelność wśród więźniów byłaby jeszcze większa, gdyby nie Blood. Zrazu kapitan odpowiadał groźbami i przekleństwami na protesty lekarza, który sprzeciwił się pozostawianiu więźniów na łasce losu i domagał się

prawa dysponowania lekami z apteczki. Później jednak pojął, jak poważna odpowiedzialność spadnie nań za zbyt wielkie straty w ludzkim towarze, i choć z opóźnieniem, zaczął wykorzystywać fachową pomoc Blooda. Doktor wziął się do pracy z takim zapałem i gorliwością, że dzięki jego wiedzy oraz poprawie warunków bytowania więźniów zaraza została stłumiona.

W połowie grudnia statek rzucił kotwicę w zatoce Carlisle i wysadził na ląd czterdziestu dwóch pozostałych przy życiu buntowników.

Jeżeli ci nieszczęśnicy rzeczywiście wyobrażali sobie ten kraj jako dziki, to to, co ujrzeli mimochodem, podczas gdy wypędzono ich na pokład, a później stłoczono w łodziach, zaprzeczyło tym przypuszczeniom. Zobaczyli miasto dość rozległe, zabudowane po europejsku, lecz znacznie przestronniej niż miasta europejskie. Nad czerwonymi dachami domów wznosiła się wieża kościelna, fort strzegł wejścia do szerokiego portu, grożąc ze strzelnic lufami armat, biała zaś fasada rządowego pałacu panowała nad miastem z łagodnego wzniesienia. Wzgórek pokrywała żywa wiosenna zieleń, jaką można widzieć w Anglii w kwietniu, a piękny dzień przypominał kwietniowy dzień angielski, gdyż na wyspie skończył się właśnie sezon wielkich deszczów.

Na szerokim, wybrukowanym bulwarze nabrzeżnym przybysze ujrzeli oddział milicji w czerwonych mundurach, ustawiony w szyku na ich przyjęcie, oraz tłum gapiów, różniący się niewiele strojami i zachowaniem od ciżby w każdym portowym mieście w ojczyźnie. Było tu chyba tylko mniej kobiet, a więcej Murzynów.

Gubernator Steed, mały, otyły gentleman o czerwonej twarzy, ubrany w niebieski, taftowy kaftan, suto lamowany złotem, nadszedł obejrzyć uszeregowanych na molo zesłańców. Kulał nieco i wspierał się ciężko na grubej, hebanowej lasce. Za nim, w uniformie pułkownika barbadoskiej milicji, kołysał się wysoki, tęgi mężczyzna, który co najmniej o głowę przewyższał gubernatora. Na jego olbrzymiej, żółtawej twarzy malowała się wyraźnie złość. U boku oficera, w dziwnym kontraście z jego topornością, szła, poruszając się ze zwiewnym wdziękiem, smukła, młoda panna w modnej amazonce. Szerokie rondo szarego kapelusza, ozdobionego szkarłatnym strusim piórem, ocieniało owalną twarzyczkę o delikatnej cerze, na której tropikalny klimat nie pozostawił najmniejszego śladu. Loki kasztanowatych włosów zwisały jej na ramiona. Szeroko rozstawione piwne

oczy patrzyły szczerze, a wyraz współczucia tłumił teraz wrodzoną figlarność świeżych ust.

Blood bezwiednie zapatrzył się w tę subtelną twarz, tak odbijającą od otoczenia. Gdy spojrzenie jego zostało odwzajemnione, poruszył się niespokojnie. Przypomniawszy sobie swój żałosny wygląd. Był nie umyty, miał potargane włosy i ciemną szpecącą brodę, a czarny kamlotowy, niegdyś wytworny kaftan, w którym go aresztowano, wyglądał obecnie gorzej niż łachmany jakiegoś stracha na wróble. W tym stanie nie był z pewnością zachęcającym obiektem dla spojrzeń tak pięknych oczu. Nie odrywały się one jednak od niego, patrząc z dziecinnym nieomal, zdziwieniem i litością. Dziewczyna lekko dotknęła szkarłatnego rękawa swego towarzysza, na co ten – z gniewnym pomrukiem – odwrócił do niej swe potężne cielsko.

Podnosząc ku niemu wzrok, przekładała z wielką powagą coś, czemu nie poświęcał wiele uwagi. Jego małe, wąsko osadzone, paciorkowate oczki, rozdzielone mięsistym, zwisającym nosem, utkwione były w silnym, młodym żeglarzu Jeremiaszu, sąsiedzie Blooda.

Gubernator zatrzymał się również i przez chwilę mała, trzyosobowa grupa zajęta była rozmową. Piotr nie mógł słyszeć słów młodej damy, bo umyślnie zniżyła głos. To, co rzekł pułkownik, dochodziło go jako niewyraźny szmer, lecz gubernator nie odznaczał się dyskrecją ani złą dykcją. Miał wysoki, doniosły głos, a uważając się za dowcipnego, lubił być słyszany przez wszystkich.

– Drogi pułkowniku, masz pierwszeństwo w wyborze z tego pięknego bukietu, i to po cenie, jaką sam naznaczysz. Resztą zostanie sprzedana z licytacji.

Pułkownik Bishop skinął na znak zgody i podniósł głos w odpowiedzi:

– Wasza ekscelencja jest bardzo łaskaw. Lecz na Boga, ci ludzie to nędzna banda! Niewiele z nich będzie pożytku na plantacjach. – Jego paciorkowate oczki znowu zmierzyły niewolników, a pogarda jeszcze pogłębiła wyraz złośliwości na jego twarzy. Wydawał się rozgniewany na nich za to, że są w tak złej kondycji. Następnie przywołał skinieniem ręki kapitana Gardnera, szypira okrętu „Kupiec Jamajski”, i przez kilka minut rozmawiał z nim na temat listy, którą kapitan przedstawił mu na żądanie.

W końcu odsunął ją na bok, zbliżył się sam do więźniów i zacisnąwszy usta, zaczął ich oglądać. Przed szyprem z Somersetshire zatrzymał się

i przyglądał mu się chwilę. Następnie pomacał mięśnie ramion młodego człowieka, kazał mu otworzyć usta i obejrzał zęby. Zacisnął znowu swoje szorstkie wargi.

– Dam piętnaście funtów za tego – rzucił przez ramię Gardnerowi.

Na twarzy kapitana odmalowało się rozczarowanie.

– Piętnaście funtów! Ależ to mniej niż połowa tego, co zamierzałem za niego żądać.

– I dwa razy więcej, niż chciałem dać – warknął pułkownik.

– Lecz nawet trzydzieści funtów byłoby za niską ceną za niego, wasza miłość.

– Za tyle mogę dostać Murzyna. Te białe świnie zaraz zdychają. Nie nadają się do pracy.

Gardner z gorliwością zaczął wychwalać zdrowie, młodość i wigor Pitta, jak gdyby nie chodziło o człowieka, lecz o juczne zwierzę. Pitt stał niemy i nieporuszony. Jedyne kolejno zjawiające się i znikające z jego twarzy rumieńce wskazywały, jak trudno było wrażliwemu młodzieńcowi zachować spokój.

Ten ohydny handel przejął Blooda wstrętem.

Nieco dalej, przechadzając się z wolna wzdłuż szeregu więźniów, szła młoda dama zajęta konwersacją z gubernatorem, który krygując się, utykał obok niej. Zdawała się nie dostrzegać obrzydliwego targu dobijanego przez pułkownika. Blood zastanawiał się, czy była aż tak nieczuła.

Pułkownik Bishop odwrócił się na pięcie i rzekł:

– Dam ostatecznie dwadzieścia funtów i ani pensa więcej. Od Grabstona nie dostałbyś ani połowy tego.

Kapitan Gardner, widząc, że pułkownik powiedział ostatnie słowo, westchnął i zgodził się. Bishop szedł już dalej wzdłuż szeregu. Bloodowi i mizernemu młodzieńcowi, stojącemu po jego lewej ręce, rzucił tylko pogardliwe spojrzenie, zatrzymał się natomiast przy następnym więźniu, olbrzymie w średnim wieku, imieniem Wolverstone, który stracił oko w bitwie pod Sedgemoor. Spojrzał na niego uważnie i rozpoczął targ na nowo.

Piotr Blood stał w promiennym blasku słonecznym i po raz pierwszy w życiu oddychał tak wonnym powietrzem. Było ono przesycone wonią drzewa pimentowego, nieznanych kwiatów i aromatycznych cedrów. Starzał

się odgadnąć składniki tego specyficznego zapachu i zatopił się w rozmyślaniach, nie mając chęci do rozmowy. Milczał również Pitt, rażony myślą, że teraz oto rozdzieli go z człowiekiem, z którym, ramię przy ramieniu, przebył ostatnie miesiące udręki, którego nauczył się kochać, poważać i słuchać w niedoli. Opanowało go uczucie osamotnienia i rozpacz, gorszej niż wszystko, co dotychczas przeżył. Dla niego rozłąka ta była szczytem klęski.

Inni nabywcy podchodzili, oglądali niewolników i szli dalej. Blood nie zwracał na nich uwagi. Wreszcie na końcu szeregu zrobiło się jakieś zamieszanie. Gardner przemawiał gromkim głosem do zgromadzonych plantatorów, czekających, aż pułkownik Bishop dokona wyboru spośród tego ludzkiego towaru. Gdy skończył, Blood zauważył, że młoda dama mówiła coś pułkownikowi, wskazując przy tym więźniów srebrną rączką szpicruty. Bishop przysłonił oczy ręką i spojrział we wskazanym przez nią kierunku. Następnie z wolna, ciężkim, kołyszącym krokiem, zbliżył się w towarzystwie Gardniera, damy i gubernatora.

Przeszedł obok Blooda nie zwróciwszy nań uwagi, lecz lady dotknęła jego ramienia szpicrutą.

– Tego właśnie człowieka miałam na myśli – rzekła.

– Tego? – Pogarda zabrzmiała w głosie pułkownika. Na Blooda patrzyła para brązowych oczu, wyzierających z żółtej, mięsistej twarzy jak rodzynki z budyniu. Pod wpływem tego wzgardliwego, obelżywego wzroku niewolnik poczuł krew napływającą mu do twarzy.

– To przecież worek kości – zawołał Bishop. – Co bym z niego miał?

Odwracał się już, gdy Gardner wdał się w rozmowę:

– Rzeczywiście chudy, lecz twardy, krzepki i zdrowy. Kiedy połowa więźniów chorowała, a reszta kwękała, ten drab trzymał się w kupie i leczył swoich przyjaciół. Gdyby nie on, umarłoby znacznie więcej. Oddam go za piętnaście funtów, pułkowniku. To chyba niedrogo. Powiadam waszej mości, że ten człowiek, chociaż chudy, jest silny. Na pewno dobrze zniesie upały: klimat nic mu nie robi. Gubernator Steed parsknął śmiechem.

– Słyszysz, pułkowniku? Zaufaj twojej bratanicy. Kobieta od pierwszego wejrzenia pozna prawdziwego mężczyznę. Roześmiał się, zadowolony ze swego dowcipu, lecz nie znalazł oddźwięku. Twarz młodej damy zachmurzyła się, a pułkownik nazbyt był zajęty targiem, by zwracać uwagę

na dowcipy gubernatora. Przygryzł właśnie w zamyśleniu usta i głaskał ręką podbródek. Jeremiasz Pitt wstrzymał oddech w piersi.

– Dam ci za niego dziesięć funtów – rzekł w końcu Bishop.

Piotr Blood modlił się, aby oferta została odrzucona. Nie wiedział nawet, dlaczego myśl o przejściu na własność tego nieokrzesanego bydłęcia, a w pewnym sensie i ciemnookiej młodej damy, wydała mu się tak nieznośna. Lecz ta jego niechęć nie mogła odwrócić przeznaczenia. Niewolnik jest niewolnikiem i nie ma prawa kształtować swego losu. Piotr Blood został sprzedany pogardliwemu nabywcy za mizerną sumę dziesięciu funtów.

V

ARABELLA BISHOP

Pewnego słonecznego styczniowego poranka, w jaki miesiąc po przybyciu statku „Kupiec Jamajski” do Bridgetown, panna Arabella Bishop wyjechała konno z pięknego domu swojego stryja, zbudowanego na wzgórzu na północo-zachód od miasta. Towarzyszyli jej dwaj Murzyni, biegnący truchcikiem w przyzwoitej odległości. Zdążyła do domu gubernatora odwiedzić jego żonę, która ostatnio chorowała. U szczytu łagodnego, pokrytego trawą zbocza ukazał się nagle wysoki, szczupły mężczyzna, odziany poważnie i z pańska. Człowiek był nieznajomy, a nieznajomi należeli do rzadkości na tej wyspie. Arabelli zdawało się jednak, że już go gdzieś widziała.

Ściągnęła więc wodze, udając, że podziwia piękny krajobraz. Kącikami ciemnych oczu uważnie obserwowała spotkanego, który tymczasem podszedł bliżej. Pierwsze wrażenie co do jego stroju okazało się mylne. Kaftan i spodnie nieznajomego uszyte były z grubego samodziału i jeżeli leżały na nim dobrze, było to raczej zasługą wrodzonego wdzięku tego, kto je nosił, niż dobrego kroju ubrania. Nogi tkwiły w grubych szorstkich, bawełnianych pończochach, a stary filcowy kapelusz, zdjęty przed nią z szacunkiem, nie był ozdobiony wstęgą ni piórem. To, co z odległości wydawało się peruką, z bliska okazało się pięknie trefionymi: włosami.

Twarz przechodnia była ogorzała, gładko ogolona, posępna, a niebieskie oczy miały wyraz powagi. Mężczyzna byłby ją minął, ale go zatrzymała.

– Wydaje mi się, że znam cię już, panie – rzekła.

Głos jej był ostry, chłopięcy, chłopięcym również był jej sposób bycia... jeśli można tak określić zachowanie się wytwornej damy. Wynikało to może z prostoty i bezpośredniości, gardzących kobiecymi sztuczkami, i sprawiało, że była na przyjaznej stopie z całym światem. Tym cechom może należało przypisać, że panna Arabella w dwudziestym piątym roku życia nie miała ani męża, ani konkurenta. Traktowała wszystkich mężczyzn z siostrzaną szczerością, co trzymało ich z dala i bynajmniej nie ułatwiało zbliżenia.

Towarzyszący jej Murzyni zatrzymali się w pewnej odległości za nią i przykucnęli w niskiej trawie, czekając, aż ich pani spodoba się ruszyć dalej.

Nieznajomy zatrzymał się na dźwięk tych słów.

– Powinnaś pani znać swoją własność – odparł.

– Moją własność?

– W każdym razie własność twego stryja. Pozwoli pani, że się przedstawię. Na imię mi Piotr Blood i wart jestem równo dziesięć funtów. Wiem o tym, gdyż taką właśnie sumę zapłacił za mnie stryj pani. Nie każdy ma okazję poznać tak dokładnie swą prawdziwą wartość.

Teraz dopiero przypomniała go sobie. Nie widzieli się od owego dnia na nabrzeżu, przed miesiącem, i nic dziwnego, iż nie poznała go od razu mimo zainteresowania, jakie w niej wtedy wzbudził, gdyż zmienił się bardzo i nie wyglądał już na niewolnika.

– Mój Boże! – zawołała. – I pan się potrafi śmiać?

– To rzeczywiście osiągnięcie – przyznał. – Zresztą powodziło mi się nie najgorzej.

– Słyszałam o tym – odparła.

Rzeczywiście opowiadano, że ten uwięziony buntownik okazał się lekarzem. Sprawa doszła do uszu gubernatora Steeda, który straszliwie cierpiał na podagrę, więc wypożyczył go od właściciela. Czy to dzięki swej wiedzy, czy też przypadkiem Blood umiał przynieść ulgę gubernatorowi, czego nie potrafili dokonać dwaj praktykujący w Bridgetown lekarze. Potem zażądała jego pomocy cierpiąca na migrenę małżonka gubernatora. Wprawdzie dolegliwości jej spowodowane były jedynie kaprysami i nudą dręczącą damę o światowych aspiracjach w takim zapadłym kącie jak Barbados, lecz Blood przepisał pacjentce skuteczne lekarstwo. Wtedy sława jego rozniosła się po całym Bridgetown, a pułkownik Bishop przekonał się,

że nowy niewolnik przynosi mu więcej dochodów jako lekarz niż jako robotnik na plantacji.

– Pani to zawdzięczam moje obecne położenie, stosunkowo znośne, chciałbym też skorzystać ze sposobności i złożyć mu podziękowania.

Więcej wdzięczności wyrażały słowa niż ton, jakim zostały wypowiedziane. Patrząc na niego z przenikliwą, wprawiającą w zakłopotanie szczerością, Arabella Bishop zastanawiała się, czy Blood z niej nie szydzi. Mężczyzna, jakby zgadując jej myśli, powiedział:

– Gdyby mnie kupił jakikolwiek inny plantator, umiejętności moje nie zajaśniałyby w całym blasku i w tej chwili karczowałbym i orał jak moi nieszczęśliwi towarzysze.

– Czemuż mnie za to dziękujesz? Kupił, pana przecież mój stryj.

– Nie byłby uczynił tego, gdybyś go pani nie namówiła. Wzbudziłem pani zainteresowanie i miałem o to żal.

– Żal do mnie? – W chłopięcym głosie brzmiało wyzwanie.

– Doświadczyłem już wiele w życiu, lecz pierwszy raz sprzedawano mnie i kupowano, i dlatego nie byłem życzliwie usposobiony do mego nabywcy...

– Jeżeli namawiałam stryja, żeby pana kupił, zrobiłam to powodowana współczuciem.

Mówiła surowo, jakby chcąc skarcić jego szyderstwo i impertynencję. Po chwili pośpieszyła z dalszym wyjaśnieniem:

– Mój stryj zapewne wydał się panu twardym człowiekiem i niewątpliwie jest nim. Wszyscy plantatorzy są tacy. To rezultat życia, jakie prowadzą. Lecz inni są jeszcze gorsi. Na przykład taki Grabston ze Speightstown. Cekał na nabrzeżu, aż mój stryj wybierze niewolników, i gdybyś wpadł w jego ręce... Straszny człowiek. Dlatego...

Blood był trochę zdziwiony.

– To zainteresowanie nieznanym... – zaczął. Zrezygnował jednak z tego, co zamierzał powiedzieć. – Byli tam przecież inni, bardziej godni litości.

– Lecz pan wyglądałeś inaczej niż tamci.

– Jestem też inny – odparł.

– Oh! – Spojrzała na niego ściągając nieco wodzę. – Ma pan o sobie dobre wyobrażenie.

– Przeciwnie. Wszyscy inni są buntownikami i zasługują na szacunek. Ja

nim nie jestem. Oto cała różnica. Ja jeden nie widziałem, że z Anglii należy wymieść brudy. Zadowalałem się wykonywaniem praktyki lekarskiej w Bridgewater, podczas gdy lepsi ode mnie przelewali krew, aby przepędzić z kraju podłego tyrana i jego łotrowską szajkę.

Przerwała mu.

– Zdaje się, że głosisz zdradę.

– Mam nadzieję, iż wyrażam się dość jasno – rzekł.

– Otrzymałbyś chłostę, gdyby cię w tej chwili usłyszano.

– Gubernator nigdy by na to nie pozwolił. Cierpi na podagrę a jego żona na migrenę.

– Jesteś tego pewien? – Głos damy zabrzmiał szczerą pogardą.

– Nie miałaś pani z pewnością nigdy podagry, a może nawet i migreny – powiedział.

Uczyniła nieznaczny gest zniecierpliwienia i odwróciła się na chwilę, patrząc na morze. Nagle spojrzała nań znowu, chmurząc brwi.

– Jeżeli nie jesteś buntownikiem, jak się tu znalazłeś?

Zrozumiał jej intencję i uśmiechnął się.

– To naprawdę długa historia – odparł.

– Może wolałbyś jej nie opowiadać?

W odpowiedzi streścił jej dzieje swego uwięzienia i zesłania.

– Mój Boże! Cóż za podłość – zawołała wysłuchawszy całej historii.

– Tak, Anglię pod rządami króla Jakuba trudno nazwać przyjemnym krajem. Nie zasługuję więc na współczucie. Mimo wszystko wolę już Barbados niż Anglię. Tu przynajmniej można wierzyć w Boga.

Mówiąc to rozejrzał się na prawo i lewo, ogarniając wzrokiem odległy, cienisty masyw wzgórza Hillbay i bezbrzeżny ocean, marszczony lekkim wietrzykiem. Widok ten uprzytomnił mu widocznie, jak mało znaczą jego osobiste przeżycia, gdyż na chwilę pogrążył się w zadumie.

– Czy aż tak źle jest gdzie indziej? – zapytała poważnie.

– Ludzie robią świat takim.

– Rozumiem – uśmiechnęła się smutnie. – Barbados nigdy nie wydawał mi się rajem... – wyznała po chwili – Lecz niewątpliwie znasz świat lepiej ode mnie. – Dotknęła konia małą szpicrutą ze srebrną rączką. – Winszuję poprawy losu.

Uklonił się w odpowiedzi. Dama ruszyła. Murzyni zerwali się i pobiegli

za nią truchcikiem.

Piotr Blood stał przez chwilę nieruchomo, obserwując zalane słońcem wody zatoki Carlisle i ruch statków w rozległym porcie. Nad wodą latały krzykliwe mewy.

Widok jest piękny – pomyślał – lecz więzienie pozostaje więzieniem. Jego słowa, że woli tę wyspę od Anglii, były tylko przechwałką, przekorą człowieka, który nie chce przyznać się do klęski.

Odwrócił się i poszedł dalej, zmierzając długimi, sprężystymi krokami w kierunku lepianek – miniaturowej wioski otoczonej palisadą. Mieszkali tam niewolnicy z plantacji, nie wyłączając jego samego.

Przez głowę przemknął mu wiersz Lovelace'a.

Nie mury tworzą więzienie i nie pręty klatkę.

Rozumiał jednak ten wiersz inaczej. Więzienie – dumął – pozostaje więzieniem, choćby nie miało murów ni krat, choćby było nie wiadomo jak obszerne.

Począwszy od tego ranka, myśl ta nawiedzała go coraz częściej. Coraz częściej też myślał o swoich podciętych skrzydłach i odgradzeniu od świata, a coraz rzadziej o względnej wolności, jakiej zażywał. Nie przynosiła mu ulgi myśl, że cierpi stosunkowo mniej niż towarzysze, chociaż ktoś inny znalazłby w tym może powód do zadowolenia. Widok ich nędzy wzmagął raczej gorycz gromadzącą się w jego duszy.

Z czterdziestu dwu zesłańców, którzy przybyli na statku „Kupiec Jamajski”, pułkownik Bishop kupił dwudziestu pięciu. Pozostałych wzięli mniejsi plantatorzy; paru do Speightstown, a innych jeszcze dalej na północ. Blood nie wiedział nic o losie tamtych towarzyszy, lecz wśród niewolników Bishopa przebywał stale, spał razem z nimi i widział ich potworną niedolę. Harowali na plantacjach trzciny cukrowej od wschodu do zachodu słońca, a gdy ustawali w pracy, bicz dozorców dodawał im nowych sił. Chodzili w łachmanach, niektórzy prawie nago; mieszkali w brudzie i nędzy. Żywiono ich solonym mięsem i plackami kukurydzianymi, strawą tak dla nich początkowo wstrętną, że dwaj niewolnicy zachorowali i zmarli, zanim Bishop przypomniał sobie, ile za nich zapłacił. Przychylił się wtedy do żądania Blooda, który domagał się lepszej opieki dla chorych. Jeden

z niewolników został zachłostany przez Murzynów na oczach towarzyszy za bunt przeciwko brutalnemu nadzorcy, Kentowi. Inny znów usiłował zbiec do lasów, lecz wytropiono go, przyprowadzono z powrotem, zbito i napiętnowano gorącym żelazem na czole literami „Z. N.”, tak aby do końca jego życia każdy mógł poznać, że to były niewolnik. Na szczęście biedak zmarł na skutek otrzymanej chłosty.

Po tych wydarzeniach tępa, bezduszna rezygnacja zapanowała wśród pozostałych. Nawet najbardziej buntowniczy zostali ujarzmieni i z tragiczną desperacją znosili swój straszliwy los.

Piotr Blood, który uniknął tych okropnych cierpień, na pozór nie zmienił się wcale. Jedynym wewnętrznym przeobrażeniem, z którego zdawał sobie sprawę, była coraz silniej wzbierająca w nim nienawiść do ludzi i coraz gorętsze pragnienie ucieczki z miejsca, gdzie człowiek tak nikczemnie poniżał swoich bliźnich.

Tęsknota nie skryształizowała się jeszcze w nadzieję. Tutaj nie wolno było mieć nadziei. A jednak Blood nie poddawał się rozpacz. Pokrył posępne oblicze maską uśmiechu, leczyl nadal, za co płacono nie jemu, lecz pułkownikowi, i odbierał coraz więcej pacjentów obu lekarzom z Bridgetown.

Blood nie podlegał poniżającym karom i uciemieniu, jakie znosili inni zesłańcy, mógł więc zachować poczucie godności osobistej. Nawet przez swego właściciela nie był traktowany brutalnie. Zawdzięczał to wszystko podagrze i migrenie. Zyskał szacunek gubernatora, a co ważniejsze, jego żony, której schlebiał bezwstydnie i cynicznie.

Niekiedy widywał pannę Bishop. Zatrzymywała go zawsze, ażeby zamienić z nim kilka słów, i wykazywała duże zainteresowanie jego losem. Lecz Blood nie miał ochoty do rozmowy z panną Arabellą.

Nie należy dać się zwieść – mówił sobie – jej wdzięcznemu wyglądowi, młodzieńczej gracji, chłopięcemu zachowaniu i przyjemnemu głosowi. – W całym swoim tak pełnym przygód życiu nigdy dotychczas nie spotkał człowieka do tego stopnia zezwierzęconego jak jej stryj i trudno mu było rozdzielić w myślach tych dwoje. Była jego bratanicą, jego krewną, i coś z jego wad, coś z nieludzkiego okrucieństwa plantatora musiało stać się jej dziedzictwem. W ten sposób dyskutował często sam ze sobą, jak gdyby pragnął zagłuszyć instynkt mówiący co innego. Dlatego też w miarę

możliwości unikał młodej damy, a w jej obecności zachowywał się z chłodną uprzejmością.

Jakkolwiek rozumowanie Blooda wydawało się uzasadnione, byłoby lepiej, gdyby poszedł za wewnętrznym głosem. Chociaż w żyłach damy płynęła krew stryja, nie była do niego podobna. Wady cechujące pułkownika nie leżały w charakterze całej rodziny. Jej ojciec, Tom Bishop, brat pułkownika, był miłym, łagodnym, rycerskim człowiekiem. Złamany śmiercią młodej żony, porzucił Stary Świat i szukał zapomnienia w Nowym. Przybył tu ze swoją pięcioletnią córeczką i został plantatorem. Szczęście sprzyjało mu, jak to się niekiedy przydarza ludziom nie dbającym o pieniądze. Wzbogaciwszy się pomyślał o młodszym bracie, żołnierzu o reputacji zawalidrogi. Zaprosił go na Barbados, a William Bishop otrzymał to zaproszenie, którym kiedy indziej byłby zapewne wzgardził, w momencie, kiedy jego niesforność zaczęła przynosić takie owoce, iż zmiana klimatu stała się konieczna. Wspaniałomyślny brat przyjął go na wspólnika dobrze prosperującej plantacji. W sześć lat później, kiedy Arabella miała piętnaście lat, ojciec jej zmarł pozostawiając dziewczynkę pod opieką stryja. Był to prawdopodobnie jedyny jego błąd, lecz wrodzona szlachetność kazała mu widzieć w ludziach same zalety. Osobiście wychowując córkę, starał się wykształcić w niej niezależność charakteru i słusznie mniemał, że mu się to udało. W tej sytuacji między stryjem a bratanicą nie było miłości. Arabella traktowała go jednak z szacunkiem, a on opanowywał wobec niej swoją gwałtowność. Przez całe życie, mimo dzikości charakteru, pułkownik żywił cześć dla starszego brata i umiał docenić jego szlachetność. Teraz wydawało mu się, że część tej czci należy się córce zmarłego, która była właściwie jego współniczką, chociaż nie brała czynnego udziału w zarządzaniu plantacją. Piotr Blood oceniał ją – jak się to często zdarza – zbyt powierzchownie.

Wkrótce miał zmienić swoją opinię.

Pewnego dnia w końcu maja, gdy upał zaczął stawać się nieznośny, do zatoki powoli wszedł uszkodzony, rozbity angielski okręt „Chluba Devonu”. Burty statku były postrzelane i porąbane, w kadłubie ział ogromny otwór, a tylny maszt został ścięty kulą armatnią, tak że tylko zaostzony ułamek wskazywał miejsce, gdzie stał przed bitwą. Koło Martyniki okręt brał udział w walce z dwoma hiszpańskimi statkami, które wiozły złoto, a chociaż kapitan przysięgał, iż został napadnięty, nie trudno się było domyślić, kto

rozpoczął walkę. Jeden z hiszpańskich statków uciekł z pola bitwy i „Chluba Devonu” nie ściagała go tylko dlatego, że zbyt była uszkodzona. Drugi galeon⁸ zatopiono, przedtem jednak przeniesiono na brytyjski statek znaczną część złota zabranego Hiszpanom. W gruncie rzeczy była to jedna z pirackich napaści, stanowiących wieczne źródło nieporozumień między dworem w St. James a hiszpańskim Escuriale. Zarzuty gromadziła zarówno jedna, jak i druga strona.

Jak większość kolonialnych gubernatorów, Steed gotów był przymknąć oczy na kłamstwa angielskiego kapitana i nie szukać dowodów jego winy. Podzielał bowiem zasłużoną nienawiść do zuchwałych i aroganckich Hiszpanów, którą żywiły wszystkie narody od Wysp Bahama do kontynentu Ameryki Południowej. Dlatego też użyczył okrętowi schronienia w porcie i umożliwił załodze naprawę kadłuba i takielunku⁹.

Lecz zanim do tego doszło, wyniesiono z luku¹⁰ ponad dwudziestu angielskich marynarzy, poranionych i pokaleczonych jak ich statek. Wraz z nimi zabrano również sześciu rannych Hiszpanów, którzy po szepieniu się okrętów walczyli wręcz na pokładzie angielskiego statku i pozostali tam przy życiu w chwili odcięcia odwrotu. Rannych ulokowano w wielkiej szopie na nabrzeżu i poruczono opiece lekarzy z Bridgetown. Bloodowi, który władał kastylijskim równie płynnie jak angielskim, a poza tym był niewolnikiem, polecono zająć się Hiszpanami.

Nie miał on szczególnego powodu do miłowania ich. Dwa lata spędzone w hiszpańskim więzieniu i doświadczenie wojenne nabyte w hiszpańskich Niderlandach pozwoliły mu dobrze poznać nikczemny charakter nieprzyjaciół. Mimo to – choć bez uczucia – wykonywał swoje obowiązki gorliwie i starannie, a nawet okazywał swym pacjentom pewną powierzchowną uprzejmość. Hiszpanie, zdziwieni, że leczono ich zamiast powiesić bez sądu, zachowywali się wobec lekarza z niezwykłą potulnością. Miłosierni mieszkańcy Bridgetown, gromadzący się w zaimprovizowanym szpitalu z kwiatami, owocami i innymi darami dla rannych angielskich marynarzy, omijali wrogów. Niektórzy nawet twierdzili, że gdyby to od nich zależało, Hiszpanie zdechliby jak psy. Blood miał możliwość przekonać się o tym już na samym początku. Nastawiał właśnie przy pomocy przysłanego do szopy Murzyna złamaną nogę jednemu z hiszpańskich marynarzy, gdy usłyszał niski, mrukliwy głos, szorstko go nawołujący. Znał dobrze ten głos

i nienawidził go całym sercem.

– Co ty tam robisz?

Blood nie spojrział nawet na mówiącego. Nie potrzebował tego robić, bo znał ten głos aż nazbyt dobrze.

– Nastawiam złamaną nogę – odrzekł nie przerywając pracy.

– Widzę to, głupcze!

Zwaliste ciało zasłoniło Bloodowi okno. Półnagi Hiszpan łysnął czarnymi oczyma, wyzierającymi z ziemistej twarzy, i spojrział na intruza. Mimo że nie rozumiał po angielsku, od razu poznał w nim wroga. Grubiański, złowrogi ton dostatecznie wyrażał postawę przybysza.

– Widzę to doskonale, głupcze. Widzę również, kim jest ten łotr. Kto ci pozwolił nastawiać hiszpańskie nogi?

– Jestem lekarzem, pułkowniku Bishop, a ten człowiek jest ranny. Nie obchodzi mnie jego narodowość. Wykonuję tylko swój zawód.

– Na Boga! Gdybyś to zawsze robił, nie znalazłbyś się na tej wyspie.

– Przeciwnie, znalazłem się tutaj, bom zawsze to czynił.

– Dobrze, dobrze, to twoja stara bajeczka. – Pułkownik pogardliwie wykrzywił usta. Do pasji doprowadzał go spokój, z jakim Blood robił opatrunek. – Może nareszcie rzucisz to wszystko i staniesz na bacność, kiedy mówię do ciebie!

Blood przerwał na moment zajęcie.

– Ten człowiek cierpi – rzekł i wrócił do roboty.

– Cierpi, powiadasz? Dobrze mu tak, przekłętemu piratowi. Posłuchasz mnie wreszcie czy nie, ty szelmo! – Pułkownik wrzasnął, rozwścieczony obojętnym zachowaniem lekarza, które uważał za zuchwałe i pogardliwe. Zamachnął się długą bambusową laską, zamierzając uderzyć buntownika. Niebieskie oczy Blooda pochwyciły ten ruch. Aby powstrzymać cios zawołał pośpiesznie:

– Nie jestem krnąbrny, panie. Działam na wyraźny rozkaz gubernatora Steeda.

Pułkownik cofnął się, a jego wielka twarz spłonęła krwią.

– Gubernatora Steeda – powtórzył jak echo, otwierając usta ze zdumienia. Opuścił laskę, odwrócił się i bez słowa przeszedł na drugi koniec szopy, gdzie właśnie w tej chwili stał gubernator.

Piotr Blood uśmiechnął się. Jego postępowanie było dyktowane nie tyle

ludzkością, ile chęcią upokorzenia brutalnego plantatora.

Hiszpan, czując, że w tym zajściu lekarz stał po jego stronie, zaczął półgłosem pytać, co się właściwie stało, lecz doktor ruchem głowy nakazał milczenie i przystąpił do przerwanej pracy. Jednocześnie starał się pochwycić cokolwiek z rozmowy pułkownika z gubernatorem. Pułkownik, którego olbrzymia postać przerastała drobną, wyelegantowaną figurkę gubernatora, miotał się, wykrzykując groźnie, lecz drobny człowieczek nie ustępował, czując za sobą poparcie opinii publicznej. Wielu bowiem nie podzielało nieludzkich poglądów pułkownika i jego ekscelencja gubernator obstawał przy swoim poleceniu. Blood leczył rannych Hiszpanów na jego rozkaz, a rozkaz gubernatora winien być wykonany i nie było tu o czym mówić.

Pułkownik Bishop był innego zdania. Uważał, że można wiele powiedzieć w tej sprawie, i uczynił to natychmiast, głośno, gwałtownie i plugawie; umiał być ordynarny w gniewie.

– Mówisz jak Hiszpan, pułkowniku – rzekł gubernator, zadając dumie plantatora cios, z którego nie otrząsnął się przez wiele tygodni. Bezsilna wściekłość odebrała mu mowę i wyгнаła z szopy bez słowa odpowiedzi.

W dwa dni później miłosierne damy z Bridgetown, żony i córki plantatorów i kupców, złożyły pierwszą wizytę w porcie, przynosząc dary rannym marynarzom.

Piotr Blood był znowu w baraku, udzielając pomocy cierpiącym, chodząc wśród nieszczęśliwych, pogardzanych Hiszpanów. Wszystkie dary przeznaczone dla angielskich marynarzy z załogi „Chlubny Devonu”, co Blood uznał za zupełnie naturalne. Przez kilka chwil zajmował się jakimś opatrunkiem, a gdy wstał, zauważył ku swemu zdziwieniu, że jedna z dam, oddzielając się od innych gości, położyła kilka bananów i pęk soczystej trzciny cukrowej na płaszczy służyącym za kołdrę jednemu z jego pacjentów. Była wytwornie ubrana w jedwabną suknię koloru lawendy. Pólnagi Murzyn niósł za nią koszyk.

Blood, bez kaftana, z zakasanyimi do łokci rękawami samodziałowej koszuli, trzymając w ręce zakrwawioną szmatę, spojrział na nią zdumiony. Dama odwróciła się do niego i uśmiechnęła na przywitanie. Była to Arabella Bishop.

– Ten człowiek jest Hiszpanem – rzekł tonem, w którym przebijała

nagana i lekkie szyderstwo.

Uśmiech powitania zamarł na jej ustach. Młoda dama ściągnęła brwi i przez chwilę patrzyła na niego wyniośle.

– Widzę to – odparła – lecz i on przecież jest człowiekiem. Odpowiedź ta, zarówno jak zawarta w niej nauczka, zadziwiły lekarza.

– Stryj pani, pułkownik, jest innego zdania – powiedział ochłonawszy ze zdumienia. – Uważa, że tych ludzi należy zostawić bez pomocy, aby zdechli jak psy od jęczących się ran.

Uchwyciła ironię przebijającą w jego głosie i popatrzyła na niego uważnie.

– Czemu mi o tym mówisz?

– Aby ostrzec cię, pani, przed niezadowoleniem stryja. Gdyby stało się według jego woli, nie pozwolono by mi na opatrywanie tych ludzi.

– I sądzisz pan naturalnie, że muszę podzielać opinię stryja? – W jej ostrym głosie zabrzmiało wyzwanie, a w orzechowych oczach zapaliły się błyski.

– Nie chciałbym być nieuprzejmy dla damy nawet w myślach – rzekł. – Lecz co by to było, gdyby stryj pani dowiedział się, jak marnotrawisz dary na tych tutaj... – Przerwał nie kończąc zdania. – To właśnie chciałem wyrazić – dodał.

Lecz panna nie zadowolila się tą odpowiedzią.

– Najpierw zarzucasz mi nieludzkość, a później tchórzostwo. Jak na człowieka, który nawet w myślach nie chce być nieuprzejmy dla damy, to wcale nieźle.

Wybuchnęła swym chłopięcym śmiechem, ale tym razem Blood zrozumiał, że przeholował. Zdawało mu się, że widzi ją po raz pierwszy, i pojął, jak niesprawiedliwie ją ocenił.

– Lecz skądże mogłem wiedzieć... że pułkownik Bishop ma bratanicę – anioła? – odparł z otwartością tak częstą u mężczyzn, gdy okazują skruchę.

– Oczywiście nie mogłeś się pan tego domyślić. W ogóle nie wydajesz się zbyt domyślny.

Zmiażdżwszy go tymi słowami i spojrzeniem, odwróciła się do swego Murzyna i zaczęła wyjmować z pełnego kosza owoce i smakołyki układając je na posłaniach sześciu Hiszpanów. W końcu wszystkie dary zostały rozdzielone i nie pozostało nic dla rodaków. Nie potrzebowali zresztą tej

ofiary, byli bowiem hojnie obdarowani przez innych. Opróżniwszy kosz, dziewczyna zawołała Murzyna i wyszła z szopy z wysoko podniesioną głową, nie zaszczycając Blooda słowem ani spojrzeniem.

Piotr westchnął na widok odchodzącej. Ze zdziwieniem spostrzegł, jak bardzo zmartwiła go myśl, iż naraził się na jej gniew. Wczoraj jeszcze nie obeszłoby go to wcale, lecz dziś prawdziwy charakter młodej damy objawił mu się w pełni.

Dobrze mi tak – pomyślał – okazuje się, jak niewiele wiem o naturze ludzkiej. Lecz skądże, u diabła, mogłem przypuszczać, że rodzina, która wydała takiego szatana jak pułkownik Bishop, mogła również wydać taką kobietę jak ona.

VI

PLANY UCIECZKI

Potem Arabella zjawiała się codziennie w szopie na nabrzeżu z darami w postaci owoców, a później pieniędzy i ubrania dla więźniów hiszpańskich. Starła się jednak odwiedzać ich o takiej porze, by nie spotykać Piotra Blooda. Jego wizyty również stawały się coraz krótsze, w miarę jak marynarze czuli się lepiej. Wszyscy pacjenci Blooda wyzdrowieli, natomiast trzecia część marynarzy oddanych pod opiekę Whackerowi i Bronsonowi zmarła, co niewątpliwie przyczyniło się do pomnożenia sławy lekarza-więźnia. Mogła to być po prostu kwestia szczęścia, lecz mieszkańcy Bridgetown byli innego zdania. Sprawilo to, że znów zmalala praktyka wolnych kolegów Blooda, a zwiększyła się jego własna i zyski pułkownika Bishopa. Whacker i Bronson zaczęli zastanawiać się, w jaki sposób można by położyć kres tej nieznośnej sytuacji. Lecz nie wybiegajmy naprzód.

Pewnego dnia, przypadkowo czy też umyślnie, Blood pośpieszył do portu pół godziny wcześniej niż zwykle i natknął się na pannę Arabelle wychodzącą właśnie z szopy. Zdjął kapelusz i ustąpił jej z drogi. Młoda dama przeszła z podniesioną głową, omijając go wzgardliwie wzrokiem.

– Panno Arabello – powiedział przypoehlebnym, proszącym tonem.

Panna raczyła go zauważyć.

– Aha! – rzekła. – To ten szlachetnie myślący gentleman. Piotr jęknął.

– Czy naprawdę nie mogłaby mi pani przebaczyć? Pokornie o to proszę.

– Co za łaskawość!

– To okrutne tak szydzić ze mnie – odparł z udaną uniżonością. – Jestem przecież tylko niewolnikiem, a pani może któregoś dnia zachorować.

– I cóż z tego?

– Byłoby dla pani upokorzeniem posyłać po mnie, kiedy teraz traktujesz mnie jak wroga.

– Nie jesteś jedynym doktorem w Bridgetown.

– Lecz jestem najmniej niebezpieczny.

Arabella zaczęła nagle podejrzewać, że Blood żartuje sobie wykorzystując jej uprzejmość, zeszywniała więc i obrzuciła go wyniosłym spojrzeniem.

– Wydaje mi się, iż jesteś pan zbyt swobodny.

– To przywilej lekarza.

– Nie jestem pańską pacjentką. Proszę to zapamiętać. – Przeszła obok niego, teraz już niewątpliwie rozgniewana.

– Czy ona jest wiedźmą, czy też ja głupcem? A może jedno i drugie? – zapytał błękitnych niebios i wszedł do szopy.

Poranek ten obfitował w niespodzianki. Gdy w godzinę później Piotr opuszczał szpital, zaczepił go Whacker, młodszy z dwóch praktykujących w mieście lekarzy. Była to niezwykła łaskawość z jego strony, gdyż dotychczas żaden z kolegów nie zwracał się do Blooda, poza przypadkowym, kwaśnym przywitaniem.

– Jeżeli idziesz pan do pułkownika Bishopa, odprowadzę pana kawałeczek – powiedział.

Był to niski, gruby, czterdziestopięcioletni mężczyzna o obwisłych policzkach i twardych, niebieskich oczach. Piotr zdziwił się, lecz nie dał tego poznać po sobie.

– Idę do domu gubernatora – odparł.

– Och, zapewne do małżonki gubernatora. – Rozmówca uśmiechnął się, a może zadrwił. Blood nie był tego pewien. – Podobno poświęcasz jej wiele czasu. Młodość i uroda, doktorze! Młodość i uroda! W naszym zawodzie to nieocenione atuty, zwłaszcza jeżeli chodzi o kobiety. Piotr spojrzął na niego.

– Jeżeli naprawdę pan tak myślisz, powtórz to lepiej gubernatorowi. Będzie zachwycony.

– Źle mnie zrozumiałeś, doktorze.

– Spodziewam się...

– W gorącej wodzie jesteś kąpany! Tu wsunął rękę pod ramię Blooda. –

Daję słowo, pragnę być twoim przyjacielem, pomóc ci. Posłuchaj tylko. – Tu bezwiednie zniżył głos. – Ta niewola musi chyba szczególnie ciężyc człowiekowi o twoich zdolnościach...

– Co za intuicja! – zawołał ironicznie Blood, lecz lekarz zrozumiał go dosłownie.

– Nie jestem głupcem, kochany doktorze, znam się na ludziach i potrafię odgadnąć ich myśli.

– Przekonasz mnie o tym, jeśli odgadniesz moje – rzekł Blood.

Kiedy tak szli razem wzdłuż nabrzeża, Whacker przysunął się jeszcze bardziej do towarzysza i zniżył głos prawie do szeptu. Jego twarde, niebieskie oczy patrzyły w smagłą sardoniczną twarz przerastającego go o głowę Blooda.

– Jakże często widziałem wyraz tęsknoty w twoich oczach, gdy patrzysz na morze! Czyż trudno odgadnąć, o czym wtedy myślisz? Gdybyś mógł uciec z tego piekła, uprawiałbyś zawód, którego jesteś ozdobą, jako wolny człowiek, ku własnemu zyskowi i zadowoleniu. Świat jest wielki. Poza Anglią istnieje wiele krajów, gdzie człowiek o twojej wiedzy byłby przyjęty z otwartymi ramionami. Nie tylko angielskie kolonie są na ziemi. – Powiedział to prawie szeptem, chociaż wokół nie było nikogo. – Niedaleka stąd droga do holenderskiej kolonii Curacao. O tej porze roku można bezpiecznie popłynąć tam zwykłą łodzią. A Curacao to przecież brama na szeroki świat, który stanie przed tobą otworem, gdy tylko zrzucisz z siebie więzy niewoli.

Doktor Whacker zamilkł, blady i zdyszany, lecz jego twarde oczy badały nieporuszoną twarz rozmówcy.

– No i cóż? – zapytał po krótkiej przerwie. – Cóż na to powiesz?

Blood nie odezwał się od razu. Starał się uspokoić wzburzone myśli i zastanowić nad propozycją, która wywołała niemały zamęt w jego głowie. Zaczął od tego, na czym inny by skończył:

– Nie mam pieniędzy, a do ucieczki niezbędna jest piękna sumka.

– Czyż nie powiedziałem już, że chcę być pańskim przyjacielem?

– Po co? – zapytał otwarcie Blood, lecz Whacker nie skończył jeszcze rozwodzić się nad tym, jak serce krwawi mu na widok kolegi-lekarza jęczącego w niewoli i zaprzepaszczającego swe talenty, gdy już Blood pochwycił prawdę jak sęp zdobycz. Miejscowi medycy chcieli się po prostu

pozbyć człowieka, którego obecność groziła im ruiną. Blood nigdy nie grzeszył powolnością decyzji. Biegał tam, gdzie inni pełzali. Myśl o ucieczce, choć nigdy dotychczas nie rozważana, zakiełkowała w jego głowie pod wpływem słów Whackera.

– Rozumiem, rozumiem – powiedział i by nie ranić ambicji wciąż jeszcze dowodzącego swej racji kolegi, udał, że mu wierzy. – To bardzo szlachetnie, po bratersku i naprawdę po koleżeńsku z pana strony. Chciałbym sam móc tak postąpić w podobnym wypadku.

Twarde oczy lekarza błysnęły, a gruby głos zadrżał, gdy zapytał Blooda:

– Zgadzasz się więc na to, doktorze? Naprawdę się zgadzasz?

– Czy zgadzam się? – zawołał Blood. – Gdyby mnie pojmano i zawrócono, podcięto by mi skrzydła i napiętnowano na całe życie.

– Czyż nie warto trochę zaryzykować? – zabrzmiał znowu drżący głos kusiciela.

– Z pewnością – zgodził się Blood. – Lecz do tego potrzeba nie tylko odwagi, lecz również pieniędzy. Może za jakie dwadzieścia funtów dałoby się nabyć łódź żaglową...

– To się da zrobić. Będzie to pożyczka, którą nam spłacisz... Którą mi spłacisz, kiedy będziesz mógł.

To zdradzieckie „my” potwierdziło domysły Blooda. Drugi lekarz również należał do spisku. Zbliźali się do zaludnionej części nabrzeża. Szybko, lecz wymownie wyraził Blood swą wdzięczność, choć wiedział, że była ona zbyt szczupła.

– Porozmawiamy o tym jutro – zakończył. – Otworzyłeś mi wrota nadziei.

To jedno zdanie przynajmniej było prawdziwe. Rzeczywiście odnosił wrażenie, jakby otworzono nagle na oścież wrota ciemnego więzienia i umożliwiono ucieczkę człowiekowi skazanemu na dożywocie.

Zapragnął teraz samotności, aby uspokoić wzburzone myśli i ułożyć dorzecznym plan działania. Musiał też poradzić się kogoś, o kim pomyślał od razu. W takiej podróży niezbędny byłby nawigator, a tego miał na zawołanie w osobie Jeremiasza Pitta. Przede wszystkim należało się naradzić z młodym kapitanem, bez którego podróż nie mogłaby nigdy dojść do skutku. Przez cały dzień ta nagle zrodzona nadzieja burzyła jego myśli, a niecierpliwość, z jaką oczekiwał nocy, by omówić z towarzyszem sytuację, przyprawiała go

niemal o chorobę. W rezultacie znalazł się tego wieczora wcześniej niż zwykle w obrębie palisady otaczającej lepianki niewolników i wielki, biały dom nadzorcy. Udało mu się też zamienić parę słów z Pittem bez zwrócenia uwagi innych.

– Tej nocy, gdy wszyscy usną, przyjdź do mojej chaty. Mam ci coś do powiedzenia.

Młody człowiek patrzył na Blooda, zbudzony znaczącym tonem jego głosu z letargu umysłowego, w który zapadał ostatnio coraz częściej na skutek niegodnego ludzkiej istoty życia, jakie stało się jego udziałem. Skinął głową na znak zrozumienia i zgody, po czym rozeszli się.

Sześć miesięcy życia na wyspie wywarło niemal tragiczny wpływ na młodego marynarza. Stracił dotychczasową bystrość umysłu, twarz jego stała się bezmyślna, oczy mętne i matowe, a ruchy pokorne i służalcze jak u bitego psa. Jego wytrzymałość pozwalała mu znosić nędzne odżywianie, pracę nad siły na plantacji cukru, bicz dozorczy, popędzający go, ilekroć ustawał, wreszcie bezlitosne słońce i śmiertelnie jednostajne, zwierzęce życie, na które go skazano. Lecz zapłacił za to zwykłą cenę. Groziło mu, że stanie się nie lepszy od zwierzęcia, że spadnie do poziomu pracujących razem z nim Murzynów. Lecz jeszcze drzemał w nim człowiek choć odrętwiały z nadmiaru rozpacz. Człowiek ten po pierwszych słowach, wyszeptanych przez Blooda tej nocy, strząsnął z siebie odrętwienie i zapłakał.

– Ucieczka? – szepnął. – O Boże!

Ująwszy głowę w dłonie, zaczął łkać niby dziecko.

– Sza... cicho! Uspokój się! – napominał go szeptem Piotr, zatrwożony płaczem młodzieńca. Stanął obok Pitta i położył mu ostrzegawczo rękę na ramieniu. – Na miłość boską, opanuj się! Gdyby nas podsłuchano, dostalibyśmy obaj chłostę.

Do przywilejów Blooda należało posiadanie oddzielnej chaty, w której znajdowali się teraz sami. Była jednak zbudowana z trzciny cienko oblepionej gliną, a przez bambusowe drzwi głos przedostawał się z łatwością. Chociaż palisada była zamykana na noc, a wszyscy niewolnicy spali, bo było już po dwunastej, któryś z włóczących się dozorców mógł usłyszeć głosy i donieść na spiskujących. Pitt zrozumiał to i opanował wzruszenie.

Rozmawiali szeptem godzinę lub dłużej i stępałe myśli Pitta zaostrzyły się na nowo o cenny kamień nadziei. Należało wciągnąć do przedsięwzięcia jeszcze innych, co najmniej sześciu, a może nawet dziesięciu, lecz nie więcej. Trzeba było wybrać najlepszych z pozostałych przy życiu dwudziestu zwolenników Monmoutha, pracujących u Bishopa. Pożądani byli ludzie obcy z morzem. Takich jednak znajdowało się tylko trzech w nieszczęśliwej gromadzie, a i na ich umiejętnościach też trudno było polegać. Byli to: Hagthorpe, który służył niegdyś w królewskiej marynarce wojennej. Mikołaj Dyke, podoficer z czasów zmarłego króla, i pewien kanonier nazwiskiem Ogle.

Przed rozejściem się postanowili, że Pitt zacznie od tych trzech, a następnie zwerbujecie jeszcze sześciu czy ośmiu innych. Miał, zachowując wszelkie środki ostrożności, wybadać starannie towarzyszy przed odkryciem swoich zamiarów, a nawet wtenczas unikać wtajemniczenia ich w szczegóły, aby ewentualna zdrada nie zdołała całkowicie pokrzyżować nie opracowanych jeszcze szczegółowo planów. Pitt spotkał się z towarzyszami w polu i tam mógł przedłożyć im sprawę.

– Nade wszystko bądź ostrożny – upominał go przy rozstaniu Blood. – „Spiesz się powoli”, jak mówią Włosi. Jeśli się zdradzisz, wszystko przepadnie, gdyż jesteś pośród nas jedynym nawigatorem i bez ciebie ucieczka się nie uda.

Pitt uspokoił jego obawy i prześliznął się z powrotem do własnej lepianki, na słomiany barłóg służący mu za poślanie.

Następnego dnia Blood pośpieszył do portu, gdzie zastał hojnie usposobionego doktora Whackera. Zastanowiwszy się nad sprawą, gotów był wypłacić więźniowi trzydzieści funtów, co umożliwiłoby nabycie odpowiedniej łodzi. Blood wyraził należną wdzięczność, nie zdradzając ani słowem, że przejrzał prawdziwe przyczyny szczodrobliwości rozmówcy.

– Nie pieniędzy mi potrzeba – rzekł – lecz samej łodzi. Któż chciałby bowiem sprzedać mi żaglowiec narażając się na kary, jakimi grozi gubernator w swej proklamacji? Czytał ją pan niewątpliwie.

Pełna twarz doktora Whackera zachmurzyła się. Potarł podbródek w zamyśleniu.

Owszem, czytałem ją. Nie śmiałbym starać się o łódź dla was. Mogłoby się to wykryć. Wydałoby się na pewno, a kara wynosi dwieście funtów, nie

mówiąc już o więzieniu. To by mnie zrujnowało. Rozumie pan?

Żywe nadzieje Blooda zaczęły się rozwiewać. Sposępniał w nagłym przypiływie rozpaczy.

– Lecz w takim razie... – wyjąkał – nic się nie da zrobić.

– Nie, nie, sprawa nie wygląda aż tak beznadziejnie – uśmiechnął się Whacker przez zaciśnięte wargi. – Pomyślałem już o tym. Gdyby nabywcą łodzi był ktoś z biorących udział w ucieczce, nie groziłyby mu później żadne badania.

– Lecz któż wyruszy ze mną poza moimi towarzyszami skazańcami. Czego ja nie mogę zrobić, tym bardziej nie potrafią oni.

– Na wyspie oprócz niewolników są jeszcze wolni zesłańcy. Wielu siedzi tutaj za długi i chętnie ruszyłoby w szeroki świat. Znam na przykład cieślę okrętowego nazwiskiem Nuttall. Skorzystałby chętnie z takiej okazji.

– Lecz skądże człowiek zesłany za długi może mieć pieniądze na zakup łodzi? Wzbudziłoby to podejrzenie.

– Niewątpliwie. Lecz jeśli weźmiecie się do rzeczy sprytnie, będziecie już dawno na morzu, zanim sprawa dojdzie do władz.

Blood skinął na znak zrozumienia, a doktor, ujmując go za rękaw, rozwinął obmyślony przez siebie plan.

– Pieniądze otrzymasz ode mnie natychmiast i zapomnisz o ich pochodzeniu. Masz w Anglii przyjaciół czy krewnych i oni to przysłali ci je za pośrednictwem jednego z twoich pacjentów z Bridgetown. Jego imienia, jako człowiek honoru, nie możesz wymienić, gdyż naraziłbyś go na przykrości. Taką bajeczkę opowiesz, gdyby cię badano.

Doktor przerwał, patrząc badawczo na Blooda. Ten odpowiedział mu skinieniem. Po chwili Whacker ciągnął dalej:

– Jeśli potrafcie wszystko dobrze obmyślić, to nikt wam nic nie zrobi. Omówicie sprawę z Nuttallem, zwerbujecie go do siebie, a cieśla będzie użytecznym człowiekiem załogi. Każecie mu znaleźć odpowiedni żaglowiec na sprzedaż, a sami przygotowujecie wszystko, by uciec zaraz po dokonaniu kupna, zanim władze zaczną zadawać nieuniknione pytania. Rozumiesz mnie?

Blood rozumiał tak dobrze, że w ciągu godziny zdążył zobaczyć się z Nuttallem, który jak przewidywał doktor Whacker, chętnie zgodził się na wzięcie udziału w wyprawie. Cieśla miał natychmiast wyruszyć na

poszukiwanie łodzi, a Blood zapłacić za nią gotówką.

Blooda, oczekującego na wynik tych zabiegów, niecierpliwiło ich zółwie tempo. Widywał codziennie Nuttalla, lecz ten dopiero po trzech tygodniach znalazł odpowiednią łódź w cenie dwudziestu dwu funtów.

Tego wieczora Blood w odludnym miejscu doręczył żadaną sumę Nuttallowi i polecił załatwić transakcję nazajutrz. Cieśla miał przyprowadzić łódź do portu, gdzie pod osłoną nocy przyłączyliby się do niego Blood i inni więźniowie.

Wszystko było gotowe. W szopie, która po przeniesieniu rannych marynarzy pozostała nie zamieszкана, Nuttall ukrył niezbędne zapasy: cetnar chleba, wielką ilość sera, baryłkę wody, parę butelek kanaryjskiego wina, kompas, kwadrant¹¹, mapę morską, klepsydrę¹², log¹³ z linką, brezent, narzędzia ciesielskie, latarnię i świece. Za palisadą także wszystko było gotowe. Hagthorpe, Dyke i Ogle zgodzili się przyłączyć do wyprawy, równie starannie dobrano ośmiu innych. Pięciu zesłańców, towarzyszy z lepianki Pitta, usłuchało jego wezwania. W ciągu nocy oczekiwania zrobili w chacie drabinę, która miała im teraz posłużyć do przebycia palisady. Nie obawiali się zbyt wykrzyka z powodu hałasu, bo poza zamykaniem ich na noc wewnątrz ogrodzenia nie zarządzono innych środków ostrożności. Gdzie bowiem miałby się schronić na tej wyspie zbiegły z plantacji niewolnik? Największe ryzyko leżało w możliwości zdrady ze strony niewolników nie biorących udziału w ucieczce. Z uwagi na nich należało postępować cicho i ostrożnie.

Dzień, który miał być ich ostatnim na Barbados, był dniem nadziei i niepokoju zarówno dla dwunastu więźniów, jak i dla cieśli Nuttalla.

O zachodzie słońca Nuttall wyruszył, aby przyprowadzić żaglowiec do portu, a Blood zbliżał się z wolna do palisady właśnie w chwili, kiedy spędzono niewolników z pola. Zatrzymał się przy wejściu, jakby ustępując im z drogi, i poza rzuconym porozumiewawczym spojrzeniem nie dał żadnego znaku towarzyszom.

Wszedł za nimi za ogrodzenie, a gdy niewolnicy rozproszyli się po swych lepiankach, zauważył pułkownika Bishopa zajętego rozmową z dozorcą Kentem. Obaj stali przy dybach wkopanych na środku pokrytego trawą dziedzińca. Zamykano w nich za karę krnąbrnych niewolników.

Bishop zwrócił się do nadchodzącego lekarza.

– Gdzie byłeś? – warknął i chociaż Blood był przyzwyczajony do jego groźnego tonu, uczył ścisnienie serca.

– Pracowałem w mieście – odpowiedział. – Pani Patch ma gorączkę a pan Dekker zwichnął kostkę.

– Posyłałem po ciebie do Dekkerów. Nie było cię tam. Zaczynasz się lenić, mój przyjacielu. Damy ci naukę, jeśli nie przestaniesz nadużywać swej wolności. Czy zapomniałeś, że jesteś skazany za bunt?

– Nie pozwalają mi o tym zapomnieć – rzekł Blood, który nie nauczył się jeszcze trzymać języka za zębami.

– Na Boga! Zaczynasz być bezczelny!

Blood pamiętał, o jaką stawkę chodziło, a w dodatku poczuł na sobie zaniepokojone spojrzenia skazańców, przeto momentalnie postanowił zmienić postępowanie i okazać niezwykłą u niego pokorę.

– Nie jestem bezczelny, panie, ja... ja proszę o wybaczenie. Przykro mi, że musiano mnie szukać...

– Będzie ci jeszcze bardziej przykro, gdy dowiesz się, że gubernator ma silny atak podagry i ryczy jak zraniony bawół, a ciebie nigdzie nie można znaleźć. Biegiem marsz do gubernatora! Może pożyczysz mu konia – zwrócił się do Kenta – bo ten drab do nocy tam nie zajdzie.

Zabrali go ze sobą, duszącego się tłumioną wściekłością.

Sprawa przybrała obrót niefortunny, choć nie beznadziejny. Ucieczkę naznaczono na godzinę dwunastą, a do tego czasu na pewno wróci od chorego. Dosiadł przyprowadzonego przez Kenta konia, zamierzając się pośpieszyć.

– W jaki sposób dostanę się potem w obręb ogrodzenia, panie? – zapytał odjeżdżając.

– Nie masz tu w ogóle po co wracać – rzekł Bishop. – Kiedy nie będą cię więcej potrzebować, niech ci znajdą jaki chlew, gdzie przenocujesz do rana.

Serce Blooda ścisnęło się trwogą.

– Ale... – zaczął.

– Zabieraj się stąd, powtarzam. Będziesz tu gadał do nocy? Jego ekscelencja czeka na ciebie. – Z tymi słowami pułkownik brutalnie uderzył trzcina konia po zadzie. Zwierzę skoczyło naprzód, omal nie zrzuciwszy jeźdźca. Piotr Blood odjechał w stanie umysłu graniczącym z rozpaczą. Przyczyn do tego nie brakło. Trzeba było odłożyć ucieczkę co najmniej do

następnej nocy, a to oznaczało wykrycie transakcji zawartej przez Nuttalla. Zadadzą mu z pewnością wiele pytań, na które trudno będzie odpowiedzieć.

Zamyślał po skończonym zabiegu wymknąć się w nocy z miasta i z zewnątrz palisady zawiadomić Pitta z towarzyszami o swoim powrocie, by się natychmiast przyłączyli do niego i wspólnie uciekli, jak to było zaplanowane. Nie wziął jednak w rachubę gubernatora, który szalał w ataku podagry i gniewu, wywołanego nieobecnością lekarza.

Prawie przez całą noc doktor krzątał się przy jego łożu, zanim ostatecznie udało mu się zmniejszyć cierpienie pacjenta przez puszczenie krwi. Zamierzał już odejść, lecz gubernator nie chciał o tym słyszeć. Blood musi spać w jego własnej sypialni, by być pod jego ręką w razie potrzeby. Piotrowi wydało się, że los drwi sobie z niego, gdyż w ten sposób musieli zaniechać ucieczki, przynajmniej tej nocy.

Dopiero wczesnym rankiem udało mu się wymknąć na jakiś czas z domu gubernatora pod pozorem konieczności przyrządzenia własnoręcznie pewnych leków w aptecze.

Pod takim pretekstem wyszedł do budzącego się miasta i udał się wprost do Nuttalla. Znalazł go w stanie kompletnej paniki. Nieszczęśnik czekał całą noc i wyobraził sobie, że wszystko się wydało i oczekuje go surowa kara. Blood uspokoił jego obawy.

– Wykonamy nasz plan dzisiejszej nocy – rzekł z udaną pewnością siebie – nawet gdybym miał wypuścić całą krew z gubernatora. Bądź gotów jak wczoraj.

– Lecz jeśli będą mnie o coś pytać? – jęczał Nuttall. Był to chudy, mały człowieczek o drobnych rysach i żalonych, mrugających teraz rozpaczliwie oczach.

– Odpowiadaj, jak potrafisz; rusz conceptem, człowieku. Nie mogę tu stać dłużej. – I Piotr odszedł do aptekarza po leki. W godzinę później w nędznym domostwie Nuttalla zjawił się urzędnik z urzędu portowego. Właściciel łodzi, zgodnie z przepisami, zameldował władzom o jej sprzedaży, aby otrzymać zwrot kaucji w sumie dziesięciu funtów, składanej przez wszystkich posiadaczy małych stateczków. Urząd wstrzymał się z wypłaceniem kaucji aż do otrzymania bliższych informacji o transakcji.

– Zawiadomiono nas, że kupiliście żaglówkę od pana Roberta Farrela – rzekł urzędnik.

– To prawda – odpowiedział Nuttall, któremu wydawało się, że nastąpił dla niego koniec świata.

– Jak widzę, nie śpieszy się wam zameldować o tym władzom. – Urzędnik przyglądał mu się ze złośliwością biurokraty.

Przerazone oczy Nuttalla zamrugały jeszcze szybciej.

– Za... zameldować?

– Takie są przepisy.

– Nie wiedziałem...

– Przecież mówi o tym proklamacja ogłoszona jeszcze w styczniu.

– Ja... ja nie umiem czytać, panie... nie wiedziałem...

Przybysz skrzywił się pogardliwie.

– No, ale teraz już wiecie. Pamiętajcie zgłosić się w urzędzie portowym przed południem i złożyć dziesięć funtów kaucji.

Pompatyczny biurokrata oddalił się pozostawiając Nuttalla oblanego zimnym potem w ten skwarny poranek. Był wdzięczny, że nie zapytano go, zesłanego dłużnika, skąd wziął pieniądze na zakup łodzi. Ale sprawa odwlekła się tylko. Z pewnością postawią mu takie pytanie, a wtenczas zacznie się piekło. Przeklinał godzinę, kiedy dał się omotać gadaniu Blooda o ucieczce. Prawdopodobnie cały spisek zostanie teraz wykryty, a on powieszony lub co najmniej napiętnowany i sprzedany w niewolę jak ci przekłeci buntownicy, z którymi sprzymierzył się w godzinę swej zguby. Wprawdzie dotychczas nie myślał o tych piekielnych dziesięciu funtach kaucji, ale nagle uderzyło go, że gdyby teraz je zdobył, może dałoby się sprawę szybko załatwić i chwilowo uniknąć dalszych pytań. A inni podobnie jak wysłannik urzędu, mogliby zapomnieć, że był niewypłaconym dłużnikiem. W ten sposób zyskałby dzień lub dwa i znalazłby się poza zasięgiem ich badań. Lecz jak zdobyć te pieniądze? A trzeba je znaleźć przed południem!

Nuttall złapał kapelusz i wyruszył na poszukiwanie Piotra Blooda. Błąkając się bezcelowo po nieporządnej, nie brukowanej ulicy, odważył się zapytać paru przechodniów, czy nie widzieli tego ranka doktora Blooda. Udawał chorego i niewątpliwie na takiego wyglądał. Nikt jednak nie mógł mu udzielić informacji, a ponieważ Blood nigdy nie wspominał o udziale Whackera w planach ucieczki, Nuttall, nic o tym nie wiedząc, minął drzwi jedyne go człowieka na Barbados, który chętnie pomógłby mu w tym ciężkim

położeniu. W końcu cieśla postanowił pójść na plantację pułkownika Bishopa. Jeżeli nie znajdzie tam Blooda, zostawi mu wiadomość u Pitta. Nuttall znał Pitta i wiedział o jego udziale w ucieczce. Postanowił w dalszym ciągu szukać Blooda jako pacjent potrzebujący pomocy lekarskiej.

W tym samym czasie gdy cieśla, nieczuły w gorączce poszukiwania na piekielny upał, wspinał się na wzgórze na północ od miasta, Blood opuszczał wreszcie dom gubernatora. Udało mu się na tyle ulżyć cierpieniom pacjenta, by móc odejść. Jadąc konno mógł, gdyby nie nieprzewidziana zwłoka, dotrzeć do palisady przed Nuttallem, co uchroniłoby ich od wielu przykrości. Zwłoka ta została spowodowana przez pannę Arabellę Bishop.

Spotkali się przy bramie wspaniałego ogrodu, otaczającego dom gubernatora, a panna Arabella, sama na koniu, ze zdumieniem spojrzała na siedzącego w siodle Blooda. Doktor był w doskonałym nastroju. Fakt, że polepszenie w stanie zdrowia gubernatora przywróciło mu swobodę ruchów, rozwiął dręczące go już drugi dzień przygnębienie. Dlatego też temperatura jego nastroju skoczyła wyżej, niż zezwalały na to obecne okoliczności. Optymistycznie spoglądał w przyszłość. Co się nie udało ostatniej nocy, z pewnością uda się następnej. Cóż znaczył tu jeden dzień? Urząd portowy mógł czynić trudności, lecz w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nie staną się one jeszcze groźne. A potem oni będą już w drodze.

Ta radosna ufność była jego pierwszym nieszczęściem. Drugim była okoliczność, że panna Arabella również podzielała jego wesoły nastrój i nie żywiła do niego urazy. Wszystko to złożyło się na fatalną w skutkach zwłokę.

– Dzień dobry panu! – pozdrowiła go wesoło. – Nie widziałam pana prawie od miesiąca.

– Dwadzieścia jeden dni, co do godziny – odpowiedział. – Liczyłem je dokładnie.

– Zaczynałam już myśleć, że pan umarł.

– Dziękuję zatem za wieniec.

– Za jaki wieniec?

– Wieniec na mój grób – wyjaśnił.

– Czyż zawsze musi pan drwić? – zapytała i spojrzała nań poważnie, pamiętając, że przy ostatnim spotkaniu odeszła w gniewie, urażona jego szyderstwem.

– Człowiek musi niekiedy śmiać się z siebie samego, aby nie oszaleć –

rzekł. – Niewielu zdaje sobie z tego sprawę. Dlatego właśnie tylu jest na świecie szaleńców.

– Możesz pan drwić z siebie, ile ci się podoba. Lecz niekiedy wydaje mi się, że kpisz ze mnie, a to już nie jest uprzejme.

– Mylisz się, pani, ja śmieję się tylko z rzeczy komicznych, a pani wcale nie jest komiczna.

– Jakaż tedy jestem? – zapytała ze śmiechem.

Przez chwilę obserwował ją, tak piękną i wdzięczną, tak dziewczęcą, a jednocześnie tak szczerą i swobodną.

– Jesteś bratanicą mego właściciela – odparł swobodnie, co wyraźnie ją ośmieliło.

– Nie, panie, to odpowiedź wymijająca. Dziś chcę usłyszeć prawdę.

– Prawdę? Nie łatwo pani w ogóle odpowiedzieć. A w dodatku powiedzieć prawdę! Och, dobrze więc, powiedziałbym, że szczęśliwy będzie ten, kogo zaliczysz w poczet swoich przyjaciół.

Miał zamiar dodać coś więcej jeszcze, lecz zaniechał tego.

– To ogromnie uprzejme z pańskiej strony – powiedziała. – Nie można panu odmówić dobrego smaku, jeśli chodzi o komplementy, panie Blood. Inny na pana miejscu...

– Czy sądzi pani, iż nie wiem, co inny powiedziałby na moim miejscu? Znam dobrze moich bliźnich.

– Czasem tak, a czasem nie. W każdym razie nie zna pan kobiet. Była taka sprawa z Hiszpanami...

– Czyż nigdy nie zapomnisz o tym?

– Nigdy.

– Zbyteczne obciążanie pamięci. Czy nie ma już we mnie nic dobrego, o czym mogłabyś pani pamiętać?

– Och, kilka rzeczy...

– Jakie na przykład? – spytał nieomal skwapliwie.

– Mówisz pan doskonale po hiszpańsku.

– Tylko tyle? – Cofnął się rozczarowany.

– Gdzieżeś się tego nauczył? Byłeś w Hiszpanii?

– Owszem. Byłem dwa lata w hiszpańskim więzieniu.

– Więzieniu? – Ton jej zdradzał obawę, którą pośpieszył uspokoić.

– Byłem jeńcem wojennym. Schwymano mnie, gdy walczyłem u boku

Francuzów, to znaczy w służbie francuskiej.

– Lecz pan jest doktorem! – zawołała.

– To głównie dla rozrywki. Z zawodu jestem żołnierzem, a przynajmniej uprawiałem ten zawód przez dziesięć lat. Nie przynosiło mi to wiele dostatków, lecz było lepsze od medycyny, która jak pani widzi, skończyła się niewolą. Widocznie w niebie wolą tych, co zabijają, niż tych, co leczą. Pewno tak być musi.

– Lecz jak się stało, iż będąc żołnierzem znalazłeś się pan w służbie francuskiej?

– Widzi pani, jestem Irlandczykiem i studiowałem medycynę. A ponieważ jesteśmy narodem przewrotnym... Och, ale to długa historia, a pułkownik oczekuje mojego powrotu.

Lecz panna nie chciała stracić tak miłego towarzystwa. Prosiła, by poczekał na nią chwilę, to wrócą razem. Pojedzie tylko dowiedzieć się w imieniu stryja o zdrowie gubernatora.

Blood zaczekał. Wracali konno do domu pułkownika Bishopa. Jechali stępa, bardzo powoli i niektórzy mijający ich przechodnie dziwili się widząc lekarza-niewolnika w tak zażyłych stosunkach z bratanicą jego właściciela. Jeden czy dwaj obiecali sobie napomknąć o tym pułkownikowi. Lecz ci dwoje jechali tego poranka niepomini na resztę świata. Blood opowiadał jej historię swoich burzliwych lat, a potem, obszerniej niż kiedykolwiek, opisał dzieje swego aresztowania i sądu.

Zaledwie skończył, znaleźli się przed domem pułkownika i zsiadli z koni. Blood oddał podjezdka jednemu z murzyńskich chłopców stajennych i dowiedział się, że pułkownika nie ma w tej chwili w domu.

Zwlekali przez chwilę z rozstaniem, bo panna zatrzymywała Blooda.

– Szkoda, iż przedtem tego nie wiedziałam – rzekła i coś jakby łzy zabłysło w jej orzechowych oczach. Wyciągnęła do niego rękę ujmująco przyjaznym ruchem.

– Jakież mogłoby to mieć znaczenie? – zapytał.

– Może jakieś. Los nie był dla pana łaskawy.

– Och, teraz...

Przerwał na chwilę. Jego bystre, szafirowe oczy przez chwilę patrzyły na nią badawczo spod gęstych, czarnych brwi.

– Mogłoby być znacznie gorzej – powiedział znacząco. Pod wpływem

tych słów zapłonila się, nakrywając oczy powiekami.

Pochylił się w ukłonie, całując jej dłoń na pożegnanie. Panna nie cofnęła ręki. Blood odwrócił się i poszedł w kierunku odległej o pół mili palisady, unosząc w duszy obraz jej zapłonionej i zmieszanej twarzy. Zapomniał na jakiś czas o oczekujących go dziesięciu latach niewoli, o planowanej na najbliższą noc ucieczce, a nawet o niebezpieczeństwie wykrycia spisku, które wisiało teraz nad nim na skutek podagry gubernatora.

VII

KORSARZE

Pan James Nuttall nie zważał wcale na upał spiesząc z Bridgetown na plantację pułkownika Bishopa. Jeśli ktokolwiek stworzony był do biegania w gorącym klimacie, był nim niewątpliwie Nuttall, niski, szczupły człowieczek na długich, chudych nogach. Wydawał się tak wysuszony, iż trudno było uwierzyć, by krążyły w nim jakieś soki, a jednak trochę wilgoci musiało pozostać w jego ciele, gdyż zanim doszedł do palisady, spocił się biedak gwałtownie.

Przy wejściu nieomal się zderzył z nadzorcą Kentem, krzywonogim bydlakiem o barach Herkulesa i szczęce buldoga.

– Szukam doktora Blooda – oznajmił zdyszany Nuttall.

– Cóż za pośpiech – warknął Kent – bliźniaki się urodziły czy co, u diabła?

– Co? Och nie, nie. Nie jestem żonaty, panie. To mój kuzyn zachorował, panie.

– Co się stało?

– Czuje się niedobrze, panie. – Nuttall łągał, chwytając się pretekstu wskazanego mu przez Kenta. – Czy doktor jest tu?

– Tam stoi jego buda – wskazał niedbale Kent. – A jeżeli go tu nie ma, będzie z pewnością gdzie indziej. – Rzekłszy to odszedł. Była to opryskliwa, kwaśna bestia, zawsze bardziej skora do bicia niż do rozmowy.

Nuttall obserwował go z zadowoleniem, zapamiętał nawet kierunek, w którym się oddalił. Potem wpadł do ogrodzenia i stwierdził ku swej

rozpaczy, że Blooda nie było w domu. Rozsądny człowiek byłby usiadł i oczekiwał powrotu doktora, uważając to za najprostszy sposób spotkania się z nim, ale Nuttall nie był rozsądnym człowiekiem. Wybiegł znowu poza obręb palisady, zawahał się przez moment, dokąd iść, i ostatecznie zdecydował się podążyć jakąkolwiek drogą, byle nie śladem Kenta. Pośpieszył więc poprzez wypaloną słońcem sawannę w kierunku plantacji cukru, które stały mocne jak mur i pobłyskujące złotem w jaskrawym, czerwcowym słońcu. Łany dojrzewającej, bursztynowej trzciny cukrowej poprzecinane były miedzami i na jednej Nuttall wyszedł kilku pracujących niewolników. Szybko zbliżył się do nich. Niewolnicy tępo spojrzeli na przechodzącego. Pitta nie było między nimi, a Nuttall obawiał się spytać o niego. Kontynuował więc poszukiwania wzdłuż jednej ze ścieżek prawie przez godzinę. W pewnej chwili jeden z nadzorców zaczepił go pytając, czego tu szuka. Nuttall odpowiedział, że szuka doktora Blooda, gdyż kuzyn mu zachorował. Nadzorca posłał go do diabła i nakazał wynosić się z plantacji. Blooda tu nie było. Prawdopodobnie siedzi w swojej chacie.

Nuttall minął go, niby to opuszczając pola trzciny cukrowej, lecz poszedł w złym kierunku, w stronę tej części plantacji, która leżała najdalej od palisady i była obrzeżona gęstymi lasami. Nadzorca, zbyt wzgardliwy i ospały w upale zbliżającego się południa, nie sprostował jego omyłki.

Nuttall powłókł się do końca ścieżki i za zakrętem wpadł na Pitta, samotnie kopiaącego kanał irygacyjny. Pitt odziany był tylko w krótkie, bawełniane spodenki, luźne i podarte, okrywające go od pasa do kolan. Pierś i nogi były nagie, na głowie miał szeroki słomiany kapelusz, osłaniający od promieni tropikalnego słońca nie uczesaną, złotą czuprynę. Na jego widok Nuttall głośno podziękował Stwórcy. Pitt popatrzył na niego, a cieśla wyrzucił z siebie złą nowinę. Musi dostać jeszcze tego ranka dziesięć funtów od Blooda, inaczej wszystko przepadnie. Za swoje męki i trud został tylko zwymyślany przez Pitta.

– Niech cię diabli wezmą, głupcze! – rzekł niewolnik. – Jeżeli szukasz Blooda, czemu marnujesz tutaj czas?

Nie mogłem go znaleźć – beczał Nuttall, oburzony takim przyjęciem. Zapomniał, że noc oczekiwania i niepokoju, zakończona porankiem zwątpienia, nadszarpnęła mocno nerwy Pitta. – Myślałem, iż ty...

– Myślałeś, że rzucę łopatę i pójdę ci go szukać? To miałeś na myśli? Na

Boga! Że też nasze losy mają zależeć od takiego durnia. Czas leci, a ty tu stoisz beczynnienie! A gdyby tak nadzorca złapał nas na rozmowie? Jakbyś mu to wytłumaczył?

Nuttall oniemiał na chwilę, zaskoczony taką niewdzięcznością. Potem wybuchnął:

– Nie warto było przykładać ręki do tej sprawy! Chciałbym... – Lecz nikt nie dowiedział się nigdy, czego chciał Nuttall, gdyż w tym momencie z zakrętu ścieżki, biegnącej wśród trzciny, ukazał się rosły człowiek w kremowym, jedwabnym ubraniu, a za nim dwóch zbrojnych w kordelasy Murzynów w bawełnianych spodenkach. Był oddalony już tylko o jakie dziesięć jardów, lecz miękka glina zagłuszała jego kroki.

Nuttall obejrzał się z przerażeniem i czmychnął jak królik do lasu, zdradzając się w ten sposób i postępując tak głupio, jak tylko można było uczynić w podobnej sytuacji. Pitt jęknął i stanął spokojnie, oparłszy się na łopacie.

– Hej, tam! Stój! – ryknął pułkownik Bishop za uciekającym i posłał w ślad za nim okropne groźby i ordynarne przekleństwa.

Lecz uciekinier ani myślał go słuchać i nawet nie odwrócił głowy. Liczył, iż pułkownik nie widział jego twarzy, znaczenie bowiem i wpływ Bishopa zupełnie wystarczały, by powieszono człowieka, którego zechciał wyprawić na tamten świat.

Dopiero gdy zbieg zniknął w gąszczu, plantator otrząsnął się ze zdziwienia i oburzenia i przypomniał sobie o dwóch Murzynach, chodzących za nim wszędzie jak psy. Była to jego straż przyboczna, bez której nigdy nie poruszał się na plantacjach od czasu, gdy kilka lat temu pewien niewolnik napadł na niego i omal nie zadusił.

– Łapać go, czarne wieprze! – ryknął, lecz zaraz ich powstrzymał.

– Czekać tu! Do nogi, bodaj was!

Przyszło mu do głowy, że lepiej będzie nie tracić dnia polując na zbiega w tym przeklętym lesie; ma tu przecież pod ręką Pitta. Ten pomoże zidentyfikować swego płochliwego przyjaciela, jak również zdradzi, co było przedmiotem ich tajemnej i poufnej rozmowy. Pitt może się okazać oporny. Tym gorzej dla niego. Wynalazczy pułkownik Bishop znał tuzin sposobów łamania uporu swoich więźniów. Były one czasem wcale krotochwilne.

Zwrócił teraz do niewolnika oblicze rozpalone żarem słonecznym oraz

wewnętrzny podnieceniem i spojrzął na niego z okrutnym błyskiem w paciorkowatych oczach.

– Co to za włóczęga? – zapytał ze strasliwą uprzejmością. Jeremiasz Pitt pochylił się nieco nad łopatą i w zakłopotaniu przestąpił z nogi na nogę. Na próżno szukał w głowie odpowiedzi, bo oprócz przekleństw pod adresem idiotyzmu pana Jamesa Nuttalla nic mu nie przychodziło na myśl.

Bambusowa trzcina plantatora spadła na nagie ramię chłopca z okrutną siłą.

– Odpowiadaj, psie! Jak mu na imię?

Jeremiasz rzucił na otyłego plantatora ponure, niemal zuchwałe spojrzenie.

– Nie wiem – powiedział, a w jego głosie zabrzmiało coś jakby wyzwanie, spowodowane razem, którego pod grozą śmierci nie mógł oddać.

– Nie wiesz? Może to odświeży twoją pamięć. – Laska spadła znowu na plecy Pitta. – Przypomniałeś sobie teraz?

– Nie.

– Uparty, co? – Pułkownik uśmiechnął się drwiąco, lecz po chwili owładnęła nim wściekłość. – Na rany boskie! Ty bezwstydnym psie! Kpisz sobie ze mnie? Mam na to pozwolić?

Pitt wzruszył ramionami, znów przestąpił z nogi na nogę i nie odezwał się ani słowem. Nic tak nie prowokuje jak milczenie, a pułkownikowi niewiele potrzeba było, aby go ogarnęło wzburzenie. Obudziła się w nim teraz zwierzęca wściekłość. Straszliwe ciosy spadły na bezbronne plecy, a każdemu uderzeniu towarzyszyło bluźnierstwo i ordynarne przekleństwa, aż żarzący się gniew niewolnika, umęczonego ponad ludzką wytrzymałość, wybuchnął płomieniem i Pitt rzucił się na dręczyciela.

Lecz jednocześnie z nim rzucili się naprzód czujni Murzyni. Muskularne, brązowe ramiona miażdżąc objęły białe ciało i za chwilę nieszczęśliwy niewolnik stał obezwładniony, z rękami związanymi na plecach skórzanym pasem.

Bishop obserwował go przez chwilę, zadyszany, z mieniącą się twarzą.

– Prowadźcie go – rzekł wreszcie.

Czarni strażnicy wlekli nieszczęsnego Pitta za pułkownikiem długą ścieżką między polami złocistej trzciny cukrowej. Inni niewolnicy odprowadzali go przestraszonymi spojrzeniami. Rozpacz ogarnęła młodego

żeglarza. Nie dbał o oczekujące go za chwilę straszliwe męczarnie. Dręczyła go jedynie myśl, że tak starannie planowana ucieczka z tego potwornego piekła zostanie mu udaremniiona w samym momencie wykonania.

Cała grupka wyszła na zieloną polanę i skierowała się w stronę palisady i białego domu dozorczy. Pitt objął wzrokiem zatokę Carlisle. Z polany roztaczał się na nią rozległy widok, od fortu aż po magazyny portowe. Przy nabrzeżu zacumowano kilka niewielkich łodzi i Pitt zastanawiał się, na której z nich – przy odrobinie szczęścia – znajdowałiby się już teraz. Z udręką spojrzał na morze. Po zatoce, pędzona łagodną bryzą, ledwie marszczącą szafirową powierzchnię Morza Karaibskiego, żeglowała do brzegu piękna fregata¹⁴ o czerwonym kadłubie i pod angielską banderą.

Pułkownik Bishop zatrzymał się, by spojrzeć na nią i przysłonił oczy mięsistą ręką. Choć bryza¹⁵ była lekka, statek szedł tylko pod przednim żaglem. Wszystkie inne były zwinięte i odsłaniały majestatyczne linie kadłuba, od piętrzącego się kasztelu rufowego¹⁶ do złożonego galionu¹⁷ błyszczącego w oślepiającym słońcu.

To powolne przybijanie do brzegu wskazywało, że kapitan statku nie był obznajmiony z farwaterem¹⁸ i wołał zbliżać się ostrożnie, sondując drogę. Przy obecnej szybkości statek powinien rzucić w porcie kotwicę, za jaką godzinę. Podczas gdy pułkownik patrzył na okręt, podziwiając być może piękno jego kształtów, Pitta wpędzono w ogrodzenie i unieruchomiono w oczekujących tam na opornych niewolników dybach. Pułkownik szedł za nim leniwym, kołyszącym się krokiem.

– Zbuntowany kundel, który pokazuje zęby swojemu panu, musi nauczyć się dobrych manier kosztem własnej skóry – powiedział zabierając się do egzekucji.

Widzicie chyba, jak zezwierzęcony był ten człowiek, skoro własnymi rękoma czynił to, co każdy inny szanujący się plantator byłby zlecił jednemu z Murzynów. Ćwiczył swą ofiarę po głowie i plecach z jakąś dziką satysfakcją i sadystyczną rozkoszą. Jego bambusowa laska szybko poszła w drzazgi. Wiadomo, jak piekielnie bołą uderzenia elastyczną bambusową trzcina, lecz trudniej już sobie wyobrazić mordercze działanie trzciny postrzępionej na długie, cienkie, ostre jak noże różgi.

Gdy w końcu zmęczony pułkownik odrzucił resztki trzciny, grzbiet nieszczęsnego niewolnika od karku do pasa był jedną krwawą miazgą.

Dopóki Pitt był przytomny, nie wydał ani dźwięku, lecz w miarę jak pod wpływem bólu zaczął tracić przytomność, pochylił się naprzód w dybach i wisiał skurczony, a z ust jego wydobywały się słabe rżenia.

Pułkownik Bishop postawił stopę na poprzeczce i pochylił się nad ofiarą z okrutnym uśmiechem na tłustej, ordynarnej twarzy.

– Niech cię to nauczy subordynacji – rzekł. – A teraz, jeśli chodzi o twojego płochliwego przyjaciela, zostaniesz pozbawiony jedła i napoju tak długo, aż nie zechcesz przypomnieć sobie, jak się nazywał i co miał ci do powiedzenia.

Zdjął nogę z poprzeczki.

– Kiedy będziesz miał tego dosyć, daj znać, przygotujemy wtedy żelaza do piętnowania.

Rzekłszy to obrócił się na pięcie i wyszedł z ogrodu w towarzystwie swoich Murzynów.

Pitt słyszał go jak przez sen. Okrutna kara tak go wyczerpała, a rozpacz jego była tak głęboka, że nie dbał już o życie.

Wkrótce jednak z błogosławionego otępienia, wywołanego bólem, wyrwała go nowa męka. Dyby stały na otwartym placu, wystawione na działanie tropikalnego słońca, które niby ogniem prażyło poszarpany, krwawiący grzbiet. Niewymowną męczarnię powiększały jeszcze roje much, okrutnych antylskich much, zwabionych zapachem krwi.

Łatwo teraz zrozumieć, dlaczego pomysłowy pułkownik Bishop, który tak dobrze umiał rozwiązywać odporne języki, nie widział potrzeby stosowania innych rodzajów tortur. Całe jego szatańskie okrucieństwo nie mogło wymyślić udręki straszniejszej i nieznośniejszej nad zadawaną teraz Pittowi przez przyrodę.

Niewolnik wił się w dybach, narażając się na połamanie kości, i wył z bólu.

W takim stanie odnalazł go Piotr Blood, który zmaterializował się nagle przed zamroczonym wzrokiem Pitta. Przyniósł ze sobą wielki liść palmowy, odpędził nim muchy pożerające grzbiet nieszczęśliwego i przywiązał go włóknem do szyi młodzieńca, chroniąc go w ten sposób zarówno od much, jak i od promieni słonecznych. Potem usiadł przy nim, położył głowę cierpiętnika na ramieniu i wymył mu twarz zimną wodą. Pitt wstrząsnął się i jęknął przeciągle.

– Pić! – szepnął. – Pić, na miłość boską!

Doktor przytknął kubek do jego drżących warg. Pił chciwie, głośno, póki nie opróżnił naczynia. Orzeźwiony w ten sposób, spróbował usiąść.

– Moje plecy! – jęknął.

Oczy Blooda błysnęły dziwnie, jego wargi były zaciśnięte, lecz kiedy przemówił, głos brzmiał zimno i spokojnie:

– Powoli. Nie wszystko na raz. Przykryłem ci plecy i nic im teraz nie będzie. Chciałbym wiedzieć, co się tu stało. Widocznie sądzisz, że możemy się obejść bez nawigatora, jeżeli prowokujesz tę bestię Bishopa, by cię o mało nie zabił.

Pitt usiadł i stęknął znowu, lecz tym razem ból był raczej psychiczny niż fizyczny.

– Nawigator nie będzie potrzebny tym razem, Piotrze.

– Co takiego?! – zawołał Blood.

Pitt wyjaśnił sytuację w krótkich, urywanych słowach.

– Mam gnić tutaj, dopóki nie powiem, kto to był i o czym ze mną rozmawiał.

Blood powstał z przekleństwem.

– Niech piekło pochłonie brudnego poganiacza niewolników! – warknął.

– Lecz my to zrobimy mimo wszystko. Do diabła z Nuttalem! Wszystko jedno, czy da kaucję za łódź, czy nie, czy potrafi się wytłumaczyć, czy nie; łódź pozostaje. Odpłyniemy i zabierzemy cię ze sobą.

– To marzenia, Piotrze – odparł więzień. – Tym razem nie odpłyniemy. W najlepszym razie władze skonfiskują łódź, ponieważ kaucja nie została wypłacona. Może też Nuttall, przyciśnięty do muru, zdradzi cały plan, a wtedy napiętnują nas wszystkich rozpalonym żelazem.

Blood odwrócił się z męką w oczach i spojrzał na błękitne morze, które miało zanieść go ku wolności.

Wielki czerwony statek zbliżył się teraz znacznie do brzegu. Wolno, majestatycznie wchodził w zatokę. Jedna z łodzi odbijała już od nabrzeża, by wyjść mu na spotkanie. Z miejsca, gdzie stał, Blood widział już błysk mosiężnych armat na dziobie ponad zakrzywionym galionem, mógł też rozróżnić postać marynarza stojącego na bukszprycie¹⁹ z lewej burty i wyciągającego sondę.

Gniewny głos obudził go z przykrych rozmyślań.

– Co, do diabła, tu robisz?

Pułkownik wkroczył do ogrodu w towarzystwie nieodłącznych Murzynów.

Blood odwrócił się do nadchodzącego i jakby maska zapadła mu na ciemną twarz, która pod wpływem słońca nabrała złocisto-brązowego odcienia, właściwego Metysom.

– Co robię? – zapytał spokojnie. – Wypełniam obowiązki mojego zawodu.

Pułkownik postąpił wściekle naprzód i spostrzegł dwie rzeczy: pusty kubek obok niewolnika i palmowy liść pokrywający jego kark.

– Tyżeś się poważył to uczynić? – zapytał, a żyły nabrzmiały mu na czole jak postronki.

– Oczywiście – odpowiedział Blood z lekka zdziwiony.

– Powiedziałem przecież, że nie wolno mu dać jadła ani napoju, dopóki ja na to nie zezwolę.

– Ja tego nie słyszałem.

– Nie słyszałeś? Jakże mogłeś słyszeć, kiedy cię tu nie było?

– W takim razie, skąd miałem wiedzieć, jakie rozkazy zostały wydane? – Ton Blooda wyrażał teraz strapienie. – Zobaczyłem tylko, że jeden z pańskich niewolników był nękanym przez słońce i muchy. Powiedziałem więc sobie: „To przecie jeden z niewolników pułkownika, a ja jestem lekarzem pułkownika i moim obowiązkiem jest strzec jego własności.” Dałem mu więc łyżkę wody i zasłoniłem kark od słońca. Czyż nie miałem racji?

– Racji? – Pułkownikowi aż dech zaparło.

– Tylko spokojnie teraz, spokojnie! – błagał Blood. – Narazasz się pan na apopleksję, podniecając się w ten sposób.

Plantator zaklął, odepchnął Piotra, a zbliżywszy się do Pitta zerwał liść palmowy z jego karku.

– W imię ludzkości... – rozpoczął Blood.

Pułkownik obrócił się z wściekłością.

– Precz stąd! – rozkazał. – I nie wracaj, dopóki cię nie wezwę, chyba że chcesz, bym cię tak samo urządził.

Groźba, zawarta w tych słowach, i zwalista, masywna postać Bishopa napawały przerażeniem, lecz Blood nie cofał się nigdy.

Patrząc w spokojnie obserwujące go, jasnoniebieskie, oczy, tak niezwykle w zestawieniu z opaloną twarzą – jakby blade szafiry oprawione w miedź –

pułkownik pomyślał, że od pewnego czasu ten łotr staje się arogancki. Należało się z tym teraz załatwić. Tymczasem Blood przemówił znowu, spokojnie, lecz stanowczo.

– W imię ludzkości – powtórzył – albo pozwoli mi pan ulżyć jego cierpieniom, albo zaraz przestaję pełnić obowiązki lekarza i raczej diabła dotknę niż jakiegokolwiek pacjenta na tej zapowietrzanej wyspie.

Przez chwilę pułkownik milczał, nazbyt zdziwiony, by odpowiedzieć, a później...

– Na Boga! – ryknął. – Ośmielasz się mówić ze mną tym tonem? Ośmielasz się stawiać mi warunki?

– Tak. – Niebieskie oczy patrzyły śmiało. Wyzierało z nich coś diabelskiego, jakaś zrodzona z rozpacz, szatańska bezwzględność.

Pułkownik Bishop dłuższą chwilę przyglądał mu się w milczeniu.

– Zbyt łagodnie obchodziłem się z tobą – rzekł w końcu – lecz to się da naprawić. – Zacisnął wargi. – Każę cię chłostać różgami, aż nie pozostanie ani kawałka skóry na twoim brudnym grzbiecie.

– Rzeczywiście? A co na to powie gubernator Steed?

– Nie jesteś jedynym lekarzem na tej wyspie.

Blood uśmiechnął się.

– I powie to pan jego ekscelencji gubernatorowi, któremu podagra w nodze tak nieznośnie dokucza? Gubernator jest człowiekiem inteligentnym i wiedząc, co mu najlepiej służy, nigdy w życiu nie będzie tolerować innego lekarza.

Lecz brutalna wściekłość pułkownika, podniecona oporem, nie dała się łatwo ułagodzić.

– Jeżeli będziesz jeszcze żywy, kiedy moi Negrzy wypuszczą cię ze swoich rąk, może wreszcie zmądrzejesz.

Bishop obrócił się do Murzynów, by wydać rozkaz, lecz rozkaz ten nie został nigdy wydany. W tym bowiem momencie straszny huk wstrząsnął powietrzem, zagłuszając wszystko. Pułkownik podskoczył, a z nim dwaj Murzyni i nieporuszony zwykle Blood. Wszyscy czterej szeroko otwartymi oczyma spojrzeli w stronę morza.

Wielki okręt, stojący teraz w zatoce w odległości zaledwie jednego kabla²⁰ od fortu, spowity był w dym, sponad którego wystawały zaledwie szczyty masztów. Ze skał zerwały się roje przestraszonego ptactwa

morskiego, ulatując w niebo z krzykiem trwogi. Najgłośniej brzmiały żalosne wołania kulików.

Ze swego wzniesienia patrzyli zdziwieni, nie rozumiejąc jeszcze, co się dzieje. W ich oczach brytyjska flaga zsunęła się z głównego masztu i znikła we wznoszącej się chmurze prochowego dymu. W chwilę później, zastępując flagę Anglii, z chmury wznosił się w górę szkarłatno-złoty sztandar Kastylii. Wtedy dopiero zrozumieli.

– Korsarze! – ryknął pułkownik. – Korsarze! Głos jego wyrażał trwogę i niedowierzanie. Ogorzała twarz zbladła i powlokła się ziemistą szarością, a dzika wściekłość zabłysła w małych oczkach. Murzyni, patrząc na niego, szczyrzyli zęby i wywracali białkami oczu w idiotycznym uśmiechu.

VIII

HISZPANIE

Okazały okręt, wchodzący tak spokojnie pod fałszywą banderą do zatoki Carlisle, był hiszpańskim korsarzem. Przybył, by spłacić wielkie długi zaciągnięte przez rozbójniczych Braci Wybrzeża oraz pomścić ostatnią porażkę dwóch galeonów wiozących do Kadyksu skarby, zrabowane przez brytyjski okręt „Chluba Devonu”. Uszkodzonym galeonem, któremu udało się wtedy uciec, dowodził don Diego de Espinosa y Valdez, rodzony brat hiszpańskiego admirała don Miguela de Espinosa, porywczego, dumnego i w gorącej wodzie kąpanego szlachcica.

Rozgoryczony porażką, zapomniał, że została ona spowodowana jego własnym postępowaniem, i postanowił dać Anglikom dobrą nauczkę. Poszedł więc za przykładem Morgana i innych grabieżców morskich i urządził karną wyprawę na angielską kolonię. Na nieszczęście dla niego i wielu innych nie było pod ręką admirała, by powstrzymał brata, gdy wyposażał na tę wyprawę okręt „Pięć Ran” w San Juan na Porto Rico. Za cel swojej wyprawy obrał wyspę Barbados, gdyż jej obrońców, zadufanych w naturalnej obronności wyspy, można było napaść niespodzianie. Ponadto wywiadowcy donieśli mu, iż „Chluba Devonu” schroniła się na Barbadosie, a Espinosa pragnął zemścić swojej nadać urok poetyckiej sprawiedliwości. Najazd urządził w chwili, gdy w zatoce Carlisle nie było na kotwicy okrętów wojennych.

Plan udał się znakomicie i hiszpański okręt nie obudził żadnych

podejrzeń, dopóki nie przywitał fortu oddaną z bliska salwą dwudziestu dział prawej burty.

Teraz czterej obserwatorzy, stojący w obozie niewolników na przylądku, ujrzeni, jak wielki okręt, pod osłoną gęstych kłębow dymu, z wolna posuwa się naprzód, rozwijając grotzagiel²¹ dla zwiększenia sterowności, i robi zwrot przez sztag²², aby skierować działa lewej burty na zaskoczony fort.

Grzmiący ryk drugiej salwy wyrwał pułkownika Bishopa z osłupienia i przypomniał o obowiązkach. Na dole, w mieście bębny waliły zapamiętale, a trąba wyła, jak gdyby trzeba było jeszcze kogoś zawiadamiać o niebezpieczeństwie. Miejsce pułkownika, jako komendanta milicji Barbadosu, było na czele jego szczupłych oddziałów w forcie, zamienionym teraz przez hiszpańskie armaty w kupę gruzów.

Pamiętając o tym, pułkownik oddalił się biegiem, niebacznym na tuszę i upał, a Murzyni pocwałowali za nim.

Blood odwrócił się do Jeremiasza Pitta z ponurem uśmiechem.

– Oto – rzekł – co nazywam interwencją w odpowiedniej chwili. Chociaż – dodał po chwili namysłu – nie wiadomo jeszcze, co z tego wyniknie.

Po trzeciej salwie Blood podniósł liść palmowy i starannie umocował go na grzbiecie towarzysza.

Wtem w obręb palisady wpadł zdyszany i spocony nadzorca Kent wraz z większością robotników z plantacji, białych i czarnych, wszystkich jednakowo przerażonych. Poprowadził ich do niskiego białego domu, skąd wyszli po chwili uzbrojeni w muszkiety i tasaki lub obwieszeni ładownicami.

W tym czasie zaczęli się schodzić po dwóch i trzech niewolnicy, którzy porzucili pracę na widok ogólnego popłochu i rozprężenia.

Napędzonymi uzbrojonymi oddziałami pobiegł naprzód, a Kent zatrzymał się na chwilę, by rzucić rozkaz niewolnikom.

– Do lasów! – wrzasnął – Uciekajcie do lasów i ukryjcie się tam, aż się wszystko skończy i te hiszpańskie świny zostaną przepędzone.

Potem pośpieszył, by połączyć się ze zgromadzoną w mieście ludnością i odeprzeć i rozbić lądujące oddziały Hiszpanów.

Niewolnicy byliby go posłuchali bez sprzeciwu, gdyby nie Blood.

– Po co się śpieszyć w tym upale? – zapytał. Wydawał się niewolnikom zadziwiająco chłodny i opanowany. – Może w ogóle nie trzeba będzie uciekać, a w każdym razie starczy na to czasu, kiedy Hiszpanie opanują

miasto.

Tak więc wszyscy deportowani buntownicy, równo dwudziestu ludzi, skupili się wokół Blooda, obserwując losy zacieklej walki toczącej się w dole.

Hiszpanie natrafili na opór ze strony milicji i wszystkich obywateli zdolnych do noszenia broni, którzy walczyli ze srogą determinacją ludzi przekonanych, iż w razie porażki nie mogą oczekiwać litości. Okrucieństwo hiszpańskiego żołdactwa stało się przysłowiowe i piraci Morgan czy L'Ollonais nigdy nie potrafili dorównać w krwiożerczości tym kastylijskim gentlemanom.

Lecz hiszpański dowódca znał swój zawód lepiej niż barbadoska milicja. Wyzyskał przewagę wynikającą z zaskoczenia, obezwładnił fort i pokazał Brytyjczykom, że jest panem sytuacji. Działa okrętu zwróciły się teraz na otwartą przestrzeń za molo, gdzie nieudolny Bishop zebrał swoich ludzi. Kule armatnie darły na krwawe strzępy milicję, a lądując pod ich osłoną oddziały zbliżały się do brzegu w szalupach oraz łodziach barbadoskich, które niebacznie wyszły na spotkanie okrętu, zanim został zidentyfikowany.

Bitwa trwała przez całe upalne popołudnie. Trzask i grzechot muszkietów, przenikający coraz głębiej do miasta, wskazywał na stałe cofanie się obrońców. O zachodzie słońca dwustu pięćdziesięciu Hiszpanów opanowało Bridgetown. Wyspiarze zostali rozbrojeni, a w domu gubernatora Steeda, który w popłochu zapomniał o podagrze, jego samego, pułkownika Bishopa i kilku pomniejszych oficerów powiadomiono w słowach pełnych szyderczej uprzejmości o sumie, jakiej Espinosa zazaądał tytułem okupu.

Za sto tysięcy dukatów i pięćdziesiąt sztuk bydła don Diego zgadzał się nie zamienić miasta w kupę popiołu. Gdy zaś ten uprzejmy i wytworny dowódca omawiał szczegóły z apoplektycznym brytyjskim gubernatorem, Hiszpanie niszczyli i rabowali, ucztowali, pili i plądrowali zgodnie ze swoim zwyczajem.

O zmierzchu Blood, wielce ryzykując, odważył się zejść do miasta. To, co tam ujrzał, zostało zanotowane przez Jeremiasza Pitta, któremu to później opisał, w obszernym dzienniku okrętowym, głównym źródle mojej opowieści. Nie mam zamiaru powtarzać tu tych rzeczy. Zbyt ohydne i nieprawdopodobne jest, aby ludzie, jakkolwiek upadli, zdolni byli popełniać czyny tak bestialskie, okrutne i wyuzdane.

Widok, jaki się przedstawił Bloodowi, skłonił go do szybkiego odwrotu z tego piekła. W jednej z wąskich uliczek wpadła na niego dziewczyna z rozwianymi włosami i oczyma rozszerzonymi przerażeniem. Za nią, śmiejąc się i przeklinając jednocześnie, biegł Hiszpan w ciężkich butach. Dopędzał już prawie swoją ofiarę, gdy nagle natknął się na Blooda. Doktor uzbroił się w rapier, zabrany przed chwilą jakiemuś zabitemu. Zdziwiony i rozgniewany niespodzianą przeszkodą, Hiszpan ujrzał błysk rapieru wydobywanego z pochwy.

– *Ah, perro ingles!*²³ – zawołał rzucając się naprzód.

– Spodziewam się, że jesteś godny stanąć przed Stwórcą – rzekł Blood przeszywając go na wylot ze zręcznością szermierza i lekarza. Napastnik zwałił się na ziemię, nie wydawszy nawet jęku.

Blood odwrócił się do dziewczyny, która dysząc ze zmęczenia i łkając, oparła się o mur. Schwycił ją za przegub dłoni.

– Chodźmy – rzekł.

Lecz dziewczyna opierała się z całych sił.

– Kim jesteś? – zawołała z trwogą.

– Czy mam ci pokazać dokumenty uwierzytelniające? – zapytał szorstko. Słysząc już było kroki zbliżające się z za rogu ulicy, skąd dziewczyna uciekła przed hiszpańskim brutalem.

– Chodźmy. – przynaglił ją znowu. Tym razem, uspokojona być może jego płynną angielszczyzną, poszła za nim bez dalszego sprzeciwu.

Przebiegli jedną ulicę, później drugą, nie spotykając na szczęście nikogo. Zbliżali się już do granicy miasta i wkrótce ją minęli. Blood biegiem prowadził pobladałą i osłabioną dziewczynę na wzgórze w kierunku domu pułkownika Bishopa. Opowiedział jej pokrótce, kim jest, a później oboje milczeli, aż doszli do wielkiego, białego domu. Nie widać było świateł, co świadczyło, że Hiszpanie jeszcze tu nie dotarli. Blood, uspokojony, musiał kilkakrotnie powtórzyć pukanie, zanim się odezwano. Jakiś głos zapytał z okna umieszczonego ponad drzwiami:

– Kto tam?

Głos, jakkolwiek niepewny, należał niechybnie do panny Bishop. Blood omal nie zemdlał z ulgi. Wyobrażał sobie nieprawdopodobne historie. Widział już ją w wyobraźni w tym piekle, z którego dopiero co się wyrwał. Mogła bowiem towarzyszyć stryjowi do Bridgetown lub też popełnić jakąś

inną nieostrożność. Na samą myśl, co się jej tam mogło przydarzyć, włosy stawały mu dęba.

– To ja, Piotr Blood – zawołał.

– Czego pan chce?

Wątpliwe, czy zdecydowałyby się zejść na dół otworzyć drzwi. W takiej chwili nieszczęśliwi niewolnicy z plantacji mogli się zbuntować i być bardziej groźni niż Hiszpanie. Lecz na dźwięk głosu panny Bishop uratowana przez Blooda dziewczyna spojrzała ku górze, starając się przeniknąć ciemności.

– Arabello! – zawołała. – To ja, Mary Traill!

– Mary! – Po tym okrzyku głos na górze umilkł, głowa znikła i po krótkiej przerwie drzwi otworzyły się na oścież. Za nimi, w szerokiej sieni, stała panna Arabella, szczupła postać w bieli, tajemniczo oświetlona płomieniem trzymanej w ręku świecy.

Blood wszedł, a za nim jego drżąca towarzysząca, która padając na pierś Arabelli wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Lecz Blood nie marnował czasu.

– Kogo pani tu ma ze sobą? Jaką służbę? – zapytał ostro. Jedynym mężczyzną był stary stajenny, Murzyn James.

– Oto właściwy człowiek – rzekł Blood. – Rozkaż mu pani wyprowadzić konie i uchodźcie natychmiast do Speightstown lub jeszcze dalej na północ, gdzie będziecie bezpieczne. Tu jesteście w niebezpieczeństwie, w strasliwym niebezpieczeństwie.

– Sądziłam, że walka już się skończyła – zaczęła panna, blada i zdziwiona.

– Istotnie, skończyła się, lecz diabelstwa dopiero się rozpoczynają. Panna Traill opowie pani w drodze. Na miłość boską! Pani, zawierz mojemu słowu i czyń, jak ci powiedziałem.

– On... on ocalił mnie – łkała panna Traill.

– Ocalił? – zapytała przerażona panna Bishop. – Ocalił cię Od czego?

– Nie ma teraz czasu na opowieści – przeciął Blood niemal gniewnie – będziecie miały całą noc na gadanie, kiedy nareszcie wydostaniecie się stąd poza zasięg ich działania. Niechże pani nareszcie zawoła Jamesa i robi, jak powiedziałem, i to szybko!

– Pan jest bardzo stanowczy!

– O mój Boże! Jestem stanowczy! Panno Traill, niech pani jej powie, czy mam powody do stanowczości.

– Tak, tak – krzyknęła dziewczyna dygocąc ze strachu. – Zrób, co on mówi! Na miłość boską, Arabello!

Arabella odeszła pozostawiając Blooda i pannę Traill samych,

– Ja... ja nigdy nie zapomnę tego, co pan dla mnie uczynił – powiedziała dziewczyna przestając płakać. Była bardzo młoda, prawie dziecko jeszcze.

– Lepszych czynów dokonywałem w swoim czasie. Dlatego tutaj jestem – rzekł Blood lakonicznie.

Dziewczyna nie próbowała nawet zrozumieć jego słów.

– Czy... czy pan go zabił? – zapytała z lękiem.

Popatrzył na nią w drżącym świetle świecy.

– Spodziewam się. Jest to bardzo prawdopodobne i nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest tylko, czy ten wasz James zdąży osiodłać na czas konie. – Chciał odejść, żeby przyspieszyć przygotowania do odjazdu, lecz głos dziewczyny wstrzymał go.

– Niech pan mnie nie zostawia! Niech pan mnie nie zostawia samej! – zawołała w przerażeniu.

Blood zatrzymał się, obejrzał i powoli powrócił na swoje miejsce. Stojąc obok niej, rzekł z uśmiechem:

– No, no! Nie ma powodu do paniki. To wszystko już minęło. Za chwilę będziesz w drodze do Speightstown, gdzie nic ci nie będzie groziło.

Wreszcie nadeszły konie – cała czwórka, gdyż oprócz Jamesa, który miał być ich przewodnikiem, panna Bishop zabierała ze sobą kobietę służebną, nie chcąc zostawiać jej w domu.

Blood podsadził na siodło lekką jak piórko Mary Traill i odwrócił się do siedzącej już na koniu Arabelli. Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz rozmyślił się.

Konie ruszyły i wnet rozplynęły się w szafirowym mroku gwiazdzistej nocy, pozostawiając go przy drzwiach domu pułkownika Bishopa. Usłyszał jeszcze drżący głosik Mary:

– Nigdy nie zapomnę, coś dla mnie uczynił! Nigdy nie zapomnę!

Lecz ponieważ nie był to głos, który pragnąłby usłyszeć, zapewnienie takie nie ucieszyło go zbyt. Stał teraz w ciemności, obserwując świetliki latające między rododendronami, dopóki dźwięk kopyt nie ucichł w oddali.

Wtedy westchnął i otrząsnął się z zamyślenia. Było jeszcze wiele do zrobienia. Jego wizyta w Bridgetown nie wynikała tylko z próżnej ciekawości ujrzania, jak się zachowują Hiszpanie w zdobytym mieście. Miała ona na celu uzyskanie wielu cennych informacji i cel ten został osiągnięty. Blood miał przed sobą pracowitą noc i musiał się spieszyć. Odszedł szybko w kierunku palisady, gdzie towarzysze oczekiwali go z głębokim niepokojem i nadzieją.

IX

SKAZAŃCY

Gdy purpurowy mrok tropikalnej nocy zapadł nad Morzem Karaibskim, na pokładzie statku „Pięć Ran” nie pozostało więcej niż dziesięciu ludzi, tak pewni byli Hiszpanie – i nie bez racji – zupełnej uległości mieszkańców wyspy.

Tych dziesięciu strażników nie wypełniało zbyt gorliwie swych obowiązków.

W gruncie rzeczy, podczas gdy większość Hiszpanów ucztowała i hulała na lądzie, kanonierzy, którzy tak pięknie wykonali swe zadanie i zapewnili łatwe zwycięstwo, raczyli się na międzypokładzie winem i świeżym mięsem, dostarczonym z lądu. Na górnym pokładzie czuwało tylko dwóch wartowników, jeden na dziobie, a drugi na rufie²⁴ okrętu. Gdyby byli bardziej czujni, z pewnością spostrzegliby dwie łodzie odbijające pod osłoną ciemności od nabrzeża i cicho, z dobrze naoliwionymi dulkami²⁵, podpływające do rufy wielkiego okrętu.

Z galerii na rufie zwisał jeszcze trap²⁶, po którym don Diego zeszedł do łodzi, udając się na ląd. Wartownik, odbywający straż na rufie, obchodził właśnie galerię, gdy nagle spotkał się oko w oko z ciemną postacią mężczyzny stojącego przed nim na drabince.

– Kto tam? – zapytał bez trwogi, przypuszczając, że to jeden z towarzyszy.

– To ja – odpowiedział cicho Blood z akcentem rodowitego Kastylijczyka.

– To ty, Pedro? – Hiszpan zbliżył się o krok.

– Na imię mi Piotr, lecz wątpię, czy jestem tym Piotrem, którego oczekujesz.

– Jak to? – spytał wartownik przystając.

– A tak – odparł Blood.

Drewniany reling²⁷ był niski, a Hiszpan został kompletnie zaskoczony. Wpadł do wody o włos od natłoczonej szalupy i tylko plusk fal zdradził, że się coś stało. Ciężko zbrojny w półpancerz, nagolenniki i hełm, poszedł na dno, nie sprawiwszy więcej żadnego kłopotu.

– Psst! – syknął Blood na oczekujących go skazańców. – Chodźcie teraz, tylko bez hałasu.

W ciągu pięciu minut cała dwudziestka wyroiła się z wąskiej galerii na pokład i skryła na rufie.

Przed nimi zabłyśły światła. Pod wielką latarnią na dziobie ujrzeli sylwetkę drugiego wartownika. Z pokładu działowego dochodziły odgłosy orgii. Gruby, męski głos śpiewał sprośną piosenkę, a chór odpowiadał refrenem:

*Y estos son los usos de Castilla y de Leon.*²⁸

– Po tym, co dzisiaj widziałem, mogę w to uwierzyć – rzekł Blood i szepnął: – Naprzód, za mną.

Pochyleni, pomknęli bezszelestnie jak cienie do trapu, a później zsunęli się równie cicho na pokład. Dwie trzecie skazańców uzbroiło się w muszkiety znalezione w domu nadzorcy lub w broń chowaną przez Blooda na wypadek ucieczki. Pozostali mieli noże i kordelasy.

Na śródokręciu zaczęli chwilę, dopóki Blood nie przekonał się, że oprócz wartownika na dziobie – nikogo nie było na pokładzie. Z nim więc należało rozprawić się najpierw. Blood poczołgał się naprzód z dwoma towarzyszami, pozostawiając resztę pod dowództwem Nathaniela Hagthorpe’a, którego stopień oficera królewskiej marynarki wojennej najbardziej upoważniał do tej roli.

Nieobecność Blooda trwała krótko. Kiedy wrócił do zesłańców, na pokładzie hiszpańskiego okrętu nie było już wartowników.

Tymczasem pod pokładem trwała beztraska zabawa, ucztujący bowiem

byli przeświadczeni o zupełnym bezpieczeństwie. Garnizon Barbadosu uległ przemocy i został rozbrojony, a ich towarzysze całkowicie opanowali miasto i żarłocznie spożywali owoce zwycięstwa. Czegóż więc było się obawiać? nawet gdy gromada obrośniętych, półnagich ludzi, niegdyś białych, lecz teraz podobnych do hordy dzikusów, wtargnęła do międzypokładu i otoczyła ich, Hiszpanie nie wierzyli własnym oczom.

Bo i któż by się spodziewał, że garstka zapomnianych niewolników z plantacji odważy się na takie ryzyko?

Śmiech zamarł na ustach na wpół pijanych Hiszpanów, a dźwięki piosenki zastygły na wargach, gdy spojrzeli zdrętwiali ze zdumienia w lufy skierowanych na nich muszkietów.

Wtem z gromady nieokrzesanych dzikusów wystąpił smukły, wysoki mężczyzna o jasnoniebieskich oczach w ogorzałej twarzy, oczach lśniących iskierkami złośliwego humoru, i odezwał się najczystszy językiem kastylijskim:

– Oszczędzicie sobie bólu i kłopotu poddając się i pozwalając się zamknąć w bezpiecznym miejscu.

– Panno Najświętsza! – zawołał jeden z kanonierów, co bynajmniej nie małoowało jego zdumienia.

– Pozwólcie, panowie – rzekł Blood, po czym hiszpańscy gentlemani zostali bez dalszych korowodów, poza kilku szturchnięciami muszkietem, zepchnięci przez luk do ładowni.

Skazańcy pokrzepili się obfitym jadłem, którego nie dali dokończyć Hiszpanom. Posmakować dobrej, ludzkiej stawy po miesiącach odżywiania się soloną rybą i plackami kukurydzanymi było dla tych nieszczęśników prawdziwą ucztą. Lecz nie posuwano się do przesady. Blood pilnował tego z wrodzoną stanowczością.

Należało teraz bez zwłoki ułożyć dalszy plan działania, zanim można się będzie oddać rozkoszom zwycięstwa. To, czego dokonali, było tylko wstępną potyczką, chociaż dało im do rąk klucze sytuacji. Trzeba było pokierować sprawą tak, aby z obecnego położenia wyciągnąć wszystkie możliwe korzyści. Przygotowania zajęły im prawie całą noc. Lecz gdy słońce wyrzało zza góry Hillbay, aby rozpocząć dzień niespodzianek, wszystko już było gotowe.

Wkrótce po wschodzie słońca były skazaniec, przemierzający rufę

w hiszpańskim pancerzu i hełmie, z hiszpańskim muszkietem na ramieniu, oznajmił zbliżanie się łodzi. Był to don Diego de Espinosa y Valdez powracający na pokład z czterema wielkimi skrzyniami. W każdej z nich znajdowało się po dwadzieścia pięć tysięcy dukatów, złożonych o świcie jako okup przez gubernatora Steeda. Towarzyszył mu syn, don Esteban, i sześciu ludzi przy wiosłach.

Na pokładzie fregaty panował zupełny spokój i porządek. Okręt stał na kotwicy, zwrócony do lądu lewą burtą, a trap był spuszczonej z prawej. Łódź wioząca don Diega i jego skarb musiała okrążyć statek, aby podejść do trapu. Blood wydał mądre rozkazy. Nie na próżno służył pod de Ruyterem. Wytyki²⁹ czekały, a kabestany³⁰ były obsadzone przez załogę. Na międzypokładzie kanonierzy stali w gotowości, pod komendą Ogle'a, który jak już powiedziałem, był kanonierem w królewskiej marynarce wojennej, zanim zajął się polityką i połączył swój los z księciem Monmouthem; Ten mocny, rezolutny chłop wzbudzał zaufanie wielką pewnością siebie.

Don Diego wszedł po trapie i wkroczył na pokład, nie żywiąc żadnych obaw. Bo i cóż mógł podejrzewać?

Lecz zanim zdążył się obejrzeć i dokonać przeglądu straży, ustawionej w szyku na jego powitanie, stracił przytomność, uderzony przez Hagthorpe'a w głowę ręką, kordelasa. Cios zwałił go z nóg bez najmniejszego hałasu.

Zniesiono go do kabiny, a skazańcy wciągnęli na pokład skrzynie ze skarbami, podawane z łodzi przez ludzi don Diega. Kiedy załatwiono się ze skrzyniami, don Esteban i wiosłarze weszli gęsiego po trapie. Rozprawiono się z nimi równie skutecznie jak z don Diegiem. Piotr Blood robił takie rzeczy z talentem i pewnym zamiłowaniem do teatralności. Z pewnością teatralne wydało się bowiem pozostałym przy życiu ofiarom wyprawy to, co teraz ujrzeli.

Anglicy, z pułkownikiem Bishopem i chorym na podagrę gubernatorem Steedem na czele, siedząc na ruinach wału, ponurym okiem śledzili odbijanie od brzegu ośmiu łodzi napełnionych hiszpańskim żołdactwem, sytym grabieży, mordów, niewypowiedzianych okrucieństw i gwałtów.

Patrzyli na odpływających, wahając się między ulgą z racji odjazdu bezlitosnych wrogów a rozpaczą na widok zniszczenia, jakie na dłuższy czas przynajmniej położyło kres dobrobytowi i beztrósce małej kolonii.

Łodzie oddalały się, obładowane roześmianymi i szydzącymi Hiszpanami, którzy natrzęsali się; jeszcze ze swych ofiar. Gdy znalazły się w pół drogi między nabrzeżem a statkiem, powietrzem wstrząsnął nagle huk armatniego wystrzału.

Kula uderzyła w wodę w odległości sążnia od pierwszej łodzi, zalewając załogę deszczem bryzgów. Marynarze zamilkli na chwilę i rzucili wiosła. Potem wybuchnęli wrzaskiem i gniewnymi przekleństwami pod adresem nieostrożnego kanoniera, oddającego im salut ostrym nabojem.

Przekleństwa jeszcze nie ucichły, gdy drugi wystrzał, wycelowany lepiej od pierwszego, rozbił w drzazgi jedną z łodzi, wrzucając do wody żywych i zabitych Hiszpanów.

Lecz o ile załoga tej łodzi została uciszona na zawsze, siedem innych rozgorzało jeszcze gwałtowniejszym gniewem i wściekłością. Wiosła uniosły się z wody, Hiszpanie zaś powstali w łodziach, miotając przekleństwa na statek i pytając niebo i piekło, jaki to szaleniec dobrał się do dział. W sam ich środek wpadł ze straszliwą celnością trzeci pocisk, rozbijając drugą szalupę. Nastąpił znów moment pełnego grozy milczenia, a później piraci, szwargocąc, pokrzykując i gwałtownie uderzając wiosłami, spróbowali odpłynąć we wszystkich kierunkach na raz. Jedni chcieli uciekać na ląd, inni wiosłować prosto do statku i zbadać, co się tam zdarzyło. Na pewno coś tu było nie w porządku, tym bardziej że podczas ich sporów i dyskusji jeszcze dwa wystrzały przecięły powietrze zatapiając trzecią łódź.

Rezolutny Ogle doskonale wywiązywał się ze swoich obowiązków, pokazując, iż słusznie cieszył się opinią dobrego kanoniera. Skonsternowani piraci ułatwili mu zadanie, skupiając łodzie w jednym punkcie. Po następnym strzale Hiszpanie już się nie sprzecjali, lecz jak jeden mąż zawrócili do brzegu. Zanim wykonali ten manewr, jeszcze dwie łodzie zostały trafione.

Pozostałe trzy, nie troszcząc się o tonących, skierowały się całą szybkością do nabrzeża.

Jeśli Hiszpanie niewiele z tego wszystkiego rozumieli, to nieszczęśni mieszkańcy Bridgetown pojmovali jeszcze mniej, aż do chwili kiedy flaga Hiszpanii, powiewająca na głównym maszcie okrętu „Pięć Ran”, została spuszczone, a na jej miejsce podniosła się flaga Anglii. Nawet wówczas jeszcze niezupełnie orientowali się w sytuacji, śledząc z przerażeniem

powrót wrogów, którzy przecież mogli wyrzucić na nich wściekłość, obudzoną tak niezwykłym zdarzeniem.

Jednakże Ogle dawał w dalszym ciągu dowody swego doświadczenia w sztuce artyleryjskiej. Jego strzały goniły uciekających Hiszpanów. Ostatnia z łodzi poszła w drzazgi w chwili, gdy dobijała do nabrzeża, a jej resztki zostały zagrzebane pod gradem odpryskujących kamieni.

Taki był koniec pirackiej załogi, zaledwie dziesięć minut temu liczącej wśród śmiechu swe łupy. Około sześćdziesięciu pozostałych przy życiu korsarzy zdołało dopłynąć do brzegu. W braku jakichkolwiek zapisków dotyczących ich dalszego losu trudno powiedzieć, czy można im było pogratulować ocalenia. Ten brak zapisków ma swoją wymowę. Wiemy tylko, że wychodzący na brzeg zostali pojmani i zapewne niejeden z nich wolałby tego nie dożyć.

Pozostała jeszcze do rozwiązania tajemnica odsiecz, która nadeszła rzeczywiście za pięć dwunasta, by pomścić się na Hiszpanach i ocalić mieszkańcom wyspy wyciśnięty z nich okup stu tysięcy dukatów. Jak wynikało z ostatnich wydarzeń, okręt „Pięć Ran” znajdował się w przyjaznych rękach. Lecz mieszkańcy Bridgetown próżno głowili się, kto nim zawładnął i skąd się tam wziął. Jedyne możliwe przypuszczenie nie odbiegało zresztą wiele od prawdy. Jakaś zdecydowana grupa wyspiarzy musiała dostać się w nocy na statek i opanować go. Pozostało tylko zidentyfikować tych tajemniczych zbawców i oddać im należne honory.

Ponieważ stan gubernatora Steeda nie zezwalał mu na osobiste załatwienie sprawy, na okręt udał się w jego imieniu pułkownik Bishop w towarzystwie dwóch oficerów.

Gdy wyszedł z trapu na śródokręcie, ujrzał tam obok głównego luku cztery skrzynie ze złotem. Zawartość jednej z nich została złożona prawie wyłącznie przez niego. Był to radosny widok i oczy Bishopa zabłysły chciwością.

Na pokładzie stało naprzeciw siebie, w dwóch wyrównanych szeregach dwudziestu ludzi w stalowych pancerzach, lśniących hiszpańskich hełmach, ocieńających twarze, i z muszkietami w rękę.

Pułkownik Bishop nie mógł na pierwszy rzut oka poznać w tych sprężystych, błyszczących, żołnierskich postaciach obdartych, rozczochranych straszdeł, wczoraj jeszcze harujących na jego plantacjach.

Tym bardziej nie mógł w pierwszej chwili poznać dwornego gentlemiana, który zbliżył się, by go powitać. Był to szczupły wytworny mężczyzna, odziany według hiszpańskiej mody w czarną suknię ze srebrną koronką. Na haftowanych złotem rapciach zwisał miecz o pozłacanej rękojeści, a spod szerokiego, filcowego kapelusza ze wspaniałym pióropuszem wymykały się starannie utrefione loki, czarne niczym skrzydła kruka.

– Witaj na pokładzie okrętu „Pięciu Ran”, kochany pułkowniku! – odezwał się do plantatora dziwnie znajomy głos. – Skorzystaliśmy z najlepszej garderoby Hiszpanów, aby się godnie wystroić na twoje przyjęcie, chociaż nie spodziewaliśmy się ujrzeć cię we własnej osobie. Znajdujesz się wśród przyjaciół, i to starych przyjaciół.

Pułkownik spozierał osłupiały. Blood, wystrojony z wrodzonym smakiem w te wszystkie wspaniałości i starannie wygolony, wydawał się odmłodniały. Teraz dopiero wyglądał na swoje trzydzieści trzy lata.

– Piotrze Blood! – Okrzyk zdumienia przerodził się wnet w zadowolenie. – A więc to ty?...

– Tak, to ja. Ja i ci nasi wspólni przyjaciele. – Blood odrzucił z dłoni koronkowy mankiet, aby ręką wskazać szereg ludzi stojących na baczność.

Pułkownik przyjrzał się im uważnie.

– Jak Boga kocham! – zapał na nutę głupiej radości, – I z tymi ludźmi zdobyłeś hiszpański okręt i dałeś tym psom nauczkę! Na rany boskie! To przecież bohaterska legenda!

– Legenda powiadasz? Bogać, to cała epepeja! Zaczynasz teraz oceniać głębię mego geniuszu!

Pułkownik usiadł na zrębie luku, zdjął swój szeroki kapelusz i otarł czoło.

– Zadziwiasz mnie! – wyrzekł. – Na mą duszę, zadziwiasz mnie! Opanować ten piękny okręt ze wszystkim, co zawiera, i odzyskać okup! Zrównoważy to w niemałej części inne straty, któreśmy ponieśli. Jak Boga kocham, zasłużyłeś na nagrodę.

– Jestem w zupełności tego samego zdania.

– Niech mnie kule biją! Wszyscy zasłużyliście na nagrodę i nie będziecie narzekać na moją niewdzięczność.

– Tak właśnie być powinno – odrzekł Blood. – Chodzi tylko o to, na cośmy zasłużyli i jaka będzie ta twoja wdzięczność?

Pułkownik Bishop spojrzał nań. Na twarzy jego odmalowało się

zdziwienie.

– Jakżeż! Jego ekscelencja napisze do kraju o waszym wyczynie i być może pewna część kary zostanie wam darowana.

– Wspaniałomyślność króla Jakuba jest dobrze znana – zadrwił stojący opodal Nathaniel Hagthorpe, a jeden ze skazańców parsknął śmiechem.

Pułkownik wstał, lekko zmieszany. Zaczęło mu świtać, że na tym statku nie wszystko było tak przyjazne, jak się wydawało na pierwszy rzut oka.

– Jest jeszcze inna sprawa – podjął Blood. – Sprawa oczekującej mnie chłosty. Pan jest człowiekiem honoru w takich wypadkach, pułkowniku... Choć może nie w innych... Obiecał pan, o ile pamiętam, nie pozostawić ani cała skóry na moim grzbiecie.

Plantator niecierpliwie machnął ręką. Wydawał się niemal urażony.

– Cóż znowu! Czy sądzisz, iż mogę myśleć o tym po waszym wspaniałym wyczynie?

– Miło mi to usłyszeć. Na me szczęście jednak Hiszpanie nie zjawili się dzisiaj, lecz wczoraj, inaczej znajdowałbym się teraz w takim stanie jak Jeremiasz Pitt. A wtedy, co by się stało z geniuszem, który tak urządził przeklętych Hiszpanów?

– Czemu mówić o tym teraz?

– Muszę, kochany pułkowniku. Obciążają cię czyny niesprawiedliwe i okrucieństwa i chcę, byś dzisiaj dostał lekcję i zapamiętał ją dobrze ze względu na tych, co przyjdą po nas. Tam, w kabinie, leży biedny Jeremiasz, z grzbietem mieniącym się wszystkimi kolorami tęczy; nie wiadomo, czy przyjdzie do siebie przed upływem miesiąca. Gdyby nie Hiszpanie, może nie żyłby już teraz, zarówno jak i ja.

Hagthorpe wysunął się naprzód. Był to wysoki, energiczny mężczyzna o przyjemnej twarzy i pięknie wykrojonym profilu, wskazującym na jego wysokie urodzenie.

– Czemu tracisz tyle słów na tego wieprza? – zapytał ten były oficer królewskiej marynarki wojennej. – Wyrzucić go za burtę i sprawa załatwiona.

Oczy pułkownika niemal wystąpiły z orbit.

– Co to, do diabła, ma znaczyć?! – wykrzyknął.

– Masz pan szczęście, pułkowniku, chociaż nie zgadujesz z pewnością, czemu je zawdzięczasz.

Do rozmowy wmieszał się teraz kto inny: krzepki, jednooki Wolverstone,

bardziej bezlitosny od swego rycerskiego towarzysza.

– Powieś go na rei³¹ – zawołał niskim głosem, szorstko i gniewnie, a paru byłych niewolników, stojących teraz pod bronią, powtórzyło jego okrzyk jak echo.

Bishop zadrżał. Blood odwrócił się zupełnie spokojnie.

– Za pozwoleniem, Wolverstone – powiedział – załatwiam sprawy, jak mnie się podoba. Taka była umowa. Proszę cię, byś o tym pamiętał.

Spojrzał po szeregach, dając do zrozumienia, że mówi do nich wszystkich.

– Życzę sobie, by pułkownikowi darowano życie choćby dlatego, iż przyda mi się jako zakładnik. Jeżeli koniecznie chcecie go powiesić, musicie powiesić i mnie razem z nim albo też wracam na ląd.

Przerwał. Odpowiedzi nie było. Ludzie stali zwarzeni i niezadowoleni, z wyjątkiem Hagthorpe'a, który wzruszył ramionami i uśmiechnął się ze znużeniem.

Blood podjął:

– Na statku jest tylko jeden kapitan. Przyjmijcie to do wiadomości. – Odwrócił się znowu do przestraszonego pułkownika. – Chociaż przyrzekłem panu życie, muszę, jak pan słyszał, zatrzymać cię na statku jako zakładnika. Zapewni nam to przyzwoite zachowanie się gubernatora Steeda i ruin fortu do chwili wyjścia statku na morze.

– Statku... – Przerazenie przeszkodziło pułkownikowi powtórzyć koniec tego nieprawdopodobnego zdania.

– Tak właśnie... – rzekł Blood i zwrócił się do oficerów towarzyszących pułkownikowi. – Łódź czeka na was, panowie. Słyszeliście, co powiedziałem. Przekażecie to wraz z pozdrowieniami jego ekscelencji.

– Ależ, panie... – zaczął jeden z nich.

– Nie ma o czym mówić, panowie. Nazywam się Blood, za pozwoleniem, kapitan okrętu „Pięć Ran”, zdobytego jako łup wojenny na don Diego de Espinosa y Valdez, moim jeńcu. Musicie zrozumieć, że dałem nauczkę nie tylko Hiszpanom. Oto trap. Wygodniej wam będzie zejść po nim niż narazić się na wrzucenie do wody, które czeka was, jeśli będziecie jeszcze zwlekać z odjazdem.

Oficerowie, przynaglani, odплыnęli, nie zważając na ryki Bishopa, rozwścieczonego do ostateczności perspektywą pozostania na łasce ludzi

żywiących do niego tak zasłużoną nienawiść.

Sześciu skazańców, pomijając Pitta, niezdolnego na razie do żadnej pracy, znało się trochę na żeglarstwie. Hagthorpe, choć był oficerem w czynnej służbie i nie znał się na nawigacji, wiedział jednak, jak obchodzić się ze statkiem, i pod jego kierownictwem przygotowano się do odpłynięcia.

Z podniesioną kotwicą i rozwiniętym grotzagle statek skierował się na pełne morze, bez przeszkody ze strony fortu, popędzany lekką bryzą.

Kiedy przechodził w pobliżu przylądka na wschód od zatoki, Blood wrócił do struchlałego i przygnębionego pułkownika, trzymanego pod strażą na zrębie głównego luku.

– Umiesz pływać, pułkowniku?

Bishop spojrział na doktora. Jego wielka twarz była w tej chwili żółta i wydawała się nienaturalnie zwiotczała, a małe, okrągłe oczy wprost wyłaziły z orbit.

– Jako lekarz, przepisuję ci teraz zimną kąpiel dla ochłodzenia zbyt gorących humorów.

Blood wyłożył sprawę uprzejmie, a nie otrzymując od Bishopa odpowiedzi, kontynuował:

– Twoje szczęście, że nie jestem tak krwiożerczy z natury jak niektórzy z moich przyjaciół. Diabelnie namęczyłem się z nimi, zanim udało mi się uchronić cię od ich zemsty. Nie wiem, czy wart jesteś tego trudu.

Blood łgał. Nie miał żadnych wątpliwości. Gdyby poszedł za własną chęcią i instynktem, z pewnością byłby powiesił pułkownika i uważał to za czyn chwalebny. Jedynie myśl o Arabelli Bishop skłoniła go do okazania litości i przeciwstawienia się naturalnemu pragnieniu zemsty ze strony niewolników, choć w ten sposób narażał się na bunt załogi. Pułkownik zawdzięczał życie wyłącznie pokrewieństwu z Arabellą, mimo iż nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Damy ci szansę dopłynięcia do lądu – rzekł Blood – do tamtego przylądka nie ma więcej niż ćwierć mili i jeżeli nie zajdzie nic niezwykłego, dasz sobie radę, tym bardziej że jesteś tłusty i z łatwością utrzymasz się na wodzie. Dalej więc! Nie wahaj się, bo inaczej będziesz musiał odbyć z nami długą podróż i diabeł wie, co ci się może przydarzyć. Nie zasłużyłeś sobie tu na zbytnią sympatię.

Pułkownik opanował się i powstał. Bezlitosny despota, który w ciągu tylu

lat nigdy nawet nie usiłował panować nad sobą, został zmuszony – o ironio losu! – do spokojnego zachowania się w tym właśnie momencie, gdy jego gniew doszedł do zenitu.

Blood wydał rozkaz. Za burtę wysunięto i przymocowano deskę.

– Proszę bardzo, pułkowniku – rzekł kapitan, wytwornym gestem zapraszając na nią gościa.

Pułkownik spojrział na Blooda, a w oczach jego malowało się piekło. Później, widząc, iż znikąd nie może się spodziewać pomocy, powziął decyzję i robiąc dobrą minę do złej gry, zrzucił buty, zdjął piękny kaftan z kremowej tafty i wdrapał się na deskę.

Przystanął na chwilę, chwytając ręką za wyblinki³² i spojrział ze strachem i zgrozą w płynącą pod nim zieloną toń o głębokości jakich dwudziestu pięciu stóp.

– Przespaceruj się, kochany pułkowniku – zabrzmiał za nim łagodny, drwiący głos.

Trzymając jeszcze linę, pułkownik Bishop rozejrzał się z wahaniem wokół i zobaczył ciemne twarze wychylające się zza nadburcia... twarze ludzi, którzy jeszcze wczoraj zbledliby ze strachu na widok jego zmarszczonego czoła, twarze, które teraz uśmiechały się złośliwie.

Na moment wściekłość przemogła w nim obawę. Zaklął głośno i jadowicie, puścił linką i wszedł na deskę. Po trzecim kroku stracił równowagę i wpadł w zieloną głębię.

Gdy wypłynął na powierzchnię, chwytając ustami powietrze, statek odszedł już kilka staj na podwietrzną³³. Lecz grzmiący okrzyk szyderczego pożegnania skazańców dobiegł go przez fale, zapuszczając głęboko w serce ostrze bezsilnej złości.

X

DON DIEGO

Don Diego de Espinosa y Valdez obudził się i leniwie rozejrzał po kabinie zalanej wpadającym przez kwadratowe otwory rufowe słońcem. Potem jęknął i zamknął znowu oczy, zmuszony do tego straszliwym bólem głowy. Leżąc w ten sposób, starał się zdać sobie sprawę z miejsca i czasu. Nie mógł jednak powiązać w myśli bólu głowy z brakiem pamięci.

Jakieś nieokreślone uczucie niepokoju kazało mu znowu otworzyć oczy i rozejrzeć się dokoła.

Niewątpliwie leżał w wielkiej kabinie swego własnego statku „Pięć Ran”, nie było więc powodu do najmniejszego lęku. A jednak strzępy pamięci, przychodzące z pomocą rozmyślaniom, ostrzegały go, że coś tu jest nie w porządku. Przede wszystkim promienie słoneczne wpadały do kabiny pod kątem ostrym, więc jeśli statek żeglował na zachód, mógł być dopiero wczesny poranek. Wtem przyszła mu do głowy inna możliwość. Mogli przecież żeglować na wschód, a w takim razie godzina byłaby przedwieczorna. Lekkie kołysanie zdradzało ruch statku. Lecz jak mógł statek płynąć, a on, jego kapitan, nie wiedzieć, czy kurs prowadzi na wschód czy na zachód, ani nie przypominać sobie, dokąd właściwie żeglują?

Wrócił pamięcią do przygód dnia wczorajszego, jeżeli to rzeczywiście zdarzyło się wczoraj. Zwycięski najazd na wyspę Barbados był faktem niezaprzeczalnym. Każdy szczegół stał żywo w jego wyobraźni aż do chwili, kiedy powracając na własny statek, wszedł na pokład. Tutaj wspomnienia

urywały się nagle i niewytłumaczalnie.

Łamał sobie głowę różnymi przypuszczeniami, gdy wtem drzwi otworzyły się i ze wzrastającym zdziwieniem don Diego ujrzał swój najpiękniejszy kostium wchodzący do kabiny. Był to niezwykle elegancki, typowo hiszpański strój z czarnej tafty, lamowany srebrnymi koronkami, uszyty dla niego rok temu w Kadyksie. Don Diego znał tak dobrze każdy jego szczegół, że nie mogło być mowy o omyłce.

Kostium zatrzymał się, aby zamknąć drzwi, a później podszedł do łóżka don Diega. Przyozdabiał wysokiego, szczupłego gentlemiana, który ze wzrostu i tuszy podobny był do niego samego. Widząc utkwione w nim szeroko otwarte, zdziwione oczy Hiszpana, mąż ów zbliżył się jeszcze o krok.

– Obudziłeś się już? – zapytał po hiszpańsku.

Espinosa spojrział ze zdumieniem w jasnoniebieskie oczy, spoglądające nań z opalonej, ironicznej twarzy, okolonej gęstwą czarnych loków. Zbyt był jednak zdziwiony, by zdobyć się na odpowiedź.

Palce przybysza dotknęły szczytu czaszki don Diega, na co ten drgnął i krzyknął z bólu.

– Boli, co? – spytał nieznajomy. Kciukiem i wskazującym palcem ujął przegub dłoni leżącego. Zaintrygowany Hiszpan odezwał się w końcu:

– Czy pan jest lekarzem?

– Tak, jestem również i lekarzem. – Śniady gentleman w dalszym ciągu badał puls pacjenta. – Silny i regularny – rzekł po chwili, puszcżając rękę. – Zatem nie poniósł pan żadnej szkody.

Don Diego z trudem usiadł na czerwonym, pluszowym łóżku.

– Kim jesteś, u diabła? – spytał. – I co, do pioruna, robisz w moim ubraniu i na moim okręcie?

Pięknie zarysowane czarne brwi uniosły się, a szerokie usta nieznajomego zadrgały lekkim uśmiechem.

– Obawiam się, że jesteś jeszcze nieprzytomny. To jest mój okręt i ubranie jest moje.

– Twój okręt? – powtórzył Hiszpan w osłupieniu i jeszcze bardziej zdziwiony dodał: – Twoje? Lecz... w takim razie... – Rozglądał się dziko wokół, zatrzymując się na każdym znajomym sprzęcie. – Czyżbym oszalał? – zapytał w końcu. – Czy ten okręt to na pewno „Pięć Ran”?

– Tak, to rzeczywiście „Pięć Ran”.

– A zatem... – Hiszpan przerwał, a w jego oczach odmalował się jeszcze większy niepokój. – *Volga me Dios!* – zawołał śmiertelnie przerażony. – Czy może powiesz mi jeszcze, że jesteś don Diego de Espinosa?

– Och nie! Nazywam się Blood... Kapitan Piotr Blood. Ten okręt zarówno jak i te piękne szaty należą do mnie prawem zdobyczy. A pan, don Diego, jest moim jeńcem.

Wyjaśnienie to, jakkolwiek zadziwiające, uspokoiło don Diego, bo w każdym razie mniej było niezwykle niż to, co zaczął sobie wyobrażać.

– Lecz... Czy nie jesteś pan Hiszpanem?

– Pytanie to pochlebia mojej kastylijskiej wymowie. Mam zaszczyt być Irlandczykiem. Wydawało ci się zapewne, że stał się jakiś cud. Istotnie... jest to cud dokonany przez mój niepośledni geniusz.

Kapitan Blood rozwiął teraz tajemnicę, zwięźle opowiadając o przebiegu wypadków. Słuchający go Hiszpan na przemian to bladł, to się rumienił. Dotknął ręką tyłu głowy, znajdując tam potwierdzenie wszystkiego w formie guza, wielkiego jak gołębie jajo. Wreszcie obrzucił przerażonym wzrokiem sardonicznego kapitana Blooda.

– A mój syn? Co z moim synem? – zawołał. – Znajdował się razem ze mną w łodzi, która przywiozła mnie na statek.

– Syn pański jest bezpieczny. Wraz z załogą łodzi i kanonierami przebywa skutny w ładowni.

Don Diego opadł na łoże, utkwivszy błyszczące, czarne oczy w ogorzałym obliczu Blooda. Po chwili opanował się ze stoicyzmem właściwym jego desperackiemu zawodowi. W tej grze kości padły przeciw niemu. Karta się odwróciła w chwili, gdy był u szczytu powodzenia. Ze spokojem fatalisty poddał się losowi.

Zapytał obojętnie:

– I co dalej, *senior capitan!*

– A dalej – odparł kapitan Blood – ponieważ jestem człowiekiem ludzkim, współczuję ci, że nie umarłeś od naszego klapsa. Zostaniesz bowiem narażony na przykrość umierania od początku.

– Ach! – Don Diego odetchnął głęboko. – Czy to rzeczywiście konieczne? – zapytał bez większego wzruszenia.

Niebieskie oczy kapitana Blooda pochwały jego zachowanie.

– A jak sądzisz? – zapytał. – Powiedz mi, jako doświadczony i krwiożerczy pirat, co byś zrobił na moim miejscu?

– Lecz jest pewna różnica. – Don Diego usiadł, aby przedyskutować sprawę. – Pan uważasz się za ludzkiego człowieka.

Kapitan Blood przysiadł na rogu długiego dębowego stołu.

– Nie jestem jednak głupcem – odparł – i nie pozwolę, by mój wrodzony irlandzki sentymentalizm stanął na drodze temu, co jest niezbędne i właściwe. Ty i dziesięciu łotrów z twojej pirackiej załogi jesteście stałą groźbą dla tego okrętu. Poza tym zapasy wody i żywności są niewystarczające. Nas jest co prawda niewielu, lecz wy zwiększacie niepotrzebnie tę ilość. Widzisz więc, że pod każdym względem przezorność nakazuje nam wyrzec się przyjemności waszego towarzystwa. Wobec nieuniknionej konieczności musimy zdobyć się na hart ducha i poprosić was o opuszczenie statku jak najkrótszą drogą... przez burzę.

– Rozumiem – odrzekł w zamyśleniu Hiszpan.

Zdjął nogi z posłania i siedział teraz na krawędzi łoża, z łokciami wspartymi o kolana. Zmierzył spojrzeniem rozmówcę i spotkał się z szyderczą uprzejmością, równą jego własnej.

– Przyznaję ci wiele racji – zgodził się pirat.

– Zdjąłeś mi ciężar z serca – rzekł kapitan Blood. – Nie chciałbym być nazbyt srogim, tym bardziej iż ja i moi przyjaciele tak dużo wam zawdzięczamy. Bo co tu wiele mówić, czymkolwiek była wasza wyprawa na Barbados dla innych, dla nas przyszła w najodpowiedniejszym czasie. Dlatego miło mi usłyszeć od ciebie te słowa.

Lecz ja się wcale na to nie zgadzam, przyjacielu.

– Jeżeli widzisz jaką inną alternatywę, chętnie ją rozpatrzę. Don Diego pogładził spiczastą czarną brodę.

– Pozwól mi zastanowić się do jutra. Ten przeklęty ból głowy nie pozwala mi zebrać myśli. A sprawa wymaga poważnego przemyślenia.

Kapitan Blood powstał, zdjął z półki półgodzinną klepsydę, przewrócił ją i postawił na stole.

– Nie chciałbym cię przynaglać, Don Diego, lecz mogę ci dać tylko pół godziny do namysłu. Jeżeli do chwili, kiedy piasek przesypie się, nie przedłożysz mi żadnej możliwej do przyjęcia propozycji, będę musiał, aczkolwiek niechętnie, wyprosić ciebie i twoich towarzyszy za burzę.

Skłonił się i odszedł zamykając drzwi.

Z łokciami na kolanach i twarzą ukrytą w dłoniach don Diego siedział, obserwując, jak rdzawe ziarenka piasku przesypują się z górnej kolby do dolnej. A gdy tak siedział, bruzdy na jego chudej, brązowej twarzy pogłębiały się. W chwili gdy ostatnie ziarenko piasku spłynęło z górnego naczynia, drzwi otwarły się ponownie.

Hiszpan westchnął i wyprostował się, by dać powracającemu kapitanowi odpowiedź.

– Przyszło mi do głowy pewne wyjście, panie kapitanie, lecz zależy ono od twego miłosierdzia. Wysadź nas na ląd na jednej z wysp tego zapowietrzonego archipelagu i pozostaw własnemu losowi.

Kapitan Blood wydał usta.

– Widzę tu pewne trudności – rzekł powoli.

– Obawiałem się tego. – Don Diego westchnął i wstał. – W takim razie nie mówmy już o tej sprawie.

Jasnoniebieskie oczy Blooda utkwione były w twarzy Hiszpana jak dwa stalowe ostrza.

– Nie obawiasz się śmierci, don Diego?

Hiszpan odrzucił głowę i zmarszczył brwi.

– Pytanie to jest obelgą, mój panie!

– W takim razie postawię je w inny, może zręczniejszy sposób: Czy chciałbyś żyć?

– Na to mogę odpowiedzieć. Chcę żyć, a jeszcze bardziej chcę, aby mój syn został przy życiu. Lecz to pragnienie nie uczyni ze mnie tchórza dla twojej przyjemności, mości szyderco. – Był to pierwszy znak oburzenia czy niezadowolenia z jego strony.

Kapitan Blood nie odpowiedział wprost. Jak przedtem, przysiadł na rogu stołu.

– Czy nie zechciałbyś, mój panie, zarobić na życie i wolność dla siebie, syna i Hiszpanów, którzy tu są na okręcie?

– Zarobić? – zapytał don Diego, a czujne oczy Blooda dostrzegły wahanie na jego twarzy. – Zarobić, powiadasz? Czemu nie, jeśli ta służba nie splami mojego honoru...

– Czy możesz mnie o to posądzać? – zaprotestował kapitan. – Wiem, że i pirat ma swój honor...

Nie zwlekając już wystąpił z propozycją:

– Jeżeli spojrzysz przez te okna, don Diego, ujrzysz jakby chmurę na horyzoncie. To jest wyspa Barbados, którą zostawiliśmy za rufą. Cały dzień żeglowaliśmy z wiatrem na wschód, aby odpłynąć od niej możliwie daleko. Lecz teraz, gdy straciliśmy ląd z oka, znaleźliśmy się w trudnym położeniu. Jedyne członek załogi, który zna sztukę nawigacji, ma gorączkę i ma jaczny na skutek złego traktowania, jakiego doznał przed ucieczką. Ja potrafię poprowadzić statek do boju, mam też na pokładzie kilku ludzi, którzy mogą mi w tym pomóc, lecz tajemnice nawigacji morskiej i sztuka odnajdywania drogi na bezdrożach oceanu są nam obce. Nie możemy trzymać się lądu i błędzić po tym, jak go słusznie nazwałeś, zapowietrzonym archipelagu, gdyż to groziłoby nam katastrofą, jak się sam zapewne domyślasz. Dlatego też pragniemy dostać się najkrótszą drogą do holenderskiej kolonii Curacao. Czy możesz zaręczyć mi honorem, że jeżeli cię puszcze na parol, dowieziesz nas tam? Jeżeli tak, to po przybyciu do Curacao zwolnimy ciebie i twoich ludzi.

Don Diego schylił głowę na piersi i w zamyśleniu podszedł do otworu rufowego. Stał tam, patrząc na zalane słońcem morze i smugę wody za rufą wielkiego okrętu, jego okrętu, zabranego przez te angielskie psy; jego okrętu, który miał teraz bezpiecznie zaprowadzić do portu, gdzie na zawsze go utraci i gdzie, być może, wyposażą go do walki przeciwko Hiszpanom. To było na jednej szali, a na drugiej spoczywało życie szesnastu ludzi. Nie zależało mu wiele na czternastu, lecz dwa pozostałe to życie własne i syna.

Odwrócił się w końcu, a ponieważ stał plecami do światła, kapitan nie mógł spostrzec, jak pobladł. – Zgadza się – rzekł.

XI

MIŁOŚĆ SYNOWSKA

Na mocy danego słowa don Diego de Espinosa mógł swobodnie poruszać się na niegdyś swoim okręcie, nawigacja zaś spoczywała całkowicie w jego rękach. Ponieważ zaś nowa załoga okrętu nie znała Morza Hiszpańskiego³⁴, a nawet to, co się zdarzyło w Bridgetown, nie nauczyło jej uważać każdego Hiszpana za okrutnika i zdrajcę, którego należy zabić jak wściekłego psa, traktowano dwornego pirata uprzejmie. Siadał do stołu w głównej kajucie razem z kapitanem Bloodem i trzema oficerami, którzy służyli mu pomocą: Hagthorpe'em, Wolverstone'em i Dyke'jem.

Uważali oni don Diega za przyjemnego, a nawet wesołego towarzysza i odnosili się do niego przyjaźnie, gdyż podobały im się hart ducha i równowaga, z jaką znosił przeciwności losu.

Trudno było podejrzewać Hiszpana o oszustwo. Nie miał do tego zresztą żadnego powodu. Odnosił się do nich szczerze i otwarcie. Wytknął im błąd, jaki popełnili żeglując z pomyślnym wiatrem po opuszczeniu Barbadosu. Należało pozostawić wyspę na podwietrznej, kierując się na Morze Karaibskie, jak najdalej od archipelagu. Teraz musieli znowu obejść ten archipelag, aby dopłynąć do Curacao, a ten manewr połączony był z pewnym ryzykiem. Można było natknąć się na równie silny, lub silniejszy, okręt hiszpański czy angielski, co byłoby dla nich jednakowo niebezpieczne, gdyż mając nieliczną załogę, nie mogli walczyć. Aby zmniejszyć ryzyko, don Diego wziął najpierw południowy, a później zachodni kurs. Żeglując w pół drogi

między wyspami Tobago a Grenadą, wyszli z niebezpiecznej strefy i wypłynęli na względnie spokojne Morze Karaibskie.

– Jeżeli wiatr utrzyma się – oznajmił tego wieczoru przy kolacji don Diego, podając pozycję statku – będziemy za trzy dni w Curacao.

Przez trzy dni wiatr nie zmieniał kierunku, a nawet drugiego dnia przybrał na sile, jednakże trzecia noc zapadła, a nie dobili jeszcze do lądu. Okręt „Pięć Ran” przecinał fale zamknięty w błękitnej czaszy oceanu. Zaniepokojony kapitan Blood wspomniął o tym Hiszpanowi.

– Jutro rano dojdziemy do lądu – odpowiedział Espinosa z pewnością siebie.

– Na wszystkich świętych! U was, Hiszpanów, wszystko jest zawsze „jutro”, a to „jutro” nigdy nie przychodzi, mój przyjacielu – odparł Blood.

– Lecz to „jutro” przyjdzie. O jak wczesnej porze nie wstałbyś don Pedro, ujrzyłbyś ląd przed sobą.

Kapitan Blood odszedł zadowolony i wstąpił do swego pacjenta, Pitta, którego chorobie don Diego zawdzięczał życie. Już od dwudziestu czterech godzin nie miał on gorączki, a jego poraniony grzbiet, opatrywany przez Blooda, goił się teraz na dobre. Na razie rekonwalescent czuł się o tyle lepiej, że zaczynał narzekać na bezczynność i gorąco panujące w kabinie. Blood uczynił zadość prośbie chorego i pozwolił mu zaczerpnąć powietrza na pokładzie. Gdy już ostatnie promienie słońca zniknęły z nieba, Jeremiasz Pitt wyszedł, wsparty na ramieniu kapitana.

Siedząc na zrębie luku, młodzieniec wciągnął w płuca chłodne, ożywcze nocne powietrze. Później, wiedziony instynktem marynarza, zwrócił oczy ku ciemniejącemu sklepieniu nieba, błyszczącemu już miriadami złotych światełek. Przez chwilę leniwie błędził po nich wzrokiem, lecz nagle uwaga jego zaostrzyła się. Spojrzał wokoło, a później na stojącego obok kapitana Blooda.

– Czy masz pojęcie o astronomii, Piotrze? – zapytał.

– O astronomii? Skądże znowu, nie potrafiłbym odróżnić Oriona od Krzyża Południa.

– Aha! Pewno wszystkie te szczury lądowe z twojej załogi znają się na gwiazdach nie lepiej niż ty sam.

– Uprzejmość nakazywałaby ci powiedzieć coś wręcz przeciwnego.

Jeremiasz wskazał na świetlny punkcik nad dziobem, z prawej burty.

– To jest Gwiazda Polarna – rzekł.

– Rzeczywiście? Chwała ci, ale jak potrafisz odróżnić ją od innych.

– A Gwiazda Polarna przed nami, nieomal przy dziobie z prawej burty, oznacza, że sterujemy kursem nord-nord-west³⁵ lub może nord-ten-west³⁶, gdyż wąpnię, czy odchylenie na zachód wynosi więcej niż dziesięć stopni.

– I cóż stąd? – zagadnął Blood.

– Ale zgodnie z tym, co powiedziałeś, powinniśmy płynąć na zachód od archipelagu, między Tobago i Grenadą, w kierunku Curacao. Gdyby tak było rzeczywiście, Gwiazda Polarna musiałaby się znajdować na trawersie³⁷, z prawej burty.

W jednej chwili Blood otrząsnął się z zadumy. Tknięty złym przeczuciem, chciał kontynuować rozmowę, gdy naraz potok światła, który buchnął z otwieranych drzwi kabiny nawigacyjnej, przebił ciemność ponad głowami. Drzwi zamknęły się i na trapie słyhać było kroki zbliżającego się don Diego. Kapitan Blood znacząco ścisnął palcami ramię Pitta i zwrócił się do Hiszpana po angielsku, jak zawsze w obecności innych.

– Czy nie zechciałbyś rozstrzygnąć naszego sporu, don Diego? – zapytał swobodnie. – Sprzeczasz się z Pittem, która to właściwie jest Gwiazda Polarna.

– Naprawdę? – W niewymuszonym tonie pirata zadźwięczał jakby powstrzymywany śmiech. Przyczynę tej wesołości wyjaśniło następne, nieco ironiczne zdanie: – Przecież Pitt miał być waszym nawigatorem?

– Z braku lepszego – zaśmiał się kapitan z dobroduszną pogardą. – Jestem gotów założyć się o sto dukatów, iż to jest Gwiazda Polarna – wskazał ręką na gwiazdę znajdującą się prosto na trawersie: Opowiadał później Pittowi, że gdyby don Diego przytaknął, przebiłby go na miejscu rapierem. Hiszpan jednak otwarcie wyraził swoje lekceważenie.

– Przemawia przez ciebie pewność nieuctwa, don Pedro – rzekł. – Przegrywasz zakład. Tu jest Gwiazda Polarna. – To mówiąc wskazał ją ręką.

– Jesteś tego pewien?

– Kochany don Pedro! – Ton Hiszpana brzmiał żartobliwym protestem. – Czy mógłbym się mylić? Czyż nie mamy zresztą kompasu? Chodź do naktuzu³⁸ i zobacz, jakim kursem sterujemy.

Jego całkowita szczerłość i swoboda człowieka nie mającego nic do ukrycia uspokoiły podejrzenia, zrodzone nagle w umyśle kapitana Blooda.

Lecz Pitt nie zadowolili się tak łatwo.

– W takim razie, don Diego – zapytał – może mi powiesz, dlaczego sterujemy na północ, jeżeli mamy płynąć do Curacao?

Don Diego nie zawahał się ani na chwilę.

– Słuszne pytanie – rzekł i westchnął – łudziłem się, iż tego nie zauważycie. Byłem niedbały, karygodnie niedbały. Jak już mi się to nieraz zdarzało, zaniedbałem obserwacji ciał niebieskich. Jestem zbyt pewny siebie i zanadto polegam na obliczeniach. Dzisiaj dopiero zająłem się kwadrantem i stwierdziłem, że jesteśmy prawie o pół stopnia za daleko na południe, a Curacao leży prawie na północ od nas. To jest przyczyną zwłoki. Lecz jutro z pewnością tam będziemy.

Tak zadowolające i szczere wyjaśnienie nie pozostawiało miejsca na dalsze wątpliwości, czy don Diego nie złamał swojego słowa. Toteż gdy Hiszpan odszedł, Blood zwierzył się Pittowi, iż nonsensem było go podejrzewać. Jakąkolwiek miał przeszłość, pirat zrehabilitował się, gdy był gotów wybrać raczej śmierć niż zobowiązać się do czegoś, co mogłoby przynieść uszczerbek jego honorowi lub jego ojczyźnie.

Nie znając hiszpańskich mórz i zwyczajów żeglujących po nich awanturników, kapitan Blood zachował jeszcze złudzenia. Lecz o świcie miały być one rozwiane gwałtownie i na zawsze.

Wychodząc na pokład przed wschodem słońca, Blood ujrzał przed dziobem ląd, jak mu to Hiszpan obiecywał poprzedniej nocy. O jakie dziesięć mil przed nimi rozciągała się długa linia brzegowa, zamykająca horyzont od wschodu i zachodu. Na ich kursie leżał duży przylądek. Patrząc na ląd, kapitan Blood zmarszczył się, nie przypuszczał bowiem, by wyspa Curacao była aż tak wielka. Wyglądało to raczej na kontynent niż na wyspę.

Jednocześnie zauważył wielki, lawirujący okręt. Szedł on pod wiatr, wykorzystując łagodną morską bryzę. Znajdował się w odległości trzech czy czterech mil i – jak można było ocenić z takiej odległości – miał tonaż równy lub większy niż „Pięć Ran”. Na oczach Blooda zmienił kurs i robiąc zwrot, poszedł bejdewindem³⁹ prosto na nich.

Około dwunastu jego ludzi stało na przednim kasztelu, patrząc skwapliwie naprzód, a dźwięk ich głosów i śmiechu docierał przez całą długość okazałego okrętu „Pięciu Ran”.

– Oto – doszły go zza pleców słowa wypowiedziane cichym głosem

w języku hiszpańskim – jest ziemia obiecana, don Pedro.

W głosie tym odczuwało się ukryty tryumf, który wzbudził podejrzenie kapitana i utwierdził jego wątpliwości. Odwrócił się do don Diego tak szybko, że zdążył jeszcze dostrzec na obliczu Hiszpana chytry uśmiech.

– Mimo wszystko okazujesz dziwną radość na ten widok – zauważył Blood.

– Naturalnie. – Hiszpan zacierał lekko drżące ręce. – Jest to zadowolenie żeglarza, który doprowadził statek do portu.

– A może to radość zdrajcy? – zapytał spokojnie Blood.

A gdy Hiszpan cofnął się nagle zmienionym obliczem, potwierdzającym wszelkie podejrzenia, kapitan wyciągnął rękę w kierunku brzegu i zapytał:

– Cóż to za ląd? Będziesz miał czelność twierdzić, że to wybrzeże Curacao?

Zbliżył się groźnie do cofającego się krok za krokiem don Diega.

– Mam ci powiedzieć, co to za ląd? – zagrział. Jego pewność siebie zdawała się zbijać z tropu Hiszpana, bo milczał uparcie. I wtedy Blood wymierzył cios na ślepo... choć może niezupełnie na ślepo. Tak długa linia brzegowa jeśli nie oznaczała kontynentu, a nie mógł to być przecież kontynent południowoamerykański, należała do Kuby albo Hispanioli⁴⁰. Ponieważ zaś Kuba leżała dalej na północny zachód, don Diego, gdyby knuł zdradę, winien był skierować statek do bliższej z tych dwóch kolonii hiszpańskich.

– Ten ląd, ty podły, zradziecki, hiszpański psie, jest wyspą Hispanioli!

Mówiąc to czujnie śledził ciemną twarz Hiszpana, nagle poblądła, chcąc wyczytać z niej trafność lub mylność swego przypuszczenia. Pirat cofnął się i znalazł na środku rufy, gdzie bezanżagiel⁴¹ zasłonił ich obu przed oczyma Anglików na pokładzie. Usta Hiszpana wykrzywiły się szatańskim uśmiechem.

– *Ah, perro ingles!* Za dużo wiesz – syknął i rzucił się do gardła kapitanowi.

Zwarli się ramionami, mocując się przez moment, a potem obaj runęli na pokład, Blood bowiem podbił prawą nogą stopy Hiszpana. Don Diego liczył na swoją niemałą siłę. Zamierzał udusić Blooda i zyskać w ten sposób pół godziny, potrzebne, by zbliżyć się do płynącego zygzakiem okrętu. Musiał to być okręt hiszpański, gdyż żaden inny nie odważyłby się żeglować na hiszpańskich wodach Hispanioli. Siły pirata jednak nie dorównały

mocnym mięśniom Irlandczyka, zahartowanym przez przeciwności niewoli. Zdradził się tylko w ten sposób ze swymi zamiarami. Zrozumiał to w chwili, gdy Blood obalił go na ziemię i ukląkł na piersi, a załoga, zwabiona wołaniem kapitana, nadbiegła z pomocą.

– Czy mam zmówić pacierz za twoją plugawą duszę? – zadrwił wściekle Blood.

Lecz Hiszpan, jakkolwiek zwyciężony i nie żywiący już ani cienia nadziei, odpowiedział na szyderstwo szyderstwem:

– Ciekawym, kto odmówi pacierz za twoją duszę, gdy tamten galeon zrówna się z tym statkiem?

– Tamten galeon! – zawołał jak echo Blood, zdając sobie nagle sprawę, że już było za późno, by uniknąć skutków zdrady don Diega.

– Właśnie tamten galeon – powtórzył don Diego i dodał z ironią: – A wiesz, co to za okręt? Ja ci to powiem. To „Zwiastowanie”, okręt flagowy don Miguela de Espinosy, admirała Kastylii. Don Miguel jest moim bratem. Co za szczęśliwe spotkanie! Jak widzisz, wszechmocny Bóg czuwa nad losem katolickiej Hiszpanii.

Na twarzy kapitana Blooda nie pozostało teraz ani śladu humoru i dworności. Jego jasne oczy gorzały, twarz ściągnęła się. Powstał zostawiając Hiszpana załodze.

– Związać go – rozkazał. – Skrępujcie mu ręce i nogi, lecz niech nawet włos nie spadnie z jego cennej głowy.

Ostrzeżenie to było niezbędne. Rozwścieczeni myślą o nowej niewoli, gorszej jeszcze niż poprzednia, rozerwaliby pirata na sztuki. Usłuchali swego kapitana i odstąpili od Hiszpana tylko dlatego, iż stalowa nuta w głosie Blooda obiecywała don Diegowi coś znacznie bardziej wyszukanego niż śmierć.

– Ty świniu! Ty plugawy piracie! Ty zwierzę bez krzty honoru! – złorzeczył kapitan Blood więźniowi.

Lecz don Diego spojrział na niego i roześmiał się.

– Nie doceniałeś mnie – powiedział po angielsku, by wszyscy mogli zrozumieć – mówiłem ci, że ja nie bać się śmierci i ja dowieść tego. Ty nie rozumieć. Ty angielski pies.

– Irlandzki, za pozwoleniem – poprawił Blood – a twoje słowo, ty kundlu hiszpański?

– Myślisz może, że dałem słowo, byście, psie syny, mogli później tym pięknym okrętem walczyć przeciw Hiszpanii! – Don Diego zaśmiał się na całe gardło. – Głupcze! Możesz mnie zabić! Doskonale. Umrę, bo wykonałem już swój obowiązek. Za niecałą godzinę będziecie jeńcami, a mój okręt wróci do rąk Hiszpanów.

Kapitan Blood obserwował go spokojnie. Jego nieruchoma twarz pobladła pod silną opalenizną. Wokół więźnia zgromadzili się wściekli, dzicy, wrzeszczący skazańcy, niemal dosłownie ”łaknący jego krwi”.

– Czekajcie – wydał władczo komendę kapitan Blood i obróciwszy się na pięcie, odszedł do relingu.

Do pogrążonego w głębokim zamyśleniu kapitana zbliżyli się Hagthorpe, Wolverstone i kanonier Ogle. Wszyscy czterej w milczeniu obserwowali okręt, który odszedł o rumb⁴² od wiatru i pędził teraz kursem przecinającym się z drogą statku „Pięć Ran”.

– Nie upłynie pół godziny – rzekł Blood – a ten Hiszpan znajdzie się na trawersie i zasypie nasz pokład pociskami.

– Możemy walczyć – zawołał z przekleństwem jednooki olbrzym.

– Walczyć! – skrzywił się pogardliwie Blood. – Brak nam ludzi. Mamy zaledwie dwudziestu na pokładzie, czyż więc jesteśmy zdolni do walki? Nie, widzę tylko jeden sposób. Trzeba przekonać przeciwnika, że jesteśmy Hiszpanami i na naszym okręcie wszystko jest w porządku, a wtedy pozwoli nam w pokoju żeglować dalej.

– Ale jak to zrobić? – zapytał Hagthorpe.

– Nie mam pojęcia – rzekł Blood – chyba, żeby... – Przerwał i stanął zamyślony, z oczyma utkwionymi w zieloną toń. Skłonny do sarkazmu Ogle wtrącił ironicznie:

– Moglibyśmy posłać don Diego de Espinosa łodzią obsadzoną przez hiszpańskich wioślarzy, by zapewnił swego brata, admirała, iż my wszyscy jesteśmy wiernymi poddanymi jego katolickiej mości.

Kapitan obrócił się na pięcie i przez chwilę patrzył, jak gdyby zamierzał uderzyć kanoniera, lecz nagle wyraz jego twarzy złagodniał, a w oczach zabłyśło natchnienie.

– Jako żywo! Rzekłeś! Ten przeklęty pirat może nie obawiać się śmierci, zobaczymy jednak, czy jego syn nie będzie innego zdania. Przywiązanie do rodziców jest w Hiszpanii bardzo silne.

Odwrócił się nagle i podszedł do grupki ludzi otaczających jeńca.

– Do mnie! – zawołał. – Odprowadzić go pod pokład!

– Z tymi słowy zeszedł na śródokręcie, a stamtąd przez właz do międzypokładu, gdzie powietrze było ciężkie od zapachu smoły i lin konopnych. Idąc w kierunku rufy otworzył drzwi mesy oficerskiej i wkroczył w towarzystwie sześciu ludzi wiodących Hiszpana. Cała załoga byłaby się zbiegła za nim, gdyby surowy rozkaz nie zmusił kilku ludzi do pozostania z Hagthorpe'em na pokładzie.

W mesie stały trzy nabite działa pościgowe, tak jak je pozostawili piraci, wyszczerzające lufy przez strzelnice.

– Oto robota dla ciebie, Ogle! – zawołał kapitan, a kiedy tęgi kanonier rzucił się ku niemu poprzez grupkę stojących, Blood wskazał mu środkową armatę: – Odciągnij to działo wstecz – rozkazał.

Gdy to zrobiono, Blood skinął na ludzi trzymających Hiszpana.

– Uwiążcie go w poprzek otworu lufy – rzekł, a kiedy to uczyniono, wydał nową komendę: – Biegnijcie na rufę i przyprowadźcie hiszpańskich jeńców, a ty, Dyke, idź na górę i każ wywiesić hiszpańską flagę.

Don Diego, zgięty w łuk i uwiązany do lufy armatniej tak, że brzuchem zakrywał jej otwór, a ręce i nogi przywiązane miał po obu stronach do lawety, patrzył z przerażeniem na Blooda, dziko łyskającego białkami oczu. Człowiek może nie obawiać się śmierci, a jednak wzdragać się przed formą, w jakiej przychodzi.

Pokryte pianą wargi pirata ciskały dręczycielowi bluźnierstwa i obelgi:

– Podły barbarzyńco! Nieludzki dzikusie! Przekłęty heretyku? Czyż nie możesz się zadowolić uśmierceniem mnie po chrześcijańsku?

Kapitan Blood uśmiechnął się złośliwie, zanim spojrzał na piętnastu skutych Hiszpanów, przyprowadzonych przed jego oblicze. Piraci z dala już słyszeli krzyki swego przywódcy, teraz zaś ujrzeli przerażonymi oczyma jego mękę. Jeden z nich, przystojny chłopiec o oliwkowej cerze, różniący się wyglądem i, zachowaniem od reszty, rzucił się naprzód z okrzykiem:

– Ojczy!

Pochwycony przez silne ramiona, wił się i przyzywał na pomoc niebo i piekło. W końcu zwrócił się do Blooda, zuchwale i błagalnie zarazem, z prośbą o litość. Na widok tak głębokiej miłości synowskiej Blooda ogarnęło zadowolenie.

Później przyznawał się, że o mało nie ustąpił błaganiom młodzieńca; na chwilę zmiękło mu serce; wszystko w nim buntowało się przeciw tej bezlitosnej, zaplanowanej przez siebie grze. Lecz by zahartować swoje serce, przywołał na pamięć sceny z ostatniej nocy w Bridgetown. Ujrzał znów przed sobą bladą twarz tego dziecka, Mary Traill, uciekającego w przerażeniu przed rechocącym drabem, którego zabił. Pomyślał o innych niewymownych okrucieństwach, widzianych tego straszliwego wieczoru, i umocnił się w powziętym postanowieniu. Hiszpanie dali się poznać jako potwory wyzbyte litości, uczuć ludzkich i wszelkiej przyzwoitości. Fanatycy religijni, nie mieli ani cienia uczuć chrześcijańskich, choć symbol wiary widniał na grotmaszcie⁴³ zbliżającego się okrętu. Przed chwilą ten okrutny, złowrogi Hiszpan obraził Wszchemogącego przypuszczeniem, że otaczał On szczególną opieką losy katolickiej Hiszpanii. Don Diego zasługiwał na nauczkę.

Odzyskując swój cyniczny spokój, niezbędny do należytego przeprowadzenia całej sprawy, Blood rozkazał kanonierowi zapalić lont i zdjąć ołowiane wieczko z zapału armaty, do której uwiązano don Diego. Gdy na ten widok młody Hiszpan znów wybuchnął błaganiami i złorzeczeniami, kapitan ostro odwrócił się do niego.

– Milcz! – warknął. – Uspokój się i słuchaj! Nie zamierzam wcale wystrzelić twego ojca do piekła, na co zresztą zasługuje. Nie chcę go wcale zabijać.

Zdziwiony tą obietnicą młodzieniec umilkł, a Blood wyłożył mu swój plan w wytwornej, bezbłędnej, mowie hiszpańskiej, której wyuczył się na szczęście dla don Diega i dla siebie samego.

– To wskutek zdrady twego ojca znaleźliśmy się w takiej sytuacji i grozi nam pojmanie oraz śmierć na pokładzie hiszpańskiego okrętu. Podobnie jak twój ojciec rozpoznał flagowy okręt brata, tak z pewnością brat jego poznał „Pięć Ran”. Na razie wszystko jest w porządku. Lecz wkrótce „Zwiastowanie” zbliży się do nas i zauważy, że jednak nie wszystko. Prędzej czy później nasi wrogowie spostrzegą lub zgadną, co się wydarzyło, i otworzą ogień albo rzucą się na abordaż⁴⁴. Nie jesteśmy zdolni do walki, o czym dobrze wiedział twój ojciec wciągając nas w tę pułapkę. Lecz jeżeli nas zmuszą do tego, będziemy walczyć. Nie poddamy się okrutnym Hiszpanom.

Położył rękę na komorze ładunkowej działa, do którego uwiązano don

Diega.

– Zapamiętaj: pierwszy strzał, jakim odpowiemy na ogień z okrętu twego stryja, oddam z tego działa. Mam nadzieję, iż mnie rozumiesz?

Miody Espinosa pobladł i zadrżał, patrząc w bezlitosne niebieskie oczy, uważnie go obserwujące.

– Rozumiem – wyjąkał przerywając ciszę – lecz w imię boże, jak mam to rozumieć? Czy możecie zapobiec walce? Jeśli znacie jakiś sposób i jeśli ja lub moi ludzie możemy tu coś pomóc... Jeśli to macie na myśli, na miłość boską, powiedzcież, o co chodzi?!

– Można by zapobiec walce, gdyby don Diego de Espinosa udał się na pokład flagowego okrętu i osobiście wyjaśnił admirałowi, że na naszym okręcie wszystko jest w porządku i że okręt znajduje się w ręku Hiszpanów, jak o tym świadczy wywieszona flaga. Ale oczywiście don Diego nie może się tam udać, gdyż... jest zajęty. Lekki atak... dajmy na to febry, przykuwa go do koi. Lecz ty, jego syn, możesz przekazać tę wiadomość wraz z hołdem stryjowi. Udasz się na okręt w łodzi obsadzonej przez sześciu hiszpańskich wioślarzy, a ja będę ci towarzyszył, by podtrzymać cię na duchu. Jestem dostojnym Hiszpanem, uratowanym z niewoli w czasie waszej ostatniej wyprawy na Barbados. Jeżeli powrócę tu żywy i będę mógł żeglować bez przeszkód, daruję życie twemu ojcu i wam wszystkim. Gdyby jednak przytrafiło się nam coś złego, obojętnie, czy na skutek zdrady, czy też przypadku, bitwa, jak już miałem ci zaszczyt oznajmić, rozpocznie się wystrzałem z tego działa, a twój ojciec będzie pierwszą jej ofiarą.

Zamilkł na chwilę. Rozległ się pomruk uznania ze strony towarzyszy, podczas gdy Hiszpanie z niepokojem oczekiwali odpowiedzi. Młody Espinosa stał przed nim, czerwieniąc się i blednąc na przemian. Oczekiwał na jakiś znak ze strony ojca, lecz na próżno. Odwaga don Diega nie wytrzymała ogniowej próby. Hiszpan bez ruchu zwisał na dziale w swoich więzach i zachowywał milczenie. Najwidoczniej nie ważył się zachęcać syna do oporu, wstydził się natomiast doradzać mu, by się poddał. Pozostawił więc decyzję młodzieńcowi.

– No i cóż? – zapytał Blood. – Wyraziłem się chyba dość jasno. Co masz mi do powiedzenia?

Don Esteban zwilżył wyschnięte wargi i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Przerazony wzrok wbił w plecy ojca, jak gdyby od nich oczekiwał

wskazówki. Ojciec jednak milczał. Coś jakby szloch wyrwało się z piersi chłopca.

– Ja... ja zgadzam się – odpowiedział w końcu i odwrócił się do swoich rodaków. – A wy zawołali namiętnie – wy się też zgódźcie, dla dobra mego ojca, dla waszego dobra, dla dobra nas wszystkich. Jeśli tego nie zrobicie, ten człowiek zarżnie nas wszystkich bezlitośnie.

Skoro młody Espinosa uległ, a przywódca nawet najmniejszym znakiem nie okazał sprzeciwu, czemu mieliby narażać się na pewną śmierć, czyniąc gest bezowocnego bohaterstwa? Odpowiedzieli więc natychmiast, że zrobią to, czego się od nich zażąda.

Blood odwrócił się i podszedł do don Diega...

– Przykro mi narażać cię na takie kłopoty, lecz... – Urwał i ze zmarszczonymi brwiami obserwował uważnie więźnia.

Po ledwie uchwytnej przerwie mówił dalej: – ...lecz nie sądzę, by ci groziło cokolwiek poza chwilą niewygody. Możesz polegać na mnie. Nie przedłużę niepotrzebnie twojej męki.

Don Diego nie odpowiadał.

Piotr Blood czekał przez chwilę, patrząc nań, a potem skłonił się i odszedł.

XII

DON PEDRO SANGRE

Okręty „Pięć Ran” i „Zwiastowanie” po przepisowej wymianie sygnałów stanęły w dryf⁴⁵, oddalone od siebie zaledwie o ćwierć mili. Poprzez łagodnie falujące, oświetlone słońcem wody pomknęła z pierwszego łódź, obsadzona szóstką hiszpańskich wioślarzy. Na rufie siedzieli don Esteban de Espinosa i kapitan Piotr Blood.

Na łodzi wieziono również dwie skrzynie, zawierające pięćdziesiąt tysięcy sztuk złota. Złoto uważano zawsze za najlepszy dowód zaufania, a Blood postanowił zachować wszystkie pozory. Towarzysze posądzali go o przesadę w tej mierze, lecz wola jego zwyciężyła. Kapitan wioził również ze sobą okazały pakunek, zaadresowany do hiszpańskiego granda, a zapieczętowany sygnetem Espinosy, drugi dowód rzeczowy, pośpiesznie sfabrykowany w kabinie okrętu „Pięć Ran”. Przed wyruszeniem Blood udzielał ostatnich instrukcji swemu młodemu towarzyszowi.

Don Esteban miał jeszcze wątpliwości.

– A jeżeli się sam zdradzisz? – zawołał.

– To byłoby wysoce niefortunne... dla nas wszystkich. Radziłem twojemu ojcu, by pomodlił się za nasze powodzenie. Od ciebie jednak żądam bardziej konkretnej pomocy.

– Zrobię, co tylko potrafię, Bóg widzi, że mam najlepsze chęci – zapewnił chłopiec. Blood, zamyślony, skinął głową. Nie odezwali się aż do chwili, gdy szalupa uderzyła mocno o burtę piętrzącego się wysoko okrętu. Don Esteban

wszedł po trapie, a tuż za nim Blood. Na śródokręciu przywitał ich sam admirał, piękny, zadufany w sobie, imponującej postawy mężczyzna, wyniosły i sztywny, trochę starszy i bardziej siwy od don Diega, do którego zresztą był bardzo podobny. Towarzyszyło mu czterech oficerów i mnich w czarno-białym habicie zakonu dominikanów.

Admirał otworzył ramiona, aby uścisnąć bratanka, biorąc wyraźne zdenerwowanie don Estebana za podniecenie wywołane spotkaniem, po czym przywitał jego towarzysza.

Piotr Blood skłonił się, zachowując prawie całkowitą swobodę.

– Jestem – przedstawił się, tłumacząc dosłownie swoje nazwisko – don Pedro Sangre⁴⁶, nieszczęśliwy szlachcic z Leonu, oswobodzony z niewoli przez rycerskiego ojca don Estebana.

Następnie w kilku słowach opisał zmyślane okoliczności swego uwięzienia i wyzwolenia z rąk tych przeklętych heretyckich rządców Barbadosu.

– *Benedicamus Domino*⁴⁷ – rzekł na to mnich.

– *Ex hoc nunc et usque in seculum*⁴⁸ – odpowiedział Blood opuszczając pobożnie oczy.

Admirał i towarzyszący mu oficerowie wysłuchali go ze współczuciem i powitali serdecznie. W końcu padło jednak straszliwe pytanie:

– A gdzie jest mój brat? Czemu sam się nie zjawił, by mnie przywitać?

Młody Espinosa odpowiedział na to:

– Ojciec zmuszony był wyrzec się tego honoru i przyjemności, gdyż niestety, mości stryju, jest nieco niedysponowany. Och, nic poważnego! Nie wychodzi tylko z kabiny. Ma niewielką gorączkę, spowodowaną lekkim zadraśnięciem, które otrzymał w czasie ostatniej wyprawy na Barbados, kiedy to uwolniliśmy tego szlachcica.

– Zaraz, zaraz, bratanku – ironicznie zaprotestował don Miguel. – Nic mi o tych sprawach nie wiadomo. Mam zaszczyt reprezentować na morzach jego katolicką mość króla Hiszpanii, który utrzymuje dobre stosunki z królem Anglii. Opowiedziałeś mi już więcej, niż powinienem słyszeć. Postaram się zapomnieć o tym i poproszę was, panowie – dodał rzucając spojrzenie na swoich oficerów – abyście również o tym zapomnieli. – Przymrużył oko i rzekł coś, co natychmiast wygasilo iskielki wesołości płonące w oczach Blooda: – Skoro Diego nie może mnie odwiedzić, cóż...

zatem ja jego odwiedzę.

Twarz don Estebana zmartwiała na chwilę z przerażenia, lecz wtem rozległ się poufny szept Blooda, będący wspaniałym połączeniem swobody, wyrazistości i chytrego szyderstwa.

– Wybacz, don Miguelu, ale tego właśnie nie należy uczynić i tego nie życzy sobie don Diego. Nie powinieneś się z nim widzieć, admirale, zanim nie wyleczy się z ran. Tego pragnie. Dlatego nie przybył razem z nami. W istocie rany nie przeszkodziłyby mu przypląnąć, lecz don Diego nie chciał postawić cię w fałszywej pozycji, w której byś się znalazł słuchając bezpośredniej relacji o naszych wyczynach. Jak wasza ekscelencja słusznie zauważył, między jego katolicką mością a królem Anglii panuje pokój, a wasz brat, don Diego... – Tu przerwał na chwilę. – Jestem pewien, że nie muszę dawać bliższych wyjaśnień. To co wasza ekscelencja usłyszał od nas, to przecież tylko pogłoski.

– Rozumiem... – odparł admirał marszcząc czoło z namysłem – chociaż niezupełnie... – dodał.

Kapitan Blood przeżył chwilę niepewności. Czyżby Hiszpan nie ufał mu? Czyż Blood nie zachowywał się i nie przemawiał jak rodowity Hiszpan? Czyż nie było tu don Estebana, by wszystko potwierdzał? Wystąpił teraz ze swoim najważniejszym dowodem, zanim admirał zdążył ponownie dojść do głosu.

– W szalupie na dole mamy ze sobą dwie skrzynie, a w nich pięćdziesiąt tysięcy sztuk złota dla waszej ekscelencji.

Jego ekscelencja podskoczył, a wśród oficerów dało się zauważyć poruszenie.

– To okup – ciągnął Blood – złożony przez gubernatora wyspy...

– Ani słowa więcej, na Boga! – przerwał z przestraszeniem admirał. – Mój brat życzy sobie, bym zaopiekował się tymi pieniędzmi i przewiózł je do Hiszpanii? Doskonale, to nasza rodzinna sprawa. To mogę zrobić, lecz nie chcę nic wiedzieć... – Tu przerwał i zwrócił się do przybyłych: – Hm! Wypijecie chyba szklanek malagi w mojej kabinie, póki załoga nie wciągnie skrzyń na pokład?

Wydał rozkazy dotyczące załadowania skrzyń i wskazał gościom drogę do kabiny urządzonej z królewskim przepychem.

Mnich i czterej oficerowie towarzyszyli im również, zaproszeni przez dowódcę.

Gdy wszyscy zasiedli przy stole, a służący nalał ciemne wino i znikł, don Miguel zaśmiał się i pogładził swą spiczastą, siwiejącą bródkę.

– *Virgen santísima!*⁴⁹ Ten mój braciszek pomyślał o wszystkim. Gdyby nie to, mógłbym popełnić ładną niedyskrecję, udając się na pokład jego okrętu w takiej chwili. Zobaczyłbym pewne rzeczy, których jako admirał Hiszpanii nie mógłbym mu darować.

Zarówno Esteban, jak i Blood pośpiesznie przyznali mu rację, a Blood wznosił toast za wielkość Hiszpanii i na pohybel plugawemu Jakubowi, uzurpującemu tron Anglii. Ostatnia część toastu była niewątpliwie szczerą.

Admirał roześmiał się.

– Panie! Przydałby się tu mój brat, by ci wypomnieć nietakt. Powinieneś pamiętać, że jego katolicka mość i król Anglii są bardzo dobrymi przyjaciółmi. Nie powinno się wznosić takiego toastu w mojej kabinie. Lecz skoro już został wygłoszony, i to przez kogoś, kto ma tak niewątpliwe powody nienawidzić tych angielskich psów, cóż... wypijmy go nieoficjalnie.

Wszyscy roześmieli się i wypili na pohybel królowi Jakubowi nieoficjalnie, lecz z tym większym zapalem. Don Esteban jednak nie przestawał ani na chwilę myśleć o ojcu i wyobrażał sobie, jak każda minuta zwłoki przedłuża mękę don Diega, pozostawionego w tak straszliwym położeniu. Teraz powstał więc i oznajmił, iż czas już wracać.

– Mój ojciec – wyjaśnił – chce jak najszybciej dotrzeć do San Domingo. Prosił mnie, abym nie pozostawał tu dłużej, niż będzie potrzeba dla uściskania was, mości stryju, i jeśli pozwolisz nam się oddalić...

W takiej sytuacji stryj-admirał nie nalegał.

Kiedy don Esteban i Blood powrócili na pokład, zauważyli z niepokojem hiszpańskich marynarzy, którzy przechyleni za burtę, wesoło rozmawiali z wioślarzami z ich łodzi, przycumowanej do pierwszego stopnia trapu. Lecz zachowanie się Hiszpanów nie dawało podstaw do obawy. Załoga łodzi dobrze strzegła swej tajemnicy.

Admirał pożegnał ich; don Estebana serdecznie, Blooda zaś ceremonialnie.

– Żałuję, że opuszczasz nas tak rychło, don Pedro, chętnie podejmowałbym cię dłużej u siebie.

– Bardzo mi przykro – odpowiedział uprzejmie Blood.

– Mam jednak nadzieję ujrzeć cię jeszcze.

– Pochlebia mi pan, admirale. Doprawdy nie zasłużyłem na taki zaszczyt.

Wrócili do łodzi i odbili od wielkiego okrętu. Admirał powiewał im na pożegnanie, stojąc przy relingu na rufie. Po chwili usłyszeli ochryply gwizdek bosmana, wzywający załogę do zajęcia stanowisk, i zanim dobili do swego statku, okręt admiralski podniósł żagle i pożegnał gości opuszczeniem flagi, a z działa na rufie zasalutowano im strzałem.

Ktoś na statku Blooda – jak później się okazało, Hagthorpe – był na tyle dowcipny, by odpowiedzieć w ten sam sposób. Komedia była skończona. Nastąpił jednak nieoczekiwany epilog, który rzucił ponure światło na całą sprawę.

Kiedy Blood i młody Hiszpan wstąpił na pokład okrętu „Pięć Ran”, zostali powitani przez Hagthorpe’a. Blood zauważył poważny, niemal przestraszony wyraz twarzy oficera.

– Widzę, iż już wiecie... – rzekł spokojnie Blood. Hagthorpe spojrział pytająco na kapitana, chciał coś powiedzieć, lecz zawahał się.

– Don Diego... – zaczął, a później przerwał i popatrzył z zaciekawieniem na Blooda.

Don Esteban zauważył wahanie i wymowne spojrzenie Hagthorpe’a, pobladł i żywo skoczył naprzód.

– Czyście złamali przyrzeczenie, łotry? Czy mojemu ojcu stało się coś złego? – krzyknął, a za nim sześciu Hiszpanów zaczęło rzucać wściekłe okrzyki.

– Nie złamaliśmy przyrzeczenia – odparł Hagthorpe z tak wielką mocą, że uspokoił Hiszpanów. – Nic nas też do tego nie zmuszało. Don Diego zmarł w więzach, zanim jeszcze dobiliście do okrętu admiralskiego.

Piotr Blood nie odzywał się.

– Umarł?! – wrzasnął don Esteban. – To znaczy, zabiliście go? Na co umarł?

Hagthorpe spojrział na chłopca.

– Sądzę – rzekł – że don Diego umarł ze strachu.

Młody Espinosa uderzył Hagthorpe’a w twarz. Ten byłby się nań rzucił, gdyby Blood nie powstrzymał go, inni nie chwycili młodzieńca.

– Zostaw go w spokoju – rzekł Blood. – Sprowokowałeś chłopca obrażając jego ojca.

– Nie chciałem go obrazić – odparł Hagthorpe rozcierając policzek –

opowiedziałem tylko, co się stało. Chodź i zobacz sam.

– Już to widziałem – odpowiedział Blood. – Don Diego umarł, zanim opuściliśmy ten okręt. Wisiał już martwy na dziale, kiedy przemawiał do niego przed odpłynięciem.

– Co mówisz? – zakrzyknął Esteban.

Blood spojrzał nań poważnie, choć za maską powagi zdawało się czyhać szyderstwo.

– Gdybyś to był wiedział, to... co? – zapytał w końcu don Estebana.

Przez chwilę młody Hiszpan patrzył na niego z niedowierzaniem, szeroko rozwartymi oczyma.

– Nie wierzę ci – odparł wreszcie.

– To źle robisz. Jestem lekarzem i wiem, kiedy przychodzi śmierć.

Minęła znów chwila, zanim prawda dotarła do świadomości młodzieńca.

– Gdybym o tym wiedział – rzekł chrapliwym głosem – wisiałbyś w tej chwili na rei okrętu admiralskiego.

– Wiem o tym – zauważył Blood – i to właśnie jest korzyść, jaką można wyciągnąć z nieświadomości innych.

– Będziesz tam jeszcze wisiał! – wściekał się chłopiec. Kapitan Blood wzruszył ramionami i odwrócił się na pięcie.

On, Hagthorpe i paru innych nie zapomnieli jednak tych słów i wzięli je pod uwagę podczas narady zwołanej tej nocy w kabinie.

Celem zebrania było powzięcie decyzji w sprawie jeńców hiszpańskich. Do wyspy Curacao nie mogli teraz dopłynąć, gdyż zaczęli odczuwać brak wody i żywności, a na domiar złego Pitt nie był jeszcze w stanie prowadzić nawigacji. Postanowiono więc przejść na wschód od Hispanioli i wzdłuż jej północnego wybrzeża żeglować do Tortugi, tego schroniska flibustierów⁵⁰, leżącego poza zasięgiem wszelkich praw, w którym nie groziło im przynajmniej ponowne pojmanie. Pozostała do rozstrzygnięcia kwestia, czy należy zabrać Hiszpanów do Tortugi, czy też wsadzić jeńców do szalupy i umożliwić im dotarcie do wybrzeża Hispanioli, odległej zaledwie o dziesięć mil. Blood obstawał za tym ostatnim rozwiązaniem.

– Nic innego nie możemy zrobić – twierdził. – W Tortudze obdarto by ich żywcem ze skóry.

– Te świny zasługują na jeszcze gorszą karę – wybuchnął Wolverstone.

– Pamiętaj również, Piotrze – dorzucił Hagthorpe – o porannych

groźbach chłopca. Jeżeli uda mu się uciec i opowiedzieć o tym stryjowi-
admiralowi, groźba może zostać urzeczywistniona.

Fakt, że ten argument nie poruszył Blooda, przemawia na jego korzyść. Nie jest to pewno zbyt ważne, lecz zadaniem tego opowiadania jest przede wszystkim obrona bohatera. A że liczne postęпки Blooda źle o nim świadczą, nie mogę pominąć tych, które stawiają go w dobrym świetle. Jego postawa w tym wypadku wskazuje, że przypisywany mu cynizm miał swoje źródło raczej w okolicznościach życiowych i doznanych krzywdach niż w naturalnych instynktach tego człowieka.

– Nie dbam o jego groźby – rzekł Blood.

– A powinienes – odparł Wolverston. – Najmądrzej byłoby powiesić go razem z resztą.

– Nie jest ludzką rzeczą być mądrym – powiedział Blood – znacznie bardziej ludzką rzeczą jest błdzić, choć, co prawda, mało kto grzeszy przesadną litością. A więc bądźmy wyjątkowymi. Tfu! Ja nie potrafię zabijać ludzi z zimną krwią. O świcie wsadzimy Hiszpanów do łodzi, damy im baryłkę wody i worek kukurydzy i niech idą do diabła.

Było to ostatnie słowo Blooda w tej sprawie i zwyciężyło dzięki autorytetowi, jaki sobie wyrobił, i zaufaniu, jakie w nim pokładano. O świcie don Esteban i jego towarzysze odpłynęli swoją szalupą.

W dwa dni później okręt „Pięc Ran” zawinął do otoczonej skałami zatoki Cayona, zda się, przez samą naturę przeznaczoną na twierdzę dla tych, którzy ją opanowali.

XIII

TORTUGA

Teraz nareszcie nadszedł czas, aby odkryć, że pamięć o wyczynach kapitana Blooda zachowała się wyłącznie dzięki pilności Jeremiasza Pitta, szypra z Somersetshire. Ten sympatyczny młody człowiek okazał się nie tylko zdolnym nawigatorem, ale i niezmordowanym kronikarzem. Natchnieniem było mu zapewne szczere przywiązanie do Blooda.

Pitt niezwykle starannie prowadził dziennik okrętowy czterdziestodziałowej fregaty „Arabella”, na której służył jako szyper lub jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, oficer nawigacyjny. Dziennik ten składał się z dwudziestu kilku foliałów jednakowej wielkości. Parę tomów zaginęło zupełnie, a innym brak kartek, więc niewiele z nich teraz pożytku. Są one przechowywane w bibliotece pana Jamesa Speke’a z Comertonu. Gdy je starannie przeglądałem, zauważyłem, że o ile jedne tomy są zdekompletowane, o tyle pozostałe obfitują w mnóstwo szczegółów, co niezmiernie utrudnia wyłuskanie rzeczy ważnych spośród masy błahostek.

Podejrzewam Esquemelinga, chociaż nie wiem, kiedy potrafił to zrobić, o uzyskanie dostępu do tych notatek i ozdobienie kapelusza własnego bohatera – kapitana Morgana – najpiękniejszymi piórami świetnych, bohaterskich czynów Blooda. Lecz o tym wspomina tu tylko na marginesie, głównie, by ostrzec czytelników, że w rzeczywistości nie Morgan, lecz kapitan Blood był bohaterem zajścia na Maracaibo. Zważywszy motywy działania w tej sprawie zarówno Blooda, jak hiszpańskiego

admirała, dochodzimy do wniosku, iż stanowią one nierozłączną część historii pierwszego z nich, podczas gdy w dziejach Morgana są luźnymi incydentami. Nie trudno więc osądzić, kto właściwie jest tu plagiatozem.

Pierwszy z tych dzienników okrętowych, prowadzonych przez Pitta, zajmuje się wyłącznie tym, co zaszło do momentu przybycia Blooda do Tortugi. Treść tego tomu, zarówno jak i protokoły procesów o zdradę stanu, są głównymi, choć nie jedynymi źródłami mej opowieści.

Pitt stanowczo podkreśla, że tylko okoliczności zmusiły Blooda do schronienia się w Tortudze. Kronikarz poświęca wiele miejsca temu zagadnieniu i sądząc z uporu, z jakim to czyni, ludzie różnie musieli się na to zapatrywać. Jego zdaniem nie leżało pierwotnie w zamiarach Blooda i reszty zesłańców przyłączenie się do korsarzy, którzy pod półoficjalną opieką Francji uczynili z Tortugi bazę wypadową dla swej rozbójniczej działalności, uprawianej głównie kosztem Hiszpanii.

Blood chciał początkowo przedostać się do Francji lub Holandii, lecz w ciągu długich tygodni oczekiwania na odpływający tam statek jego zasoby finansowe całkowicie stopniały. Wykazywał też w tym okresie oznaki jakiejś tajemnej zgrzyoty, powodującej może w tych dniach beczynności nadużywanie przez niego mocnego, jamajskiego rumu. Alkohol sprowadził Blooda do poziomu dzikich awanturników, z którymi się sprzymierzył.

Nie sądzę, by Pitt dopuścił się jakiejś nieścistości, starając się usprawiedliwić swojego bohatera. W tych chwilach niejedno dręczyło Blooda. Niewątpliwie myślał o Arabelli Bishop, i to myślał bardzo często. Nieosiągalność pragnień doprowadzała go do szaleństwa. Pożądał Arabelli, lecz zarazem wiedział, że nieodwołalnie i na zawsze znajduje się ona poza jego zasięgiem. Poza tym chociaż chciał dostać się do Francji lub Holandii, nie wyobrażał sobie, co tam będzie robić. Był przecież tylko zbiegłym niewolnikiem, banitą we własnym kraju, a bezdomnym wyrzutkiem w każdym innym. Pozostało mu tylko morze, otwarte dla wszystkich, a szczególnie pociągające dla ludzi skłóconych ze społeczeństwem. Brak rozwagi, wywołany banicją, zaostrzył wrodzoną żądzę przygód, która kiedyś już powiodła go na wędrowną, a wprawa w rozgrywaniu bitew morskich sprawiła, że uległ wreszcie pokusie.

Zachęcali go nie tylko nowi znajomi, awanturnicy i flibustierzy, poznani w tawernach Tortugi, lecz również pan d'Ogeron, gubernator wyspy, który

w postaci opłat portowych pobierał dziesięcioprocentową daninę od łupów przywożonych na wyspę, a poza tym ciągnął zyski w formie prowizji przy wymianie zrabowanego złota na francuskie weksle. Proceder uprawiany przez brudnych, oszołomionych alkoholem awanturników, drwali, łowców bizonów i rozmaitych włóczęgów z Anglii, Francji i Hiszpanii miał swoje odrażające aspekty; stawał się natomiast szacowanym, niemal oficjalnym kaperstwem⁵¹, gdy bronił go dworny pan w średnim wieku, reprezentujący francuską Kompanię Zachodnio-Indyjską, a tym samym jakby Francję.

Wszyscy zbiegowie z plantacji na wyspie Barbados, nie wyłączając Jeremiasza Pitta, odpowiedzieli na zew morza, a ponieważ podobnie jak i ich przywódca nie mieli innego wyjścia, zdecydowali się wstąpić do wielkiego Bractwa Wybrzeża, jak nazywali siebie piraci. Zaczęli teraz namawiać Blooda, by nie zrzekał się dowództwa, które spoczywało w jego ręku od czasu opuszczenia Barbadosu, i zapewniać, że pójdą wiernie wszędzie, dokąd ich poprowadzi.

I tak Blood uległ okolicznościom i poszedł za głosem przeznaczenia, gdyż jak sam mawiał: *Fata viam invenerunt*⁵².

Zdołał opierać się tak długo chyba tylko dzięki myśli o Arabelli Bishop. Z początku, a może nawet i nigdy, nie zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ją spotka. Wyobrażał sobie jedynie, z jaką pogardą słuchałaby Arabella o tym, że stał się piratem, i ta pogarda, aczkolwiek na razie wyimaginowana, bolała go jak prawdziwa. Nawet gdy zwalczył już te uczucia, myśl o niej nie opuszczała go ani na chwilę. Musiał wchodzić w układy ze swoim sumieniem, tak wyczulonym na jej wspomnienie. Ślubował sobie zachować przez pamięć na nią ręce tak czyste, jak to tylko będzie możliwe w tym desperackim procederze. Choć więc nie łudził się nadzieją zdobycia Arabelli lub choćby ujrzenia jej znowu, myśl o ukochanej wywierała nań wpływ oczyszczający.

Niespełniona miłość często staje się gwiazdą przewodnią życia mężczyzny.

Powziąwszy raz postanowienie, Blood zabrał się energicznie do dzieła. Pan d'Ogeron, najbardziej uczynny z gubernatorów, zaliczkował mu pieniądze na wyposażenie zdobytego okrętu. Po pewnym wahaniu, wynikającym z obawy przed zbyt wewnętrznym swoich uczuć, kapitan nadał statkowi nowe imię, „Arabella”. Towarzysze niewoli uważali to

tylko za wyraz ironii, którą ich przywódca ujawniał przy każdej okazji.

Do grupki zesłańców Blood dodał około sześćdziesięciu ludzi starannie i roztropnie dobranych spośród awanturników z Tortugi. Z tą załogą zawarto zwykłą wśród Braci Wybrzeża umowę, przewidującą podział łupów między wszystkich. Pod jednym względem jednak porządek na „Arabelii” różnił się od rozbójniczej swobody i niekarność, panujących na innych pirackich statkach. Korsarze musieli poddać się tu surowej dyscyplinie i słuchać zarówno kapitana, jak i wybranych przez siebie oficerów. Wszyscy niezadowoleni z tego punktu umowy mogli szukać sobie innego przywódcy.

W końcu grudnia, po sezonie huraganów, Blood wyszedł w morze na swoim zgrabnym, dobrze obsadzonym statku i zanim zdążył powrócić w maju następnego roku z przedłużającej się i pełnej przygód podróży, sława jego czynów biegła jak pędzone wiatrem fale przez całe Morze Karaibskie. W Cieśninie Wiatru stoczył walkę z hiszpańskim galeonem, zakończoną opanowaniem go i zatopieniem. Na zdobycznych indiańskich pirogach dokonał zuchwałego napadu na hiszpańską flotę perłową w Rio-Hacha i zdobył szczególnie bogaty łup pereł. Urządził też niemal nieprawdopodobną wyprawę lądem na kopalnię złota w Sancta Maria na kontynencie. Z innych, pomniejszych przygód załoga „Arabelii” wychodziła z honorem i niemałym zyskiem, aczkolwiek nie zawsze bez blizn.

Tak się więc złożyło, że zanim Blood wrócił w maju następnego roku do Tortugi, by naprawić uszkodzony w niejednej walce statek, sława okrętu i jego kapitana rozeszła się już od Wysp Bahama do Wysp na Wietrze i od New Providence do Trinidadu.

Echo jej dotarło do Europy i ambasador hiszpański przy dworze angielskim wystąpił w tej sprawie z gniewnymi pretensjami. Odpowiedziano mu jednak, iż Blood nie działa z polecenia króla Anglii, lecz jest rebeliantem i zbiegłym niewolnikiem i cokolwiek by przedsięwziął przeciwko niemu król Hiszpanii, spotka się to z serdeczną aprobatą króla Jakuba II.

Zarówno admirał Hiszpanii w Indiach Zachodnich, don Miguel de Espinosa, jak i towarzyszący mu bratanek, don Esteban, gorąco pragnęli powiesić Blooda na rei swego okrętu. Dla nich sprawa pojmania pirata, będąca już sprawą międzynarodową, miała charakter rodzinnego porachunku.

Hiszpania nie szczędziła gróźb przez usta don Miguela. Wieść o nich dotarła do Tortugi wraz z zapewnieniem, że don Miguel ma za sobą nie tylko władze własnego kraju, lecz również poparcie króla Anglii.

Nie przstraszało to jednak wcale kapitana Blooda. Nie zamierzał z tego powodu gnuśnieć w bezpiecznej kryjówce, Tortudze. Uczynił Hiszpanię kozłem ofiarnym za krzywdy, których doznał od społeczeństwa. Działalność jego służyła dwóm celom: mścił się i jednocześnie służył nie pogardzanemu królowi z dynastii Stuartów, lecz Anglii, a nawet całej ludzkości, którą okrutna, zdradziecka, chciwa, przeżarta na wskroś bigoterią Kastylija próbowała odciąć od kontaktu z Nowym Światem.

Pewnego dnia kapitan Blood razem z Hagthorpe'em i Wolverstone'em siedział przy fajce i butelce rumu w przepojonej zapachem smoły i tytoniu tawernie portowej, gdy zaczepił go okazały drab w złotym lamowanym kaftanie z granatowej satyny, opasany szeroką, purpurową szarfą.

– *C'est vous qu'on apelle Le Sang?*⁵³ – zagadnął Blooda.

Kapitan spojrzał na przybysza i nie odpowiedział od razu. Mężczyzna był wysoki, silnie zbudowany, o ciemnej, orlej twarzy, uderzającej brutalną urodą. Wielkiej ceny diament płonął na niezbyt czystej dłoni, wspartej na rękojęści długiego rapiera. W uszach błyszcząły złote kolczyki, na wpół ukryte w długich, lśniących od olejku, kasztanowatych lokach.

Kapitan Blood wyjął z ust fajkę.

– Nazywam, się Piotr Blood – rzekł – Hiszpanie: mówią o mnie: don Pedro Sangre, a dla Francuza mogę się zwać Le Sang.

– Dobrze – rzekł strojny awanturnik po angielsku i nie czekając na zaproszenie, przysunął sobie stółek i usiadł przy brudnym stole.

– Na imię mi Levasseur – oznajmił trzem mężczyznom, z których co najmniej dwaj patrzyli nań pytająco. – Słyszeliście pewnie o mnie.

Rzeczywiście słyszeli o nim. Levasseur dowodził dwudziestodziałową piracką brygantyną⁵⁴, przybyłą do zatoki tydzień temu. Załogę statku stanowili przeważnie francuscy bukanierzy⁵⁵ z północnej Hispanioli, mający wszelkie powody nienawidzić Hiszpanów bardziej jeszcze niż Anglicy. Levasseur przyprowadził ich z powrotem do Tortugi po niezbyt szczęśliwej wyprawie. Niepowodzenie nie zmniejszyło jednak potwornej zarozumiałości awanturnika. Był to ryczący, kłótlivy, rozpity łotr, poważany przez dzikie Bractwo Wybrzeża jako wielki korsarz. Zażywał również sławy szczególnego

rodzaju. W jego ordynarnym, jaskrawym samochwalstwie było coś, co niezwykle silnie przyciągało kobiety. Kapitana Blooda nie dziwiły wcale przechwałki pirata z odniesionych sukcesów; dziwiło go raczej, że były one w pewnej mierze usprawiedliwione.

Jak powszechnie mówiono, nawet panna d'Ogeron, córka gubernatora, dała się pochwyć w sidła jego dzikiej urody, a Levasseur ośmielił się prosić gubernatora o jej rękę. Pan d'Ogeron udzielił mu jedynej możliwej odpowiedzi: wskazał drzwi. Levasseur wyszedł wściekły, przysięgając poślubić pannę, choćby nawet wszyscy ojcowie na świecie sprzyśleli się przeciwko niemu. Groził też, że gubernator jeszcze gorzko pożałuje afrontu uczynionego piratowi.

Taki oto człowiek narzucił się Bloodowi z propozycją współpracy, ofiarując mu nie tylko własną szpadę, lecz również swych ludzi i statek.

Dwanaście lat temu, jako dwudziestoletni chłopiec, Levasseur żegłował z okrutnikiem L'Ollonais, a teraz jego własne wyczyny dawały świadectwo i przynosiły zaszczyt tej szkole. Wątpię, czy w owym czasie był wśród Braci Wybrzeża łotr gorszy od Levasseura. Chociaż Blood widział odrażające cechy pirata, musiał przyznać, że jego projekty są pomysłowe i zuchwałe, i zgodzić się, że wspólnie mogliby podejmować operacje o znacznie większym zasięgu niż w pojedynkę. Punkt kulminacyjny planów Levasseura stanowiła wyprawa na bogate kontynentalne miasto Maracaibo. Trzeba było jednak zabrać na nią co najmniej sześciuset ludzi, a tylu nie dałoby się przewieźć na dwóch statkach, jakimi na razie mogli rozporządzać. Należało więc przedtem urządzić kilka wstępnych wypraw i zdobyć więcej statków.

Kapitanowi człowiek się nie podobał, dlatego też zwlekał z decyzją, choć propozycja była warta rozważenia. Ale Hagthorpe i Wolverstone nie dzielili antypatii Blooda w stosunku do Francuza i naciskali na załatwienie sprawy, więc w ciągu tygodnia przygotowano umowę, którą podpisali kapitanowie i przedstawiciele załóg obu statków.

Umowa zawierała między innymi paragrafy postanawiające, że w wypadku, gdyby statki miały działać oddzielnie, należy prowadzić dokładny spis łupów. Zdobywcy otrzymają trzy piąte ich wartości, a resztę oddadzą współnikom. Łupy przypadające na statek będą następnie dzielone między członków załogi zgodnie z umową podpisaną między kapitanem a każdym z piratów. Poza tym umowa zawierała zwykle w takich wypadkach

klauzule, a między innymi postanowienie, że korsarz, który ukradnie lub ukryje część łupu, chociażby o wartości jednego peso⁵⁶, zostanie natychmiast powieszony na rei.

Gdy wszystko uzgodniono, piraci przygotowali się do wyjścia w morze. W przeddzień wyjazdu Levasseur postanowił pożegnać się z zakochaną w nim do szaleństwa panną d'Ogeron i uczynił romantyczną próbę wdrapania się na mur, otaczający ogród wokół pałacu gubernatora, co omal nie zakończyło się jego śmiercią. Straż gubernatora oddała doń dwukrotnie ogień z zasadzki, zza drzew pimentowych. Levasseur oddalił się, przysięgając użyć po powrocie innych, bardziej zdecydowanych środków zdobycia dziewczyny.

Tej nocy spał na pokładzie swego okrętu, nazwanego, z charakterystyczną dla niego przesadą „Błyskawicą”. Następnego dnia przyjął tu wizytę kapitana Blooda i na wpół szyderczo przywitał go jako swego admirała. Irlandczyk chciał omówić jeszcze pewne szczegóły, jak na przykład sprawę postępowania w razie, gdyby statki przypadkowo czy umyślnie rozdzieliły się w czasie akcji. Postanowili, że w takim przypadku możliwie szybko zawrócą do Tortugi i tu się spotkają.

Następnie Levasseur podjął admirała obiadem i wypili razem za powodzenie wyprawy. Gospodarz zabrał się do trunków ochoczo i w chwili rozstania z trudem zachowywał przytomność.

Wieczorem kapitan Blood wrócił łodzią na swój wielki okręt, którego czerwone nadburcie i złożone strzelnice armatnie płonęły w promieniach zachodzącego słońca.

Ciężko mu było na sercu. Blood znał się bowiem na ludziach, a jego sąd o Francuzie mógł być podstawą niepokoju, rosnącego w miarę, jak zbliżała się godzina odjazdu.

Zwierzył się ze swoich złych przeczuć Wolverstone'owi, gdy ten przywitał go przy trapie „Arabelli”.

– To tyś mnie namówił do tej spółki, zbóju jeden. Nie sądzę jednak byśmy na tym dobrze wyszli.

Olbrzym potoczył krwiożerczo swoim jedynym okiem i wysunął naprzód potężną dolną szczękę.

– Skręcimy kark temu psu, jeśli spróbuje nas zdradzić.

– Zrobimy tak z pewnością, jeśli tylko będziemy mogli – odparł Blood,

a później dodał, zmieniając temat rozmowy: – wychodzimy w morze jutro rano, z pierwszym przyływem. – I z tymi słowy udał się do swej kabiny.

XIV

BALLADA LEVASSEURA

Następnego poranka, około dziesiątej, dobrą godzinę przed ustalonym terminem odjazdu, do burty „Błyskawicy” dobiło czółno, z którego wyskoczył Indianin i skierował się do trapu. Przybysz, odziany w spodnie z kosmatej, nie wyprawionej skóry i czerwony koc zamiast płaszcza, oddał kapitanowi Levasseurowi zwinięty skrawek papieru.

Kapitan wygładził zmiętoszony i pobrudzony przez Indianina list. Treść jego można by przetłumaczyć mniej więcej w ten sposób:

Ukochany mój! Jestem na pokładzie holenderskiego brygu⁵⁷ „Panna”, który ma lada chwila odpłynąć. Mój okrutny ojciec postanowił rozdzielić nas na zawsze i dlatego wysłał mnie do Europy pod opieką brata. Błagam cię, ratuj. Porwij mnie, ukochany bohaterze!

Twoja zrozpaczona kochająca cię Madeleine

„Ukochany bohater” był do głębi serca wzruszony tym namiętym wezwaniem. Jego gniewny wzrok obiegił zatokę w poszukiwaniu holenderskiego brygu, odchodzącego do Amsterdamu z ładunkiem nie wyprawionych skór i tytoniu.

Statku nie było nigdzie widać w wąskiej, otoczonej skałami zatoce. Na ryk pirata Indianin wskazał w kierunku pieniającego się przyboju⁵⁸, oznaczającego położenie raf, stanowiących główną obronę twierdzy. Jakąś

milę poza rafami widać było na morzu żagiel.

– Tam – powiedział.

– Tam! – Francuz patrzył szeroko rozwartymi oczyma, błędnie śmiertelnie. Cały jego straszliwy gniew wyładował się na posłańcu.

– A gdzieś ty był, że przychodzisz do mnie dopiero teraz? Odpowiadaj!

Indianin cofnął się, przerażony wybuchem pirata, a odpowiedź uwięzła mu w gardle. Levasseur złapał go za kark, wstrząsnął dwukrotnie, a potem cisnął w bok. Głowa nieszczęsnego uderzyła o nadburcie. Indianin upadł na pokład i leżał bez ruchu, a z ust popłynął mu strumyczek krwi.

Levasseur otarł ręce, jak gdyby strzepując kurz.

– Wyrzucić to ścierwo za burtę! – rozkazał swoim ludziom stojącym beczynnym w pobliżu. – Potem podnieść kotwicę i żeglować za tym Holendrem.

– Spokojnie, kapitanie, co się stało! – zapytał porucznik Cahusac, otyły, zimny, bretoński łotr, kładąc mu rękę na ramieniu.

Levasseur wyjaśnił swoje zamiary, dodając kilka niepotrzebnych przekleństw. Cahusac potrząsnął głową.

– Holenderski bryg! – powiedział. – To niemożliwe! Nikt nam na to nie pozwoli!

– A kogóż, u diabła, mielibyśmy się pytać? – zawołał Levasseur, bardziej zdumiony niż wściekły.

– Po pierwsze, nasza własna załoga nie będzie miała na to wielkiej ochoty. Po drugie, musimy się liczyć z kapitanem Bloodem.

– Nie dbam ani o kapitana Blooda, ani...

– To źle. Kapitan Blood ma za sobą metal swych dział i serca swoich ludzi i o ile go znam, pierwiej zatopi nasz statek, niż pozwoli nam zaatakować Holendra. Blood ma swój własny pogląd na piractwo. Już ci to przecież mówiłem.

– Ach! – zawołał Levasseur, pokazując zęby. Jego oczy, przykute do oddalającego się żagla, były posępne i zamyślane. Nie na długo jednak. Wyobraźnia i pomysłowość, które przekonały do niego Blooda, wkrótce wskazały mu drogę.

Przeklinając w duchu współpracę z Bloodem, zaczął obmyślać sposoby ominięcia umowy, zanim jeszcze statek podniósł kotwicę.

Cahusac miał rację. Blood, wiedząc o tym, nie zezwoliłby na awanturę

z Holendrami, lecz można to było zrobić podczas jego nieobecności. Skoro raz załatwią tę sprawę, Blood będzie musiał się z nią pogodzić, gdyż na protesty będzie już za późno.

W godzinę później „Arabella” i „Błyskawica” lawirowały razem po morzu. Kapitan Blood nie znał planów swego współnika, ale na jego prośbę zgodził się podnieść kotwicę wcześniej, niż postanowiono.

Przez cały dzień widać było holenderski bryg, chociaż wieczorem odległy żagiel widniał już tylko jak kreseczka na północnym horyzoncie. Uzgodniony kurs Blooda i Levasseurs biegł na wschód, wzdłuż północnych wybrzeży Hispanioli. „Arabella” trzymała się go przez całą noc. Kiedy słońce wzeszło, statek Blooda żeglował osamotniony. „Błyskawica” uciekła pod osłoną ciemności na północny wschód wciągając na reje wszystkie żagle. Cahusac jeszcze raz spróbował zaprotestować przeciwko temu. – Bodaj cię diabli wzięli! – odpowiedział mu Levasseur. – Statek jest statkiem, wszystko jedno holenderski czy hiszpański. Teraz właśnie potrzebujemy statków. Dla załogi to wystarczy. Porucznik nic na to nie odpowiedział. Rzut oka na list wyjaśnił mu, że Levasseurowi chodziło nie o statek, lecz o dziewczynę. Potrząsnął tylko ponuro głową i potoczył się na swoich krzywych nogach wydać niezbędne rozkazy.

O zmierzchu „Błyskawica” zbliżyła się na milę do ściganego statku, gdzie wyraźnie zaniepokojono się tą pogonią. Niewątpliwie obawy wzniecił brat panny, rozpoznawszy statek Levasseura. Piraci widzieli, jak statek holenderski stawiał żagle, na próżno usiłując umknąć prześladowcom, i stali spokojnie przy sterborcie⁵⁹, póki odległość nie zmniejszyła się o tyle, że można było posłać ostrzegawczy strzał przed dziób brygu.

„Panna” zrobiła zwrot, pokazała im ster i otworzyła ogień z rufowych działek pościgowych. Mały pocisk przeleciał ze świstem przez wanty⁶⁰, lekko uszkodzając ożaglenie. Nastąpiła krótka walka, w czasie której Holendrowi udało się oddać salwę całą burtą.

Pięć minut później statki zetknęły się burtami, bryg został mocno pochwycony przez abordażowe haki brygantyny, a korsarze z hałasem rzucili się na śródokręcie wrogiego statku.

Holenderski kapitan, purpurowy na twarzy, wystąpił naprzód, by powstrzymać piratów. W towarzyszącym mu wytwornym, bladym, młodym gentlemanie Levasseur poznał swego przyszłego szwagra.

– Kapitanie Levasseur, odpowiesz za tę napaść! Czego tu szukasz na moim statku?

– Z początku szukałem tylko tego, co należy do mnie, a z czego mnie obrabowano, lecz ponieważ wybrałeś wojnę i otworzyłeś do mnie ogień, uszkodzając statek i zabijając pięciu moich ludzi, więc dobrze! Niech będzie wojna, a twój statek łupem wojennym.

Stojąc przy relingu na rufie, panna d'Ogeron płonącymi oczyma patrzyła w dół na wielbiciela, zdumiona jego przybyciem.

Wspaniały i bohaterski, zuchwały i piękny wydawał się jej, gdy tak stał górując wzrostem nad innymi. Ujrzał dziewczynę i z okrzykiem radości rzucił się na rufę. Holenderski kapitan stanął mu na drodze i starał się go powstrzymać wzniosłszy ręce. Levasseur nie tracił czasu na sprzeczki; zbyt niecierpliwie pragnął pochwycić w ramiona ukochaną. Zamachnął się trzymanym w rękę krótkim berdyszem i Holender upadł na pokład zalany krwią buchającą z rozrąbanej czaszki. Stęskniony kochanek przestąpił nieruchome ciało i podszedł do panny z obliczem rozjaśnionym radością.

Lecz ona cofnęła się teraz w przerażeniu. Była to młoda dziewczyna, zaledwie u progu kobiecości, słusznego wzrostu i pięknej postawy, z twarzy koloru kości słoniowej, okoloną czarnymi, błyszczącymi lokami. Wyraz pychy i nonszalancji podkreślały jeszcze wielkie, ciemne oczy, przysłonięte ciężkimi powiekami.

W oka mgnieniu ukochany był przy niej, odrzucił zakrwawiony berdysz i otworzył ramiona do uścisku. Lecz dziewczyna wzdragła się jeszcze, chociaż pozwoliła się objąć. Wyraz dumy, właściwy jej pięknej twarzy, ustąpił tym razem miejsca załęknienu.

– Moja, moja nareszcie i wbrew wszystkim! – wołał Levasseur ekstatycznym, teatralnym, prawdziwie bohaterskim tonem.

Lecz panna, usiłując uwolnić się z uścisku, zdołała tylko wyjąkać:

– Czemu? Czemuś go zabił?

Pirat wybuchnął śmiechem i odpowiedział jak jeden z bogów, zniżających się do obcowania ze śmiertelnikiem:

– Stanął między nami. Niech jego śmierć będzie symbolem i ostrzeżeniem. Niech uważają wszyscy, którzy chcą pójść za jego przykładem.

Słowa brzmiały tak imponująco i straszliwie, gest był tak szeroki

i piękny, a czar postaci tak zniewalający, że panna odrzuciła swoje dziecinne skrupuły i poddała się, upojona, czułym pieścizotom. Levasseur wziął dziewczynę na ręce i nieomal nie czując jej ciężaru, lekko skoczył na pokład własnego statku, witany tryumfalnymi okrzykami swojej załogi. Nierozważny brat panny byłby zepsuł romantyczną scenę, gdyby czujny Cahusac nie przyskoczył i nie spętał go jak zwierzynę.

Potem kapitan napawał się uśmiechem ukochanej w swojej kabinie, a Cahusac zajął się podziałem łupów. Holenderską załogę załadowano do wielkiej szalupy i posłano do diabła. Na szczęście marynarzy było tylko dwudziestu kilku, szalupa więc, jakkolwiek przeładowana, mogła pomieścić wszystkich. Cahusac obejrzał też ładunek brygu i wysłał na niego sternika z dwudziestu ludźmi, by prowadzili statek za „Błyskawicą” na południe, do Wysp pod Wiatrem.

Cahusac był w złym nastroju. Ryzyko, na jakie się narażano zabierając holenderski bryg i czyniąc gwałt członkom rodziny gubernatora, nie pozostawało w żadnym stosunku do wartości zdobyczy. Porucznik nie krył swej opinii przed Levasseurem, lecz kapitan go ofuknął:

– Schowaj swoje zdanie dla siebie. Nie sądz, że kładę głowę w pętlę, nie wiedząc, jak ją wyjąć z powrotem. Poślę gubernatorowi Tortugi warunki, które będzie musiał przyjąć. Sterujcie kursem na wyspę Virgen Magra. Wyjdziemy tam na ląd i załatwimy sprawę. Każ przyprowadzić tu tego młokosa d’Ogerona.

Z tymi słowy Levasseur wrócił do uwielbiającej go damy.

Brata panny wprowadzono do kabiny. Kapitan powstał na powitanie i pochylił nieco głowę, by nie uderzyć o sufit. Panna podniosła się również.

– Co to znaczy? – zapytała Levasseura wskazując na związane w przegubach ręce brata, ślad przezorności Cahusaca.

– Ubolewam nad tym – odpowiedział pirat – chciałbym tego uniknąć, niech pan d’Ogeron da mi słowo honoru...

– Ani myślę – przerwał mu poblady, ale bynajmniej nie tchórzliwy młodzieniec.

– Sama widzisz. – Levasseur wzruszył ramionami z pożałowaniem, a panna zwróciła się do brata z wymówką:

– Henryku, to szaleństwo, nie zachowujesz się jak mój przyjaciel, ty...

– Mały głuptasie – odpowiedział brat, i to „mały” brzmiało jakoś dziwnie

nie na miejscu, bo panna była wyższa od niego – mały głuptasie, czy sądzisz, że postąpiłbym jak twój przyjaciel, gdybym tu zaczął paktować z tym podłym piratem?

Spokojnie, mój kogutku – uśmiechnął się Levasseur, lecz nie był to uśmiech przyjemny.

– Czyż nie rozumiesz, ile złego sprawiło już twoje szaleństwo? Ile ludzi straciło życie, by ten potwór mógł cię zdobyć? Czy nie widzisz, gdzie się teraz znalazłaś. Jesteś w mocy tej bestii, tego kundla, urodzonego w chlewie, a wychowanego na kradzieży i morderstwach!

Byłby powiedział więcej, lecz Levasseur przerwał mu uderzając go w twarz. Pirat bowiem, podobnie jak i my wszyscy, nie lubił, kiedy mu się mówiło prawdę w oczy.

Panna stłumiła krzyk, widząc, jak jej brat zatoczył się do tyłu, aż wreszcie oparł się o ścianę kabiny. Wargi miał zakrwawione, lecz duch nie został złamany. Na twarzy jego zjawił się bolesny uśmiech, gdy odszukał wzrokiem siostrę.

– Widzisz – rzekł po prostu – bije człowieka, któremu związano ręce.

Proste słowa, a bardziej jeszcze ton niewypowiedzianej pogardy wywołały pasję, zawsze tylko lekko drzemiącą w sercu Levasseura.

– A co byś ty, szczeniaku, zrobił, gdybyś nie miał związanych rąk? – Tu chwycił więźnia za kaftan na piersiach i potrząsnął nim. – Odpowiadaj! – Co byś zrobił? Ha! Ty nadęty pęcherzu! Ty... – Tu wyrzucił z siebie potok słów nie znanych panie, ale jak się domyślała, niesłychanie plugawych.

Stała przy stole i kazała mu zamilknąć. Chcąc jej usłuchać, pirat otworzył drzwi i wyrzucił młodzieńca na pokład.

– Trzymać to ścierwo w ładowni, dopóki go nie zawołam – ryknął i zamknął drzwi.

Już opanowany zwrócił się do dziewczyny z uśmiechem winowajcy, lecz nie uzyskał uśmiechu w odpowiedzi. Panna ujrzała teraz jego charakter bez osłonek, a obraz ten był straszny i obrzydliwy. Pomyślała o brutalnym zabójstwie holenderskiego kapitana i nagle przyszło jej do głowy, że wszystko, co brat powiedział o tym człowieku, było prawdą. Gdy tak stała, opierając się o stół, na twarzy jej odmalowało się przerażenie graniczące z paniką.

– Co to znaczy, kochanie? – zapytał Levasseur przysuwając się do

dziewczyny. Ta jednak cofnęła się przed nim. Na twarzy pirata igrał uśmiech, w oczach miał błysk, na widok którego serce dziewczyny podeszło do gardła.

Złapał ją już pod ścianą kabiny, pochwycił długimi ramionami i przycisnął do siebie.

– Nie, nie! – dyszała panna.

– Tak, tak! – szydził, a jego szyderstwo było najstraszniejsze ze wszystkiego. Zmiażdżył ją w objęciach, zadając naumyślnie ból, ponieważ się opierała, i pocałował wyrywającą się z jego uścisku. Kiedy namiętność wezbrała w nim, rozgniewał się i zrzucił z siebie ostatnie strzępy bohaterskiej maski, przesłaniającej jego prawdziwe oblicze.

– Mały głuptasie, czyż nie słyszałaś, co twój brat powiedział? Jesteś w mojej mocy! Pamiętaj o tym, pamiętaj też, że znalazłaś się tu z własnej woli. Nie jestem mężczyzną, z którym kobieta mogłaby się bawić w kotka i myszkę. Nabierz więc trochę rozumu, moja kochana, i pogódź się z tym, coś sama wywołała.

– Pocałował ją znowu, niemal pogardliwie, i odepchnął od siebie.

– Żebyś mi tu więcej nie grymasiła – dodał – bo pożałujesz.

Ktoś zapukał. Przeklinając intruza Levasseur podszedł do drzwi i otworzył. Przed nim stał Cahusac. Twarz Bretończyka była poważna. Porucznik zameldował o uszkodzeniu kadłuba na linii wodnej, spowodowanym strzałem Holendrów. Przestraszony Levasseur wyszedł razem z nim. Przeciek nie był groźny, dopóki pogoda dopisywała, lecz gdyby nadszedł sztorm, sytuacja pogorszyłaby się niezawodnie. Spuszczono za burtę marynarza, aby założył plaster z żaglowego płótna, i uruchomiono pompy.

Przed dziobem ukazała się na horyzoncie niska chmura, zdaniem Cahusaca, najdalej na północ wysunięta wyspa spośród Wysp Dziewiczych.

– Musimy na niej szukać schronienia – rzekł Levasseur – przechylimy tam statek i naprawimy uszkodzenie. Nie mam zaufania do tej duchoty. Sztorm może nas złapać, zanim dobijemy do lądu.

– Sztorm lub coś innego – odezwał się ponuro Cahusac. – Zwróciłeś na to uwagę? – Wskazał horyzont po sterborcie.

Levasseur spojrział i dech zaparło mu w piersi. W odległości jakich pięciu mil zauważył dwa statki o znacznym tonażu, kierujące się w ich stronę.

– Co się z nami stanie, jeżeli nas dopędzą? – zapytał Cahusac.

– Będziemy walczyć bez względu na przewagę przeciwnika – odparł złośliwie Levasseur.

– To głos rozpaczony – odparł pogardliwie Cahusac, spluwając na pokład dla podkreślenia tej pogardy. – Taki jest skutek, kiedy się wychodzi w morze z zakochanym szaleńcem. Ale teraz opanuj swe uczucia, kapitanie, bo obawiam się, by załoga nie wypowiedziała się przeciwko nam, jeśli będziemy mieli jakieś kłopoty w związku z tą holenderską sprawą.

Do końca dnia Levasseur myślał o wszystkim innym, tylko nie o miłości. Stał na pokładzie, spoglądając już to na ląd, już to na z wolna zbliżające się statki. Ucieczka w otwarte morze nie wróżyła w takiej sytuacji nic dobrego. Przeciek stanowił tu dodatkowy moment niebezpieczeństwa. Należało przyjąć walkę w zatoce. Wreszcie ku wieczorowi, gdy do lądu pozostało jeszcze trzy mile i kapitan niemal zdecydował się już wydać rozkaz przygotowania statku do boju, marynarz w bocianim gnieździe, ku wielkiej uldze Levasseura, oznajmił, że większy ze zbliżających się statków to „Arabella”. Drugi był prawdopodobnie łupem.

Lecz Cahusac nadal zapatrywał się pesymistycznie na wszystko.

– To jest tylko mniejsze zło – warknął. – Co powie Blood o Holendrze?

– A niech sobie mówi, co chce! – zaśmiał się z ulgą Levasseur.

– A co powie o dzieciach gubernatora Tortugi?

– Nie powinien o nich wiedzieć.

– W końcu i tak się dowie.

– Pewnie, lecz do tego czasu, *morbleu*, sprawa będzie załatwiona. Dojdę do porozumienia z gubernatorem. Powiadam ci, znam sposób zmuszenia d’Ogerona do przyjęcia moich warunków.

Teraz już cztery statki zbliżały się do brzegu Virgen Magra, wąskiej, małej wysepki, bezwodnej i bezdrzewnej, o długości dwunastu, a szerokości trzech mil. Wyspa była nie zamieszкана, jeśli nie liczyć ptaków i żółwi, a jedyne jej bogactwo stanowiła sól, obficie występująca w kilku jeziorach w południowej jej części.

Levasseur kazał spuścić szalupę i w towarzystwie dwóch oficerów udał się na pokład „Arabelli” na spotkanie z Bloodem.

– Nasze krótkie rozstanie było niezwykle owocne – rzekł kapitan Blood pozdrawiając Francuza. – Obaj mieliśmy pracowity ranek.

Kiedy powiódł gości do kabiny, by wysłuchać sprawozdania, był wyraźnie w dobrym humorze.

Duży statek, towarzyszący „Arabelli”, był to dwudziestosześciodziałowy hiszpański okręt „Święty Jakub” z Porto Rico, który wiozł 120 000 funtów kakao, czterdzieści tysięcy sztuk złota oraz klejnoty o wartości dziesięciu tysięcy dublonów⁶¹. Dwie piąte tej bogatej zdobyczy otrzymali Levasseur i jego załoga. Pieniądze i klejnoty podzielono na miejscu. Kakao postanowiono odwieźć do Tortugi i tam je sprzedać.

Gdy przyszła na Levasseura kolej pochwalić się łupem, kapitan Blood zmarszczył brwi słysząc sprawozdanie Francuza. Dał stanowczy wyraz swemu niezadowoleniu. Holendrzy są narodem zaprzyjaźnionym i szaleństwem jest narażać im się dla takiej drobnostki jak te skóry i tytoń, wartości najwyżej dwudziestu tysięcy dublonów.

Levasseur jednakże odpowiedział Bloodowi to samo co Cahusacowi, a mianowicie, że statek jest statkiem, a właśnie statków potrzeba im dla urzeczywistnienia projektowanej wyprawy.

Blood machnął ręką na całą sprawę, zadowolony z odniesionych w tym dniu korzyści. Wtedy Levasseur zaproponował, by „Arabella” i zdobyty statek wróciły do Tortugi, wyładowały kakao i zaciągnęły nowych piratów, dla których znajdzie się teraz miejsce. Sam miał przez ten czas dokonać niezbędnych napraw, skierować się na południe i oczekiwać swego admirała przy Saltatudos, wygodnie położonej wyspie, na 11°11' szerokości północnej. Stamtąd, już razem, mieli wyruszyć na Maracaibo.

Ku wielkiej uldze Levasseura Blood nie tylko nie protestował, lecz sam zaproponował natychmiast podnieść żagle.

Po odpłynięciu „Arabelli” Levasseur wyprowadził swoje statki na lagunę⁶² i zapędził marynarzy do budowania – na czas przechylenia i naprawy „Błyskawicy” – pomieszczeń na brzegu dla siebie, załogi i przymusowych gości.

O zachodzie słońca tego wieczoru wiatr wzmógł się na sile i wzrósł aż do sztormu, a później przeszedł w taki huragan, że Levasseur był zadowolony widząc swe okręty w bezpiecznej przystani. Myślał trochę o tym, jak się wiodło Bloodowi na morzu na łasce straszliwej burzy, lecz ta troska nie pozbawiła go snu.

XV

OKUP

Następny ranek wstał jasny i lśniący po nocnym sztormie. Powietrze było przesycone słonym, ożywczym zapachem, wionącym od jezior na południu wyspy.

U stóp wybielonych słońcem wydym na plaży Virgen Magra Levasseur kazał rozpiąć improwizowany namiot z żagla, pod którym rozegrała się niezwykła scena. Siedząc na pustej baryłce, francuski flibustier postanowił załatwić ważną sprawę: dojść do porozumienia z gubernatorem Tortugi.

Wokół niego skupiła się honorowa straż złożona z sześciu oficerów; pięciu z nich to nieokrzesani bukanierzy w poplamionych kaftanach i skórzanych spodniach, szóstym był Cahusac. Przed nim, strzeżony przez dwóch półnagich Murzynów, stał młody d'Ogeron, w koronkowej koszuli, satynowych spodniach i pięknych butach z kordobańskiej skóry. Zwleczono z niego kaftan, a ręce związane za plecami. Przystojna twarz młodego szlachcica była wymizerowana. W pobliżu, też pod strażą, lecz nie skrzepowana, siedziała na piaszczystym pagórku jego siostra, panna d'Ogeron. Była bardzo blada i na próżno usiłowała pod maską pychy ukryć dręczące ją obawy.

Levasseur zwrócił się do d'Ogerona i wygłosił długą przemowę. Na koniec rzekł z drwiącą uprzejmością:

– Mam nadzieję, mój panie, że wyraziłem się jasno. By uniknąć wszelkich nieporozumień, powtarzam: żądam od ciebie dwudziestu tysięcy dublonów

w okupie i zwolnię cię na słowo, abys mógł wrócić do Tortugi i zebrać pieniądze. Ułatwię ci też przejazd i pozostawię miesiąc na załatwienie sprawy. W tym czasie siostra twoja pozostanie tu jako zakładniczka. Twój ojciec nie powinien uważać tej sumy za zbyt wysoką, wzięwszy pod uwagę, iż jest to cena wolności syna i zarazem posag córki. W gruncie rzeczy jestem nazbyt skromny, gdyż pardil pan d'Ogeron jest zamożnym człowiekiem.

Pan d'Ogeron junior podniósł głowę i zuchwale spojrział w twarz korsarzowi.

– Odmawiam zdecydowanie i ostatecznie, rozumiesz? Czyń więc, co zamierzasz, i bądź przekłety, plugawy piracie, wyzuty z czci i honoru!

– Co za wyrażenia! – zaśmiał się Levasseur. – Jaki zapał i jaka głupota! Jeszcześ nie pomyślał, co się z tobą stanie, jeśli nie przyjmiesz mojej propozycji. Gdy się dowiesz, nie będziesz się tak upierał. Nie uczynisz tego w żadnym wypadku. Mamy sposoby na opornych. Lepiej też nie próbuj dawać parolu pod przymusem, a potem wystrychnąć mnie na dudka. Potrafię cię odnaleźć i ukarać. Pamiętaj, że stawką w grze jest honor twojej siostry. Gdybyś zapomniał powrócić z posagiem, nie dziw się, gdybym ja zapomniał się z nią ożenić.

Roześmiane oczy Levasseura dostrzegły wyraz przerażenia malujący się na twarzy młodzieńca. D'Ogeron rzucił dzikie spojrzenie na siostrę, z której oblicza rozpacz starła niemal całą piękność.

Ogarnęła go wściekłość i niesmak. Po chwili opanował się jednak i odpowiedział rezolutnie:

– Nie, ty psie! Po tysiackroć nie!

– Twój upór jest szaleństwem – powiedział Levasseur bez gniewu, z szyderczym żalem w głosie. Palce jego wiązały supły na cienkim rzemyku bicia. Po chwili uniósł go w górę. – Czy znasz to? To jest różaniec bólu, który nawrócił wielu zaciętych heretyków. Można nim nauczyć człowieka rozumu, wyciskając mu oczy z głowy. Rób, jak uważasz.

Rzucił rzemień jednemu z Murzynów, a ten momentalnie owinął go wokół głowy więźnia. Między rzemień a czaszkę wsunął krótki kawałek metalu, cienki i okrągły jak cybuch fajki, po czym zwrócił się do Levasseura, oczekując sygnału.

Pirat zauważył skupienie i zaciętość w postawie młodzieńca, jego wynędzniałą twarz o ołowianej cerze i krople potu, spływające z czoła

poniżej opasującego głowę rzemienia.

Panna krzyknęła i chciała powstać, lecz powstrzymana przez strażników, opadła jęcząc na piasek.

– Zaoszczędź cierpienie sobie i siostrze – rzekł kapitan – i bądź rozsądny. Cóż w gruncie rzeczy znaczy wymieniona przeze mnie suma? Dla twojego zamożnego ojca to bagatelka. Byłem bardzo skromny, powtarzam, lecz skoro już zażądałem dwudziestu tysięcy sztuk złota, niech będzie dwadzieścia tysięcy!

– A za cóż to, jeśli wolno wiedzieć, żądasz dwudziestu tysięcy dublonów?

Pytanie, rzucone ponad głowami piratów okropną francuszczyzną, lecz przyjemnym, wysokim głosem, zdawało się przedrzeźniać szyderstwo dźwięczące w głosie Levasseura.

Levasseur i jego oficerowie, zdziwieni, obejrzeni się wokół. Na szczycie wydmy, za swymi plecami, spostrzegli sylwetkę odcinającą się ostro od kobaltowego nieba. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, starannie odziany w czarny strój, lamowany srebrnym galonem. Jedyny barwny akcent jego ubioru stanowiło purpurowe strusie pióro, otaczające szeroki kapelusz. Pod kapeluszem widniała smągła twarz kapitana Blooda.

Levasseur opanował się i zaklął zdumiony. Sądził, że Blood już jest daleko, w drodze do Tortugi, jeśli w ogóle wyszedł cało z szalejącego ostatniej nocy sztormu.

Kapitan Blood zeskoczył z wydmy, wpadając w piasek aż po kostki pięknych butów z hiszpańskiej skóry, i skierował się do brzegu. Towarzyszył mu Wolverstone i sześciu innych marynarzy. Blood przystanął, uchylił dwornie kapelusza przed damą, a później zwrócił się do Levasseura.

– Dzień dobry, kapitanie – rzekł i zaczął wyjaśniać przyczyny swego przybycia. – Huragan zmusił nas do powrotu. Nie mieliśmy innego wyboru. Zwinęliśmy żagle i pędziliśmy z wiatrem aż tutaj. I niech to diabli wezmą! „Święty Jakub” utracił grotmaszt i musiałem wprowadzić go do zatoki na zachodnim krańcu wyspy, o parę mil stąd. Zażyliśmy trochę spaceru, by rozprostować nogi i przywitać was. Ale co to za jedni? – wskazał młodzieńca i pannę.

Całusac wzruszył ramionami.

– Voila – rzek znacząco, spoglądając w niebo.

Levasseur zagryzł wargi i zaczerwienił się, lecz zaraz odzyskał

panowanie nad sobą i odpowiedział uprzejmie:

– Jak widzisz, dwoje więźniów.

– Ach, tak! Niewątpliwie wyrzuceni na brzeg przez wczorajszy sztorm?

– Niezupełnie. – Levasseur z trudem zachował spokój wobec tak jawnej ironii. – Byli na holenderskim brygu.

– Nie przypominam sobie, byś mówił mi już przedtem o wzięciu ich do niewoli.

Nie uczyniłem tego, gdyż to są moi prywatni więźniowie, moja osobista sprawa. Są Francuzami.

– Francuzami! – Płonące oczy kapitana Blooda przeszły Levasseura, a potem więźniów.

Pan d'Ogeron stał zacięty i skupiony jak przedtem, lecz straszliwe przerażenie znikło mu z twarzy. Niewątpliwie ta nieoczekiwana przerwa w torturach, która najwidoczniej w tym samym stopniu zaskoczyła jego dręczycieli, jak i jego samego, natchnęła go otuchą. Przejęta podobnymi uczuciami panna skłoniła się, rozchylając wargi i szeroko rozwierając oczy.

Kapitan Blood na chwilę przycisnął palcem usta i zmarszczył brwi w zadumie, po czym zwrócił się do Levasseura:

– Wczoraj zaskoczyłeś mnie, wszczynając wojnę z naszymi przyjaciółmi Holendrami. Teraz widzą, iż jesteś niebezpieczny nawet dla swoich rodaków.

– Czy ci nie powiedziałem, że... że to moja osobista sprawa?

– Aha! A jak się oni nazywają?

Szorstkie, rozkazujące, nieco wzgardliwe zachowanie kapitana Blooda wzbudziło gniew porywczego Levasseura. Krew z wolna zabarwiła jego pobladłą twarz, a wzrok stał się wyzywający, niemal groźny. Tymczasem więzień odpowiedział zamiast niego.

– Jestem Henryk d'Ogeron, a to moja siostra.

– D'Ogeron? – spojrział nań ze zdziwieniem Blood. – Czy może jesteś krewnym mojego dobrego przyjaciela, gubernatora Tortugi?

– To mój ojciec.

Levasseur odwrócił się z przekleństwem. W przybyszu zdziwienie zagłuszyło na razie wszystkie inne uczucia.

– Święci Pańscy! Czyś ty zupełnie oszalał, Levasseur? Najpierw napastujesz Holendrów, później bierzesz do niewoli Francuzów, a jak się

teraz okazuje, ni mniej, ni więcej tylko dzieci gubernatora Tortugi, która jest dla nas jedyną bezpieczną przystanią na tych wyspach...

Levasseur przerwał mu gniewnie:

– Czyż mam ci znów powtórzyć, że to moja osobista sprawa? Tylko ja jeden będę odpowiadał za to przed gubernatorem Tortugi.

– A dwadzieścia tysięcy sztuk złota? Czy to też twoja osobista sprawa?

– Tak jest!

– Jestem wręcz przeciwnego zdania. – Kapitan Blood usiadł na baryłce, zajmowanej przedtem przez Levasseura, i spojrzał nań ironicznie. – Aby nie tracić czasu, chciałbym cię poinformować, iż słyszałem propozycję, którąś uczynił tej damie i temu gentlemanowi. Przypominam ci też o podpisanej przez nas, wykluczającej wszelkie nieporozumienia, umowie. Ustaliłeś okup za tych więźniów na dwadzieścia tysięcy dublonów. Ta suma należy więc do załogi twojego, jak i mojego statku w ściśle określonym stosunku. Chyba temu nie zaprzeczysz. Znacznie gorzej, że ukryłeś przede mną część łupu zdobytego w czasie ostatniego rejsu, bo jak wiesz, za takie przekroczenie umowa przewiduje dość ciężką karę.

– Ho, ho! – roześmiał się szydyczko Levasseur i dodał: – jeżeli ci się nie podoba moje postępowanie, możemy zerwać współpracę.

– Do tego właśnie zmierzam, lecz zakończymy ją wtedy i tak, jak ja uznam za stosowne, to znaczy natychmiast, gdy wypełnisz warunki omówione przed wyruszeniem na tę wyprawę.

– Co masz na myśli?

– Będę się streszczał – rzekł Blood. – Nie powiem na razie, jak dalece nierozważne są napady na Holendrów, branie do niewoli Francuzów i wywoływanie gniewu gubernatora Tortugi. Rozpatruję tylko obecną sytuację. Ty sam ustaliłeś okup za tych dwoje na dwadzieścia tysięcy sztuk złota, a dama oprócz tego ma przejść na twoją własność. Lecz czemu ma należeć do ciebie, nie zaś do kogokolwiek innego, skoro zgodnie z umową, jako zdobycz wojenna, należy do wszystkich?

Twarz Francuza pociemniała z gniewu.

– Jednakże – ciągnął kapitan Blood – nie zamierzam sprzeczać się o nią, jeśli gotów jesteś ją wykupić.

– Wykupić ją?

– Tak, za cenę przez ciebie ustaloną.

Levasseur pohamował wściekłość, próbując dyskutować z Irlandczykiem.

– To okup za mężczyznę. Zapłaci go gubernator Tortugi.

– Nie, nie, objąłeś okupem obydwójce, co zresztą wydawało mi się dziwne. Oszacowałeś ich na dwadzieścia tysięcy i skoro chcesz, możesz ich mieć za tę sumę. Musisz jednak zapłacić te dwadzieścia tysięcy otrzymane od gubernatora jako okup za młodzieńca i posag dla panny, a my je podzielimy między załogi. Być może, puszczyć ci wtedy płazem złamanie umowy.

Levasseur wybuchnął dzikim śmiechem.

– *Ah ca! Credieu!* Dobry żart!

– Zupełnie się z tobą zgadzam – odrzekł Blood.

Dla Levasseura żart polegał na tym, że Blood zamierzał przy pomocy siedmiu ludzi narzucić swoją wolę jemu, który miał setkę piratów na każde zawołanie. Francuz nie wziął jednak pod uwagę czegoś, na co liczył jego przeciwnik. Kiedy śmiejąc się jeszcze, odwrócił się do swoich oficerów, śmiech zamarł mu w gardle. Kapitan Blood zagrał sprytnie na chciwości, tym głównym motorze działania awanturników. Levasseur mógł teraz jasno wyczytać z ich twarzy, do jakiego stopnia projekt Blooda, dotyczący podziału okupu między załogi, zyskał ich poparcie. Powstrzymało to strojnego draba. Przeklinając w duchu swych ludzi, wiernych jedynie chciwości, postanowił działać ostrożnie.

– Nie zrozumiałeś mnie – rzekł z hamowaną pasją. – Gdy okup nadejdzie, zostanie podzielony. Dziewczyna będzie przez ten czas moja.

– Dobrze – mruknął Cahusac. – Można to i w ten sposób załatwić.

– Tak ci się zdaje? – zapytał kapitan Blood. – A co będzie, jeśli pan d'Ogeron nie zechce zapłacić okupu? Co wtedy?

Zaśmiał się i wstał leniwie.

– Nie, nie, jeśli kapitan Levasseur chce zatrzymać dziewczynę, niech zapłaci okup i ponosi ryzyko.

– Dobra myśl! – zawołał jeden z francuskich oficerów, a Cahusac dodał:

– To brzmi rozsądnie. Kapitan Blood ma rację. Tak jest w umowie!

– Co jest w umowie, wy głupcy? – Levasseur zaczynał tracić głowę. – *Sacre Dieu!* A skąd mam wziąć dwadzieścia tysięcy dublonów? Cały mój udział w ostatniej zdobyczy nie sięga połowy tej sumy. Będę waszym dłużnikiem, póki nie zarobię tych pieniędzy. Czy to was wreszcie zadowala?

Niewątpliwie byłoby ich to zadowoliło, gdyby nie Blood.

– A jeśli umrzesz, zanim zdołasz je zarobić? Nasz zawód połączony jest z ryzykiem, kapitanie.

– Niech cię diabli wezmą! – Levasseur rzucił się wściekle. – Czyż niczym nie można cię zaspokoić?

– Ależ oczywiście. Zaspokoi mnie dwadzieścia tysięcy sztuk złota do natychmiastowego podziału.

– Nie mam tyle pieniędzy.

– To niech kto inny wykupi więźniów; ktoś, kto ma pieniądze.

– A któż, twoim zdaniem, mógłby je mieć, skoro ja ich nie mam?

– Ja! – odparł Blood.

– Ty masz pieniądze? – zawołał Francuz otwierając usta ze zdumienia. – Ty... Ty chciałbyś kupić dziewczynę?

– Czemu nie? Jak widzisz, przewyższam cię o tyle w galanterii dla dam, że jestem gotów do pewnych poświęceń, aby ją mieć. Prześcigam cię poza tym w uczciwości, gdy jestem skłonny zapłacić za to, czego pragnę.

Levasseur i cisnący się za jego plecami oficerowie wytrzeszczyli na Blooda zdumione oczy.

Kapitan Blood usiadł na jednej z baryłek i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kaftana woreczek.

– Z radością rozwiązę trudność, która przez chwilę wydawała się nie do rozwiązania. – Rzekłszy to, przed nosem Levasseura i jego oficerów wysypał na lewą dłoń cztery czy pięć pereł wielkości wróblego jaja. W woreczku znajdowało się ich ze dwadzieścia. Były to najpiękniejsze okazy, zdobyte w czasie napadu na flotę perłową.

– Chwalisz się swoją znajomością pereł, Cahusac. Na ile ocenilibyś te klejnoty?

Bretończyk ujął w zgrubiałe palce błyszczącą, lekko mieniącą się kuleczkę, a jego chytre oczy w mig ją oszacowały.

– Tysiąc dublonów – odpowiedział krótko.

– W Tortudze lub na Jamajce będzie można otrzymać za nią nawet więcej, a w Europie dwa razy tyle – odparł Blood. – Lecz ja zgadzam się na twoją cenę. Jak widzisz, perły są niemal jednakowej wielkości. Tu macie dwanaście sztuk wartości dwunastu tysięcy dublonów, czyli trzy piąte zdobyczy, należne, zgodnie z umową, załodze „Błyskawicy”. Za osiem tysięcy, przypadających załodze „Arabelli”, ja przyjmę odpowiedzialność

wobec moich ludzi. A teraz, Wolverstone, bądź łaskaw zabrać moją własność na pokład „Arabelli!

Blood powstał wskazując na więźniów.

– O nie! – Levasseur otworzył teraz szerzej upusty swej wściekłości. – Co to, to nie! Nigdy w życiu! Nie dostaniesz jej! – Zamierzał rzucić się na kapitana Blooda, który stał czujny i skupiony, przygryzając wargi.

Francuza powstrzymał jednak jeden z jego oficerów.

– *Nom de Dieu!* Co chcesz uczynić, kapitanie? Wszystko załatwione honorowo i ku ogólnemu zadowoleniu!

– Ku ogólnemu zadowoleniu? – wybuchnął Levasseur. – Ah ca! Ku waszemu zadowoleniu, bydlęta! A co ze mną?

Cahusac wystąpił naprzód, trzymając perły w swojej ogromnej dłoni.

– Nie bądź szaleńcem kapitanie. Czy zamierzasz wszcząć zwadę między załogami? Anglik ma dwa razy więcej ludzi niż my. Co znaczy jedna dziewczyna mniej lub więcej? Na miłość boską, pozwól jej odejść. Blood zapłacił za nią ładną sumkę i postąpił z nami przyzwoicie.

– Postąpił przyzwoicie? – ryknął w furii Francuz. – Ty...

W całym swoim przebogatym słowniku Levasseur nie potrafił znaleźć odpowiedniego epitetu dla swego porucznika. Potężnym ciosem omal nie obalił Cahusaca. Perły rozsypały się po piasku.

Cahusac i jego zwolennicy rzucili się na ziemię w poszukiwaniu klejnotów. Zemsta musiała zaczekać. Przez kilka minut piraci łazili na czworakach, niepomni na wszystko inne. A jednak w tym krótkim czasie miały miejsce ważne wydarzenia.

Levasseur stanął przed Bloodem z ręką na głowni rapiera, zwracając ku niemu pełną wściekłości twarz. Zamierzał nie dopuścić do odejścia kapitana.

– Nie zabierzesz jej, póki ja żyję – ryknął.

– A więc zabiorę ją po twojej śmierci – zawołał Blood obnażając błyszczące w słońcu ostrze własnego rapiera. – Umowa przewiduje, że jeśli ktokolwiek ukryje część zdobyczy, choćby o wartości jednego peso, zostanie bez względu na rangę powieszony na rei. Taki los czeka cię w końcu, ale jeżeli wolisz inny rodzaj śmierci, kanalio, to dobrze! Pójdę ci na rękę!

Skinieniem ręki zabronił przeszkadzać w pojedynku i ostrza skrzyżowały się.

Pan d'Ogeron przypatrywał się zdziwiony tej walce, niezdolny odgadnąć,

co przyniesie mu jej wynik. Tymczasem dwóch marynarzy Blooda odsunęło murzyńskich strażników i zdjęło mu ramię z czoła. Panna podniosła się i pochyliła naprzód, z ręką przyciśniętą do falującej piersi. Twarz jej była śmiertelnie blada, a w oczach malował się dziki przestrah.

Walka nie trwała długo. Brutalna siła, na którą liczył Levasseur, nie mogła sprostać ćwiczeniu i umiejętności Irlandczyka. Po chwili już Levasseur leżał rozpostarty na białym piasku, z przebitymi płucami, kończąc swe łotrowskie życie. Blood spojrział spokojnie na Cahusaca ponad ciałem konającego.

– To chyba unieważnia naszą umowę – rzekł.

Cahusac cynicznie i bezdusznie patrzył na drgające ciało swego dotychczasowego zwierzchnika. Gdyby Levasseur był człowiekiem o innym charakterze, sprawa mogłaby się zakończyć zupełnie inaczej. Lecz wtedy kapitan Blood zastosowałby odmienną taktykę. W istocie Levasseur nie zaskarbił sobie miłości ani wierności podwładnych. Jego piraci należeli do mętów tego okrutnego zawodu i powodowali się jedynie chciwością. Kapitan Blood chytrze zagrał na tym uczuciu, wykazując, że Levasseur dopuścił się jedynej niewybaczalnej zbrodni przywłaszczając sobie coś, co można było przerachować na złoto i podzielić między nich wszystkich.

Tak więc teraz groźny tłum bukanierów, zgromadzony na miejscu odegranej tragikomedii, został uspokojony kilku słowami Cahusaca. Blood szybko rozwiązał resztę ich wątpliwości.

– Jeżeli przyjdziecie na nasze kotwiczowisko, otrzymacie natychmiast wasz udział w kakao ze zdobytego przez nas okrętu i będziecie mogli rozporządzić nim wedle własnej woli.

Przeszli na drugą stronę wysepki, razem z więźniami, i po dokonaniu podziału łupów byliby się oddzielili od Blooda, gdyby Cahusac, obrany przez nich przywódcą na miejsce Levasseura, nie zaoferował Bloodowi ponownie usług francuskiej załogi.

– Jeżeli chcesz ze mną żeglować – powiedział mu Blood – mogę się na to zgodzić pod warunkiem, że pogodzisz się z Holendrami i zwrócisz im bryg razem z ładunkiem.

Zgodzono się na to i kapitan Blood odszedł, by rozmówić się ze swoimi gośćmi, dziećmi gubernatora Tortugi.

Panna d'Ogeron i jej brat, uwolnieni teraz z więzów, siedzieli w wielkiej

kabinie „Arabelli”.

Murzyn Beniamin, kucharz i steward Blooda, postawił przed nimi na stole wino i jadło, przygotowane na ich przyjęcie. Lecz brat i siostra nie ruszyli poczęstunku. Siedzieli w śmiertelnym przerażeniu, wyobrażając sobie, iż trafili z deszczu pod rynnę. W końcu panna, nie mogąc znieść tego napięcia, rzuciła się przed bratem na kolana, prosząc go o przebaczenie za wszystkie przejścia spowodowane jej nieszczęsną lekkomyślnością.

Pan d'Ogeron odpowiedział siostrze z powagą:

– Cieszy mnie, żeś wreszcie zrozumiała, coś uczyniła. Teraz kupił cię ten drugi flibustier i należysz do niego. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

Miał zamiar powiedzieć jeszcze więcej, lecz w tej chwili otworzyły się drzwi. Kapitan Blood, doszedłszy do porozumienia z załogą Levasseura, stał teraz na progu. Pan d'Ogeron nie troszczył się o przyciszenie swego doniosłego głosu i kapitan usłyszał dwa ostatnie zdania. Zrozumiał więc doskonale, czemu panna zachnęła się na jego widok i cofnęła z przestraszeniem.

Skłonił się kapeluszem ozdobionym strusim piórem i podszedł do stołu.

– *Mademoiselle* – rzekł niezbyt poprawną, lecz płynną francuszczyzną – pozbądź się obaw. Na pokładzie tego okrętu będziesz traktowana z należnymi honorami. Jak tylko wyjdziemy w morze, weźmiemy kurs na Tortugę, by odwieźć cię do domu, do ojca. Twój brat niesłusznie sądzi, że nabyłem cię dla siebie. Wyplaciłem tylko kwotę niezbędną dla przekupienia bandy łotrów i skłonienia ich do nieposłuszeństwa względem tego arcyłotra, ich dowódcy. Chciałem uratować cię z niebezpieczeństwa. Jeśli wolisz, uważaj to za przyjacielską pożyczkę, którą spłacisz przy okazji.

Panna patrzyła nań z niedowierzaniem, a pan d'Ogeron powstał z krzesła.

– *Monsieur*, czy mówisz to poważnie?

– Tak jest. To mi się ostatnio rzadko zdarza. Jestem wprawdzie piratem, lecz postępuję inaczej niż Levasseur. Ten powinien był zostać w Europie i stać się rzezimieszką. Pozostał mi jeszcze z lepszych czasów rodzaj honoru, powiedzmy raczej, strzępki honoru. – I żywszym już tonem dodał. – Za godzinę podadzą obiad i mam nadzieję, że zaszczylicie mnie waszym towarzystwem. Przez ten czas Beniamin zaopatrzy pana w odpowiednią garderobę.

Skłonił się i zamierzał odejść, lecz panna go zatrzymała.

– *Monsieur!* – zawołała ostro.

Blood odwrócił głowę. Panna podeszła z wolna, patrząc na niego i wahając się między obawą a podziwem.

– Pan jest bardzo szlachetny! – rzekła.

– Nie nazwałbym tak siebie – zaprzeczył Blood.

– O tak, tak, jesteś szlachetny i powinieneś wiedzieć o wszystkim!

– Madelon! – zawołał brat, pragnąc ją pohamować.

Lecz dziewczyna nie dała się powstrzymać. Musiała dać folgę rozpierającym jej serce uczuciom.

– *Monsieur*, wszystko stało się z mojej winy. Ten człowiek, ten Levasseur...

Blood spojrział na nią. Teraz on nie dowierzał.

– Mój Boże! Czyż to możliwe? To bydlę...

Panna rzuciła się gwałtownie na kolana i ucałowała rękę kapitana, nim zdołał jej przeszkodzić.

– Co pani robi? – zawołał.

– To małe zadośćuczynienie. Znieważylam pana w myśli, porównując go z Levasseurem i biorąc waszą walkę za walkę dwóch szakali. Błagam cię na kolanach, przebacz mi, panie!

Blood spojrział na nią, a uśmiech rozchylił mu wargi i rozpałił niebieskie oczy, tak jasne w porównaniu z ogorzałą twarzą.

– Dziecko – rzekł – trudno sobie nawet wyobrazić, że mogłabyś myśleć inaczej.

Podnosząc ją z klęczek czuł, że przynajmniej w tej sprawie zachował się całkiem dobrze. Potem westchnął. Jego wątpliwej wartości sława rozeszła się już teraz po całym Morzu Karaibskim i zapewne obita się o uszy Arabelli Bishop. Niewątpliwie panna gardzi nim jak pierwszym lepszym łotrem, uprawiającym piracki proceder. Dlatego też miał nadzieję, że gdy echo tego ostatniego wyczynu dotrze do niej, zmieni nieco złą opinię o nim. Wolał bowiem ukryć przed panną d'Ogeron, że ryzykował dla niej swe życie z myślą o przypodobaniu się Arabelli, która niechybnie pochwaliby taki postępek.

XVI

PUŁAPKA

Sprawa panny d'Ogeron przyczyniła się do zacieśnienia i tak już przyjacielskich stosunków między kapitanem Bloodem a gubernatorem Tortugi. Blood stał się mile widzianym gościem w pięknym, murowanym domu z zielonymi żaluzjami, zbudowanym przez pana d'Ogerona we wspaniałym i obszernym ogrodzie na wschód od zatoki Cayona. Pan d'Ogeron winien był kapitanowi dwadzieścia tysięcy sztuk złota, wypłaconych jako okup za pannę, i chociaż Francuz był przebiegłym i twardym w interesach kupcem, uczucie wdzięczności nie było mu obce. Dowodził tego wszelkimi sposobami i pod jego możną protekcją powaga, jaką cieszył się kapitan Blood wśród bukanierów, wkrótce dosięgła zenitu.

Dlatego też w czasie przygotowań do wyprawy na Maracaibo, zaproponowanej pierwotnie przez Levasseura, Blood nie odczuwał braku ani w ludziach, ani w okrętach. Zaciągnął więc w sumie pięciuset zuchów, a mógłby ich mieć i pięć tysięcy, gdyby tylko starczyło statków. Bez trudu mógłby też podwoić tonaż swojej floty. Ograniczył się jednak do trzech okrętów: „Arabelli”, „Błyskawicy”, prowadzonej przez Cahusaca, a obsadzonej przez stu dwudziestu Francuzów, oraz „Świętego Jakuba”. Ten ostatni statek naprawiono i nazwano „Elżbietą”, ku czci królowej angielskiej, której marynarze upokorzyli Hiszpanów, jak zamierzał to teraz uczynić Blood. Ze względu na odbytą poprzednio służbę w marynarce wojennej Blood mianował Hagthorpe'a kapitanem „Elżbiety”, a załoga potwierdziła tę

nominację.

W kilka miesięcy po uratowaniu panny d'Ogeron, w sierpniu 1687 roku, po kilku mniej ciekawych przygodach skromna ta eskadra weszła do wielkiego jeziora Maracaibo i dokonała napadu na bogate miasto kontynentalne.

Sprawa nie potoczyła się jednak bez przeszkód i okręty Blooda w pewnej chwili znalazły się w niebezpiecznym położeniu. Najlepiej zobrazują ten stan słowa użyte przez Cahusaca w czasie sporu na stopniach kościoła Nuestra Señora del Carmen, świętokradczo obróconego przez Blooda na wartownię. Jak już bowiem wspomniałem, Blood był papistą tylko wtedy, kiedy mu to dogadzało.

Zgodnie ze skrzętnymi zapiskami Pitta w sprzeczce brali udział Hagthorpe, Wolverstone i Pitt z jednej strony, a Cahusac, który ją wywołał, z drugiej. Przed kościołem rozciągał się spalony słońcem i pokryty kurzem plac, skąpo wysadzony palmami o smętnie zwisających w skwarze liściach. Zgromadziło się tu kilkuset piratów, zwolenników obu partii. Swe widoczne wzburzenie opanowywali jedynie wtedy, gdy głos zabierali przywódcy.

Cahusac postępował zawsze we właściwy sobie sposób. Teraz podnosił szorstki, kłótniwy głos, by wszyscy mogli słyszeć jego dzikie groźby. Mówił jakoby okropną angielszczyzną, lecz niestety kronikarz nie spróbował jej odtworzyć. Ubranie jego było równie nieporządne jak sposób wyrażania się. Stanowiło reklamę awanturniczego zawodu właściciela i śmiesznie kontrastowało ze schludnym odzieniem Hagthorpe'a i niemal fircykowatą elegancją Jeremiasza Pitta. Bawełniana, niebieska koszula Cahusaca, brudna i pokrwawiona, była rozchełstana i ukazywała włochatą pierś. Za pasem, podtrzymującym skórzane spodnie, sterczał cały arsenał pistoletów i nóż, a kordelas swobodnie zwisał na skórzanym pendencie⁶³, luźno opasującym ciało. Nad szeroką i płaską jak u Mongoła twarzą owijała się wokół głowy, na podobieństwo turbanu, czerwona tkanina.

– Czyż nie mówiłem wam od początku, że wszystko poszło zbyt łatwo? – dowodził zapalczywie. – Nie jestem głupcem, moi przyjaciele, i mam oczy. Umiem też patrzeć. Widzę przy wejściu do jeziora fort opuszczony i nigdzie ani żywej duszy. Podejrzewam więc pułapkę. Kto ma olej w głowie i oczy na swoim miejscu, musi to uznać za podejrzane. Cóż! My jednak wpływamy. I co znajdujemy? Miasto wyludnione, podobnie jak i fort, miasto, z którego

zabrano wszystkie przedmioty wartościowe. Ostrzegam znowu kapitana Blooda przed pułapką. Idziemy jednak naprzód, zawsze naprzód, bez sprzeciwu, aż się okazuje, że nie możemy już wrócić na morze, bo odcięto nam drogę. Ale nikt mnie nie chce słuchać. Wszyscy wiedzą wszystko lepiej ode mnie. Na Boga! Kapitan Blood każe nam iść naprzód, idziemy więc naprzód. Idziemy do Gibraltaru i w końcu rzeczywiście chwytamy wicegubernatora i każemy mu zapłacić wielki okup za Gibraltar. Rzeczywiście wracamy tu z dwoma tysiącami sztuk złota. Lecz w gruncie rzeczy, powiedzcie mi, cóż to wszystko znaczy? A może ja wam to wyjaśnię? To tylko kawałek sera... kawałek sera zawieszony jako przynęta w pułapce na myszy, a my jesteśmy małymi myszkami. Do stu piorunów! A koty... O, koty czekają na nas! Koty to te cztery hiszpańskie okręty wojenne, czekające na nas przy wejściu do laguny. *Mort de Dieu!* To właśnie rezultat przekłętego uporu waszego wspaniałego kapitana Blooda!

Wolverstone roześmiał się, na co Cahusac odpowiedział wybuchem wściekłości.

– *Ah, sangdieu! Tu ris, animal?*⁶⁴ Śmiejesz się? Może mi po wiesz, jak się stąd wydostaniemy, jeśli nie przyjmujemy warunków postawionych przez admirała Hiszpanii?

Z tłumu bukanierów doszedł do stóp kościoła groźny pomruk aprobaty. Olbrzymi Walverstone dziko błyskał jedynym okiem, zaciskając pięści, jak gdyby chciał uderzyć Francuza za podżeganie załogi do buntu. Lecz Cahusac nie dał się zastraszyć. Nastroje piratów dodawały mu animuszu.

– Może uważasz swego kapitana Blooda za wszechmocnego Boga, zdolnego czynić cuda, co? Dla mnie kapitan Blood jest śmieszny ze swoją wielkopańską miną i swoją... – Urwał, gdyż właśnie w tej chwili Piotr Blood wyszedł z kościoła ze swą wielkopańską miną. Towarzyszył mu żylasty, długonogi francuski wilk morski, imieniem Yberville, sławny już mimo młodego wieku kapitan statku kaperskiego. Utrata własnego okrętu zmusiła go do zaciągnięcia się pod komendę Blooda.

Kapitan podszedł do dyskutującej grupy, wspierając się lekko na długiej, hebanowej lasce, z twarzą ocienioną kapeluszem o ogromnym piórze. Z wyglądu nie przypominał wcale pirata, raczej eleganta z Londynu lub może bardziej z Madrytu, ponieważ nosił wytworny strój hiszpańskiego kroju z fioletowej, haftowanej złotem tafty. Lecz długi, mocny, zręczny,

wiszący z tyłu rapier, na którego rękojeści spoczywała lewa ręka, mówił co innego. Rapier i stalowe oczy Blooda wskazywały awanturnika.

– Uważasz mnie za śmiesznego, co, Cahusac? – zapytał przy stając przed Bretończykiem i tym samym studząc jego werwę. – A co ja mam sądzić o tobie? – mówił dalej spokojnie, niemal z trudem. – Opowiadasz im, że to nasza zwłoka ściągnęła niebezpieczeństwo, lecz kto ponosi winę za tę zwłokę? Straciliśmy już miesiąc na to, co można by zrobić w tydzień, gdyby nie twoja głupota.

– *Ah, ca! Nom de Dieu!* Czy to ja odpowiadam za...

– A kto odpowiada za wprowadzenie „Błyskawicy” na mieliznę na środku jeziora? Nie pozwoliłeś się pilotować. Znałeś drogę! Nie kazałeś nawet sondować. W rezultacie straciliśmy trzy cenne dni zdobywając czółna, by przewieźć na ląd twoich ludzi i sprzęt. Te trzy dni dały ludności Gibraltaru nie tylko czas na zorientowanie się, że nadchodzimy, lecz i na ucieczkę z miasta. Później, i tylko dlatego, musieliśmy ścigać gubernatora do jego piekielnej twierdzy na wyspie i znów straciliśmy dwa tygodnie i przeszło pięćdziesięciu ludzi na jej zdobywanie. W ten sposób zwlekaliśmy, dopóki straż nadbrzeżna nie sprowadziła hiszpańskiej floty z La Guaira. Gdybyś nie stracił „Błyskawicy” i przez to nie zmniejszył naszej eskadry z trzech okrętów do dwóch, moglibyśmy teraz wydać Hiszpanom bitwę z jakim takim widokiem na zwycięstwo. Mimo to chcesz nas tu uczyć i robić wyrzuty z powodu sytuacji, w której znaleźliśmy się dzięki tobie.

Spokój Blooda bardziej jeszcze zasługuje na podziw, skoro weźmiemy pod uwagę, iż przeważającą w sile flotą hiszpańską, która blokowała w oczekiwaniu na niego wyjście z jeziora Maracaibo, dowodził jego śmiertelny wróg, don Miguel de Espinosa y Valdez, admirał Hiszpanii. Pominąwszy obowiązek względem ojczyzny, admirał powodował się uczuciem nienawiści, zrodzonym rok temu po incydencie, w którym zmarł jego brat. Towarzyszył mu bratanek Esteban, bardziej jeszcze spragniony zemsty niż stryj.

Świadom tego, Blood zachowywał jednak spokój i ganił tchórzostwo towarzysza, który nie miał nawet części jego powodów do strachu. Odwróciwszy się od Cahusaca, kapitan przemówił do tłumu bukanierów i zmusił ich do przybliżenia się, gdyż nie raczył nawet podnieść głosu.

– Chyba nieco wyjaśniłem trapiące was nieporozumienia – rzekł.

– Nic nam nie przyjdzie z gadania o tym, co było i minęło – zawołał znów Cahusac, tym razem raczej posępnie niż wojowniczo, na co Wolverstone zarżał głośnym śmiechem. – Chodzi o to, co robić dalej.

– To przecież jasne – odparł Blood.

– Niezupełnie – upierał się Cahusac. – Admirał hiszpański daje nam wolne wyjście w morze, jeśli zabierzemy się stąd od razu, nie czyniąc szkody miastu, zwolnimy więźniów i oddamy łup zabrany w Gibraltarze.

Kapitan Blood uśmiechnął się pobłaźliwie, wiedząc dobrze, co warte są obietnice don Miguela. Z kolei zabrał głos Yberville i otwarcie dał wyraz swej opinii o rodaku:

– To przecież tylko dowód, że nawet mimo przewagi, jaką ma nad nami, hiszpański admirał jednak się nas obawia.

– Bo nie wie, jak słabi jesteśmy – odpowiedział porywczo Bretończyk. – W każdym razie musimy przyjąć jego warunki. Nie ma innego wyboru. Takie jest moje zdanie.

– Ale nie moje – odrzekł Blood – i dlatego je odrzuciłem.

– Odrzuciłeś! – Twarz Cahusaca stała się purpurowa. Pomruk stojących za nimi bukanierów dodawał mu otuchy. – Odrzuciłeś? – Odrzuciłeś, nie naradzając się ze mną?

– Twój sprzeciw nic by nie zmienił. Byłbyś przegłosowany, gdyż Hagthorpe podziela moje zdanie. Jednakże – dodał – jeśli wraz ze swymi francuskimi zwolennikami chcesz przyjąć warunki Hiszpanów, nie będziemy wam przeszkadzać. Poślij jednego z jeńców z tą wiadomością do admirała. Don Miguel przyjmie ją z radością, możecie być tego pewni.

Cahusac pozerął przez chwilę w milczeniu wzrokiem kapitana, a później, opanowanym już tonem, zapytał:

– Jaką właściwie odpowiedź dałeś admirałowi? Uśmiech rozjaśnił twarz i oczy kapitana Blooda.

– Odpowiedziałem mu, że jeżeli nie przysięgnie przerwać w ciągu dwudziestu czterech godzin blokady, nie pozwoli nam bez przeszkód wyjść w morze i nie złoży pięćdziesięciu tysięcy dublonów okupu za Maracaibo, obrócimy to piękne miasto w kupę gruzów, po czym wypłyniemy stąd i zniszczymy jego eskadrę.

Cahusacowi tak bezczelne żądania aż odjęły mowę. Do angielskich piratów jednak przemówił zuchwały humor sytuacji. Osaczony dyktował

warunki osaczającemu. Wybuchnęli śmiechem, przechodzącym stopniowo w pomruk uznania, gdyż zuchwałość jest ulubioną bronią wszystkich awanturników. Nawet poplecznicy Cahusaca porwani zostali falą żartobliwego entuzjazmu, aż wreszcie Cahusac pozostał osamotniony w swym wściekłym uporze. Wycofał się upokorzony i nie dał się udobruchać aż do następnego dnia, kiedy to otrzymał satysfakcję. Nadeszła ona w postaci posłańca od don Miguela. W doręczonym piśmie admirał przysięgał Bogu oczekiwać piratów u wyjścia w morze i wytępić ich bez litości. Zamierzał ukarać ich w ten sposób za odrzucenie jego wspaniałomyślnej propozycji, która pozwalała im wycofać się z honorem. Dodał też, że jeżeli będą zwlekali z odpowiedzią, dopóki nie otrzyma posiłków w postaci piątego okrętu „Święte Dzieciątko”, który właśnie odpłynął z La Guaira, by połączyć się z jego eskadrą, hiszpańskie okręty wejdą do zatoki i poszukają piratów w Maracaibo.

Tym razem kapitan Blood stracił cierpliwość.

– Nie zwracaj mi więcej głowy – warknął narzekającemu znów Cahusacowi – i zawiadom don Miguela, iż mnie opuściłeś. Z pewnością pozwoli ci spokojnie odpłynąć. Weź więc jedną z łodzi, zabierz na nią swoich ludzi i wynoś się do diabła.

Cahusac niewątpliwie postąpiłby w ten sposób, gdyby tylko wśród jego załogi panowała jednomyślność. Bukanierzy jednak wahali się między obawą a chciwością. Odchodząc musieliby zrezygnować ze znacznego udziału w łupach, a nadto porzucić jeńców i niewolników. Gdyby potem kapitan Blood wydostał się bez strat z matni, co przy jego pomysłowości było możliwe, choć mało prawdopodobne, zagarnąłby i ich część. Myśl o tym wydawała im się nazbyt gorzka. W końcu, mimo całej wymowności Cahusaca, ulegli nie admirałowi, lecz kapitanowi. Obiecali Bloodowi iść za nim wszędzie i wypłatać się z nim razem z pułapki lub paść trupem. Taką wiadomość przyniósł mu tego samego wieczora ponury Cahusac.

Blood przyjął to zapewnienie z radością i zaprosił Bretończyka na naradę dla rozważenia sposobów działania. Naradę urządzono w przestronnym, czworokątnym patio, okolonym murem dziedzińcu. Pośrodku biła chłodna fontanna, ukryta w oplecionej winem altanie. Ten piękny zakątek był częścią zajętej przez Blooda posiadłości gubernatora. Po obu stronach fontanny rosły drzewa pomarańczowe, napełniając swą wonią wieczorne powietrze.

Był to jeden z tych ślicznych, otoczonych galeriami podwórców, które Maurowie wprowadzili w Hiszpanii, a Hiszpanie przynieśli ze sobą do Ameryki.

Na naradzie wojennej, w której uczestniczyło tylko sześciu ludzi, omawiano aż do późnej nocy plan przedstawiony przez Blooda.

Wielkie, słodkowodne jezioro Maracaibo zasilane jest przez kilkanaście rzek, spływających z okolicznych, śniegiem pokrytych szczytów. Długość jego wynosi około stu dwudziestu mil, a największa szerokość niemal tyle samo. Jezioro ma kształt wielkiej butelki. W pobliżu Maracaibo zwraca się ona szyjką do morza.

Za wąskim gardłem rozszerza się znowu, a tam dwa długie, wąskie pasma lądu, znane jako wyspy Vigiliias i Palomas, położone w poprzek, blokują przesmyk. Jedynym wyjściem w morze dla statków o większym zanurzeniu jest wąska cieśnina między tymi wyspami. Palomas liczy jakieś dziesięć mil długości. Otoczona po obu stronach półmilowym pasem mielizn, jest przez to niedostępna dla dużych jednostek. Przy wschodnim krańcu wyspy woda staje się głębsza i tam wznosi się fort, który trzyma w szachu wąski przesmyk. W chwili najazdu bukanierów fort świecił pustkami. W szerszej części zatoki, między przesmykiem a ujściem, stały na kotwicy pośrodku farwateru cztery hiszpańskie okręty. Znany nam już admirałski okręt „Zwiastowanie” był potężnym galeonem o czterdziestu ośmiu ciężkich działach i ośmiu małych. Następny co do wielkości był trzydziestosześciodziałowy „Zbawiciel”. Dwa pozostałe: „Infantka” i „Święty Filip”, chociaż mniejsze, były jednak groźne, gdyż na każdym z nich znajdowało się po dwadzieścia dział i stu pięćdziesięciu ludzi.

Pod ostrzałem takiej oto eskadry zamierzał Blood uciec przez przesmyk z czterdziestodziałową „Arabellą”, dwudziestosześciodziałową „Elżbietą” i dwoma zdobytymi na Gibraltarze kutrami. Na ich pokładach stały po cztery kolubryny. Z pięciuset ludzi, którzy wyruszyli na wyprawę z Tortugi, pozostało przy życiu czterystu, mających stawić czoło tysiącowi Hiszpanów.

Plan działania, przedstawiony przez kapitana Blooda na naradzie wojennej, był niewątpliwie desperacki, co wyraźnie zaznaczył Cahusac.

– A więc dobrze, niech będzie desperacki – zgodził się Blood – lecz udawały mi się już trudniejsze rzeczy. – Z zadowoleniem palił fajkę, nabita wonnym tytoniem „sacerdotes”. Gibraltar słynął z niego i piratom udało się

zdobyć kilka cetnarów. – Co więcej – mówił dalej Blood – zawsze były wieńczone powodzeniem. *Audaces fortuna iuvat*⁶⁵. Zaprawdę, ci starzy Rzymianie dobrze znali świat!

Blood natchnął towarzyszy, a do pewnego stopnia i Cahusaca ufnością w powodzenie przedsięwzięcia i w tym nastroju wszyscy żwawo wzięli się do pracy. Przez trzy dni od wschodu do zachodu słońca flibustierzy, spoceni, harowali, przygotowując się do akcji, która miała ich uwolnić z matni. Czasu było niewiele. Należało uderzyć, zanim don Miguel nie otrzyma posiłków.

Plany kapitana Blooda stawiały najpoważniejsze zadanie przed większym ze zdobycznych kutrów. Najpierw wyjęto z niego wszystkie wewnętrzne przegrody, aż pozostała tylko zewnętrzna skorupa burt, pocięta jak sito strzelnicami. Zrobiono też dodatkowe luki na pokładzie, a do kadłuba załadowano tyle smoły, dziegciu i siarki, ile zdołano zebrać w mieście. Dodano do tego ładunku sześć baryłek z prochem, które zostały wysunięte z bakburty⁶⁶ przez strzelnice jak lufy dział.

Wieczorem czwartego dnia wszystko było w pogotowiu i piraci zajęli stanowiska na statkach, opuszczając wreszcie przyjemne miasto Maracaibo. Kotwice podniesiono dopiero o drugiej po północy. Wtedy, z pierwszą falą odpływu, statki ruszyły po cichu w kierunku przesmyku. Wszystkie żagle zwinięto, a dla uzyskania sterowności postawiono tylko kliwry⁶⁷, wypełnione lekką bryzą, wiejącą w purpurowym mroku tropikalnej nocy.

Statki ruszyły w następującej kolejności: na przedzie szedł improwizowany brander⁶⁸ pod komendą Wolverstone'a, obsadzony sześciu ochotnikami, z których każdy miał oprócz udziału w łupach otrzymać po sto dublonów specjalnej nagrody. Druga szła „Arabella”, za nią w pewnej odległości „Elżbieta” Hagthorpe'a, z pozbawionymi własnego statku bukanierami Cahusaca na pokładzie, a w ariergardzie drugi kuter i osiem czółen załadowanych więźniami, niewolnikami i większą częścią zrabowanego dobytku. Powiązanych więźniów strzegło czterech piratów z muszkietami w ręku. Stanowili oni wraz z dwoma marynarzami, prowadzącymi czółna, ich załogę i mieli pozostawać z tyłu za flotą i nie brać udziału w nadchodzącej bitwie.

Kiedy pierwsze błyski opalizującego świtu przebiły ciemności, korsarze wyteżając wzrok, mogli ujrzeć wysokie maszty i takielunek hiszpańskich okrętów, stojących na kotwicy o niecałe ćwierć mili przed nimi. Ufni w swą

przemocną siłę, Hiszpanie nie podejrzewali niczego i pewno, jak zwykle, wystawili niezbyt czujne strażę. Niewątpliwie zauważyli flotę Blooda znacznie później, niż sami zostali dostrzeżeni przez piratów. Kiedy wreszcie wystrzelili na alarm, łódź Wolverstone'a była tuż przy galeonach i pędziła pod wszystkimi żaglami wciągniętymi na reje.

Wolverstone prowadził swoją łódź prosto na „Zwiastowanie”.

Gdy dobił do burty nieprzyjacielskiego okrętu flagowego, uwiązał ster, skrzył ze słomy pochodnię, umaczał ją w smole i zapalił. Początkowo zajęła się słabym płomieniem, lecz gdy machnął nią w powietrzu, rozpałała się mocniej. Jednocześnie mały stateczek zwał się z wielkim, takielunki obu się poplątały, liny napięły, a reje łamały się z trzaskiem. Sześciu korsarzy, obnażonych i zbrojnych w haki abordażowe, stało na swoich posterunkach; czterech spośród nich czekało tuż przy lewej burcie, a dwóch nieco z tyłu. W momencie zderzenia rzucili oni haki na nieprzyjacielski statek, szepiając burty i takielunek i wiążąc obydwie jednostki.

Załoga napadniętego galeonu, wyrwana nagle ze snu, pędziła gdzieś, uciekała, trąbiła i krzyczała. Najpierw z rozpaczliwym pośpiechem próbowali Hiszpanie podnieść kotwicę, lecz po chwili zaprzestali tego manewru jako niewątpliwie spóźnionego. Sądząc, że zanosi się na abordaż i szturm, stanęli z bronią w ręku oczekując napadu. Dziwiło ich tylko, dlaczego piraci zwlekają z atakiem, co nie było zgodne ze stosowaną przez nich zwykle taktyką. Jeszcze bardziej intrygował ich widok nagiego olbrzyma, Wolverstone'a, pędzącego po pokładzie stateczku ze wzniesioną nad głową pochodnią. Dopiero gdy zakończył swe dzieło, Hiszpanie zaczęli podejrzewać, iż pozapalał lonty, i jeden z oficerów rzucił w panice rozkaz skierowania na kuter drużyny abordażowej. Było jednak za późno. Wolverstone widział, jak jego ludzie, umocowawszy haki abordażowe, rzucili się w wodę, skoczył więc do prawej burty, rzucił pochodnię przez luk do ładowni i poszedł za ich przykładem. Z morza wyciągnęła ich za chwilę szalupa z „Arabelli”. A tymczasem kuter zamienił się w słup ognia. W ładowni grzmiły eksplozje, pociski padały na „Zwiastowanie”, a długie języki płomieni zaczęły lizać burty i takielunek galeonu, odpędzając co odważniejszych marynarzy, którzy próbowali odciąć swój statek od płonącego. W ten sposób najpotężniejszy okręt floty hiszpańskiej został unieszkodliwiony już na samym początku bitwy, w chwili gdy Blood,

zbliżając się, otworzył ogień na drugą jednostkę – „Zbawiciela”. Z trawersu dał salwę całą burtą, straszliwie pustosząc pokłady nieprzyjacielskiego okrętu. Potem zrobił zwrot i wpakował z bliska drugą salwę w jego burtę. Pozostawiwszy częściowo unieruchomiony statek, Blood popłynął dalej tym samym kursem i zaskoczył załogę „Infantki” strzałami z działek pościgowych, umieszczonych na dziobie, a później zderzył się z nią, zarzucił haki abordażowe i zdobył ją szturmem, podczas gdy Hagthorpe w ten sam sposób uporał się z ostatnim hiszpańskim okrętem.

Błyskawicznie przeprowadzona przez Blooda akcja całkowicie zaskoczyła Hiszpanów i sparaliżowała ich obronę do tego stopnia, że w trakcie bitwy nie oddali ani jednego strzału.

Załogi okrętów „Święty Filip” i „Infantka”, widząc błyski broni wzniesionej nad ich głowami, prawie nie stawiali oporu. Widok płonącego okrętu admirałskiego i uszkodzonego „Zbawiciela”, wycofującego się z wolna z walki, odebrał im odwagę. Uznali się więc za zwyciężonych i złożyli broń.

Gdyby zacięta obrona załogi „Zbawiciela” dodała otuchy dwóm nie uszkodzonym okrętom, szala zwycięstwa mogłaby przechylić się jeszcze na stronę Hiszpanów. Lecz „Zbawiciela” przeznaczono na skarbiec floty i załadowano nań złoto wartości około pięćdziesięciu tysięcy dublonów. W ten prawdziwie hiszpański sposób utrudniono współdziałanie eskadry, gdyż don Miguel, dbając przede wszystkim, by złoto nie wpadło w ręce piratów, przeniósł się na pokład „Zbawiciela” z resztą swej załogi i skierował statek na wyspę Palomas, pod osłonę fortu strzegącego przesmyku. W okresie wyczekiwania admirał w tajemnicy uzbroił i obsadził ten fort, przenosząc tu z położonej bliżej morza twierdzy Cojero całe jej uzbrojenie, czyli kilka wielkich dział o znacznym zasięgu i potężnej sile niszczącej.

Nieświadom tego, kapitan Blood rzucił się za nim w pościg wraz z żeglującą teraz pod dowództwem Yberville’a „Infantką”. Rufowe działa pościgowe „Zbawiciela” bezładnie odpowiadały na ogień prześladowców, tak celny, że hiszpański okręt, wchodząc już pod osłonę artylerii fortu, zaczął tonąć i w końcu osiadł na mieliźnie, wystając częścią kadłuba nad powierzchnię wody. Załoga, pod kierownictwem admirała, zbiegła do twierdzy wplaw lub w szalupach.

Kapitan Blood uważał już zwycięstwo za zapewnione i widział przed

sobą wolne wyjście w morze, gdy nagle fort pokazał swą straszliwą i nie przewidzianą moc. Wielkie działa zagrzmiały, a „Arabella” wstrząsnęły uderzenia pocisków, przebijających jej burtę na śródokręciu i siejących śmierć i spustoszenie wśród zgromadzonej na pokładzie załogi.

Gdyby Pitt, nawigator okrętu, nie chwycił za rumpel⁶⁹ i nie położył steru na burtę, robiąc gwałtowny zwrot w prawo, druga salwa, podążająca za pierwszą, uczyniłaby jeszcze więcej szkód. Znacznie gorzej powiodło się mniejszej „Infantce”, bo choć otrzymała jeden tylko pocisk, skruszył on poszycie na waterlinii⁷⁰ po lewej burcie. Powstał tam przeciek, który spowodowałby zatonięcie statku, gdyby doświadczony Yberville nie rozkazał natychmiast wyrzucić do wody lewoburtowych dział. „Infantka” wyprostowała się i przechyliła z kolei na prawy bok. Kapitan zrobił zwrot i podążył lewym halsem za uciekającą „Arabellą”. Fort ścigał ich ogniem swoich armat, nie zadając im już jednak większych strat.

Znalazłszy się wreszcie poza zasięgiem dział, oba okręty połączyły się z „Elżbietą” i „Świętym Filipem”, aby ich dowódcy mogli wspólnie zastanowić się nad sytuacją.

XVII

OSZUKANI

Na rufie „Arabelli” zwołano w pośpiechu radę wojenną, której w promiennym blasku poranka przewodniczył posępny Blood. Nieraz potem wspominał ją jako najcięższą chwilę w całej swej karierze. Kapitan śmiało mógł być dumny z mistrzowsko rozegranej bitwy i zniszczenia przeważającej liczbą statków, dział i ludzi eskadry nieprzyjacielskiej, lecz zarazem musiał przyznać, że trzy celne strzały ukrytej baterii zniweczyły owoce tego zwycięstwa, przynajmniej do chwili opanowania fortu, wciąż jeszcze strzegącego przesmyku.

Początkowo kapitan Blood obstawał za doprowadzeniem okrętów do porządku i ponowieniem próby przebicia się. Lecz inni nie radzili mu okazywać tak niezwykłej u niego zapalczywości, wynikającej jedynie ze zgryzoty i upokorzenia, uczuć zdolnych odebrać rozsądek nawet najroztropniejszemu mężowi. Blood odzyskał więc zimną krew i przemyślał sytuację. „Arabella” była niezdolna do wyjścia na pełne morze, „Infantka” ledwie trzymała się na powierzchni, a „Święty Filip” był już mocno uszkodzony przez ogień, zanim poddał się piratom.

Nie pozostawało więc nic innego, jak powrócić do portu, naprawić okręty i dopiero wtedy ponowić próbę sforsowania przesmyku.

Tak więc pobici w tej krótkiej a straszliwej bitwie piraci wycofali się do Maracaibo. Do największej rozterki doprowadzał ich przywódcę jawny pesymizm Cahusaca. Szybkie i łatwe zwycięstwo, odniesione mniejszymi

siłami, wprawiło go najpierw w zawrotną radość, ale porażka pogrążyła go znowu w otchłań rozpacz. Nastrój Cahusaca udzielił się co najmniej większości Francuzów.

To już koniec – rzekł do Blooda – tym razem dali nam mata.

Ośmielę się przypomnieć ci, żeś już raz mówił to samo – odpowiedział mu Blood tak cierpliwie, jak umiał. – A jednak widziałeś, cośmy potrafili, i nie zaprzeczysz chyba, iż teraz mamy więcej statków i dział niż przedtem. Spójrz tylko na naszą obecną flotę, człowieku.

– Właśnie patrzę – odrzekł Cahusac.

– Zajęcze masz serce, oto wszystko.

– Nazywasz mnie tchórzem?

– Tak.

Bretończyk patrzył nań, dysząc ciężko. Wolał jednak nie reagować na tę obelgę, gdyż nazbyt dobrze wiedział jaki rodzaj satysfakcji ofiaruje mu kapitan Blood. Pamiętał jeszcze los Levasseura. Ograniczył się więc do wymiany słów.

Tego już za wiele! Za dużo sobie pozwalasz! – rzekł z gorzką wymówką.

– Słuchaj, Cahusac, mam już dość twego ciągłego skomlenia i narzekania, gdy sprawy nie toczą się tak gładko jak po stole. Jeśli chciałeś, by wszystko szło ci równo i łatwo, nie powinieneś iść na morze, a w każdym razie zaciągnąć się pod moją komendę, bo ze mną sprawy nie idą nigdy lekko ani gładko. To wszystko, co chciałem ci teraz powiedzieć.

Cahusac odszedł złorzecząc i wziął się do badania nastrojów swoich ludzi.

Kapitan Blood zajął się rannymi i pozostał u nich aż do późnego popołudnia. Kiedy wreszcie wyszedł na ląd, zdecydowany już, co robić, skierował się do domu gubernatora, gdzie zredagował w najwytworniejszym kastylijskim języku wojowniczy, lecz misterny list do don Miguela.

Pokazałem dziś waszej eksceleencji – pisał – do czego jestem zdolny. Chociaż liczba moich ludzi, dział i okrętów nie wynosiła nawet połowy waszych, zatopiłem i pochwytiłem okręty wielkiej floty, towarzyszącej waszej eksceleencji w pościgu za nimi aż do Maracaibo. Wykonanie więc groźby waszej eksceleencji jest udaremnione, nawet jeśli nadejdą na „Świętym Dzieciątku” posiłki z La Guaira. Na podstawie tego, co zaszło, możesz sądzić, co się stanie. Nie nudziłbym waszej eksceleencji tym listem,

gdybym nie był spokojnym człowiekiem i nie gardził wszelkim rozlewem krwi. Dlatego też – zanim rozprawię się z waszym jakoby niezdobytym fortem, tak jak się rozprawilem z waszą jakoby niezwyciężoną flotą – jeszcze raz, ze względów czysto ludzkich czynię następującą propozycję. Oszczędzę miasto Maracaibo i opuszczę je natychmiast, uwalniając czterdziestu jeńców, pod warunkiem, iż otrzymam okup w sumie pięćdziesięciu tysięcy dublonów i stu sztuk bydła oraz gwarancję wolnego wyjścia w morze. Większość moich jeńców to osoby znaczne, które zatrzymam jako zakładników, a po odpłynięciu stąd odeślę z powrotem w zabranych w tym celu czółnach. Gdyby wasza ekscelencja nieopatrznie odrzucił moje warunki i zmusił mnie w ten sposób do zdobycia fortu kosztem istnień ludzkich, nie będę miał żadnej litości i zacznę walkę od zamienienia pięknego miasta Maracaibo w kupę gruzów.

Po napisaniu tego listu kapitan kazał przyprowadzić wicegubernatora Maracaibo, wziętego do niewoli w Gibraltarze. Został on zaznajomiony z treścią pisma i wysłany z nim do don Miguela.

Wybór posła był chytrze obmyślony. Wicegubernatorowi ogromnie zależało na ocaleniu miasta i można się było spodziewać, że we własnym interesie będzie za wszelką cenę dążył do uchronienia go przed zapowiedzianym straszliwym zniszczeniem.

Stało się też według przewidywań kapitana. Wicegubernator poparł propozycję piratów własnymi namiętnymi prośbami.

Lecz don Miguel nie miał miękkiego serca. Choć rzeczywiście flota jego została częściowo zatopiona, częściowo zaś zabrana, uważał, że nastąpiło to jedynie wskutek zaskoczenia. Taka rzecz się już nie powtórzy. Fort nie da się zaskoczyć. Niech kapitan Blood robi, co chce, z Maracaibo, w końcu jednak będzie musiał zdecydować się wyjść w morze, a wtedy za wszystko zapłaci.

Wicegubernator odchodził od zmysłów z przerażenia. W pewnej chwili stracił głowę i powiedział admirałowi kilka przykrych słów, lecz uzyskał znacznie przykrzejszą odpowiedź:

– Gdybyś był wierny królowi i nie dał tym przeklętym piratom wejść tutaj, tak jak ja nie dam im stąd wyjść, nie znaleźlibyśmy się w podobnym położeniu. Nie nudź mnie więc twoimi tchórzliwymi radami. Nie będę wchodził w układy z kapitanem Bloodem. Znam swój obowiązek wobec króla i zamierzam go wypełnić. Znam też obowiązek względem siebie samego. Mam prywatne porachunki z tym łotrem i teraz je ureguluję. Wracaj,

skądżeś przyszedł, i przekaz moją odpowiedź.

Taką więc odpowiedź przyniósł wicegubernator do Maracaibo, do swego pięknego domu, zajętego na kwaterę przez kapitana Blooda. Ponieważ zaś niezłomna odwaga admirała w przeciwnościach losu zbudziła w nim ambicję, przekazał tę odpowiedź tak wojowniczo, jakby sobie tego życzył don Miguel.

– Ach, więc to tak? – zapytał kapitan Blood ze spokojnym uśmiechem, choć serce zamarło w nim na wieść, że jego fanfaronada na nic się zdała.
– Bardzo dobrze! Upór admirała świadczy jednak o braku rozwagi. W ten sposób stracił już całą swoją flotę, a ponieważ piękne miasto Maracaibo do niego nie należy, niewątpliwie straci je z mniejszym żalem. Bardzo mi przykro. Zniszczenie, zarówno jak i rozlew krwi, wzbudzają we mnie niechęć. Lecz cóż zrobić? Każę pozakładać jutro rano wiązki chrustu, a kiedy w nocy admirał ujrzy pożary, uwierzy może wreszcie, iż kapitan Blood zawsze dotrzymuje słowa. Może pan odejść, don Francisco.

Wicegubernator wyszedł pod eskortą straży, ledwie powłócząc nogami i bez cienia poprzedniej wojowniczości.

Zaledwie zniknął za drzwiami, nadbiegł Cahusac, uczestniczący w naradzie wojennej, zebranej, by zapoznać się ze zdaniem admirała. Twarz Francuza była blada, a ręce, wzniesione na znak protestu, drżały.

– Na moją duszę! A co teraz powiesz? – zawołał ochryłym głosem i nie czekając odpowiedzi, krzyczał dalej: – Wiedziałem, że nie tak łatwo będzie nastraszyć admirała. Hiszpan trzyma nas w pułapce i wie o tym doskonale. A ty spodziewałeś się, że zmusisz go do przyjęcia twych bezwstydných warunków. To twój szalony list przypieczętował nasz los.

– Czyś już skończył? – zapytał spokojnie Blood, gdy Francuz przerwał dla nabrania oddechu.

– Nie, nie skończyłem...

– To zaoszczędź mi reszty. Na pewno będzie miała tę samą wartość co początek i nie pomoże mi rozwiązać stojącego przed nami zagadnienia.

– Ale co zamierzasz czynić? Czy nie powiesz mi tego? – Brzmiało to raczej jak żądanie niż zapytanie.

– Skądże, u diabła, mam wiedzieć? Spodziewałem się usłyszeć jakiś twój projekt. Ale jeżeli tak rozpaczliwie chcesz ocalić swoją skórę, ty i tobie podobni, możecie nas przecież opuścić. Niewątpliwie admirał hiszpański

nawet teraz powita z zadowoleniem uszczuplenie naszych sił. Otrzymasz od nas na pożegnanie kuter. Osobiście nie mam nic przeciwko temu, byś przyłączył się w forcie do don Miguela. I tak w obecnym położeniu nie będziemy mieli z ciebie żadnego pożytku.

– O tym zdecydują moi ludzie – odparł Cahusac, tłumiąc wściekłość, i poszedł się porozumieć z Francuzami, przez co umożliwił pozostałym spokojne kontynuowanie narady.

Rankiem następnego dnia Cahusac znowu odszukał Blooda. Zastał go przechadzającego się tam i z powrotem po ogrodzie, z głową zwieszoną na piersi. Francuz wziął tę zadumę za przygnębienie, każdy z nas bowiem lubi mierzyć bliźnich swoją miarką.

– Wzięliśmy cię za słowo, kapitanie – oznajmił na poły ponuro, a na poły groźnie.

Kapitan Blood przystanął i pochyłony naprzód, z rękami na plecach, w milczeniu skierował spokojny wzrok na bukaniera.

– Wczoraj w nocy – wyjaśnił Cahusac – wysłałem jednego z załogi z listem do hiszpańskiego admirała. Zgodziłem się skapitulować, jeżeli zapewnią nam wyjście w morze z honorami wojskowymi. Tego ranka otrzymałem odpowiedź. Admirał przystaje na to pod warunkiem, że nie zabierzemy nic ze sobą. Moi ludzie przenoszą się teraz na kuter. Odpływamy niezwłocznie.

– *Bon voyage*⁷¹ – rzekł po francusku kapitan Blood i kiwnąwszy głową odwrócił się na pięcie, podejmując przerwane medytacje.

– Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia? – zawołał Cahusac.

– Nie, nie wszystko – rzucił przez ramię Blood – ale nie sądzę, by reszta przypadła ci do smaku.

– Ha! A więc adieu⁷², mój kapitanie – krzyknął Cahusac i dodał złośliwie: – Mam nadzieję już więcej cię nie spotkać.

– I ja mam tę nadzieję – odrzekł Blood.

Cahusac wybiegł złorzecząc bezecnie. Przed południem wyruszył w drogę razem ze swymi sześćdziesięcioma przygnębianymi zwolennikami, którzy ulegli jego namowom i oto teraz odchodzili z pustymi rękoma, nie bacząc nawet na argumenty przedstawione im przez Yberville'a. Admirał nie złamał obietnicy i pozwolił im swobodnie wyjść w morze, co zdziwiło trochę znającego Hiszpanów Blooda.

Gdy tylko dezercerzy podnieśli kotwicę, wicegubernator poprosił o rozmowę z Bloodem. Dopuszczony przed oblicze kapitana, don Francisco natychmiast oznajmił, iż po całonocnych rozmyślaniach postanowił nie dopuścić do zniszczenia miasta i że potępia nieustępliwość admirała.

Blood przyjął go uprzejmie.

– Witam pana, don Francisco. Odłożyłem rozpalenie ogniska do zmroku. W ciemności będzie to lepiej wyglądało.

Don Francisco, dobry, nerwowy, starszy pan, o wysokich koligacjach, lecz małej energii, przystąpił z miejsca do sprawy.

– Przyszedłem powiedzieć panu, don Pedro, że jeżeli odłożysz na trzy dni zamiar spalenia miasta, podejmę się zebrać żądany przez ciebie okup, którego don Miguel odmawia.

Kapitan Blood spojrział na niego, marszcząc ciemne brwi nad jasnymi oczyma.

– A skąd go weźmiesz? – zapytał, nie ukrywając zdziwienia. Don Francisco potrząsnął głową.

– To moja sprawa – odparł. – Wiem, skąd wziąć pieniądze, moi rodacy muszą je zebrać. Zwolnij mnie na słowo na trzy dni, a będziesz zadowolony. Zostawię tymczasem w twoim ręku syna jako zakładnika.

Zaczął prosić o zgodę, lecz kapitan Blood przerwał mu ostro:

– Na wszystkich świętych! Zuchwalec z ciebie, don Francisco! Przychodzisz do mnie z opowieścią o ukrytych pieniądzach, a nie chcesz powiedzieć, gdzie się znajdują. Jak sądzisz, może po włożeniu ci zapalonego lontu między palce byłbyś bardziej skłonny do zwierzeń? Don Francisco zbladł nieco, lecz potrząsnął głową.

– Tak czynili Morgan, L'Ollonais i inni piraci, lecz kapitan Blood nie postępuje w ten sposób. Wiem o tym i dlatego jestem szczery.

Kapitan Blood uśmiechnął się.

– Ty stary oszuście – powiedział – grasz na mojej próżności, co?

– Na twoim honorze, kapitanie!

– Na honorze pirata? Oszalałeś chyba!

– Na honorze kapitana Blooda – nalegał don Francisco – słyniesz przecież jako szlachetny przeciwnik w walce.

Kapitan Blood uśmiechnął się gorzko i szyderczo, budząc najgorsze obawy wicegubernatora. Nie mógł bowiem wiedzieć, że Blood szydzi z siebie

samego.

– Czynię tak, bo mi się to na dłuższą metę lepiej opłaca. Dlatego też daję ci te trzy dni zwłoki. To wszystko, don Francisco. Dostaniesz ponadto muły, będziesz ich przecie potrzebował. Dopilnuję tego.

Don Francisco poszedł przygotować się do drogi, kapitan Blood zaś zaczął rozważać z goryczą, ale i z satysfakcją, iż reputacja rycerskości, o tyle, o ile godzi się z zawodem pirata, może się na coś przydać.

Wicegubernator powrócił do Maracaibo punktualnie trzeciego dnia z mułami obładowanymi złotem i pieniędzmi. Wiódł też ze sobą sto sztuk bydła, pędzonego przez murzyńskich niewolników.

Ci spośród piratów, którzy dawniej zajmowali się myślistwem, z wprawą zabrali się do wędzenia mięsa zdobytych wołów i przez prawie cały dzień trwało na brzegu morza ćwiartowanie i solenie zarzynanych zwierząt.

Podczas gdy jedni zajmowali się przygotowaniem żywności, a drudzy naprawą uszkodzonych okrętów, kapitan Blood rozwiązywał zagadkę, od której zależał jego własny los.

Zatrudnieni przez niego indiańscy szpiedzy donieśli mu, że Hiszpanie, pracując w czasie odpływu, zdołali przeciągnąć z rozbitego „Zbawiciela” do fortu trzydzieści dział i w ten sposób zwiększyli swoją i tak już potężną artylerię. W końcu Blood osobiście udał się na zwiady w nadziei wymyślenia czegoś na miejscu przyszłej akcji. Pod osłoną mroku, narażając życie, przedostał się czółnem wraz z dwoma zaprzyjaźnionymi Indianami na wyspę. Wszyscy trzej ukryli się z czółnem w niskich, gęstych zaroślach, pokrywających brzeg wyspy, i tam czekali brzasku.

O świcie Blood wyruszył samotnie na zwiady i z wielką ostrożnością rozejrzał się w położeniu fortu i wyspy. Chciał sprawdzić słuszność pewnej trapiącej go myśli i dlatego zbliżył się do fortu na tyle, na ile mógł się ważyć, a znacznie bardziej, niż pozwalało bezpieczeństwo.

Popęznął na rękach i nogach do szczytu wzniesienia, odległego o jaką milę od plaży, i stamtąd zaobserwował cały wewnętrzny rozkład fortecy. Za pomocą zabranej ze sobą lunety stwierdził, iż zgodnie z jego przypuszczeniami całą artylerię ustawiono w twierdzy od strony morza.

Wrócił do Maracaibo zadowolony i przedstawił sześciu członkom rady wojennej, a więc: Pittowi, Hagthorpe’owi, Yberville’owi, Wolverstone’owi, Dyke’owi i Ogle’owi plan zdobycia fortu od strony lądu. Po przedostaniu się

na wyspę pod osłoną nocy można było zaskoczyć Hiszpanów i opanować twierdzę, zanim jej załoga zdołałaby przesunąć działa i odeprzeć szturm.

Z wyjątkiem Wolverstone'a, z natury skłonnego do desperackich przedsięwzięć, pozostali oficerowie przyjęli propozycję raczej chłodno, a Hagthorpe przeciwstawił się jej zdecydowanie.

– To szaleńczy pomysł, Piotrze – rzekł poważnie, potrząsając swoją piękną głową. – Nie możemy bowiem być pewni, czy zdołamy zbliżyć się niepostrzeżenie do fortu na taką odległość, by Hiszpanie nie zdążyli przesunąć armat. Lecz nawet gdyby się to nam udało, nie możemy zabrać ze sobą dział, a co za tym idzie, będziemy musieli polegać wyłącznie na ręcznej broni.

I jakże potrafimy w trzystu ludzi, którzy nam pozostali po dezercji Cahusaca, podejść bez żadnej osłony i zaatakować dwukrotnie silniejszego i chronionego przez mury nieprzyjaciela?

Dyke, Ogle, Yberville, a nawet Pitt, którego przywiązanie do Piotra winno było napełnić ufnością, głośno zgodzili się ze stanowiskiem Hagthorpe'a.

– Rozważyłem już to wszystko – odparł Blood, gdy zamilkli – dostrzegłem ryzyko i starałem się je zmniejszyć, lecz w tym rozpaczliwym położeniu...

Wtem przerwał. Przez moment marszczył brwi z namysłem, a potem twarz jego rozjaśniła się, jakby pod wpływem natchnienia. Z wolna schylił głowę na piersi i siedział tak, pogrążony w zadumie. Po chwili mruknął: – Tak. – I znowu: – Tak. – Wreszcie podniósł głowę i spojrzał im w oczy.

– Słuchajcie – zawołał – może macie rację. Ryzyko byłoby zbyt wielkie. Wymyśliłem jednak coś lepszego. Zamiast atakować naprawdę, użyjemy wybiegu. Oto mój nowy plan.

Mówił szybko i jasno, a w miarę jak przemawiał, na twarzach oficerów zaczęły zapalać się iskierki zrozumienia. Gdy skończył, krzyknęli jednogłośnie, że ocalił im życie.

– To się jeszcze okaże w praktyce – rzekł Blood.

Ponieważ od dwudziestu czterech godzin wszystko było gotowe do odjazdu i plan mógł być wykonany od razu, zdecydowano wyruszyć nazajutrz rano.

Pewien powodzenia, kapitan Blood kazał natychmiast zwolnić

zakładników, a nawet Murzynów, uważanych przez piratów za łup wojenny. Dla ostrożności kazał tylko zamknąć ich w kościele, skąd mieli być wypuszczeni dopiero przez Hiszpanów po ich wejściu do miasta.

Wreszcie cała załoga, po przeniesieniu złota, znalazła się na pokładach trzech okrętów, po czym korsarze podnieśli kotwice i ruszyli w kierunku morza. Każdy statek holował za sobą trzy indiańskie pirogi.

Admirał obserwował ich okazały pochód w jasnym świetle południa, a widząc zagle błyszczące bielą w słońcu, zacierał z zadowoleniem szczupłe, delikatne dłonie i uśmiechał się pod wąsem.

– Nareszcie! – zawołał. – Bóg oddaje go w moje ręce! – Odwrócił się do grupy oficerów patrzących ze zdumieniem. – Prędzej czy później musiało to nastąpić – rzekł. – Powiedzcie teraz, panowie, czy moja cierpliwość nie była usprawiedliwiona? Oto dzień dzisiejszy położy kres kłopotom, jakie ten przeklęty don Pedro Sangre sprawiał poddanym katolickiego króla.

Odwrócił się, by wydać rozkazy, i w forcie zawrzało jak w ulu. Kanonierzy stanęli do dział z zapalonymi lontami, gdy nagle spostrzeżono, że flota piracka, posuwając się w dalszym ciągu w kierunku Palomas, zmienia kurs na zachód. Hiszpanie obserwowali ją zaintrygowani.

O półtorej mili na zachód od fortu i o pół mili od brzegu, a właściwie od mielizn, czyniących wyspę nieprzystępną dla wszystkich statków z wyjątkiem płaskodennych łodzi, cztery okręty Blooda rzuciły kotwicę w polu widzialności, lecz poza zasięgiem najcięższych hiszpańskich dział.

Admirał uśmiechnął się szyderczo.

– Aha! Wahają się, te angielskie psy! Por Dios! Nie ma się czemu dziwić!

Będą tu oczekiwać nocy – wyraził przypuszczenie bratanek don Miguela, który stał tuż obok, drżąc z podniecenia.

Admirał popatrzył na niego z uśmiechem.

– A co im noc pomoże w tym wąskim przejściu, pod samymi lufami moich dział? Bądź pewien, Estebanie, że jeszcze dziś w nocy pomścimy twego ojca.

W dalszym ciągu obserwował piratów przez lunetę. Ich holowane za statkami czółna podciągnięto do burt. Ten manewr zdziwił go trochę. Pirogi skryły się na chwilę za kadłubami statków, po czym zjawyły się znowu, okrążyły statki i skierowały się do lądu, wioząc gromady zbrojnych ludzi. Przybijały do wyspy w miejscu, gdzie gęsty las dochodził do samego brzegu.

Wzrok zdumionego admirała ścigał je, dopóki nie zginęły w gąszczu.

Wtedy don Miguel opuścił lunetę i spojrzął na oficerów.

– Cóż to, do diabła, ma znaczyć? – zapytał. Nikt nie odpowiedział; wszyscy byli jednakowo zaskoczeni.

Po krótkiej chwili wpatrzony w morze Esteban pociągnął stryja za rękaw.

– Tam ich widać! – zawołał wskazując palcem.

I rzeczywiście ujrzeli znowu wracające czółna, lecz teraz nie było na nich nikogo z wyjątkiem wioślarzy. Ich ładunek pozostał widocznie na lądzie.

Łodzie wracały do statków, po czym znów płynęły na Palomas z nowym desantem zbrojnych. W końcu jeden z oficerów zdobył się na wyjaśnienie:

– Chcą nas zaatakować od strony lądu. Spróbują zdobywać fort.

– Oczywiście – uśmiechnął się admirał. – Już to odgadłem. Kogo bogowie chcą zniszczyć, tego najpierw pozbawiają rozumu.

– Czy zrobimy wypad? – nalegał podniecony Esteban.

– Wypad? Przez ten gąszcz? W ten sposób poszlibyśmy im na rękę. Nie, nie, poczekamy tu i odeprzemy atak. Skądkolwiek by nie nadeszli, zniesiemy ich do szczętu. Możesz w to nie wątpić.

Lecz do wieczora zimna krew admirała zaczęła go zawodzić. W ciągu dnia czółna ze sześć razy powróciły po desant i jak zdołał zaobserwować przez lunetę, przewiozły też co najmniej dwanaście dział.

Z oblicza Hiszpana znikł uśmiech, a odmalował się gniew i zakłopotanie.

– Co za dureń opowiadał mi, że piraci liczą tylko trzystu ludzi? – zapytał oficerów. – Do tej pory wysadzili na ląd już ze dwa razy tyle.

Zdumienie don Miguela wzrosłoby jeszcze bardziej, gdyby dowiedział się prawdy. Na Palomas nie było ani jednego korsarza i ani jednej armaty. Wybieg udał się doskonale. Admirałowi nie przyszło na myśl, by widziani przezeń ludzie byli zawsze ci sami; w czasie jazdy do brzegu piraci stali wyprostowani w całej okazałości, w powrotnej zaś drodze na statki leżeli ukryci na dnie pozornie próżnych czółen.

Zacząto też donosić don Miguelowi o obawie, jaka ogarnęła hiszpańskie żołądactwo na myśl o możliwości nocnego ataku na fort. Korsarze zamierzali widocznie szturmować twierdzę, rozporządzając siłą dwukrotnie większą, niż myśleli Hiszpanie.

O zmierzchu Hiszpanie uczynili właśnie to, na co tak liczył kapitan Blood, a co musieli uczynić, by odeprzeć spodziewaną napaść, tak

artystycznie symulowaną. Pracowali bez wytchnienia, przenosząc ciężkie działa, które dotychczas trzymały straż nad wąskim przesmykiem.

Pocąc się i stękając, poganiani przekleństwami, a niekiedy nawet i razami oficerów, żołnierze hiszpańscy z panicznym pośpiechem przeciągali i ustawiali większość dział, głównie zaś najcięższe, po drugiej stronie frontu, by w każdej chwili móc odeprzeć atak grożący z pobliskiego lasu.

Z nadejściem nocy Hiszpanie, aczkolwiek śmiertelnie przerażeni możliwością szturmów ze strony tych wściekłych diabłów, których bezgraniczna zuchwałość stała się przysłowiowa na morzach tego kontynentu, zdolali się przynajmniej jako tako przygotować i stanąć przy działach.

W tym samym czasie flota kapitana Blooda podniosła ukradkiem kotwice i pod osłoną mroku dała się nieść fali odpływu. By zwiększyć sterowność statków, pozostawiono tylko kliwry, uczernione dla niepoznaki. Cztery okręty posuwały się z wolna i bez świateł. Sondowały wciąż farwater wiodący do przesmyku i dalej w morze.

„Elżbieta” i „Infantka”, żeglujące obok siebie, zrównały się już niemal z fortem, gdy wreszcie Hiszpanie, odwróciwszy uwagę od lądu, zauważyli wielkie, ciemne kadłuby okrętów i usłyszeli cichy plusk wody rozcinanej dziobami. Ciszę nocną momentalnie rozdarły nie dające się opisać okrzyki zdumionej wściekłości, jakie można było usłyszeć chyba tylko w czasie pomieszania języków przy budowie wieży Babel. By zwiększyć popłoch i posiać panikę wśród hiszpańskiego żołdactwa, unoszona szybko przez wodę „Elżbieta” oddała salwę ze wszystkich dział lewej burty.

Tak więc admirał znów został wystrychnięty na dudka i zdobycz wymknęła mu się z rąk, choć jeszcze nie zdawał sobie sprawy, jak to się właściwie stało. Kazał więc na gwałt przesuwać i przeciągać na dawne miejsca działa, z takim nakładem pracy odwrócone w stronę lądu. Kanonierów skierował do paru mniejszych armat, pozostawionych od strony morza. W końcu, po stracie kilku cennych chwil, dano z nich ognia do uciekającej eskadry.

Odpowiedziała im straszliwa salwa całej burty „Arabelli”, która teraz podeszła do fortu i zaczęła stawiać wszystkie żagle. Wściekli i podnieceni Hiszpanie widzieli okręt Blooda tylko w momencie, gdy jedna

z pomalowanych na czerwono burt wypluła z siebie długą, ognistą linię, a grzmot salwy zagłuszył skrzywienie takielunku. Później nie dostrzegli już nic. Przyjazny mrok pochłonął statki wroga. Mniejsze hiszpańskie działa na próżno usiłowały go przebić, gdyż piraci celowo nie oddali już ani jednego strzału, by nie wskazywać zdumionym i zmieszanym przeciwnikom położenia własnych statków.

Flota poniosła niewielkie szkody i zanim Hiszpanie zdążyli oprzytomnieć i przygotować się do ataku, gnane południową bryzą statki minęły cieśniny i znalazły się na morzu.

Admirałowi pozostało tylko przeżuwać doznane upokorzenia oraz rozmyślać o straconych możliwościach i raporcie dla Rady Najwyższej Katolickiego Króla, w którym musiał opisać ucieczkę Piotra Blooda z Maracaibo z dwoma niegdyś hiszpańskimi dwudziestodziałowymi fregatami, nie wspominając już o dwustu pięćdziesięciu tysiącach dublonów i innym łupie zagrabionym przez piratów. A wszystko to udało się znieawidzonemu wrogowi mimo czterech galeonów don Miguela i uzbrojenia fortu, który przez jakiś czas tak skutecznie trzymał piratów w matni.

Rachunek Blooda zwiększał się ciągle i don Miguel zarliwie przysięgał spłacić go za wszelką cenę.

Wyszczególnione powyżej straty nie wyczerpywały jeszcze wszystkich szkód poniesionych przy tej okazji przez króla Hiszpanii. Następnego bowiem wieczora w pobliżu wybrzeży Oruby, przy wejściu do Zatoki Wenezuelskiej, eskadra kapitana Blooda spotkała się z opóźnionym „Świętym Dzieciątkiem”, pędzącym pod wszystkimi żaglami do Maracaibo.

Z początku Hiszpanie sądzili, iż spotykają zwycięską flotę swojego admirała, powracającego po rozgromieniu piratów. Gdy jednak z bliska zobaczyli wimpel⁷³ świętego Jerzego, wciągany na grotmaszt „Arabelli”, przestali się łudzić i opuścili flagę na znak kapitulacji.

Blood rozkazał wysadzić hiszpańską załogę do szalup, by mogła dopłynąć do Oruby lub gdziekolwiek indziej. Posunął się nawet w swej łaskawości tak daleko, że oddał do ich dyspozycji czółna indiańskie, dotychczas holowane przez pirackie okręty.

– Zastaniesz pan don Miguela – rzekł kapitan nieprzyjacielskiego statku – w bardzo złym humorze. Pozdrów go ode mnie i poproś, by sobie

przypomniawszy, jak to ostatnie niepowodzenia zawdzięcza sobie samemu. Rozpętał złe siły, nieoficjalnie zezwalając bratu na spustoszenie Barbadosu, a teraz padł ich ofiarą. Poradź mu na przyszły raz dwakroć pomyśleć, zanim znowu wypuści swych diabłów na angielską kolonię.

Tymi słowami pożegnał hiszpańskiego kapitana, schodzącego po trapie do szalupy, po czym powrócił do spisywania nowych łupów. Kiedy otwarto luki, znaleziono w ładowniach żywy towar.

– Niewolnicy – osądził Wolverstone i trwał w tym przekonaniu, klnąc łotrówstwo Hiszpanów, dopóki z ciemnego wnętrza statku nie wyczołgał się Cahusac i nie stanął mrużąc oślepienie słonecznym blaskiem oczy.

Lecz bretoński pirat mrużył oczy nie tylko pod wpływem światła. Za nim wypełzły resztki jego załogi, złorzecząc mu i straszliwie przeklinając jego tchórzostwo, okupione teraz tak poniżającym położeniem. Ocalił ich bowiem człowiek, którego opuścili w niebezpieczeństwie.

Kuter spotkał się trzy dni wcześniej z okrętem „Święte Dzieciątko” i został zatopiony; Cahusac o włos uniknął powieszenia, chyba tylko po to, by na długi czas zostać pośmiewiskiem Braci Wybrzeża.

Jeszcze w wiele miesięcy później witano go w Tortudze szyderczym pytaniem: „Coś zrobił ze złotem zdobytym w Maracaibo?”

XVIII

„CUDOWNNA”

Wyprawa na Maracaibo jest niewątpliwie korsarskim arcydziełem kapitana Blooda. Aczkolwiek we wszystkich stoczonych przezeń bitwach, tak dokładnie opisanych przez Jeremiasza Pitta w jakiejś mierze ujawnia się talent taktyczny Blooda, to jednak żadna tak nie uwydatnia jego zdolności, jak te dwie potyczki w których umknął z pułapki zastawionej przez hiszpańskiego admirała.

Poprzednia jego sława, chociaż ogromna, zbladła wobec uzyskanego teraz rozgłosu. Taką popularnością nie cieszył się żaden jeszcze korsarz ani przedtem, ani potem, nie wyłączając nawet Morgana.

W ciągu miesięcy spędzonych w Tortudze na naprawie trzech hiszpańskich okrętów Blood stał się niemal bożyszczem dzikich Braci Wybrzeża, którzy ubiegali się obecnie jak jeden mąż o zaszczyt służenia pod jego komendą. Miał więc doskonałą okazję według własnego uznania dobierać załogi dla powiększonej znacznie floty i czynił to chętnie. W następnej wyprawie eskadra jego liczyła pięć statków, obsadzonych przez przeszło tysiąc ludzi. Był już nie tylko sławny, lecz rzeczywiście potężny. Trzy odebrane Hiszpanom okręty przemianował z humorem erudyty na „Kioto”, „Lachezis” i „Atropos”, przypominając żartobliwie światu, że okręty jego, jak Parki⁷⁴, rządzą życiem wszystkich napotkanych przezeń na morzach Hiszpanów. Wiadomość o klęsce hiszpańskiego admirała pod Maracaibo, a później o flocie Blooda wywołała w Europie niemałą sensację.

W Hiszpanii i Anglii wypadki te spowodowały szereg przykrych konsekwencji i gdybyście zechcieli przejrzeć dyplomatyczną korespondencję na ten temat, uznalibyście ją za nader obfitą i nie zawsze uprzejmą.

A tymczasem na Morzu Karaibskim admirał don Miguel de Espinosa szalał z wściekłości. Niełaska, w jaką popadł na skutek klęsk poniesionych z rąk kapitana Blooda, doprowadziła go niemal do szaleństwa. Spojrzawszy na całą sprawę obiektywnie, każdy powinien mieć pewne współczucie dla Hiszpana. Ten nieszczęśliwy człowiek poił się co dnia nienawiścią, a nadzieja odwetu zaćmiła mu umysł. Pędził jak szaleniec wzdłuż i w poprzek Morza Karaibskiego, szukając swego przeciwnika, a przez ten czas rzucał się, jak na zakąskę, na każdy angielski czy francuski statek widniejący na horyzoncie.

I tak oto ten sławny dowódca i dostojny szlachcic stracił głowę i sam stał się z kolei piratem. Rada Najwyższa Kastylii mogła wprawdzie potępić jego praktyki, lecz jakież to miało znaczenie dla człowieka już potępionego. Przeciwnie, gdyby zdołał kiedyś pojmać zuchwałego i nieuchwytnego Blooda, Hiszpania prawdopodobnie spoglądałaby na jego obecne postępowanie i dawniejsze klęski łaskawszym okiem.

Niebaczny więc na przeważające siły Blooda, Hiszpan szukał go na próżno rok cały po bezdrożach morskich. Okoliczności, w jakich się spotkali, są bardzo ciekawe.

Bystra obserwacja życia ludzkiego wykaże tym, którzy patrzą powierzchownie i szydzą z posługiwania się przypadkiem w powieści i dramacie, że samo życie jest tylko szeregiem przypadków. Otwórzmy na jakiegokolwiek stronie historię, a znajdziemy tam wiele przypadków, które dałyby się przy odrobinie szczęścia odwrócić. Słusznie uważa się je za narzędzie losu, wykuwające przeznaczenia ludzi i narodów.

Zwróćmy uwagę na rolę przypadku w losach kapitana Blooda i paru jeszcze osób.

W dniu 15 września 1688 roku, roku pamiętnego w dziejach Anglii, na Morzu Karaibskim pływały trzy okręty. Miały one, dzięki kolejnym spotkaniom, zdecydować o przyszłości kilkorga ludzi.

Pierwszym z nich był flagowy okręt kapitana Blooda „Arabella”, który odłączył się od reszty floty korsarskiej w czasie huraganu szalejącego koło Małych Antyli. Gdzieś w okolicy 17° szerokości północnej i 74° długości

zachodniej statek ten lawirował w kierunku Cieśniny Wiatru, popędzany przez wiejące czasem w tej dusznej porze roku południowo-wschodnie bryzy. Zdązał do Tortugi, naturalnego miejsca spotkań rozproszonych okrętów.

Drugim był wielki hiszpański galeon „Cudowna”, który razem z mniejszą fregatą „Dama”, przemykał się koło Wysp Cayman, na północ od drugiego półwyspu stanowiącego południowo-zachodnią część Hispanioli. Na pokładzie „Cudownej” żeglował mściwy don Miguel.

Trzeci i ostatni z tych okrętów był angielską jednostką wojenną zakotwiczoną tego dnia we francuskim porcie St. Nicholas na północno-zachodnim wybrzeżu Hispanioli. Statek ten wiozł z Plymouth na Jamajkę znakomitego pasażera w osobie lorda Juliana Wade’a, który z ramienia swego krewnego, lorda Sunderlanda, przybywał tu z ważną i delikatną misją, stojącą w ścisłym związku ze wspomnianą już nieuprzejmą korespondencją między Hiszpanią a Anglią.

Rząd francuski, podobnie jak i angielski, niezadowolony z wyczynów pirackich, wciąż zaostrzających stosunki z Hiszpanią, na próżno starał się położyć im kres wzywając zamorskich gubernatorów, by okazali wobec korsarzy największą surowość. Lecz ci gubernatorzy albo – podobnie jak d’Ogeron – działali w jawnym porozumieniu z flibustierami, albo też, jak gubernator francuskiej Hispanioli, świadomie wspierali korsarzy jako element utrzymujący w szachu potęgę i chciwość Hiszpanii, groźną dla kolonii innych narodów. W gruncie rzeczy patrzyli oni z obawą na jakiegokolwiek energiczne kroki, które zmuszały piratów do szukania nowych terenów łowieckich na morzach południowych.

By zadośćuczynić życzeniom króla Jakuba, który pragnął pozyskać sobie rząd hiszpański, i zareagować na stałe i dotkliwe narzekania hiszpańskiego ambasadora, sekretarz stanu, lord Sunderland, naznaczył wicegubernatorem Jamajki silnego człowieka. Był nim pułkownik Bishop, od paru już lat najbardziej wpływowy plantator na Barbadosie.

Pułkownik Bishop przyjął to stanowisko i chętnie opuścił wysoce dochodowe plantacje. Gorliwość jego wynikała z chęci uregulowania wreszcie osobistych porachunków z Piotrem Bloodem.

Od pierwszej chwili swoich rządów na Jamajce pułkownik dał się piratom we znaki. Lecz mimo różnych zabiegów korsarz, na którego polował

najusilniej i którego uważał za najważniejszą zdobycz, jego były niewolnik, Piotr Blood, wymykał mu się zawsze i nadal prześladował Hiszpanów na morzu i lądzie, przyczyniając się do stałego zadrażniania stosunków między Hiszpanią a Anglią, szczególnie niebezpiecznego w okresie, kiedy z trudem utrzymywano w Europie pokój.

Doprowadzony do ostateczności nie tylko własną zawziętością, lecz również wyrzutami ze strony władz, pułkownik Bishop już zaczął myśleć o osiągnięciu swej zdobyczy w samej Tortudze i oczyszczenia wyspy z chroniących się tam piratów. Na szczęście dla siebie w porę porzucił tak szalone zamiary, wzięwszy pod uwagę zarówno obronne ukształtowanie wyspy, jak również fakt, iż wyprawa na posiadłość, która choćby nominalnie była francuską kolonią, popsułaby stosunki między Anglią a Francją. Innych zaś kroków pułkownik Bishop nie potrafił przedsięwziąć. Wyznał to w piśmie adresowanym do sekretarza stanu.

List ten i odmalowana w nim sytuacja wskazały lordowi Sunderlandowi na konieczność rozwiązania tego problemu niezwyklejmi środkami. Przypomniawszy sobie, jak niegdyś uporano się z Morganem, skłaniając go do przejścia w służbę króla Karola II. Może więc podobne postępowanie przyniosłoby rezultaty również w stosunku do Blooda. Jego lordowska mość nie pominął w swych rozważaniach i takiej możliwości, że Blood stał się piratem nie z zamiłowania, lecz pod naciskiem przemożnych okoliczności, zmuszony do tego deportacją, i pewno chętnie powróciłby do normalnego życia.

Działając na podstawie tej przesłanki, Sunderland wysłał swego krewnego, lorda Juliana Wade'a, z kilku nominacjami in blanco oraz z dokładnymi instrukcjami, jak ma się zachowywać, by osiągnąć pożądane rezultaty. Pozostawił mu jednak wolną rękę w wyborze odpowiednich środków. Zręczny Sunderland, mistrz w snuciu wszelkich intryg, poradził lordowi, by w przypadku uporu ze strony Blooda lub jakichkolwiek innych względów, przemawiających przeciwko zwerbowaniu korsarza do służby królewskiej, postarał się skłonić do odstąpienia jego oficerów, a opuszczonego Blooda rzucić na łup floty pułkownika Bishopa.

Zdolny, dość wykształcony, nieco rozwiązły i nienagannie wytworny wysłannik lorda Sunderlanda szczęśliwie dopłynął „Królową Marią” do St. Nicholas, ostatniego postoju przed Jamajką. Lord Julian miał bowiem

najpierw zgłosić się u wicegubernatora w Port Royal i w razie potrzeby dostać się stamtąd do Tortugi. Przypadkowo do St. Nicholas przybyła kilka miesięcy wcześniej w odwiedziny do krewnych i dla uniknięcia letnich upałów na Jamajce bratanica wicegubernatora. Ponieważ miała już wracać, postarano się o umieszczenie panny na pokładzie „Królowej Marii”, co wobec pozycji i rangi jej stryja nie było trudne.

Lord Julian powitał z zadowoleniem wiadomość o zjawieniu się Arabelli, gdyż obecność młodej damy nadawała i bez tego już ciekawej podróży pieprzyk, niezbędny dla osiągnięcia doskonałości przeżycia. Jego lordowska mość był jednym z tych galantów, dla których życie nie umilone przez kobiety jest tylko wegetacją.

Panna Arabella Bishop, ze swoją prostą, szczupłą figurką, chłopięcym głosem i niemal takąż samą swobodą ruchów, nie zwróciłaby na siebie w Anglii krytycznego oka młodego lorda. Jego delikatny, starannie wyrobiony smak skłaniał się raczej w stronę kobiecości pulchnej, leniwej i bezbronnej. Urok panny Bishop był niezaprzeczalny, lecz tylko subtelny mężczyzna mógł go ocenić, a lord Julian, aczkolwiek bynajmniej nie gruboskórny, nie był na to dostatecznie wyrafinowany. Fakt ten nie powinien jednak zrażać do niego czytelnika.

Bądź co bądź, panna Bishop była młodą kobietą i damą, zjawiskiem w tych szerokościach dostatecznie rzadkim, by zwrócić na siebie uwagę. Lord Wade miał ze swej strony arystokratyczny tytuł, pozycję, wdzięk osobisty i łatwość bycia doświadczonego dworzanina, ponadto roztaczał wokół siebie atmosferę wielkiego świata, do którego też należał. Panna zaś spędziła większą część życia na Antylach i znała ten świat tylko ze słyszenia. Nic więc dziwnego, że młoda para zbliżyła się do siebie, zanim jeszcze wyholowano „Królową Marię” z portu St. Nicholas. Mogli opowiedzieć sobie nawzajem wiele interesujących rzeczy; on karmił jej wyobraźnię historyjkami z dworu królewskiego, czyniąc się ich bohaterem lub przynajmniej uczestnikiem. Ona zaś wzbogacała jego wiedzę wiadomościami o Nowym Świecie.

Szybko zawarli przyjaźń, a młody lord poddał rewizji swoje pierwsze wrażenia, odkrywając dużo wdzięku w szczerym, prostolinijnym zachowaniu się panny, traktującej każdego mężczyznę jak brata. Poważnie zaabsorbowany swoją misją, lord zaczął w końcu opowiadać jej o kapitanie

Bloodzie. W gruncie rzeczy skłoniły go do tego specjalne okoliczności.

– Ciekaw jestem – zapytał, gdy przechadzali się raz we dwójkę po rufie – czy widziała pani kiedykolwiek tego Blooda, niegdyś niewolnika na plantacji pani stryja?

Panna Bishop zatrzymała się nagle, potem przechyliła się za reling, patrząc w kierunku ginącego łądu, i dopiero po chwili zdołała odpowiedzieć spokojnie:

– Widywałam go często. Znam go bardzo dobrze.

– Doprawdy? – Młody arystokrata na chwilę stracił swą starannie wystudiowaną równowagę. Był to może dwudziestoosmioletni mężczyzna, dość wysoki, a wydający się jeszcze wyższym z powodu chudości. Miał pociągłą, bladą, dość miłą twarz o rzeźbionym profilu, obramowaną lokami złocistej peruki, zmysłowe usta i jasnoniebieskie oczy, nadające jego obliczu wyraz sennego, melancholijnego zamyślenia. Lecz oczy te patrzyły żywo i uważnie, chociaż tym razem nie zwróciły uwagi na rumieniec, który jego zapytanie wywołało na policzkach panny Bishop, ani na rozmyślną lakoniczność jej odpowiedzi.

– Doprawdy? – powtórzył i oparł się o reling obok niej. – A co pani o nim sądzi?

– W owym czasie uważałam go za nieszczęśliwego gentlemana.

– Znała pani jego historię?

– Opowiadał mi ją. Za to właśnie go szanowałam, za spokojne męstwo, z jakim znosił przeciwności losu. Od tego czasu, biorąc pod uwagę jego czyny, zaczęłam niemal wątpić, czy to, co mówił mi o sobie, było prawdą.

– Jeśli ma pani na myśli krzywdy doznane z rąk komisji królewskiej, sądzącej uczestników buntu Monmoutha, z pewnością miał rację. Blood nigdy nie brał udziału w buncie; to jest jasne. Skazano go na podstawie paragrafu prawa, którego mógł nie znać w chwili, gdy popełniał czyn uznany później za zdradę. Lecz już wziął odwet za wszystko.

– Tego właśnie – odparła cicho – nie można mu przebaczyć; to go doprowadziło do zguby. I słusznie.

– Do zguby? – uśmiechnął się młody lord. – Niech pani nie będzie tego tak pewna. O ile słyszałem, wzbogacił się, wymienił swoje hiszpańskie łupy na francuskie złoto, które przechowuje we Francji. Załatwił mu to pan d'Ogeron, jego przyszły teść.

– Przyszły teść? – zapytała patrząc na niego rozszerzonymi oczyma i rozchylając usta, a później dodała: – Pan d’Ogeron? Gubernator Tortugi?

– Ten sam. Jak pani widzi, naszemu piratowi nie brak poparcia. Dowiedziałem się tego w St. Nicholas. Utrudnia to tylko zadania postawione przede mną przez mego krewnego, lorda Sunderlanda. Lecz tak jest. Nie wiedziała pani o tym?

Milcząc, wstrząsnęła głową. Odwróciła twarz, a oczy jej wypatrywały czegoś na falach. Po chwili przemówiła spokojnym i opanowanym głosem.

– Gdyby to było prawdą, Blood skończyłby już do tej pory z piractwem. Jeśliby... kochał tę kobietę i jak pan mówi, był zaręczony i bogaty, z pewnością porzuciłby to straszne życie...

– Ja też podobnie myślałem – przerwał jej lord – póki nie otrzymałem wyjaśnień. Pan d’Ogeron skąpy jest i dla siebie, i dla córki. A ta dziewczyna to jakoby dzikus, w sam raz towarzysza dla takiego człowieka jak Blood. Dziwi mnie, że nie pojmie jej za żonę i nie zabierze ze sobą na pirackie wyprawy. Nie byłoby to dla niej wcale nowością. Zastanawiająca jest też cierpliwość Blooda. Zabił przecież dla niej człowieka.

– Zabił dla niej człowieka? Naprawdę? – zapytała ze zgrozą.

– Tak, francuskiego korsarza imieniem Levasseur, kochanka dziewczyny i swego towarzysza wypraw. Blood pożądał dziewczyny, zabił więc Levasseura, aby ją zdobyć. Cóż! Historia jest niesmaczna, przyznaję. Lecz w tych stronach mężczyźni kierują się innymi prawami...

Panna odwróciła głowę i spojrzała na niego. Była śmiertelnie blada, a jej ciemne oczy pały, kiedy przerwała lordowi.

– Rzeczywiście, musi tak być, jeżeli po tym czynie towarzysze zostawili go przy życiu.

– O, sprawę rozstrzygnięto ponoć w honorowym pojedynku.

– Kto to panu mówił?

– Spotkany w portowej tawernie w St. Nicholas Francuz, imieniem Cahusac, który z nimi żeglował. Jako porucznik Levasseura, był na wyspie, gdzie się to zdarzyło, w chwili gdy jego dowódca został zabity.

– A dziewczyna? Czy opowiadał, że dziewczyna też była przy tym?

– Tak. Była świadkiem pojedynku. Blood zabrał ją ze sobą, pozbywszy się towarzysza wyprawy.

– A załoga zabitego pozwoliła na to? – Uchwycił nutę niedowierzania

w jej głosie, lecz nie zauważył połączonej z nią ulgi. – O, nie wierzę wcale w tę historię – rzekła panna. – Nie chcę w nią wierzyć.

– Przynosi to pani zaszczyt, panno Bishop. Ja też nie mogłem pojąć, jak ludzie mogą być tacy nieczuli. Dopiero Cahusac mi to wyjaśnił.

– Wyjaśnił? – Stłumiła niedowierzanie, które niosło jej ulgę w tym ogromnym cierpieniu. Uchwyciwszy się relingu spojrzała w twarz lorda. Po pewnym czasie Wade przypomniał sobie jej dziwne zachowanie, ale wtedy uszło to jego uwagi.

– Blood kupił ich zgodę i prawo zabrania dziewczyny. Zapłacił za nie perłami wartości przeszło dwudziestu tysięcy dublonów. – Lord zaśmiał się wzgardliwie. – Piękna cena! Jako żywo! Co to za łotry ta cała banda! Złodzieje, sprzedawczyki, łajdaki! Na mą duszę! Nie bardzo to odpowiednia historia dla uszu damy.

Odwróciła się znowu. Coś przesłaniało jej wzrok. Po chwili zapytała nieco mniej opanowanym tonem:

– Czemu ten Francuz opowiadał panu taką historię? Czy to z nienawiści do kapitana Blooda?

Tego nie wiem – rzekł z wolna lord – opowiadał to ot, tak sobie, jako zwykłą historię z życia piratów.

– Zwykłą historię! – powtórzyła. – Mój Boże! Zwykłą historię!

– Niech mi wolno będzie nadmienić, że pod płaszczykiem cywilizacji wszyscy jesteśmy dzikusami – powiedział lord Wade – lecz co do Blooda, to jak mówił mi Cahusac, był on człowiekiem rozległej wiedzy, bakałarzem medycyny...

– O ile mi wiadomo, to prawda.

– Był też w obecnej służbie, na lądzie i na morzu. Choć trudno mi w to uwierzyć, Cahusac mówił, iż Blood walczył pod de Ruyterem.

– To też prawda – odparła i ciężko westchnęła. – Pański Cahusac jest, zdaje się, dokładnie o wszystkim powiadomiony. Niestety!

– Żałuje pani tego? Spojrzała nań.

Była bardzo blada.

– To tak, jakby się słyszało o śmierci niegdyś poważanej osoby. Dawniej miałam go za człowieka nieszczęśliwego, lecz szlachetnego. Teraz... Przerwała i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– O takim człowieku najlepiej zapomnieć – powiedziała kierując

rozmowę na inne tematy..

Uczucie przyjaźni, jakie Arabella potrafiła wzbudzić w każdym, kto się z nią zetknął, rosło w ciągu tej krótkiej, wspólnie odbytej drogi, a nieoczekiwane wydarzenie nie przerwało tego, co mogło być najprzyjemniejszym epizodem podróży lorda Wade'a.

Spowodował je szalejący z wściekłości hiszpański admirał, z którym zetknęli się drugiego dnia podróży na środku Zatoki Gonaves. Kapitan „Królowej Marii” nie dał się zastraszyć, nawet gdy don Miguel otworzył do niego ogień. Widząc potężne burty hiszpańskiego statku, wznoszące się wysoko ponad wodę i stanowiące dobry cel dla dział, Anglik skłonny był raczej okazać wzgardę niż obawę. Jeśli ten don, żeglujący pod flagą Kastylii, szuka walki, „Królowa Maria” zrobi mu tę przyjemność. Być może, jego odwaga i zaufanie we własne siły były usprawiedliwione i dzień ten mógłby położyć koniec karierze don Miguela de Espinosa, gdyby trafny pocisk z „Cudownej” nie uderzył w zapas prochu założonego w przednim kasztelu i nie wysadził w powietrze połowy statku przed rozpoczęciem walki. Skąd tam wziął się ten proch, pozostanie na zawsze tajemnicą, albowiem waleczny kapitan zginął i nie mógł wejrzeć w tę sprawę.

Zanim pozostała przy życiu część załogi oprzytomniała po wybuchu, Hiszpanie rzucili się do abordażu na rozbity i kołyszący się bezradnie statek.

Pod rufą, w kabinie kapitańskiej, gdzie skierowano dla bezpieczeństwa pannę Bishop, lord Julian próbował uspokoić ją i natchnąć otuchą, zapewniając, że wszystko będzie w porządku. W tej właśnie chwili, kiedy na pokład wchodził don Miguel, lord Julian sam nie czuł się zbyt pewnie i wyraźnie pobladł, choć bynajmniej nie był tchórzem. Lecz ta dziwna walka, toczona w nieznanym żywiole, na drewnianym pudle, które lada moment mogło zatonać w głębinach oceanu, zdołałaby przyprawić o zmieszanie człowieka nawet odważnie stawiającego czoło niebezpieczeństwu na lądzie. Na szczęście panna Bishop mogła się obejść bez tej niewielkiej pociechy ze strony lorda. Była wprawdzie również blada, a jej orzechowe oczy zdawały się większe niż zwykle, lecz nie straciła panowania nad sobą. Wsparta o kapitański stół, panna zachowała dostateczną przytomność umysłu, by uspokajać służebną Mulatkę, czołgającą się w przerażeniu u jej nóg.

Wtem drzwi się otworzyły i do kabiny wkroczył sam don Miguel, wysoki,

ogorzały mężczyzna o orlej twarzy. Lord Julian stawiał mu czoło i chwycił za szpadę.

Hiszpan zachował się szorstko i rzeczowo.

– Nie bądź głupcem – rzekł w swoim języku – bo spotka cię koniec głupca. Wasz okręt tonie.

Za admirałem stało trzech czy czterech ludzi w hełmach. Lord Julian zrozumiał beznadziejność walki. Zdjął rękę z głowni i kilka stóp stali wśliznęło się z powrotem do pochwy. Don Miguel uśmiechnął się, błysnął białymi zębami, ukrytymi za siwiejącą brodą, i wyciągnął rękę.

– Pan pozwoli – rzekł.

– Lord Julian zawahał się szukając wzrokiem Arabelli.

Lepiej oddać mu broń – rzekła ta opanowana młoda dama, na co lord wzruszył ramionami i skapitulował.

– Chodźcie wszyscy na mój okręt – zaprosił ich don Miguel i wyszedł z kabiny.

Usłuchali go oczywiście, gdyż po pierwsze admirał miał za sobą siłę i mógł ich do tego zmusić, po drugie zaś statek tonął i przestał być zachęcającym miejscem pobytu. Pozostali tylko chwilę, by zabrać stroje panny i walizę lorda.

Rozbitków z załogi „Królowej Marii” pozostawili Hiszpanie własnemu losowi. Mogli się przecież ratować w szalupach okrętowych, a jeżeli tam zabrakłoby miejsca, mogli pływać lub tonąć. O lorda Juliana i pannę Bishop zatroszczono się tylko dlatego, że admirał zdawał sobie sprawę z ich oczywistej wartości. Przyjął gości bardzo uprzejmie w kabinie i równie grzecznie zapragnął poznać ich nazwiska.

Lord Julian, przerażony tym, co widział na „Królowej Marii”, wymienił je z trudem, po czym wyniośle zapytał o imię napastnika. Młody człowiek był w bardzo złym humorze, rozumiał bowiem, że o ile dotychczas nie uczynił nic, co by mu uwłaczało w tych niezwykłych i trudnych okolicznościach, w jakie rzucił go los, o tyle też nie dokonał niczego, co przyniosłoby mu zaszczyt. Pozostałoby to bez większego znaczenia, gdyby nie fakt, że świadkiem jego niezbyt chwalebego zachowania była dama. Teraz postanowił odzyskać autorytet w jej oczach.

– Jestem don Miguel de Espinosa – usłyszał – admirał floty katolickiego króla.

Lord Julian zdumiał się. Jeżeli Hiszpania robiła tyle hałasu o działalność zbiegłego awanturnika w rodzaju kapitana Blooda, co miała teraz powiedzieć Anglia?

– Wobec tego ciekawi mnie, czemu zachowujesz się pan jak przeklęty pirat? – zapytał admirała i dodał: – Chyba zdajesz pan sobie sprawę, że poniesiesz konsekwencje swego postępuku i odpowiesz za to, coś dzisiaj uczynił; za zbrodniczo przelaną krew i za gwałt zadany tej damie i mnie.

– Nie zadaję wam żadnego gwałtu – odparł admirał uśmiechając się jak człowiek trzymający w ręku wszystkie atuty – przeciwnie, ocaliłem wam życie!...

– Ocaliłeś nam życie! – Lord Julian oniemiał przy zetknięciu z tak potworną bezczelnością. – A ludzie zabici w tej niepotrzebnej rzezi? Na Boga, człowieku, zapłacisz za to!

Don Miguel uśmiechał się w dalszym ciągu.

– To możliwe. Wszystko możliwe. Życie będzie jednak i was drogo kosztować. Pułkownik Bishop jest bogaty, podobnie jak i pan, milordzie. Muszę zastanowić się i wyznaczyć odpowiedni okup.

– Więc słusznie miałem cię za zbrodniczego pirata – grzmiał lord Julian. – I jeszcze masz czelność nazywać się admirałem floty katolickiego króla? Zobaczmy, co powie na to twój katolicki król!

Admirał przestał się uśmiechać. Na jego twarzy malowała się teraz wściekłość.

– Nie, nic nie rozumiesz – odparł. – Ja traktuję was na morzu tak samo jak wy, angielskie, heretyckie psy, traktujecie Hiszpanów. Złodzieje z was i rozbójnicy z piekła rodem! To, co czynię, mam odwagę robić we własnym imieniu, lecz wy, perfidne bestie, wysyłacie przeciwko nam waszego kapitana Blooda, waszego Hagthorpe’a i waszego Morgana, a później zrzucacie z siebie odpowiedzialność za ich uczynki. Umywacie ręce jak Piłat! Tu admirał roześmiał się dziko.

– Niech teraz Hiszpania gra rolę Piłata! Niech zrzuci z siebie odpowiedzialność za mnie, kiedy ambasador Anglii przy naszym dworze królewskim uda się do Rady Najwyższej ze skargą na piracki czyn don Miguela de Espinosa.

– Kapitan Blood ani tamci nie są angielskimi admirałami – zawołał lord Julian.

– Czyżby? Skąd miałbym o tym wiedzieć? Skąd ma o tym wiedzieć Hiszpania? Czyż nie jesteście wszyscy kłamcami, wy, angielscy heretycy?

– Sir! – Głos lorda Juliana stał się szorstki, a oczy miały błyskawice. Odruchowo próbował chwycić ręką za główkę szpady, lecz namacawszy próżne miejsce wzruszył ramionami i rzekł szyderczo: – Naturalnie, zgadza się to z opowieściami o honorze Hiszpanów; obrażasz jeńca, człowieka bezbronnego.

Twarz admirała stała się szkarłatna. Wzniósł ramię do uderzenia, lecz powstrzymany zapewne tymi słowami, odwrócił się na pięcie i wyszedł w milczeniu.

XIX

SPOTKANIE

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za admirałem, lord Julian zwrócił się z uśmiechem do Arabelli. Uczucie, że wywarł dobre wrażenie, sprawiło mu radość, dziecinną w tych okolicznościach.

– Stanowczo miałem ostatnie słowo – rzekł odrzucając złociste loki.

Siedząc przy stole, panna Bishop spojrzała na niego spokojnie i nie odwzajemniła uśmiechu.

– Czy to takie ważne mieć ostatnie słowo? Myślę o tych biednych marynarzach z „Królowej Marii”. Wielu z nich wypowiedziało rzeczywiście swoje ostatnie słowo. I na co to wszystko? Zatopiono piękny statek, stracono ze dwudziestu ludzi, a trzy razy tyle narażono na niebezpieczeństwo utraty życia. I po co?

– Pani jest wzburzona. Ja...

– Wzburzona! – Śmiech jej był podobny do łkania. – Jestem zupełnie spokojna. Ale powiedz, milordzie, czemu ten Hiszpan to zrobił? W jakim celu?

– Słyszałaś, pani, co mówił. – Wade wzruszył z gniewem ramionami. – Żądza krwi – wyjaśnił lakonicznie.

– Żądza krwi? – zapytała ze zdziwieniem – takie rzeczy istnieją naprawdę? Przecież to jest szaleńcze, potworne?

– Szatańskie – zgodził się lord. – Diabelskie poduszczenie.

– Nie rozumiem tego. Trzy lata temu Hiszpanie napadli na Bridgetown

i czynili tam rzeczy nieludzkie, okropne, wstrząsające, rzeczy wprost dla mnie niewiarygodne. Czy ludzie są tylko zwierzętami?

– Ludzie? – zdziwił się lord Julian. – Powiedz: Hiszpanie, a zgodzę się z tym.

Był to głos Anglika, mówiącego wprawdzie o odwiecznych wrogach, nie pozbawiony jednak słuszności.

– Tak oto postępują Hiszpanie w Nowym Świecie. Jako żywo, usprawiedliwia to niemal czyny Blooda i jemu podobnych.

Pannę przebiegł dreszcz. Oparłszy łokieć na stole, a podbródek na dłoni siedziała zapatrzona przed siebie.

Wade zauważył bladość i wyraz wzruszenia malującego się na jej twarzy. Ale nie mógł się im dziwić. Żadna ze znanych mu dotychczas kobiet nie potrafiłaby zachować zimnej krwi wśród takich przejść. Panna Bishop zaś nie okazywała ani śladu trwogi. Młody człowiek musiał ją podziwiać.

Hiszpański steward wszedł niosąc srebrną zastawę z czekoladą i pudełko peruwiańskich cukrów, które postawił na stole przed panną.

– Z pozdrowieniami od admirała – rzekł, skłonił się i wyszedł. Arabella nie zwróciła uwagi na niego ani na poczęstunek, lecz w dalszym ciągu siedziała pogrążona w myślach. Lord Julian przeszedł się po dużej, niskiej kabinie, oświetlonej przez wielkie okna w burcie rufowej i wielki świetlik w pokładzie. Pomieszczenie było wspaniale urządzone: na podłodze leżały wschodnie dywany, o przegrodę oparte były półki wypełnione książkami, a obok stał hebanowy stół zastawiony srebrnymi naczyniami. Na podłużnej skrzyni, pod oknem, leżała gitara, ozdobiona pękiem wstęg. Lord Julian wziął ją, trącił struny, jakby zirytowany, po czym położył instrument na miejsce i zwrócił się do panny Bishop.

– Przybyłem tu – rzekł – by położyć kres piractwu, lecz niech mnie piorun strzeli! Dochodzę do wniosku, że Francuzi nie bez racji popierają piratów jako bicz na tych hiszpańskich łotrów.

To przekonanie znalazło niezadługo potwierdzenie. Na razie don Miguel traktował więźniów delikatnie i uprzejmie. Panna Bishop pogardliwie wyraziła słuszną opinię, że skoro trzymają ich dla okupu, nie uczynią im najmniejszej krzywdy. Do dyspozycji damy i jej przerażonej służebnej pozostawiono jedną kabinę, drugą dla lorda Juliana. Pozwolono im poruszać się swobodnie po statku i zaproszono na obiad do admiralskiego stołu. Nie

wspominano jednak o dalszych zamiarach don Miguela względem więźniów ani o celu podróży.

„Cudowna” wraz z kołyszącą się za nią „Dama” sterowały kursem południowym, później zrobiły zwrot i płynęły na południowo-wschód okrążając przylądek Tiburon, a wreszcie gdy wyszły już daleko w morze i ląd stał się tylko zamgloną linią, skierowały się na wschód i tu wpadły na kapitana Blooda żeglującego w kierunku Cieśniny Wiatru. Stało się to wczesnym rankiem następnego dnia. Don Miguel systematycznie, lecz na próżno polował na swego wroga przez cały rok, a teraz natknął się nań niespodziewanie i zupełnie przypadkowo. Ale taka bywa ironia losu. Jej to przypisać należy fakt, że spotkał się z „Arabellą” właśnie w tej chwili, gdy okręt ten płynął samotnie, słabszy od wroga. Tak długo sprzyjające Bloodowi szczęście zdawało się nareszcie uśmiechać do admirała.

Arabella tylko co wstała i wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza na rufie. Towarzyszył jej lord Julian, czego można było oczekiwać od tak dobrze wychowanego gentlemana. Wtem panna zauważyła wielki, czerwony okręt, zwany niegdyś „Pięć Ran”. Szedł prosto na nich, wzdętymi, śnieżnobiałymi żaglami. Wympel z krzyżem świętego Jerzego powiewał na głównym maszcie w porannej bryzie, a złożone strzelnice armatnie i dziób błyszczały w słońcu.

Panna Bishop nie rozpoznała okrętu, który widziała raz tylko, trzy lata temu, owego tragicznego dnia w Barbadosie. Dla niej był to po prostu wielki statek, zbliżający się do nich majestatycznie a zdecydowanie. Wympel wskazywał, że jest to okręt angielski. Widok ten podniecił ją i zelektryzował, budząc dumę i każąc zapomnieć o niebezpieczeństwie, które groziło w nieuniknionej walce z Hiszpanami.

Obok niej, na nadbudówce rufowej, skąd mieli lepszy widok, siedział również zapatrzony lord Julian. Lecz nie podzielał on egzaltacji panny. Dopiero wczoraj był świadkiem pierwszej w swoim życiu bitwy morskiej i sądził, że na długo wystarczy mu tych wrażeń. Nie chciałbym jednak, by ta wzmianka podała w wątpliwość jego odwagę.

– Spójrz – rzekła panna Bishop, wskazując palcem, i lord Julian, ku swemu wielkiemu zdumieniu, zauważył, jak zabłyśły jej oczy. Zastanowił się, czy zdawała sobie sprawę, czym to groziło.

Następne jej zdanie rozwiało wszelkie wątpliwości.

– To okręt angielski. Zdecydowanie zdąża ku nam. Widocznie zamierza walczyć.

– Niech więc Bóg mu pomoże – odrzekł ponuro młodzieniec. – Kapitan tego okrętu musi być szalony. Cóż on potrafi zdziałać przeciwko dwóm tak potężnym jednostkom? Jeżeli hiszpańskie okręty potrafiły tak łatwo wysadzić w powietrze „Królową Marię”, coż się z nim stanie? Spójrz pani na Hiszpana. Jakże wstrętny jest w swoim rozradowaniu!

Admirał stał na rufie i kierował gorączkowymi przygotowaniami, lecz odwrócił się, by rzucić wzrokiem na jeńców. Oczy jego błyszczały, a twarz była zmieniona. Wyciągnął ramię w kierunku nieprzyjacielskiego okrętu i krzyknął coś po hiszpańsku. Słowa jego zatonęły w zgiełku, jaki czyniła załoga.

Więźniowie podeszli do poręczy nadbudówki i obserwowali krzątanie. Don Miguel trzymał w ręku lunetę i wydawał rozkazy. Kanonierzy zapalali już swoje lonty, marynarze wdrapywali się na reje. Jedni zwijali żagle, inni rozpinali mocną linową sieć, która chroniła przed spadającymi częściami takielunku. W tym czasie, przyzwana sygnałami don Miguela „Dama” zwiększyła szybkość i znalazła się na trawersie „Cudownej” o pół kabla po sterburcie. Z pokładu wysokiej nadbudówki panna Bishop i lord mogli widzieć czynione przygotowania. Okręt angielski również szykował się do boju. Zwijał grotzagiel i topsle⁷⁵, pozostawiając na czas walki tylko bezanzagiel. W ten sposób obie strony przyjęły bitwę niemal w ciszy, bez wyzwania czy choćby wymiany sygnałów.

„Arabella” zbliżała się na jednym żaglu, z konieczności wolniej, lecz wytrwale. Teraz znajdowała się już na odległość strzału armatniego i można było gołym okiem rozróżnić postacie na przednim kasztelu oraz spiżowe działa błyszczące na dziobie. Kanonierzy z „Cudownej” podnieśli wyciory i dmuchali na kapiące lonty, niecierpliwie patrząc na admirała.

Lecz don Miguel uroczyście potrząsnął głową.

– Cierpliwości! – napominał. – Oszczędzajcie prochu, dopóki nie podejdziemy bliżej. Pirat pędzi po swój wyrok, prosto na reję, na tak długo już oczekujący go stryczek.

– Niech mnie kule biją! – zawołał lord. – Ten Anglik jest może dość odważny, by przyjąć walkę w tak niekorzystnych warunkach, lecz niekiedy ostrożność jest większą zaletą dowódcy niż odwaga...

– Odwaga często zwycięża nawet przeważające siły – odparła panna Bishop. Młodzieniec nie dojrzał w jej postawie nic oprócz podniecenia. Nie zdradzała ani śladu obawy. Napęliło to lorda zdumieniem. Nie był przyzwyczajony do widoku podobnych kobiet.

– Teraz – rzekł – jest już najwyższy czas, bym odprowadził panią w bezpieczne miejsce.

– Stąd lepiej widać – odparła panna i dodała spokojnie: – Modłę się za tego Anglika. Musi być bardzo dzielny.

Lord Julian przeklął w duchu męstwo rodaka.

„Arabella” trzymała teraz kurs, który musiał wreszcie wprowadzić okręt między dwie hiszpańskie jednostki. Wade zwrócił na to uwagę.

– On chyba oszalał! – krzyknął. – Pędzi prosto w śmiertelną pułapkę. Te dwa okręty rozbiją go w drzazgi; zrozumiałe, dlaczego ten śniadolicy don nie strzela. Na jego miejscu zrobiłbym to samo.

Lecz właśnie w tym momencie admirał podniósł rękę. W dole, na śródokręciu zagrała trąbka i kanonierzy na dziobie natychmiast podeszli do dział. Gdy ryk armat przebrzmiał, lord Julian ujrzał za brytyjskim okrętem i na lewo od niego dwie wielkie fontanny wody. Niemal jednocześnie dwa następujące po sobie języki ognia wyskoczyły ze spiżowych dział na dziobie „Arabelli”. Jeden pocisk wpadł w morze, drugi zaś, z rozdzierającym powietrze hukiem, wylądował w przednim kasztelu, wstrząsając „Cudowną” od dziobu do rufy. Aby pomścić ten cios, „Dama” wypaliła z obu armat dziobowych, lecz nawet na krótki dystans dwustu do trzystu metrów oba strzały chybiły.

Przez ten czas nabito ponownie oba dziobowe działa „Arabelli” i teraz wystrzeliły one w „Cudowną” rozbijając w drzazgi bukszpryt, tak że trafiony okręt odchylił się bezwolnie w lewo. Don Miguel zaklął, gdy położono ster na burtę, aby zawrócić „Cudowną” na jej dawny kurs, i odpowiedział ogniem. Lecz wycelowano zbyt wysoko i choć jeden z pocisków przeciął wanty „Arabelli” i uszkodził jej grotmaszt, drugi poszedł w górę. Gdy rozwiął się dym wystrzałów, angielski okręt znajdował się już niemal między hiszpańskimi, z dziobem na trawersie ich dziobów, i wchodził spokojnie w to, co lord określił mianem śmiertelnej pułapki.

Młody człowiek wstrzymał oddech, a panna Arabella oddychała ciężko, trzymając się relingu. Kątem oka dojrzała złowrogo uśmiechniętą twarz don

Miguela i szydercze uśmiechy ludzi przy działach na pokładzie baterijnym.

Wreszcie „Arabella” znalazła się w środku, dziobem do ruf i rufą do dziobów okrętów nieprzyjacielskich. Don Miguel dał znak trębaczowi, który uniósł do ust srebrny róg. Na ten sygnał miały dać salwę wszystkie zwrócone ku wrogowi armaty. Lecz w tejże chwili admirał chwycił trębacza za ramię, odwołując rozkaz. Dopiero teraz pojął rzecz tak oczywistą dla doświadczonego wilka morskiego: zwlekał zbyt długo i został wymanewrowany przez kapitana Blooda. Celując w tej sytuacji w „Arabellę”, „Cudowna” i „Dama” ostrzelałyby się nawzajem. Zbyt późno wydał sternikowi komendę, by ten postawił okręt w pozycji umożliwiającej atak. W tej samej chwili „Arabella” przeszła obok, jakby eksplodując. Osiemnaście dział wypaliło z obu jej burt prosto w kadłuby hiszpańskich galeonów.

Na wpół ogłuszona rozdzierającym hukiem i pozbawiona równowagi wskutek nagłego przechylenia się statku, panna Bishop zatoczyła się gwałtownie na lorda Juliana, który chwycił się relingu i tylko dzięki temu utrzymał się na nogach. Kłęby dymu płynące ku sterbortowi przesłoniły wszystko, a ostry zapach prochu dławił i pobudzał do kaszlu.

Z dolnego pokładu dochodziły odgłosy zamieszania i walki, zagłuszane bluźnierstwami Hiszpanów i wrzaskiem rannych. „Cudowna” chwiejnie posuwała się naprzód; w burtach jej ziały olbrzymie dziury, fokmaszt⁷⁶ był strzaskany, odłamki rej wisiały na rozpiętej nad pokładem siatce, dziób poszedł w drzazgi, a do głównej kabiny wpadła kula armatnia, zmieniając ją w kupę strzaskanego drewna.

Don Miguel dziko wykrzykiwał rozkazy i niespokojny o los „Damy”, usiłował przebić dym wzrokiem.

Nagle zasłona ta zrzędnęła, ukazując oczom upiorny kontur okrętu. W miarę jak się zbliżał ukazując nagie maszty, zarys jego kadłuba stawał się coraz wyraźniejszy. Tylko na bezanmaszcie⁷⁷ rozpięty był żagiel.

Zamiast trzymać się kursu, jak tego oczekiwał don Miguel, „Arabella” zrobiła pod osłoną dymu zwrot przez sztag i żeglowała teraz w tym samym kierunku co „Cudowna”, zbliżając się do niej półwiatrem⁷⁸ tak szybko, że zanim zdumiony admirał zrozumiał sytuację, jego okręt zachwiało się od impetu, z jakim wpadła nań „Arabella”. Rozległ się trzask i brzęk metalu i na pokład „Cudownej” spadło z tuzin haków abordażowych, które czepiając się poszycia, chwyciły je mocno w szpony angielskiego napastnika.

Chmura dymu za rufą „Cudownej” rozwiła się wreszcie, ukazując beznadziejne położenie „Damy”. Statek szybko nabierał wody, przechylając się na bakbort i widać było, że zatonię w ciągu kilku minut. Cała uwaga załogi skoncentrowała się wyłącznie na desperackich próbach spuszczenia na czas szalup ratunkowych.

Przerażone oczy don Miguela .zdołały rzucić tylko pobieżne spojrzenie na „Dama”, gdyż w chwilę później na jego własne pokłady rzuciła się dzika, wyjąca horda piratów. Nigdy pewność siebie nie przerodziła się tak szybko w rozpacz, a myśliwy w bezbronną zdobycz. I rzeczywiście Hiszpanie byli bezsilni. Szybko wykonany manewr abordażowy zaskoczył ich niespodzianie w chwili zamieszania, wywołanego straszną, z bliska oddaną salwą. Przez chwilę część oficerów don Miguela czyniła waleczne wysiłki, by zgromadzić ludzi i stawić czoło napastnikom, lecz Hiszpanie, którzy nigdy nie odznaczali się dzielnością w walce wręcz, byli teraz przerażeni, wiedząc, z jakim nieprzyjacielem mają do czynienia. Ich pośpiesznie sformowane szyki zostały rozbite, zanim zdołały przygotować się do obrony. Część Hiszpanów zepchnięto aż do nadbudówki rufowej, pod ściany przedniego kasztelu. Walka rozbiła się na szereg utarczek między poszczególnymi grupami. W tym samym czasie inna zgraja piratów rzuciła się przez główny luk na międzypokład, obezwładniając kanonierów przy działach.

Potężna fala korsarzy, prowadzonych przez nagiego do pasa jednookiego olbrzyma, zalała rufę, gdzie stał oniemiały z rozpacz i wściekłości don Miguel. Z tyłu, z pokładu nadbudówki rufowej, patrzyli panna Bishop i lord Julian, przerażeni zażartością walki. Arabella utraciła w końcu panowanie nad sobą i zimną krew i z trudem trzymała się na nogach.

Wkrótce jednak wyczerpała się furia krótkiej potyczki. Ujrzeni wtedy, jak sztandar Kastylii zsunął się, powiewając, z grotmasztu. Pirat przeciął kordelasem flaglinkę. Napastnicy opanowali okręt i grupki rozbitych Hiszpanów stały teraz na górnym pokładzie, stłoczone jak owce.

Nagle panna Bishop otrząsnęła się z ogarniających ją mdłości i pochyliła naprzód, patrząc szeroko rozwartymi oczyma. Policzki jej okryła jeszcze głębsza bladość.

Ostrożnie krocząc przez pobojuwisko, nadchodził wysoki mężczyzna o ciemnej, ogorzałej twarzy, ocienionej hiszpańskim hełmem. Miał na sobie pancerzyk z czarnej stali, pięknie ozdobiony złotymi arabeskami. Przez

pancerz przerzucona była, jak stuła, wstęga ze szkarłatnego jedwabiu; po obu jej końcach zwisały wykładane srebrem pistolety. Pirat wszedł szerokim trapem na rufę, poruszając się ze swobodą i pewnością siebie. Podszedł do hiszpańskiego admirała i złożył mu sztywny, ceremonialny ukłon. Obserwatorzy usłyszeli ostry, metaliczny głos kapitana korsarzy, przemawiającego językiem kastylijskim, co zwiększyło jeszcze podziw i zachwyt lorda Juliana.

– Nareszcie spotkaliśmy się, don Miguelu – rzekł przybyły – chyba jesteś zadowolony. Wprawdzie nasze spotkanie odbyło się niezupełnie tak, jak sobie to wyobrażałeś, lecz wiem, żeś go gorąco pożądał.

Ironicznego przemówienia sprawcy swego upadku i wszystkich niepowodzeń don Miguel de Espinosa wysłuchał w milczeniu, z grymasem na twarzy, ciężko dysząc. Wreszcie wydał nieartykułowany okrzyk wściekłości, a ręka jego chwyciła za rapier. Lecz zanim jeszcze zacisnął palce na głównej, przeciwnik powstrzymał go, mocno chwytając za przegub dłoni.

– Opanuj się, don Miguelu! – rzekł stanowczo, lecz spokojnie. – Nie doprowadzaj mnie niepotrzebnie do ostateczności, do której posunąłbyś się, gdyby sytuacja była odwrotna.

Przez chwilę stali patrząc sobie w oczy.

– Co zamierzasz ze mną uczynić? – zapytał w końcu Hiszpan ochryłym głosem.

Kapitan Blood wzruszył ramionami, a jego zaciśnięte wargi rozchyliły się nieco w uśmiechu.

– To, co zamierzałem, już się stało i choćby się miała pogłębić twoja uraza, zapamiętaj łaskawie, że sam jesteś sobie winien. Sam tego chciałeś.

Odwrócił się i wskazał na łodzie, spuszczone przez jego załogę.

– Twoje szalupy są już na wodzie. Jeśli chcesz, możesz zejść do nich razem z twoimi ludźmi, zanim zatopimy ten okręt. Tam widać brzegi Hispanioli. Dopłyniesz do nich bezpiecznie. Posłuchaj też mojej rady, sir, i nie ścigaj mnie więcej. Przynoszę ci tylko nieszczęście. Wracaj do domu, don Miguelu, i weź się do pracy, na której znasz się lepiej niż na tym morskim rzemiośle.

Pokonany admirał patrzył nań długo w milczeniu, wzrokiem jedynie wyrażając swoją nienawiść, po czym bez słowa zeszedł po trapie, zataczając się jak pijany i wlokąc za sobą bezużyteczny rapier. Zwycięzca nie zadał

sobie nawet trudu rozbrojenia Hiszpana; odprowadził go wzrokiem, a później obejrzał się i stanął twarzą w twarz z parą na nadbudówce. Gdyby lord Julian mniej był zainteresowany innymi sprawami, zauważyłby, jak pirat nagle zeszywniał i pobladł pod opalenizną. Chwilę trwał zapatrzony, a następnie szybko wbiegł po trapie. Lord Julian wysunął się naprzód, aby go powitać.

– Nie chcesz chyba, panie, puścić wolno tego hiszpańskiego łotra? – zawołał.

Mąż w czarnej zbroi jak gdyby teraz dopiero zauważył lorda;

– A kimże, u diabła, jesteś? – zapytał z wyraźnym irlandzkim akcentem. – I co cię to obchodzi?

Jego lordowska mość postanowił wytknąć nieznanemu nieobyczajność i zupełny brak należytego sobie szacunku.

– Jestem lord Julian Wade – przedstawił się, lecz najwidoczniej nazwisko i tytuły nie wywarły na piracie wrażenia.

– O, doprawdy! To może mi wytłumaczysz, co, u pioruna robisz na tym hiszpańskim okręcie?

Lord Julian opanował się i dostarczył żądanego wyjaśnienia krótko i niecierpliwie.

– Wzięto cię do niewoli razem z panną Bishop, czy tak?

– Znasz pannę Bishop?! – zawołał młody człowiek, coraz bardziej zdumiony.

Lecz ten źle wychowany człowiek minął go i ukłonił się damie, która zdawała się go nie dostrzegać, nie odpowiedziała bowiem na powitanie i patrzyła nań z pogardą. Widząc to, pirat zwrócił się z wyjaśnieniem do lorda Juliana.

– Miałem kiedyś ten zaszczyt – rzekł – lecz wydaje mi się, że panna Bishop ma krótszą ode mnie pamięć.

Usta jego wykrzywił uśmiech, a w niebieskich oczach, błyszczących tak żywo pod ciemnymi brwiami, widniał ból zmieszany z szyderstwem. Lecz panna zauważyła tylko szyderstwo i poczuła się nim dotknięta.

Nie zaliczam złodziei i piratów do moich znajomych, kapitanie Blood! – powiedziała. Na te słowa lord Julian wybuchnął:

Kapitan Blood! Jesteś kapitanem Bloodem?!

A któż by inny? – zapytał Blood zmęczonym głosem, myśląc o tym, co

usłyszał. „Nie zaliczam złodziei i piratów do moich znajomych”. Te okrutne słowa wypełniały mu mózg i odbijały się w nim echem.

Lecz lord Julian był natrętny. Złapał pirata za rękaw i wskazał na oddalającą się, przybitą postać admirała.

– Naprawdę nie powiesz tego hiszpańskiego łotra?

– A po co miałbym go wieszać?

– To przecież obmierzły pirat. Mogę to udowodnić, a zresztą już udowodniłem.

– Tak! – rzekł Blood, a lord Julian zdziwił się na widok zgnębienia malującego się na obliczu dotychczas tak butnym i aroganckim.

– Ja sam jestem obmierzłym piratem, mam więc litość dla podobnych do mnie. Don Miguel będzie wolny.

Lord Julian zdumiał się znowu.

– Zwalniasz go po wszystkim, co powiedziałem? Po zatopieniu „Królowej Marii”? Po tym, jak nas traktował? – protestował z oburzeniem.

– Nie jestem w służbie Anglii ani żadnej innej nacji, sir! Nie obchodzą mnie też krzywdy, jakie ucierpiała angielska flaga.

Lord cofnął się pod jego wściekłym wzrokiem. Lecz wybuch gniewu minął równie prędko, jak przyszedł, i kapitan Blood dodał już spokojniej:

– Będę ci wdzięczny, milordzie, jeśli odprowadzisz pannę Bishop na pokład mojego statku. Proszę się tylko śpieszyć. Zaraz zatopimy to pudło.

Powoli skierował się do wyjścia, lecz lord zatrzymał go i hamując gniewne zdumienie, rzekł chłodno:

– Rozczarowałeś mnie, kapitanie. Spodziewałem się po tobie wielkich rzeczy.

– Idź do diabła! – odparł Blood odwracając się na pięcie.

XX

ZŁODZIEJ I PIRAT

Kapitan Blood przechadzał się po rufowej nadbudówce swojego okrętu w ciepłym zmierzchu i złotej poświacie wielkiej latarni, zapalonej właśnie przez marynarza. Dokoła panował spokój. Usunięto już ślady walki, umyto pokłady i przywrócono porządek w kabinach i ładowniach. Koło głównego luku przykucnęła grupka ludzi, sennie zawodzących jakąś pieśń. Twarde ich serca zmiękły pewnie pod wpływem ciszy i uroku nocy. Byli to marynarze z bakburtowej wachty, którzy czekali na zbliżającą się zmianę.

Kapitan Blood nie słyszał ich, nie słyszał w ogóle nic prócz echa okrutnych słów, piętnujących go jako złodzieja i pirata.

„Złodziej i pirat!”

Jest dziwną cechą natury ludzkiej, że człowiek może wiedzieć o czymś przez wiele lat, a jednak czuć się wstrząśnięty odkryciem, iż tak jest w istocie. Kiedy trzy lata temu wszedł w Tortudze na drogę flibustiera, wiedział, co będzie o nim sądzić Arabella Bishop. Uważał ją jednak za straconą dla siebie na zawsze i to nappełniło go dziką nierozwagą, zatruwając duszę rozpaczą i zwątpieniem.

Nie liczył się wcale, nawet we snach, z możliwością spotkania jej jeszcze. Rozłączono ich, jak sądził, nieodwołalnie i na zawsze. Mimo to jednak i mimo przekonania, że rozłąka, tak bolesna dla niego, nie wywołała w niej żalu, obraz panny stał zawsze przed nim przez wszystkie lata szalonych korsarskich przygód. Myśl o niej była hamulcem nie tylko dla niego, lecz i dla

jego załogi. Nigdy jeszcze nie trzymano piratów tak mocno w garści, nigdy nie zabraniano im tak stanowczo zwykłego w tym zawodzie łupiestwa i gwałtów. W podpisywanych z Bloodem umowach zobowiązywali się do uległości dowódcy zarówno w tych sprawach, jak i w innych. Szczególnie sprzyjający Bloodowi los pozwolił mu narzucić swym podwładnym surową dyscyplinę, nie znaną dotychczas wśród piratów. Jakże drwiliby z niego teraz, gdyby im powiedział, iż czynił to ze względu na romantyczną miłość do dziewczyny. Jakże szyderczo rozbrzmiewałby ich śmiech, gdyby usłyszeli, jak ta dziewczyna powiedziała mu dzisiaj, że nie zalicza złodziei i piratów do swoich znajomych.

„Złodziej i pirat!”

Jak dręczą te słowa, jak ranią i palą mózg.

Blood nie był psychologiem ani znawcą krętych dróg duszy kobiecej, dlatego też nie przyszło mu do głowy ciekawe spostrzeżenie. Powinno go było zastanowić, dlaczego panna obrzuciła go obelżywymi słowami w takim momencie i okolicznościach, w jakich nastąpiło spotkanie. Blood nie mógł jednak nic o tym sądzić, gdyż nie spojrzał na sprawę pod tym kątem. W przeciwnym wypadku byłby zrozumiał, że rozgoryczenie musiało być uczuciem wcześniejszym i silnie w jej duszy zakorzenionym, skoro w chwili, gdy wyratował ją z niewoli i zasłużył sobie na wdzięczność, usłyszał tylko słowa wzgardy. Przyczyną tego mogło być tylko jego postępowanie. Dlaczego? Nie pytał o to, gdyż może wtedy promień światła rozjaśniłby głęboką rozpacz Piotra. Z pewnością panna nie byłaby tak tym poruszona, gdyby nie odczuwała postępowania Blooda jako wyrządzonej jej krzywdy. Tylko to mogło wzbudzić w niej podobny żal i pogardę.

My rozumowalibyśmy w ten sposób. Blood jednak sądził inaczej, a właściwie tej nocy nic nie sądził. Serce jego szarpała z jednej strony niemal bałwochwalczą miłość, jaką darzył pannę przez te wszystkie lata, z drugiej zaś rozbudzona teraz namiętność. Krańcowości mogą się czasem zbliżyć do siebie, pomieszać nie dać rozróżnić; skrajne uczucia miłości i nienawiści szalały tej nocy w sercu Blooda i wybuchały z niezwykłą siłą. „Złodziej i pirat!”

Osądziła go tak, nie szukając usprawiedliwień, nie myśląc o wielkich doznanych przez niego krzywdach, o rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znalazł się po ucieczce z Barbadosu, i o tym, co skierowało go na obecną drogę. Nie

przyszło jej też do głowy, by mógł uprawiać korsarstwo stosunkowo czystymi rękoma, choć gdyby pomyślała o tym, zmieniłoby to niewątpliwie jej sąd o niegdyś szanowanym człowieku. Nie miała dlań litości ani miłosierdzia. Tym jednym zdaniem osądziła go i skazała. Był w jej oczach złodziejem i piratem, i koniec. A czymże była ona? Czym byli wszyscy ci bezlitośni? – zapytywał gwiazd. Więc dobrze! Jeśli go tak nazwała, będzie takim. Napiętnowała go jako złodzieja i pirata. Będzie miała rację! Odtąd stanie się złodziejem i piratem, tak pozbawionym litości i skrupułów jak ci, co na to miano zasługują. Odrzuci sentymentalne ideały, którymi kierował się dotąd w postępowaniu, zakończy tę idiotyczną walkę o pogodzenie dwóch światów. Pokazała mu jasno, gdzie jest jego miejsce, niech więc tak będzie. Była na pokładzie jego statku, w jego mocy, a on jej pożądał.

Oparty o reling i wpatrzony w fosforyzujące błyski fal, pozostawianych za rufą, śmiał się cicho i szydlerczo, aż zdziwiła go zła nuta brzmiąca we własnym śmiechu. Urwał gwałtownie i zadrżał. Wybuch rubasznej wesołości przeszedł w szloch. Ukrył w dłoniach zroszone zimnym potem skronie.

Lord Julian jednak znał kobiety lepiej niż Blood i postanowił rozwiązać ten ciekawy problem, który tak zupełnie uszedł uwagi pirata. Na decyzję jego wpłynęło z pewnością uczucie zazdrości. Zachowanie panny Bishop w czasie przebytych niebezpieczeństw przekonało go, iż kobieta może nie odznaczać się bezradnym wdziękiem, a jednak być tym bardziej czarująca. Zastanawiał się, co właściwie łączyło ją dawniej z Bloodem, i na myśl o tym odczuwał szczególny niepokój, który pobudzał go do zbadania całej sprawy.

Blade, marzące oczy jego lordowskiej mości umiały obserwować, a umysł miał bystry.

Wyrzucał sobie, że wcześniej nie zauważył pewnych faktów lub co najmniej, że nie badał ich dość starannie. Teraz powiązał je z nowymi spostrzeżeniami.

Na przykład okręt Blooda nosił imię „Arabella”, a więc imię panny Bishop. Z drugiej zaś strony spotkanie kapitana Blooda z panną Bishop było nieco dziwne i wywarło na oboje ciekawy wpływ.

Dama była potwornie nieuprzejma dla kapitana. W jej sytuacji postawa taka była głupotą, a lord nie uważał wcale panny Bishop za głupią. Jednakże mimo jej szorstkości, mimo iż była bratanicą jego najzjadlejszego wroga, kapitan Blood okazywał pannie, jak i lordowi, wyjątkową uprzejmość. Każde

z gości otrzymała do dyspozycji kabinę, do której przeniesiono resztki ich odzienia. Razem z panną zamieszkała jej służebna. Mieli wstęp do mesy i siadali do stołu razem z nawigatorem Pittem i zastępcą Blooda, Wolverstone'em, przy czym obaj oficerowie byli dla nich bardzo uprzejmi. Blood natomiast starał się nie narzucać gościom.

Myśli lorda Juliana pomknęły szybko, lecz uważnie tym torem, spostrzegając i wiążąc fakty. Po przebadaniu starego materiału, lord postanowił zwrócić się do panny o dalsze informacje. Musiał w tym celu doczekać się odejścia Pitta i Wolverstone'a. Gdy wreszcie ten ostatni opuścił mesę, a Pitt chciał podążyć za nim, panna Bishop zatrzymała młodego żeglarza.

– Panie Pitt – zapytała – czy i pan uciekał z Barbadosu z kapitanem Bloodem?

– Owszem, i ja byłem jednym z niewolników pani stryja.

– I od tej chwili zawsze towarzyszyłeś kapitanowi?

– Byłem cały czas jego nawigatorem.

Panna skinęła głową. Była zupełnie spokojna i opanowana, lecz lord spostrzegł jej niezwykłą bladość, zrozumiał ją jedynie jako skutek przejść dnia poprzedniego.

– Czy żeglowałeś kiedyś z Francuzem imieniem Cahusac?

– Cahusac? – Pitt zaśmiał się, gdyż imię to wywoływało zabawne wspomnienia. – Tak, był z nami w Maracaibo.

– A z innym Francuzem, imieniem Levasseur? Lord podziwiał dobrą pamięć panny.

– Tak jest. Cahusac był porucznikiem Levasseura aż do śmierci.

– Czyjej śmierci?

– Levasseura. Zabito go na jednej z Wysp Dziewiczych dwa lata temu.

Przez chwilę panowało milczenie, a później jeszcze spokojniejszym niż zwykle głosem panna zapytała:

– Kto go zabił?

Pitt odpowiadał chętnie, nie widząc powodu ukrywania czegokolwiek, jednakże ten katechizm już go zaczynał irytować.

– Zabił go kapitan Blood.

– Czemu?

Pitt zawahał się. Historia nie nadawała się dla panieńskich uszu.

- Pokłócili się – rzekł wreszcie lakonicznie.
- Czy... chodziło o damę? – nieubłaganie prowadziła śledztwo panna.
- Można by tak powiedzieć.
- Jak się ta dama nazywała?

Pitt uniósł w zdumieniu brwi, odpowiedział jednak:

– Panna d'Ogeron. Córka gubernatora Tortugi. Uciekła z tym Levasseurem i... i Piotr uratował ją z jego brudnych pazurów. To był nikczemny łotr i zasługiwał na taką karę.

– Rozumiem... a jednak kapitan Blood nie ożenił się z nią...

– Jeszcze nie... – uśmiechnął się Pitt, który doskonale znał bezpodstawność wszystkich plotek zapowiadających małżeństwo kapitana z panną d'Ogeron.

Panna Bishop skinęła w milczeniu głową. Pitt skierował się do wyjścia, rad, że badanie zostało skończone. Od progu jednak podzielił się nowiną.

– Pewnie ucieszy panią wiadomość, iż ze względu na was kapitan zmienił kurs. Ma zamiar wysadzić was na wybrzeżu Jamajki, tak blisko Port Royal, jak tylko uda się nam podejść. Zrobiliśmy zwrot i jeśli wiatr się utrzyma, wkrótce będziesz pani w domu.

– Bardzo to uprzejmie z jego strony – wycedził lord, gdyż dziewczyna widocznie nie zamierzała odpowiedzieć. Siedziała nachmurzona, szeroko otwartymi oczyma patrząc w przestrzeń.

– Słusznie powiedział – zgodził się Pitt – kapitan ponosi przy tym wielkie ryzyko. Nikt inny na jego miejscu nie chciałby się tak narażać. Ale on zawsze jest taki.

Żeglarz wyszedł, a marzące, senne, niebieskie oczy lorda zaczęły uważnie obserwować twarz panny. Spostrzeżenia przyprawiały lorda o coraz większy niepokój. W końcu dziewczyna nań spojrzała i powiedziała:

– Pański Cahusac mówił jednak prawdę.

– A pani sprawdzała jego słowa – odparł lord. – Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, w dalszym ciągu patrzył na nią w milczeniu, a jego długie, szczupłe palce bawiły się złocistym lokiem peruki, okalającej pociągłą twarz.

Panna siedziała zamyślona, ze ściągniętymi brwiami, przypatrując się pięknej, hiszpańskiej koronce obrzeżającej obrus. Ciszę przerwał lord.

– Ten człowiek mnie zdumiewa – rzekł swoim powolnym leniwym, zawsze jednakowym głosem. – Ciekawe, czemu dla nas zmienił swój kurs, czemu naraża się dla nas, wpływając na wody Jamajki... To wszystko jest bardzo dziwne.

Panna Bishop podniosła oczy i spojrzała na młodzieńca. Była nadal zamyślona. Wargi jej skrzywiły się dziwnie, niemal pogardliwie. Cienkie palce bębniły po stole.

– A mnie jeszcze bardziej dziwi, że nie żąda za nas okupu – rzekła w końcu.

– Zasługiwałybyś pani na to.

– O! A dlaczegoż to, jeśli wolno zapytać?

– Za to, coś mu powiedziała.

– Zwykle nazywam rzeczy po imieniu.

– Naprawdę? Niech mnie kule biją! Nie ma się czym chwalić. Świadczy to tylko o wielkiej młodości albo też o wielkiej nierozwadze.

Lord Julian należał widocznie do filozoficznej szkoły lorda Sunderlanda. Po chwili dodał jeszcze:

– To samo można powiedzieć o okazywaniu niewdzięczności. Lekki rumieniec zabarwił policzki panny.

Wasza lordowska mość jest ze mnie, jak widzę, niezadowolony. Jestem niepokieszona. Mam nadzieję, iż to niezadowolenie opiera się na zdrowszych podstawach niż pańskie poglądy na życie. Pierwszy raz słyszę, że tylko młodzi lub szaleńcy mogą być niewdzięczni.

– Nie powiedziałem tego, pani – odparł cierpko, sprowokowany ostrością jej tonu. – Gdybyś zrobiła mi ten zaszczyt i słuchała uważnie, nie popełniłabyś podobnego błędu. Ja bowiem, w przeciwieństwie do ciebie, nie zawsze mówię to, co myślę, jednakże zawsze mówię dokładnie to, co chcę powiedzieć. Być niewdzięcznym – to rzecz ludzka, lecz okazywać to – jest dziecinadą.

– Nie... nie sądzę, bym zrozumiała – zmarszczyła brwi. – Kiedy byłam niewdzięczna i wobec kogo?

– Wobec kogo? Wobec kapitana Blooda. Czyż nie on przyszedł nam na odsiecz?

– Doprawdy? – zapytała chłodno. – Nie wiedział przecież o naszej obecności na pokładzie „Cudownej”.

Jego lordowska mość pozwolił sobie na lekki gest zniecierpliwienia.

– Prawdopodobnie zdajesz sobie pani sprawę, że Blood nas uratował – rzekł – a żyjąc w tych dzikich stronach, musisz wiedzieć o tym, z czego zdają sobie sprawę nawet w Anglii: ten Blood walczy tylko z Hiszpanami. Nazwać go więc, jak to pani uczyniła, złodziejem i piratem, było przesadą, szczególnie gdy rozwaga nakazywała postąpić inaczej.

– Rozwaga? – Głos panny zabrzmiał pogardliwie. – Co ja mam wspólnego z rozwagą?

– Jak widzę, nic, lecz winnaś się pani uczyć wspaniałomyślności. Mówię ci szczerze, iż na miejscu Blooda nie byłbym nigdy tak uprzejmy. Niech mnie diabli wezmą! Jeżeli sobie przypomnisz, co ten człowiek ucierpiał z rąk rodaków, zdziwisz się, jak i ja, dlaczego chce mu się jeszcze rozróżnić Anglików od Hiszpanów. Być sprzedanym w niewolę! Tfu! – Wstrząsnął się jego lordowska mość. – I to jeszcze jednemu z tych parszywych kolonialnych plantatorów! – Urwał nagle. – Bardzo przepraszam, panno Bishop. Przez chwilę...

– Uniósł cię zapał w obronie tego... zbója morskiego – rzuciła Arabella z dziką pogardą.

Lord spojrział znów na nią, a później przymknął swoje wielkie, blade oczy i pochylił odrobinę głowę.

– Ciekaw jestem, czemu go pani tak nienawidzi? – zapytał łagodnie.

Ujrzał, jak rumieniec zabarwił nagle jej policzki, a czoło zmarszczyło się gniewnie. Musiał ją czymś rozgniewać. Wybuch jednak nie nastąpił. Arabella opanowała się.

– Nienawidzić go? Boże! Co za pomysł! Nie zwracam na niego w ogóle uwagi.

– To właśnie niedobrze – wyznał szczerze lord. – Ten człowiek zasługuje na uwagę. Ktoś, kto potrafi dokonać takiego wyczynu jak dzisiejsze zwycięstwo, byłby świetnym nabytkiem dla królewskiej marynarki wojennej. Jego służba pod de Ruyterem nie poszła na marne. To był wielki żeglarz. Ale niech mnie grom strzeli! Uczeń wart jest mistrza. W całej królewskiej marynarce nie ma z pewnością równie dzielnego dowódcy. Rzucić się umyślnie między te dwa okręty, przykładając niemal lufy armat do kadłubów, i spłatać później nieprzyjacielowi takiego figła! To wymaga odwagi, pomysłowości, inicjatywy! I nie tylko my, szczury lądowe, daliśmy

się zwieść jego manewrowi. Nawet ten hiszpański admirał nie zdołał w porę przewidzieć jego zamiarów i Blood dał mu mata. To wielki człowiek, panno Bishop, człowiek godny uznania.

Panna Bishop odpowiedziała sarkastycznie:

– Użyj swego wpływu, by Sunderland wyrobił mu u króla odpowiednią nominację.

Lord uśmiechnął się łagodnie.

– Jako żywo, to już załatwione. Mam jego nominację w kieszeni – powiedział i w kilku słowach wyjaśnił panie wszystko. Zanim zdołała otrząsnąć się ze zdumienia, lord wyruszył na poszukiwanie Blooda. Był w dalszym ciągu zaintrygowany. Wolałby widzieć pannę usposobioną bardziej kompromisowo w stosunku do pirata.

Znalazł kapitana przechadzającego się na rufie. Walka z szatanem, której istnienia lord nawet nie podejrzewał, wyczerpała Blooda psychicznie. Młody człowiek ze zwykłą dla niego przyjazną poufałością wsunął rękę pod ramię kapitana i dotrzymywał mu kroku.

– Co takiego? – burknął zły i opryskliwy Blood. Lorda zupełnie to nie speszyło.

– Chciałbym, byśmy zostali przyjaciółmi – rzekł serdecznie.

– Jakże to miło z pańskiej strony!

Lord Julian zignorował oczywisty sarkazm.

– Tak. Spotkaliśmy się w dość dziwnych okolicznościach, biorąc pod uwagę, że przybyłem do Indii specjalnie, by cię odszukać kapitanie.

– Nie jesteś bynajmniej pierwszy – zadrwił Blood – najczęściej próbowali tego Hiszpanie, lecz nie mieli twego szczęścia, milordzie.

– Ależ to zupełne nieporozumienie – rzekł lord Julian i wyjaśnił piratowi cel swojej misji.

Gdy skończył, oszołomiony dotychczas Blood uwolnił swe ramię z jego uścisku i spojrzał mu w twarz.

– Jesteś gościem na pokładzie mojego statku – odrzekł – i chociaż jestem złodziejem i piratem, pamiętam jeszcze z dawnych lat, jak trzeba się zachowywać. Dlatego też nie powiem ci, co myślę o zuchwałości, z jaką przychodzisz do mnie z tą propozycją, ani o twoim krewniaku, milordzie Sunderlandzie, który miał czelność cię tu przysłać. Nic dziwnego, że minister Jakuba Stuarta uważa każdego człowieka za zdolnego zdradzić dla

pieniędzy ufających mu towarzyszy. – Wyciągnął rękę w kierunku pokładu, skąd dochodziło melancholijne zawodzenie odpoczywających po wachcie marynarzy.

– Znowu mnie nie zrozumiałeś – zawołał lord Julian, dotknięty i oburzony. – Nikt nie żywi takiego zamiaru. Cała załoga byłaby również przyjęta na służbę królewską.

– I sądzisz, iż poszliby ze mną polować na swoich braci? Braci Wybrzeża? Na mą duszę, lordzie Julianie, to ty padłeś ofiarą nieporozumienia. Czy w Anglii nie zostało już ani trochę poczucia honoru? Tu zresztą chodzi jeszcze o co innego. Nie zaciągnę się na służbę króla Jakuba. Nie chcę brudzić rąk taką służbą, choć jestem tylko złodziejem i piratem. Tak mnie przynajmniej nazwała dzisiaj panna Bishop. Jestem przedmiotem wzgardy, wyrzutkiem. A kto mnie do tego doprowadził? Kto zrobił mnie złodziejem i piratem?

– Byłeś buntownikiem... – zaczął lord.

– Zapewniam cię, milordzie, że nie byłem żadnym buntownikiem. Nikt mi tego nawet nie zarzucał. Gdybym był naprawdę buntownikiem, byłbym im przebaczył. O nie, to nie był błąd! Byłem skazany za to, co uczyniłem, za nic innego. Ten krwawy wampir, Jeffreys, oby szczeł! skazał mnie na śmierć, a jego godny pan, Jakub Stuart, sprzedał mnie później w niewolę za czyn miłosierdzia, za niesienie ulgi cierpiącemu bez względu na jego wyznanie i poglądy polityczne, za opatrywanie ran człowieka skazanego za zdradę. To było całe moje przestępstwo. Zapisane jest w aktach. Sprzedano mnie w niewolę, ponieważ według praw angielskich, stosowanych przez Jakuba Stuarta wbrew prawom boskim, ten, kto ukrywa lub wspiera buntownika, winien jest buntu. Czy wyobrażasz sobie, co to znaczy być niewolnikiem?

Zatrzymał się nagle w największym wzburzeniu, lecz po chwili stłumił pasję, zniżył głos i rzekł z uśmiechem zmęczenia i wzgardy:

– Co znowu! Wybucham z powodu drobiazgów. Usprawiedliwiam się nawet, co nie jest moim zwyczajem. Dziękuję ci, lordzie, za dobre intencje. Taki już jestem. Lecz pan mnie może zrozumie. Przynajmniej pan na to wygląda.

Lord Julian stał bez ruchu, głęboko poruszony oburzeniem i słowami korsarza, który w kilku ostrych, dobitnych zdaniach tak przekonywająco

odmalował swą krzywdę, wyjaśnił i usprawiedliwił się z czynionych mu zarzutów. Patrząc w tę zuchwałą, nieustraszoną twarz, bielejącą w świetle wielkiej rufowej latarni, lord spuścił oczy. Czuł się zawstydzony. Westchnął ciężko.

– Szkoda – rzekł z wolna. – Niech mnie usieką! Diabelna szkoda!

Wyciągnął rękę, powodowany nagłym, szlachetnym impulsem.

– Proszę nie mieć do mnie żalu, kapitanie!

– Nie, nie mam żalu, lecz... jestem złodziejem i piratem.

Uśmiechnął się smutno i nie uściskawszy ofiarowanej mu ręki, odwrócił się na pięcie.

Lord Julian stał przez chwilę, patrząc na wysoką oddalającą się w stronę relingu postać, po czym opuścił bezradnie ramiona i odszedł.

W drzwiach korytarza, wiodącego do kabiny, natknął się na pannę Bishop. Najwyraźniej szła w tym samym co i on kierunku, gdyż zwrócona doń była plecami. Młody człowiek postępował za nią, zbyt jeszcze zajęty kapitanem Bloodem, by zastanawiać się nad tym, gdzie chodziła.

W kabinie rzucił się na krzesło i wybuchnął z obcą mu zazwyczaj gwałtownością:

– Niech mnie diabli wezmą, jeśli kiedykolwiek ktoś podobał mi się więcej lub chociażby tak samo jak ten pirat. A jednak nic się z nim nie da zrobić.

– Słyszałam wszystko – oświadczyła panna cicho. Siedziała teraz bardzo blada, patrząc na swe złożone ręce.

Lord spoglądał na nią przez dłuższą chwilę, pogrążony w zadumie.

– Ciekaw jestem – rzekł w końcu – czy to wszystko nie jest pani winą. Twoje słowa rozjątrzyły go. Rzucił mi je raz po raz w twarz. Nie chciał przyjąć królewskiej nominacji, nie chciał nawet przyjąć mojej ręki. I co począć z takim człowiekiem? Mimo całego swego szczęścia skończy zapewne na rei. Ta szalona donkiszoteria pcha go znowu w niebezpieczeństwo, i to dla nas.

– Jak to? – zapytała z nagłym zainteresowaniem.

– Jak? Czy zapomniałaś, pani, że żegluje teraz w kierunku Jamajki, a Jamajka jest główną kwaterą angielskiej eskadry? Wprawdzie stryj pani dowodzi...

Panna przechyliła się przez stół, aby mu przerwać. Pierś jej falowała, a oczy rozszerzyły się przerażeniem.

– Nie powinien łączyć z tym żadnych nadziei – zawołała. – O, niech nie liczy na to! Blood nie ma na świecie bardziej zażartego nieprzyjaciela. Mój stryj to człowiek twardy i mściwy. Chyba tylko nadzieja pojmania i powieszenia kapitana Blooda skłoniła go do porzucenia plantacji na Barbadosie i przyjęcia nominacji na wicegubernatora Jamajki. Kapitan Blood nie wie naturalnie o tym... – Przerwała z gestem bezradności.

– Nawet gdyby wiedział, nie zrobiłoby to najmniejszej różnicy – zauważył poważnie lord. – Człowieka zdolnego przebaczyć takiemu wrogowi jak don Miguel, a zająć nieprzejednane stanowisko wobec mnie, nie można mierzyć zwykłą miarą. Kapitan Blood jest rycerski aż do przesady.

– A jednak jest tym, czym jest, i w ciągu ostatnich trzech lat uczynił to, co uczynił – odparła panna, teraz już bez wzdargy, ze smutkiem w głosie.

– Życie bywa piekielnie skomplikowane – wyrzekł sentencjonalnie lord Julian, co mu się przypuszczalnie często zdarzało.

XXI

W SŁUŻBIE KRÓLA JAKUBA

Następnego ranka panna Arabella Bishop została zbudzona bardzo wcześnie spizowym dźwiękiem trąby i natrętnym biciem dzwonu okrętowego. Leżąc w łóżku dziewczyna śledziła niewielkie, zielonkawe fale, przepływające za grubym szkłem okienka. Do uszu jej zaczęły docierać stopniowo odgłosy szybkiej, energicznej krzątaniny. Słysząc było tupot wielu stóp, okrzyki ochrypłych gardzieli i uparte przesuwanie czegoś ciężkiego w mesie oficerskiej, położonej bezpośrednio pod jej kabiną. Panna domyśliła się, że zaszło coś niezwykłego, usiadła więc, opanowana dziwnym uczuciem niepokoju, i obudziła drzemiącą jeszcze służebną,

W swej kabinie po sterburcie lord Julian usłyszał te same hałasy, wstał i zaczął się szybko ubierać. Kiedy zjawił się wreszcie przy nadbudówce rufowej, ujrzał górę piętrzących się płócien. Wszystkie żagle „Arabelli” podniesiono na reje, aby pochwycić podmuchy porannej bryzy. Przed dziobem i po obu burtach statku rozciągał się bezkresny ogrom oceanu, roziskrzonego porannym słońcem, które wychyliło się zaledwie połową tarczy spoza horyzontu.

Na pokładzie, gdzie ostatniej nocy wszystko miało tak pokojowy wygląd, uwijało się gorączkowo ze sześćdziesięciu ludzi. Przy relingu, bezpośrednio ponad lordem Julianem, stał kapitan Blood, pochłonięty żywą rozmową z jednookim olbrzymem w niebieskiej, rozchełstanej do pasa koszuli i czerwonej, bawełnianej chuście na głowie. Gdy lord poruszył się,

zdradzając swoją obecność, rozmowa umilkła i Blood pośpieszył go powitać.

– Dzień dobry, milordzie – rzekł i dodał: – Popełniłem poważny błąd. Nie powinienem był zbliżyć się nocą do wybrzeży Jamajki, lecz śpieszno mi było wysadzić cię na ląd. Proszę, wejdź tu do mnie, pokażę ci coś...

Lord Julian usłuchał zaproszenia i wszedł, zaciekawiony, po trapie. Stojąc obok kapitana spojrzął za jego wskazówką w kierunku rufy i aż krzyknął ze zdumienia. W odległości zaledwie trzech mil widać było ląd, nierówną ścianę żywej zieleni, zamykającą cały zachodni horyzont. Nieco zaś bliżej pędziły za nimi trzy wielkie, białe okręty.

– Nie wywiesiły flagi, lecz niewątpliwie należą do jamajskiej eskadry.

Blood mówił spokojnie, nie okazując podniecenia, a nawet z pewną niedbałością.

– Kiedy o świcie zauważyliśmy, że pędzimy wprost na nie, zrobiliśmy zwrot i od tego czasu trwa pogoń. Lecz „Arabella” była na morzu przez cztery miesiące bez przerwy i dno jej obrosło wodorostami i muszlami, co nie pozwala rozwinąć pożądanej szybkości.

Olbrzymi Wolverstone wsadził kciuki za swój szeroki, skórzany pas i rzucił z góry sardoniczne spojrzenie na lorda, choć ten również nie odznaczał się niskim wzrostem.

– Pewno będziesz musiał wziąć udział w jeszcze jednej bitwie morskiej, zanim rozstaniesz się na dobre z żegluga, milordzie.

– O tym właśnie dyskutujemy – rzekł Blood. – Moim zdaniem nie możemy walczyć przeciw takiej przewadze.

– Do diabła z nią! Jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Położenie w Maracaibo było gorsze, a jednak daliśmy sobie radę i zdobyliśmy trzy okręty. Było również gorsze wczoraj, kiedy wydaliśmy bitwę hiszpańskiemu admirałowi.

– O tak, lecz tamci byli Hiszpanami.

– A ci są może lepsi? Boisz się tej pokraki, tego barbadoskiego plantatora? Co się stało, Piotrze? Nigdy dotąd nie widziałem u ciebie strachu.

W oddali zagrzmiał wystrzał działa.

– To sygnał dla nas. Żądają, żebyśmy stanęli w dryf – powiedział Blood tym samym niedbałym tonem i westchnął.

Wolverstone wyzywająco wyprostował się przed kapitanem.

– Raczej ujrzę w piekle pułkownika Bishopa, niż usłucham jego rozkazu – zawołał i splunął, by podkreślić swe zdanie.

Lord Julian wmieszał się do rozmowy.

– Ale... przecież... z pewnością nie ma się czego obawiać ze strony pułkownika Bishopa. Biorąc pod uwagę usługi, jakie oddałeś mnie i jego bratanicy...

Przerwało mu rzenie Wolverstone'a.

– Posłuchajcie tego gentlemana – zawołał szyderczo. – Zaraz widać, że wasza lordowska mość nie zna pułkownika Bishopa. To jasne. Ani dla bratanicy, ani dla córki, ani dla własnej matki nie wyrzeknie się krwi, która mu się, jego zdaniem, należy. To krwiożercze zwierzę, plugawa bestia. My go znamy, kapitan i ja. Byliśmy jego niewolnikami.

– Ale ja tu jestem – rzekł lord Julian z wielką godnością. Wolverstone parsknął znów śmiechem, na co lord zaczerwienił się i rzekł niezwykle podniesionym głosem:

– Zapewniam cię, iż moje słowo znaczy coś w Anglii.

– O tak, w Anglii. Ale tu nie Anglia, bodaj mnie...

Rozległ się grzmot drugiego działła i kula uderzyła w wodę w odległości mniej niż pół kabla za rufą. Blood przechylił się przez reling do jasnowłosego młodzieńca, stojącego w dole obok sternika.

– Każ zwinąć żagle, Jeremiaszu – rzekł spokojnie. – Stajemy w dryf.

– Czekaj jeszcze chwilę, Jeremiaszu – wtrącił się znowu Wolverstone. – Poczekaj! – ryknął i stanął twarzą w twarz z kapitanem, który położył mu rękę na ramieniu i uśmiechnął się w zadumie.

– Spokojnie, Stary Wilku! Spokojnie! – upomniał go.

– Sam się uspokój, Piotrze. Oszalałeś chyba! Chcesz nas wszystkich wysłać do piekła dla tej zimnej jak lód dziewczyny?

– Milcz! – zawołał Blood w przystępie nagłej furii. Lecz Wolverstone nie zamierzał milczeć.

– To czysta prawda, ty głupcze! Ta przekłeta podwika zrobiła z ciebie tchórza. O nią się obawiasz, o bratanicę pułkownika Bishopa! Mój Boże, człowieku, toż załoga się zbuntuje, a ja wolę jej przewodzić niż poddać się i zawisnąć na szubienicy w Port Royal.

Ich spojrzenia spotkały się. Z jednej strony było posępne wyzwanie, z drugiej gniew, zaskoczenie i ból.

– Nikogo z was nie oddam w ich ręce z wyjątkiem siebie samego. Jeśli Bishop będzie mógł zaraportować do Anglii o pojmaniu i powieszeniu mnie, wsławi się, a jednocześnie nasyci osobistą zemstę. To go zadowoli. Poddam mu się i stawię się na pokładzie jego okrętu razem z panną Bishop i lordem Julianem, lecz tylko pod warunkiem, że „Arabella” będzie mogła odpłynąć bez przeszkód. O ile go znam, zgodzi się na taki warunek.

– Nikt mu nie postawi takiego warunku – odparł Wolverstone, a jego uprzednia gwałtowność była niczym wobec wybuchu, jaki teraz nastąpił. – Chyba do reszty straciłeś rozum. Jak możesz nawet myśleć o czymś podobnym, Piotrze!

Nie Jestem taki głupi jak ty, by walczyć z tymi okrętami – to mówiąc wyciągnął rękę i wskazał na ścigającą ich eskadrę, która zbliżała się z wolna, lecz nieustannie. – Zanim przepłyniemy pół mili, znajdziemy się w zasięgu ich dział.

Wolverstone zaklął wymyślnie i nagle zamilkł. Kątem jedyne go oka dostrzegł wstępującą po trapie szczupłą postać w szarym jedwabiu. W swym zaciętrzewieniu nie zauważyli, jak panna Arabella wyszła z korytarza wiodącego do kabiny. Było jeszcze coś innego, czego nie dojrzeliby ani trzej mężczyźni na nadbudówce, ani Pitt przy sterze na dolnym pokładzie. Przed paroma minutami z pokładu baterijnego wydostał się przez luk Ogle i wdał się w zaciekłą dyskusję z kanonierami, którzy porzucili swe działa i zgromadzili się wokół niego.

Nawet teraz Blood nie zwrócił na to uwagi. Spojrzał na pannę, zdziwiony, że chociaż wczoraj unikała go przez cały dzień, dzisiaj zjawiała się na rufie. Obecność jej teraz właśnie, szczególnie ze względu na przedmiot jego sporu z Wolverstone’em, była ambarasująca. Panna stała przed kapitanem, delikatna i pełna słodyczy, w sukni z lśniącego jedwabiu. Lekkie podniecenie zabarwiło jej lica i zapaliło iskry w jasnych, orzechowych oczach, które umiały patrzeć tak szczerze i uczciwie. Była bez kapelusza, a jej złocistobrązowe włosy powiewały kusząco w porannej bryzie.

Kapitan zdjął kapelusz i w milczeniu powitał ją ukłonem, na co panna skinęła głową poważnie i sztywno.

– Co się stało, lordzie Julianie? – zapytała.

Jak gdyby w odpowiedzi, z okrętu, na który spozierała z napięciem i zainteresowaniem, przemówiło trzecie działo. Zmarszczyła czoło

i obrzuciła wzrokiem posępnych i zakłopotanych mężczyzn.

– To okręty jamajskiej eskadry – odpowiedział lord.

Taka wiadomość powinna by już wystarczyć, lecz zanim lord zdążył coś dodać, uwaga wszystkich została wreszcie zwrócona na Ogle'a, który na czele swych ludzi biegł po szerokim trapie. Wszyscy instynktownie wyczuli w nadejściu kanonierów jakąś niejasną groźbę.

U szczytu trapu zagroził im drogę kapitan Blood. Z twarzy i całej jego postawy biła surowość.

– Co to ma znaczyć? – zapytał ostro. – Twoje miejsce jest na pokładzie działowym. Dlaczego opuściłeś stanowisko?

Pod wpływem groźnego tonu kapitana, którego naturalną przewagę uznawali wszyscy jego dzicy podkomendni, butność Ogle'a ustąpiła miejsca nawykowi posłuszeństwa i karności. Lecz nie zmieniło to jego zamiarów. Przeciwnie, zwiększyło jeszcze jego wzburzenie.

– Kapitanie – rzekł wskazując na pościg. – Pułkownik Bishop złapał nas. Nie możemy ani bić się, ani uciekać.

Blood wyprostował się, a twarz jego stała się jeszcze surowsza.

– Ogle – rzekł głosem twardym i zimnym jak stal – twoje miejsce jest przy działach. Wracasz tam natychmiast i zabierzesz ze sobą kanonierów, w przeciwnym razie...

Lecz Ogle przerwał mu gestykulując gwałtownie:

– Groźby nic nie pomogą, kapitanie.

– Tak sądzisz?

Po raz pierwszy w pirackiej karierze Blooda nie wykonano jego rozkazu i nie okazano mu posłuszeństwa, choć zobowiązywał się do tego każdy, kto wstępował na jego służbę. Świadomość, że niesubordynację okazał człowiek godny zaufania i stary towarzysz z Barbadosu, napędzała tym większą goryczą, a zarazem nie pozwalała postąpić zgodnie z podszeptem instynktu. Dłoń kapitana ścisnęła kolbę jednego z wiszących na wstędze pistoletów.

– To też ci nie pomoże – ostrzegł jeszcze groźniej Ogle. – Ludzie myślą tak jak ja i nie ustąpią.

– Czegóż chcą?

– Chcą się zabezpieczyć. Nie chcemy iść na dno ani wisieć, jeśli można coś na to poradzić.

Ze strony sześćdziesięciu czy osiemdziesięciu ludzi, stłoczonych poniżej

na pokładzie, dobiegł pomruk aprobaty. Wzrok kapitana objął szeregi tych zdecydowanych, groźnych piratów i spoczął na Ogle'u. W tym wszystkim kryła się wyraźnie jakaś groźba i niepojęty dlań duch buntu.

– A więc przychodzisz udzielić mi rady? – zapytał srogo...

– Tak, kapitanie. Chodzi o tę dziewczynę – tu wyciągnął nagie ramię w stronę Arabelli – dziewczynę Bishopa, bratanicę gubernatora Jamajki. Chcemy ją na zakładniczkę.

Tak jest! – ryknęli chórem korsarze, a jeden czy dwóch dorzuciło przekleństwa.

W mgnieniu oka kapitan zrozumiał ich zamiary, a choć na pozór nie stracił opanowania, obawa zakradła mu się do serca.

– A w jakież to sposób chcecie użyć panny Bishop jako zakładniczkę?

– Opatrzność zesłała ją nam na pokład, zaiste opatrzność! Stawaj w dryf, kapitanie, sygnalizuj, by wysiali do nas łódź i przekonali się, że panna jest tutaj. Później powiedz im, że jeśli nie puszczą nas wolno najpierw powiesimy dziewczkę, a później wywalczymy sobie odwrót. Może to ostudzi trochę pułkownika Bishopa.

– Albo i nie – Wolverstone wypowiedział te słowa z wolna i szyderczo, gasząc podniecenie innych, po czym wystąpił naprzód i jako nieoczekiwany sprzymierzeniec stanął u boku kapitana.

– Może jeden lub drugi z tych prostaków uwierzy podobnej bajeczce – powiedział wskazując kciukiem na nadchodzących coraz gromadniej z przedniego kasztelu⁷⁹ ludzi. – Chociaż nawet i oni powinni lepiej znać pułkownika Bishopa, zwłaszcza ci, co byli z nami na Barbadosie. Jeśli chcesz wzruszyć pułkownika, okazujesz się jeszcze większym głupcem w sprawach nie związanych z artylerią, niż sądziłem. Nie stawajmy w dryf, by zrobić mu taką propozycję, chyba że chcecie zostać zatopieni. Nawet cały ładunek bratanic nie powstrzymałby pułkownika. Przeciwnie, właśnie przed chwilą powiedziałem dzielającemu wasz sąd lordowi, iż ten parszywy poganiacz niewolników nie wyrzekłby się zemsty nawet dla swojej matki. Gdybyś nie był głupcem, Ogle, sam wiedziałbyś o tym. Musimy walczyć, chłopcy...

– Jak możemy walczyć, człowieku? – rzucił się wściekle na niego Ogle, chcąc osłabić wrażenie, jakie słowa Wolverstone'a wywarły .na piratach. – Może masz rację, a może jej nie masz. Musimy zaryzykować! To nasza jedyna szansa...

Reszta słów utonęła w chórze okrzyków korsarzy, żądających wydania im dziewczyny jako zakładniczki. Naraz, głośniejsze niż dotychczas, zagrzmiało na podwietrznej działo nieprzyjacielskie i kula armatnia przeleciała za prawą burzę „Arabelli”, z pluskiem wpadając w wodę.

– Mają nas pod obstrzałem – krzyknął Ogle i przechylając się przez reling zawołał: – Ster na burzę!

Pitt, stojący na swoim stanowisku obok sternika, spojrzawszy nieustraszenie w twarz kanoniera

– Od kiedy komenderujesz na rufie, Ogle? Mnie tylko kapitan może rozkazywać.

– Usłuchasz mego rozkazu albo, na Boga, ja ci...

– Poczekaj! – przerwał mu Blood i położył uspokajająco dłoń na ramieniu kanoniera. – Oto najlepszy sposób.

Spojrzawszy przez ramię na doganiające ich okręty. Najbliższy znajdował się już zaledwie ćwierć mili od nich. Spojrzenie jego przesunęło się po postaciach panny i lorda Juliana, stojących o kilka kroków za nim. Dziewczyna była blada i skupiona, usta miała rozchylone, a zdziwione oczy utkwiała w kapitanie, czekając, jak zadecyduje o jej losie. Blood szybko rozważał sytuację; zastanawiał się, czy zastrzelenie Ogle’a wywoła bunt załogi. Z pewnością część marynarzy stanęłaby za nim, lecz większość opowiedziałaby się za kanonierem, pokonała opór kapitana i użyła panny Bishop jako zakładniczki. A wtedy, tak czy inaczej, dziewczyna byłaby zgubiona, bo jeśli nawet pułkownik Bishop zgodziłby się na ich żądanie, zatrzymaliby pannę dla okupu.

Ogle niecierpliwił się.

– Jakie wyjście znalazłeś? – zapytał przysuwając twarz do twarzy kapitana. – Nie ma lepszego wyjścia. Nie dam się omamić Wolverstone’owi. Może ma rację, a może nie. Sprawdźmy to. To nasza jedyna szansa i musimy ją wykorzystać.

O tym drugim wyjściu wspominał już Wolverstone’owi. Nie wiedział, czy zastraszeni przez Ogle’a ludzie podzielą zdanie Wolverstone’a, lecz był już całkiem pewien, że nawet wtedy nie wypuściliby z rąk panny Bishop. Wydanie Blooda stanowiłoby dla nich tylko dodatkową kartę w rozgrywce z gubernatorem Jamajki.

– Przez nią wpadliśmy w tę pułapkę – grzmiał Ogle – przez nią i przez

ciebie! Naraziłeś nasze życie, by wysadzić ją na Jamajce, a my teraz nie chcemy iść na szubienicę, jeśli przez nią możemy zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Zwrócił się znów do sternika, lecz Blood chwycił go jeszcze mocniej za ramię. Złorzecząc, Ogle próbował się wyrwać, lecz kapitan powziął właśnie decyzję. Widział już możliwość ratunku i choć wydała mu się odrażająca, należało ją przyjąć.

– Marny jest ten twój sposób – zawołał. – Ja znalazłem pewniejszy i łatwiejszy. Poczekaj! – Przechylił się przez reling. – Połóż ster na burtę! – rozkazał Pittowi. – Postaw statek w dryf i wywieś sygnał, by przysłali tu szalupę.

Zapadło milczenie. Załoga ze zdziwieniem i niedowierzaniem patrzyła na ustępliwość kapitana. Pitt podzielał wprawdzie te uczucia, lecz natychmiast usłuchał Blooda. Grzmiącym głosem wydał rozkazy i po chwili dwudziestu marynarzy rzuciło się je wykonać. Bloki zaczęły skrzypieć, a żagle załopotaly obracając się od wiatru. Kapitan Blood skinął na lorda. Zdumiony młody człowiek zbliżył się po chwili wahania. Nieufność jego podzielała i panna Bishop, tak jak i oni, choć z innego powodu, zaskoczona uległością kapitana.

Stojąc teraz przy relingu razem z lordem Julianem, kapitan Blood wyjaśnił swój plan.

Krótko i jasno zapoznał załogę z celem podróży lorda na Morze Karaibskie i uczynioną mu przez Wade'a propozycją.

– Odrzuciłem ją, co jego lordowska mość potwierdzi, jako obraźliwą. Ci z was, którzy cierpieli pod rządami króla Jakuba, zrozumieją mnie dobrze. Lecz teraz jesteśmy w rozpaczliwej sytuacji, dognani i w obliczu klęski, dlatego też gotów jestem wejść na drogę Morgana, przyjąć nominację królewską i uratować nas wszystkich.

Wrażenie słów kapitana było piorunujące. Przez chwilę wszyscy milczeli oszołomieni, a potem rozpętała się istna wieża Babel okrzyków. Większość załogi przyjęła oświadczenie dowódcy tak, jak to mogą uczynić skazani na śmierć ludzie, gdy naraz spostrzegą możliwość ratunku. Lecz wielu nie mogło zdecydować się na wybranie proponowanej drogi, zanim nie wyjaśniono im szeregu spraw, a głównie jednej, podniesionej przez Ogle'a.

– Czy Bishop uzna nominację Blooda?

Odpowiedział na to lord Julian:

– Źle by się dla niego skończyła próba podważenia autorytetu króla, a jeśli by nawet chciał to uczynić, nie uzyska poparcia swych oficerów.

– Tak jest – rzekł Ogle – to prawda.

Pozostało jednak kilku piratów zdecydowanie przeciwnych takiemu postępowaniu. Jednym z nich był Wolverstone, który z miejsca wyraził protest.

– Wolę zgnić w piekle niż pójść na służbę królewską – ryczał wściekle.

Lecz Blood uspokoił oficera i jemu podobnych.

– Nikt nie musi iść ze mną na służbę króla wbrew własnej woli. Umowa przewiduje, że zaciągnę się tylko z grupą ochotników. Bynajmniej nie godzę się z lekkim sercem, gdyż w zupełności podzielałam zdanie Wolverstone'a. Wybrałam jednak to wyjście jako jedyne zdolne uchronić was od pewnej zagłady, na jaką sam was naraziłem. Nawet ci z was, którzy nie pójdą ze mną, będą korzystali z glejtu i wolno im będzie spokojnie odejść. Na tych warunkach sprzedaję się królowi. Niech wam powie lord Julian, wysłannik sekretarza stanu, czy się na to zgadza.

Lord szybko, gorliwie i jasno wyraził swoje poparcie i na tym sprawę zakończono. Wade, chwilowy przedmiot dobrodusznym żartów i na wpół szyderczych urągań ze strony piratów, pośpieszył do kabiny po nominację, ciesząc się w duchu z tak pomyślnego wypełnienia swojej misji.

Przez ten czas bosman wywiesił sygnały wzywające jednostki jamajskiej eskadry do wysłania szalupy, a na pokładzie załoga rozsypała się wzdłuż nadburcia, wpatrzona w zbliżające się do nich wielkie, piękne okręty.

Gdy Ogle opuścił nadbudówkę, Blood odwrócił się i stanął oko w oko z panną Bishop. Obserwowała go błyszczącymi oczyma, lecz na widok przygnębienia i głębokiej zmarszczki, która przecięła jego czoło, wyraz twarzy panny zmienił się również. Podeszła z niezwykłym u niej wahaniem i lekko dotknęła jego ramienia.

– Mądrze postąpiłeś – pochwaliła go – chociaż wydaje się, że nie miałeś na to ochoty.

Blood popatrzył w zadumie na dziewczynę, dla której się poświęcił.

– Byłem ci to winien, pani. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Nie zrozumiała go.

– Twoje postanowienie, kapitanie, ocaliło mnie od strasznego

niebezpieczeństwa – przyznała i zadrżała na samo wspomnienie. – Nie rozumiem jednak, dlaczego wahałeś się, kiedy lord Wade uczynił ci propozycję za pierwszym razem. To przecież zaszczytna służba.

– Dla króla Jakuba? – skrzywił się szyderczo.

– Dla Anglii – poprawiła go. – Kraj jest wszystkim, panie, monarcha niczym. Król Jakub umrze, inni przyjdą po nim i przeminą, lecz Anglia pozostanie i służba dla niej zawsze będzie przynosić zaszczyt jej synom, choćby mieli nie wiem jaki żal do danego króla. Blood zdziwił się, a później uśmiechnął lekko.

– Chytra to obrona – rzekł z uznaniem. – Powinnaś była pani przemówić do załogi.

Nuta ironii pogłębiła się w jego głosie, gdy dodał:

– Czy sądzisz teraz, że ta zaszczytna służba może zrehabilitować kogoś, kto był złodziejem i piratem?

Spuściła oczy, a głos jej załamał się, gdy odpowiedziała:

– Jeżeli on... potrzebuje rehabilitacji. Może... może osądzono go zbyt surowo.

Niebieskie oczy błysnęły, a zaciśnięte usta straciły swój ponury wyraz.

– Dobrze... jeśli pani tak sądzi – rzekł pozerając ją wzrokiem – może warto jeszcze żyć na świecie i może nawet służba dla króla Jakuba wyda się znośną.

Patrząc poprzez wodę, Blood zauważył łódź odbijającą od jednego z wielkich, okrętów, kołyszących się teraz łagodnie w dryfie w odległości jakichś trzystu metrów. Nagle jakby się opanował i zebrał w garść.

– Zejdź pani na dół do kabiny i poleć służebnej przynieść twoje rzeczy. Wyślę cię na jeden z okrętów eskadry – wskazał ręką na łódź.

Panna odeszła, a kapitan oparł się o reling i oczekiwał razem z Wolverstone'em zbliżenia się szalupy, obsadzonej sześciu marynarzami, a dowodzonej przez szkarłatną postać siedzącą sztywno na tylnej ławce. Blood skierował lunetę na tę figurę.

– To chyba nie sam Bishop – zauważył Wolverstone, a w jego tonie brzmiało nie tyle twierdzenie, co pytanie.

– Nie – odparł Blood składając lunetę. – Nie wiem, kto to jest.

– Ha! – krzyknął Wolverstone z szyderczą uciechą. – Mimo całej swojej gorliwości Bishop nie śpieszy się ze złożeniem nam wizyty. Był już raz na tej

krypie i musiał wracać wpław do lądu! Nie zapomniał tego widocznie i dla pewności wysłał zastępcę.

Zastępcą był oficer imieniem Calverley, energiczny, pewny siebie młodzian, niedawno przybyły z Anglii. Jego zachowanie wskazywało ponad wszelką wątpliwość, że Bishop pouczył go, jak ma postępować z piratami.

Wszedł na pokład „Arabelli” z wyniosłą, wojowniczą i pogardliwą miną.

Gościa przyjął kapitan Blood, już z nominacją w kieszeni, i lord Julian. Kapitana Calverleya zadziwili ci dwaj kawalerowie, widokiem swym tak różni od tego, co spodziewał się ujrzeć. Mimo to jednak nie stracił wyniosłej miny i zaledwie rzucił okiem na tłum groźnych, półnagich piratów otaczających go półkolem.

– Witam – pozdrowił go uprzejmie Blood. – Mam zaszczyt przyjąć cię na pokładzie „Arabelli”. Na imię mi Blood, kapitan Blood, do usług. Sądzę, żeś już o mnie słyszał.

Kapitan Calverley wybałuszył na niego oczy. Zaskoczyła go pogoda pirata. Wyobrażał sobie, że zobaczy zrozpaczonego człowieka, zmuszonego do haniebnej kapitulacji.

Kwaśny uśmieszek wykrzywił więc dumne oblicze oficera.

– Nie zaniechasz fanfaronady nawet na szubienicy – rzekł pogardliwie. – Takie są pewnie wasze zwyczaje. Tymczasem zaś oczekuję, byś się poddał, a nie beczelnie zachowywał.

Kapitan Blood wydawał się zdziwiony i dotknięty. Zwrócił się błagalnie do lorda Juliana.

– Czyś słyszał, milordzie? Czy słyszałeś w ogóle coś podobnego? Cóżem ci mówił? Widzisz, ten młody gentleman padł ofiarą nieporozumienia. Może zaoszczędzimy sobie niepotrzebnych przykrości, jeżeli wasza lordowska mość wyjaśni mu, kim jestem.

Lord Julian podszedł o krok i skłonił się sztywno i nieco wzgardliwie równie wzgardliwemu, lecz zdumionemu teraz oficerowi. Pitt, który obserwował tę scenę stojąc przy rufowym relingu, opowiadał później, że jego lordowska mość był poważny jak ksiądz asystujący przy wieszaniu. Powaga ta była chyba jednak maską ukrywającą jego rozbawienie.

– Mam zaszczyt zawiadomić cię, panie – rzekł oficjalnie – iż kapitan Blood jest na służbie królewskiej i otrzymał nominację podpisaną przez lorda Sunderlanda, sekretarza stanu jego królewskiej mości.

Twarz kapitana Calverleya oblała się purpurą, a oczy omal nie wyszły mu z orbit. Stojący wokoło piraci chichotali, piali jak koguty i klęli w zachwycie nad tą komedią. Przez długą chwilę Calverley gapił się w milczeniu na lorda, obserwując wyszukaną elegancję jego stroju i spokojną pewność siebie, co wymownie świadczyło, że należał do wielkiego świata.

– A kimże, u diabła, ty jesteś? – wybuchnął w końcu.

Głos lorda stał się jeszcze chłodniejszy i wynioślejszy niż zwykle.

– Jak już zauważyłem, nie jesteś zbyt uprzejmy, sir! Nazywam się Wade, lord Julian Wade. Jestem w tych barbarzyńskich stronach wysłannikiem jego królewskiej mości i bliskim krewnym lorda Sunderlanda. Pułkownik Bishop został powiadomiony o moim przybyciu.

Nagła zmiana w zachowaniu Calverleya świadczyła, iż słyszał już o tym.

– Chyba... chyba został powiadomiony. – Calverley nie wiedział, czy wierzyć temu wszystkiemu. – To znaczy zawiadomiony o przybyciu lorda Juliana Wade. Lecz... lecz... na tym okręcie? – Oficer uczynił gest bezradności i zamilkł zdumiony.

– Podróżowałem okrętem „Królowa Maria”...

– Tak też nam powiedziano...

– Lecz „Królowa Maria” padła ofiarą hiszpańskiego korsarza i może bym tu nigdy nie przyплыnął, gdyby kapitan Blood mnie nie uratował.

W umyśle Calverleya zaczęło coś świtać.

– Rozumiem teraz – rzekł. – Rozumiem...

– Pozwolę sobie w to wątpić – głos lorda nie stracił nic ze swej szorstkości – lecz na to mamy jeszcze czas. Gdy kapitan Blood pokaże ci swoją nominację, usunie to wszelkie niejasności będziemy mogli żeglować dalej. Chciałbym wreszcie dostać się do Port Royal.

Kapitan Blood podsunął pergamin przed zdziwione oczy Calverleya. Zbadawszy go dokładnie, a w szczególności pieczęcie podpis, oficer cofnął się o krok i skłonił bezradnie.

– Muszę wracać do pułkownika Bishopa po rozkazy – oświadczył.

W tej chwili piraci rozstąpili się, przepuszczając pannę Bishop jej pokojową. Kapitan Blood obserwował ją przez ramię.

– Może, ponieważ pułkownik Bishop jest z wami, odwieziesz do niego bratanicę. Panna Bishop była również na pokładzie „Królowej Marii”. Ocaliłem ją razem z jego lordowską mością. Zaznajomi ona stryja ze

wszystkimi szczegółami sprawy i z obecnym stanem rzeczy.

Zaskoczony coraz bardziej, kapitan Calverley potrafił zdobyć się tylko na ukłon.

– Co do mnie – rzekł lord Julian, by zapobiec próbom zatrzymania panny Bishop przez piratów – zostanę na pokładzie „Arabelli”, dopóki nie zawiniemy do Port Royal. Proszę pozdrowić ode mnie pułkownika Bishopa i powiedzieć mu, że oczekuję niecierpliwie chwili poznania go.

XXII

WROGOWIE

W Port Royal na wielkiej redzie, która mogła pomieścić wszystkie wojenne marynarki świata, stała na kotwicy „Arabella”. Czuło się wokół niej atmosferę uwięzienia, gdyż o ćwierć mili bliżej wyjścia, po sterburcie wznosiła się wysoka, masywna, okrągła wieża fortu, o kilka zaś kabli po bakborcie i ku rufie widać było sześć wojennych okrętów, stanowiących jamajską eskadrę.

Na trawersie „Arabelli”, po drugiej stronie portu, widać było płaskie, białe budynki pięknego miasta, dochodzącego do samej zatoki. Ponad nimi wznosiły się, jak tarasy, czerwone dachy domów, rozrzuconych wokół na łagodnych pagórkach. Ponad dachami z kolei wyrastała tu wieżyczka, tam znowu dzwonnica, a tło wszystkiego stanowiły zielone wzgórza i niebo, lśniące jak kopała z polerowanej stali.

Na ustawionym dla niego na rufie trzcinowym leżaku, osłoniętym od oślepiającego słonecznego żaru improwizowanym namiotem z brązowego żaglowego płótna, spoczywał Piotr Blood trzymając w ręku zamknięty, dobrze już podniszczony tomik Horacego, oprawny w cielejącą skórę.

W dole rozlegały się odgłosy szorowania podłóg i bulgotanie wody, gdyż godzina była jeszcze wczesna i pod kierownictwem bosmana Haytona szwabry⁸⁰ były w ruchu na głównym pokładzie i w przednim kasztelu. Mimo skwaru i duchoty jeden z pracujących miał dość siły, aby ryknąć rubaszną piracką piosenkę:

*Burta w burtę stanęły okręty,
Cała załoga poszła pod miecz –
Okręt pogrążył się w sine odmęty.
A więc jo-ho-ho! pociągnij jeszcze raz,
Kto chce żeglować na morzach pośród nas.*

Blood westchnął i cień uśmiechu pojawił się na jego żywej, szczupłej, ogorzałej twarzy. Potem czarne brwi zmarszczyły się nad bystrymi, niebieskimi oczyma, a myśli odbiegły od bezpośredniego otoczenia.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni, to jest od przyjęcia nominacji królewskiej, sprawy przybrały dlań niezbyt pomyślny obrót. Od pierwszej chwili Blood miał trudności z Bishopem. Kiedy lord Julian i Blood przybyli do portu, na powitanie ich wyszedł w otoczeniu oficerów człowiek, który bynajmniej nie ukrywał swego niezadowolenia i miał zamiar zmienić istniejącą sytuację.

– Jesteś lordem Julianem Wade, o ile się nie mylę – zaczął pułkownik Bishop wyzywająco, rzucając złośliwe spojrzenie na Blooda.

Lord Julian skłonił się.

– Czy mam zaszczyt mówić z pułkownikiem Bishopem, wicegubernatorem Jamajki? – Brzmiało to niemal jak lekcja przyzwoitego zachowania. Pułkownik zrozumiał ją i złożył spóźniony ukłon szerokim kapeluszem, po czym powiedział:

– Podobno dałeś nominację królewską temu oto człowiekowi. – Ton mówiącego zdradzał głębię nienawiści. – Pobudki tego czynu są niewątpliwie zacne... wdzięczność za uratowanie z rąk Hiszpanów. Lecz rzecz taka jest nie do pomyślenia, milordzie. Nominacja musi być cofnięta.

– Nie mogę tego zrozumieć – odparł zimno lord.

– To jasne, że nie możesz zrozumieć, inaczej nigdy nie postąpiłbyś w taki sposób. Ten człowiek zamydlił ci oczy. To przecież najpierw buntownik, później zbiegły niewolnik, a wreszcie krwawy pirat. Ścigałem go przez cały rok.

– Zapewniam pana, iż byłem dokładnie o wszystkim poinformowany. Nie rozdaję lekkomyślnie nominacji królewskich.

– Doprawdy? Na Boga! A jakbyś to nazwał? Lecz jako wicegubernator

jego królewskiej mości na Jamajce, pozwolę sobie naprawić ten błąd, tak jak będę uważał za stosowne.

– A jak, jeśli wolno zapytać?

– Na tego łotra czeka już w Port Royal szubienica. Blood chciał mu przerwać, ale lord Julian uprzedził go.

– Widzę, sir, że jeszcze nic nie rozumiesz. Jeżeli udzielenie nominacji kapitanowi Bloodowi jest błędem, to nie ja go popełniłem. Działalem według instrukcji lorda Sunderlanda. Jego lordowska mość, wiedząc o wszystkim, postanowił dać kapitanowi Bloodowi tę nominację, jeśli tylko kapitan Blood zechce ją przyjąć.

Pułkownik Bishop otworzył usta, zaskoczony i przerażony.

– Lord Sunderland postanowił zaciągnąć go na służbę królewską? – zapytał.

– Tak jest.

Lord czekał przez chwilę na odpowiedź, lecz nie otrzymał żadnej od osłupiałego gubernatora. Postawił więc sam pytanie:

– Czy w dalszym ciągu uważasz to posunięcie za błąd? Czy ośmielisz się go naprawiać?

– Ależ... nie sądziłem...

– Rozumiem. Pozwól przedstawić sobie kapitana Blooda. Bishop musiał więc zrobić dobrą minę do złej gry. Jasne było jednak, że pod tą maską szaleje w nim gniew i zawiść.

Po tak mało obiecującym początku stan rzeczy uległ niewielkim zmianom, i to na gorsze.

Spoczywając teraz na leżaku Blood rozmyślał nad tym wszystkim. Przebywał już od dwu tygodni w Port Royal, a jego okręt został w zasadzie jednostką jamajskiej eskadry. Kiedy wiadomość o tym dotrze do Tortugi i oczekujących jego powrotu korsarzy, imię kapitana Blooda, dotychczas tak poważane przez Braci Wybrzeża, stanie się wyzwiskiem i przedmiotami pogardy, a on sam pewno wkrótce będzie musiał zapłacić życiem za popełnione odstępstwo. I dla kogóż to znalazł się w tym położeniu? Dla dziewczyny, która unikała go tak rozmyślnie i zaciekle, jakby nadal czuła do niego odrazę. W ciągu dwóch tygodni zaledwie kilka razy dane mu było przelotnie ją ujrzeć, chociaż po to co dzień nachodził rezydencję jej stryja i co dzień stawiał czoło jawnej wrogości i hamowanej nienawiści

pułkownika. Lecz to nie było jeszcze najgorsze. Widział doskonale, że panna poświęca swój czas młodemu, wdzięcznemu bawidamkowi z dworu królewskiego, lordowi Julianowi. Jakaż szansa pozostała więc jemu, awanturnikowi o kryminalnej przeszłości, w stosunku do takiego rywala, a co więcej, jak sam musiał przyznać, człowieka wartościowego?

Łatwo teraz pojąć, czemu gorycz przepęłniała duszę kapitana. W swoim mniemaniu był podobny do psa z bajki, który upuścił do wody kość, aby złapać jej złudne odbicie.

Szukał więc pocieszenia w wierszu: *...levius fit patientia quidquid corrigere est nefas*⁸¹, lecz i tu go nie znalazł.

Do wielkiego, czerwonego kadłuba „Arabelli” przybiła niepostrzeżenie łódź i stuknęła o burtę, a jakiś ochryply głos wykrzyknął powitanie. Dzwon okrętowy odezwał się dwukrotnie, ostro i srebrzyście, a w chwilę później zabrzmiał przenikliwie bosmański gwizdek.

Dźwięki te oderwały kapitana od nieprzyjemnych rozważań. Powstał więc, wysoki, energiczny i niezwykle wytworny w swoim szkarłatnym, ozdobionym złotymi galonami kaftanie, oznace nowej godności; wsunął niewielki tomik do kieszeni i podszedł do rzeźbionego relingu na rufie właśnie w chwili, gdy Jeremiasz Pitt stawiał stopę na trapie.

– Pismo od wicegubernatora – rzekł lakonicznie oficer podając zwinięty arkusz.

Blood złamał pieczęć i czytał. Pitt, ubrany niedbale tylko w koszulę i krótkie spodnie, oparł się na chwilę o reling i obserwował go z wyraźną troską na uczciwej, szczerzej twarzy. Blood zaśmiał się krótko i wyduł wargi.

– To bardzo stanowcze wezwanie – rzekł i podał list przyjacielowi.

Szare oczy młodego nawigatora przebiegły arkusz, a ręka z namysłem pogładziła złotą brodę.

– Nie pójdziesz? – rzekł ni to w formie pytania, ni stwierdzenia.

– Czemu nie? Czyż nie bywam w forcie codziennie?

– Ale Bishop chce z tobą pomówić o Wolverstone’u. To go wreszcie zaniepokoiło. Wiesz przecież, Piotrze, że tylko lord Julian przeszkadza Bishopowi wyrzucić na tobie zemstę. Jeśli teraz wykaże...

– I co, jeśli wykaże? – przerwał niedbale Blood. – Czyż będę w większym niebezpieczeństwie na łądzie niż na okręcie, gdzie pozostało mi zaledwie pięćdziesięciu ludzi, i to drabów, którym wszystko jedno, czy służą królowi

czy mnie? Drogi Jeremiaszu, „Arabella” jest tu więźniem strzeżonym przez fort z jednej, a flotę z drugiej strony. Nie zapominaj o tym.

Jeremiasz zacisnął pięści.

– Czemuś pozwolił odejść Wolverstone’owi i innym? – zawołał z odcieniem goryczy. – Powinieneś był przewidzieć niebezpieczeństwo!

– Jakżeż mogłem, postępując uczciwie, zatrzymać ich? Taka była umowa. A zresztą, cóż by mi pomogli, gdyby nawet zostali? – dowodził Blood, a ponieważ Pitt nie odpowiadał, dorzucił wzruszając ramionami: – No widzisz! Wezmę kapelusz, laskę i rapier i udam się w szalupie na ląd. Zawołaj wioślarzy na pokład.

– Oddajesz się dobrowolnie w ręce Bishopa – ostrzegł go Pitt.

– Dobrze, dobrze, może przekona się, że nie tak łatwo mnie złapać, jak to sobie wyobraża. Zostało mi jeszcze trochę kolców – odparł Blood i ze śmiechem skierował się do kabiny.

Jeremiasz Pitt odpowiedział na ten śmiech przekleństwem. Chwilę stał niezdecydowanie tam, gdzie go Blood pozostawił, po czym z wolna, niechętnie, powłócząc nogami, zszedł po trapie, by dać rozkaz obsadzenia szalupy.

– Gdyby ci się coś przytrafiło, Piotrze – rzekł schodzącemu po trapie Bloodowi – niech pułkownik Bishop się strzeże. Tych pięćdziesięciu chłopców zachowuje się może teraz niemrawie, ale bodaj bym zatonął! Nie będą niemrawi, gdyby nas zdradzono!

– A cóż mi się może przytrafić, Jeremiaszu? Z pewnością wrócę na obiad. Możesz mi ufać.

Blood zsunął się do oczekującej go szalupy. Chociaż śmiał się przed chwilą, wiedział równie dobrze jak Pitt, że idąc na ląd tego ranka naraża swe życie. Może też dlatego, przybywszy do wąskiego mola w cieniu zewnętrznego muru fortecznego, najeżonego lufami ciężkich dział, rozkazał wioślarzom czekać tutaj na siebie. Zdawał sobie sprawę, iż może przyjdzie mu wracać w pośpiechu.

Leniwym krokiem przeszedł wzdłuż warownego muru i przez wielką bramę dostał się na dziedziniec, gdzie znajdowało się ze sześciu żołnierzy. W cieniu muru przechadzał się powoli komendant twierdzy, major Mallard. Na widok Blooda przystanął i zaszalutował mu zgodnie z regulaminem, unosząc przy tym węż w sardonicznym uśmiechu. Uwagę Blooda przykuło

jednak coś innego.

Na prawo rozciągał się obszerny ogród, za którym wznosił się biały dom, rezydencja wicegubernatora. W głównej alei ogrodu, wysadzonej palmami i drzewami sandałowymi, Blood zauważył przechadzającą się samotnie pannę Bishop. Przyśpieszył więc kroku i przeciął dziedziniec zbliżając się do dziewczyny.

– Witam panią – rzekł zbliżywszy się do niej i trzymając w ręku kapelusz, dodał tonem protestu: – Nielitościwa jesteś każąc mi ścigać cię w taki upał.

– Czemu mię tedy ścigasz? – zapytała chłodno.

Stała przed nim smukła i wyprostowana, ubrana w biel, bardzo dziewczęca, choć nienaturalnie sztywna.

– Spiesz mi się – powiedziała – wybaczysz więc zapewne, panie, jeśli odejdę.

– Nie śpieszyłaś się, zanim mnie nie dostrzegłaś – zaproponował Blood, a choć usta jego uśmiechały się, oczy patrzyły dziwnie twardo.

– Skoroś to zauważył, dziwi mnie twoje natręctwo.

Szpady skrzyżowały się, a w usposobieniu Blooda nie leżało unikanie walki.

– Jako żywo, jest to już jakieś wyjaśnienie – rzekł – lecz skoro to dla ciebie przywdziałem mundur oficera królewskiego, powinnaś znosić, że okrywa on złodzieja i pirata.

Panna wzruszyła ramionami i odwróciła się z niechęcią i żalem. Nie chcąc zdradzić się z tym ostatnim uczuciem, uciekła się do pierwszego.

– Robię, co mogę – odpowiedziała.

– A więc masz w sobie trochę miłosierdzia? – uśmiechnął się łagodnie Blood. – Dzięki ci za to. Może jestem zbyt wymagający, lecz nie mogę zapomnieć, że gdym był tylko niewolnikiem na plantacji pani stryja na Barbadosie, byłaś dla mnie łaskawsza.

Czemu miałabym nie być? W owym czasie zasługiwałeś na litość. Byłeś wtedy tylko szlachetnym i nieszczęśliwym człowiekiem.

– A czymże jestem teraz?

– Nieszczęśliwy nie jesteś. Słyszeliśmy o twoim powodzeniu na morzach. Twoje szczęście stało się przecież przysłowiowe. Słyszeliśmy też o innych sprawach: o twych sukcesach na innym polu.

Dziewczyna mówiła szybko, mając na myśli pannę d'Ogeron. Już

w następnej chwili odwołałaby te słowa, gdyby się dało, lecz Piotr Blood, jak się tego obawiała, nie zrozumiał ich znaczenia i zlekceważył zarzut.

– Ot, same kłamstwa, przekonam cię o tym z łatwością.

– Nie potrzebujesz się przede mną tłumaczyć – odparła niezbyt zachęcająco.

– Chciałbym, by pani tak źle o mnie nie myślała.

– A jakież to może mieć dla pana znaczenie? – odparła. Był to cios rozbijający. Blood zaniechał więc szermierki słownej i uciekł się do wymówek.

– Czy masz pani prawo mówić w ten sposób? Czy możesz mówić tak, widząc mnie w służbie, którą gardzę? Czyż nie powiedziałaś, że mogę jeszcze odkupić swe winy? Jeśli chcę odkupić mą przeszłość, to tylko w twoich oczach. W moich własnych, zważywszy traktowanie, jakiego doznałem, nie popełniłem nic, czego miałbym się wstydić.

Zmieszała się i spuściła wzrok pod jego spojrzeniem.

– Nie... nie pojmuję, czemu mi to mówisz – powiedziała niepewnie.

– Och, doprawdy nie pojmujesz? – zawołał. – A więc ja ci wyjaśnię...

– Och! proszę bardzo... – W głosie jej brzmiała trwoga. – Wiem doskonale, co uczyniłeś, i zdaję sobie sprawę, że przynajmniej częściowo zrobiłeś to ze względu na mnie. Jestem ci za to bardzo wdzięczna, możesz mi wierzyć. Zawsze będę ci za to wdzięczna.

– Lecz jeśli zawsze będziesz myśleć o mnie jak o złodzieju i piracie, to jako żywo, twoja wdzięczność nie zda mi się na nic.

Żywszy kolor zabarwił jej policzki, a drobne piersi poruszyły się westchnieniem, unosząc cienki stanik z białego jedwabiu. Potrafiła jednak ukryć urazę wzbudzoną słowami kapitana. Zrozumiała widocznie, iż sama wywołała jego gniew, i szczerze zapragnęła pojednania.

– Mylisz się – rzekła – nie o to chodzi.

Ale widocznie nie sążone im było zrozumieć się wzajemnie. Zazdrość, mąciicielka zdrowego rozsądku, opanowała teraz i serce Piotra Blooda.

– O cóż więc chodzi? – zapytał i dodał: – Czy to lord Julian?

Otworzyła szerzej oczy i patrzyła teraz na niego z oburzeniem.

– Ach, bądź ze mną szczerą! – naglił bezlitośnie – wyrządzisz mi dobrodziejstwo.

Chwilę stała przed nim, oddychając szybko, a rumieniec to zjawiał się, to

znikał z jej policzków. Wreszcie spojrzała w dal, omijając go wzrokiem i dumnie podnosząc głowę.

– Jesteś... jesteś nieznośny, zupełnie nieznośny – rzekła. – Proszę mnie puścić.

Blood usunął się z jej drogi i szerokim, zdobnym w pióro kapeluszem, który wciąż trzymał w ręku, wskazał w kierunku domu.

– Nie będę pani dłużej zatrzymywał. Ostatecznie mogę jeszcze odrobić to przekłete i niepotrzebne głupstwo. Przypomnisz sobie może kiedyś, iż to twoja nieczułość popchnęła mnie do tego.

Panna chciała odejść, wstrzymała się jednak i spojrzała mu znowu w twarz. Teraz ona zajęła pozycję obronną, a głos jej drżał z oburzenia.

– Ważysz się przemawiać do mnie takim tonem? Śmiesz tak do mnie mówić? – wołała ze zdumiewającą gwałtownością. – Masz czelność robić mi wyrzuty, że nie chcę ci podać ręki, choć wiem, że twoje ręce są splamione krwią, choć wiem, że jesteś mordercą, jeśli nie gorzej? Blood patrzył na nią zaskoczony.

– Mordercą? – rzekł wreszcie.

– Czy muszę nazywać po imieniu twoje ofiary? Czyż nie zamordowałeś Levasseura?

– Levasseura? – uśmiechnął się lekko. – A więc powiedziano ci i o tym.

– Czy możesz zaprzeczyć?

– Zabiłem go, to prawda. O ile pamiętam, zabiłem też innego człowieka w podobnych okolicznościach. Było to w Bridgetown, tej nocy, gdy Hiszpanie napadli na miasto. Mary Traill mogłaby ci o tym opowiedzieć. Była przy tym obecna. – Szorstkim, stanowczym ruchem włożył na głowę kapelusz i odszedł zagniewany, zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć lub zrozumieć pełne znaczenie jego słów.

XXIII

ZAKŁADNICY

Piotr Blood stał pod wspartym na kolumnach portykiem domu gubernatora i patrzył pełnymi bólu i gniewu oczyma poprzez wielki port na zielone wzgórze, które wznosiło się na przeciwległym brzegu, i na zarysowane w drgającym od żaru powietrzu mgliste kontury Gór Błękitnych.

Do rzeczywistości przywołał go powrót Murzyna, który pośpieszył oznajmić jego przybycie. Idąc teraz za niewolnikiem, Blood przeszedł przez dom na szeroką piazzę⁸², gdzie gospodarz i lord Julian, ukryci w cieniu, próbowali się ochłodzić.

– A więc jesteś – powitał go wicegubernator, wydając szereg niewyraźnych, lecz niewątpliwie nieprzyjaznych pomruków.

Nie zadał sobie trudu, by powstać, nawet gdy posłuszny nakazom dobrego wychowania lord Julian dał mu przykład. Bogaty plantator z Barbadosu patrzył spode łba na swego dawnego niewolnika. Blood stał z kapeluszem w rękę, lekko wsparty na długiej, zdobnej we wstęgi lasce, nie zdradzając niczym oburzenia wywołanego tak lekceważącym przyjęciem.

W końcu nachmurzony pułkownik Bishop przemówił z dużą pewnością siebie:

– Posłałem po ciebie, kapitanie, w związku z pewnymi wiadomościami, które mnie doszły. Poinformowano mnie, jakoby wczoraj opuściła port fregata, a na jej pokładzie twój towarzysz Wolverstone i setka spośród stu pięćdziesięciu ludzi, którzy stanowili dotychczas twoją załogę. Jego

lordowska mość i ja chcielibyśmy usłyszeć, czemu pozwoliłeś na ten odjazd.

– Pozwoliłem? – powtórzył Blood. – Nie, ja wydałem im rozkaz.

Bishop milczał przez chwilę osłupiały, po czym zapytał z niedowierzaniem w głosie:

– Wydałeś im rozkaz?! – Lord Julian uniósł tymczasem brwi w zdumieniu. – Do pioruna! Może będziesz łaskaw złożyć wyjaśnienie? Dokąd udał się Wolverstone?

– Do Tortugi – odpowiedział Blood – by zawieźć kapitanom czterech oczekujących mnie tam okrętów wiadomość, co się tu stało i dlaczego nie powinni spodziewać się mego powrotu.

Wielka twarz Bishopa zdawała się nabrzmiewać i poczerwieniała jeszcze bardziej. Zwrócił się do lorda Juliana:

– Słyszałeś, milordzie? Z rozmysłem wypuścił znowu na morze Wolverstone'a, najgorszego po sobie z tej bandy piratów. Mam nadzieję, milordzie, że zaczniesz nareszcie rozumieć, jakim szaleństwem było nadanie nominacji królewskiej takiemu człowiekowi, wbrew wszystkim moim radom. Jakżesz... to przecież po prostu bunt... zdrada! Na Boga! Sprawa wymaga sądu polowego!

– Może będziesz łaskaw zaprzestać nareszcie tej gadaniny o buncie, zdradzie i sądzie polowym, gubernatorze? – Blood nałożył kapelusz i usiadł nie proszony. – Posłałem Wolverstone'a, by zawiadomił Hagthorpe'a Christiana, Yberville'a i resztę moich chłopców, iż w ciągu miesiąca mają zdecydować się, czy wolą wyrzec się piractwa za moim przykładem i wrócić do swoich polowań i wyrębu lasów, czy też odpłynąć z Morza Karaibskiego. Oto co uczyniłem.

– Lecz ludzie? – wtrącił lord spokojnym, opanowanym głosem – ta setka ludzi zabrana przez Wolverstone'a?

– To są ci z mojej załogi, którym nie w smak jest służba u króla Jakuba. Wolą szukać sobie innej pracy. W naszej umowie, milordzie, zagwarantowaliśmy ludziom prawo wolnego wyboru.

– Nie pamiętam tego – odparł szczerze lord.

Blood spojrział nań ze zdziwieniem, a później wzruszył ramionami.

– Jako żywo, nie mnie ganić za kiepską pamięć waszej lordowskiej mości. Mówię tak, jak było, i nie kłamię. Nigdy nie miałem potrzeby kłamać. W każdym razie nikt chyba nie przypuszcza, że zgodziłbym się na inne

warunki?

– Posłałeś tym przeklętym łotrom w Tortudze ostrzeżenie – wybuchnął gubernator – by mogli uciec! Oto coś zrobił! W ten sposób nadużywasz nominacji, która ci ocaliła gardło!

Piotr Blood patrzył nań spokojnie, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Chciałbym ci tylko przypomnieć, gubernatorze – rzekł w końcu – iż nominacji udzielono mi pomijając twoje katowskie apetyty, by oczyścić Morze Karaibskie od piratów. Wybrałem najskuteczniejszy sposób osiągnięcia tego celu. Wiadomość o moim przejściu na służbę królewską walnie przyczyni się do rozwiązania floty, której admirałem byłem do niedawna.

– Rozumiem! – skrzywił się szyderczo gubernator. – A jeżeli to nie pomoże?

– Wtedy zostanie nam dość czasu na obmyślenie dalszych kroków.

Lord Julian powstrzymał nowy wybuch wściekłości pułkownika.

– Może – powiedział – lord Sunderland zadowolony się takim rozwiązaniem, jeśli twoje przewidywania się sprawdzą.

Były to uprzejme, pojednawcze słowa. Lord powodował się przychylnością dla Blooda i rozumiejąc, w jak trudnym położeniu ten się znalazł, postanowił dokładnie zastosować się do otrzymanej instrukcji. Dlatego też wyciągnął teraz przyjazną dłoń do Blooda, by pomóc mu w przebyciu ostatniej, najcięższej przeszkody, jaką Bishop wzniósł na drodze do jego rehabilitacji. Niestety ten młody arystokrata był ostatnim człowiekiem na świecie, od którego Blood przyjąłby pomoc, człowiekiem, na którego patrzył oczyma przyćmionymi zazdrością.

– W każdym razie – odpowiedział z odcieniem zuchwałości i jawnym szyderstwem – więcej się po mnie nie możecie spodziewać i na pewno więcej nie osiągniecie.

Lord zmarszczył się i otarł wargi chusteczką.

– Nie powiem – rzekł – by mi się podobał twój sposób ujmowania tej sprawy. Właściwie mi się nie podoba.

– Bardzo mi przykro – odparł wyzywająco Blood – lecz taki już jest i nie zamierzam go zmienić.

Blade oczy lorda otwarły się nieco szerzej, a brwi uniosły się leniwie w górę.

– Ach! – rzekł – jesteś bardzo nieuprzejmy. Zawiodłem się na tobie, sir. Dotychczas miałem cię za prawdziwego gentlemana.

– To nie jedyna omyłka waszej lordowskiej mości – wtrącił Bishop – popełniłeś gorszą, dając królewską nominację i ratując tego łotra od szubienicy, która czekała na niego w Port Royal.

– Tak jest, lecz jeszcze gorszą omyłką, jeśli już mowa o nominacjach, było zrobienie tego tłustego handlarza niewolników wicegubernatorem Jamajki, a nie katem, na którego znacznie lepiej by się nadawał.

– Kapitanie Blood – powiedział lord z ostrym wyrzutem. – na mą duszę i honor, posuwasz się za daleko! Jesteś...

Tu Bishop przerwał mu, podniósł się z fotela i wybuchnął stekiem ordynarnych przekleństw. Kapitan Blood powstał również i bez słowa czekał końca tej furii. Gdy to nastąpiło, zwrócił się spokojnie do lorda Juliana, jak gdyby pułkownik Bishop w ogóle się nie odzywał.

– Wasza lordowska mość chciał coś powiedzieć? – zapytał z wyzywającą układnością.

Lecz lord zdążył już odzyskać swoją zwykłą niewzruszoną postawę i był znowu usposobiony ugodowo. Uśmiechnął się więc i wzruszył ramionami.

– Jako żywo! Niepotrzebnie się wszyscy gorączkujemy – rzekł – a Bóg widzi, że w tym zadumionym klimacie i bez tego dość jest skwaru. Pan, gubernatorze, wykazuje zbytnią srogość, a pan, kapitanie, z pewnością wyraża się zanadto dosadnie. W imieniu lorda Sunderlanda wyraziłem już gotowość poczekania na rezultat twojego eksperymentu.

Lecz wściekłość Bishopa dosięgła teraz zenitu i nie dała się już pohamować.

– Doprawdy? – ryknął. – Dobrze więc, ale ja nie będę czekał. W tej sprawie, milordzie, pozwolę sobie być lepszym sędzią. W każdym razie zaryzykuję i będę działał na własną odpowiedzialność.

Lord Julian wycofał się z walki, uśmiechnął się ze znużeniem, wzruszył ramionami i machnął ręką na znak rezygnacji.

– Ponieważ lord dał ci nominację – grzmiał dalej gubernator zwracając się do Blooda – nie mogę, jak na to zasługujesz, od ręki rozprawić się z tobą za piractwo. Ale odpowiesz przed sądem wojennym za to, coś zdziałał w sprawie Wolverstone'a, i poniesiesz konsekwencje.

– Rozumiem – odparł Blood. – Teraz dochodzimy do sedna rzeczy. Pan,

jako gubernator, będziesz osobiście przewodniczył temu sądowi. Będziesz więc mógł załatwić stare porachunki i powiesić mnie, niezależnie, jak tego dopniesz! – Korsarz roześmiał i dodał: – *Praemonitus, praemunitus*.

– Co to ma znaczyć? – ostro zapytał lord Julian.

– Wyobrażałem sobie, milordzie, że odebrałeś jaką taką edukację – odparł Blood, wyraźnie prowokując lorda.

– Nie chodzi mi o dosłowne tego znaczenie – powiedział lord z lodowatą wyniosłością. – Chciałbym wiedzieć, co zamierzasz dać mi w ten sposób do zrozumienia?

– Pozostawię to twojej domyślności – rzekł Blood – i pozwolę sobie pożegnać panów. – Szerokim gestem zdjął kapelusz i złożył elegancki ukłon.

– Zanim odejdziesz – rzekł Bishop – i uczynisz jaki nieopatrzny krok, ostrzegam, iż zarówno kapitan portu, jak i komendant twierdzy otrzymali już odpowiednie rozkazy. Nie opuścisz Port Royal, mój wytworny szubieniczniku! Niech mnie diabli wezmą! Zamierzam zatrzymać cię na martwej kotwicy tu, w kazamatach.

Piotr Blood zeszywniał, a jego żywe, niebieskie oczy wbiły się jak szpady w nadętą twarz przeciwnika. Przełożył laskę do lewej ręki, a prawą wsunął niedbale za kaftan i odwrócił się do pogrążonego w zadumie lorda Juliana.

– O ile pamiętam, jego lordowska mość obiecał mi glejt?

– Jeśli ci to nawet obiecałem, twoje własne zachowanie utrudnia spełnienie tego przyrzeczenia. Wyświadczyłeś mi przysługę kapitanie – rzekł lord powstając – i miałem nadzieję zachować z tobą przyjacielskie stosunki, lecz jeśli wolisz, by było inaczej... – Wzruszył ramionami i skinął w kierunku gubernatora.

Blood zakończył zdanie na swój własny sposób.

– Chcesz powiedzieć, że nie masz dość siły, by przeciwstawić się woli tego brutala. – Mówił z zupełną swobodą, a nawet z uśmiechem – Dobrze więc, jak już rzekłem, *praemonitus, praemunitus*. Gdybyś był bardziej biegły w naukach, pułkowniku, zrozumiałbyś iż znaczy to: ostrzeżony, uzbrojony.

– Ostrzeżony? Ha! – zawarczał Bishop. – Ostrzeżenie przyszło nieco za późno. Nie wyjdiesz z tego domu. – Zrobił krok w kierunku drzwi i podniósł głos: – Hej tam... – zaczął wołać, lecz nagle zamilkł wstrzymując oddech. Prawa ręka kapitana Blooda wysunęła się spod kaftana dzierżąc długi, bogato ozdobiony srebrem pistolet. Korsarz wycelował w pułkownika,

przysuwając lufę króciocy niemal do samej jego głowy.

– I uzbrojony – rzekł. – Nie ruszaj się z miejsca, mój panie, bo może być wypadek.

Lord chciał pośpieszyć na pomoc gubernatorowi, lecz nagle stanął jak wryty. Pułkownik upadł na duchu, pobladł i ledwo stał na trzęsących się nogach. Posępne spojrzenie Blooda potęgowało jeszcze jego trwogę.

– Sam nie pojmuję, dlaczego nie zastrzelę cię bez gadania, ty tłusty hultaju. Jeśli nie uczynię tego, to dla tej samej przyczyny, dla której uratowałem ci już raz życie. Nie znasz jej wprawdzie, ale może uspokoi cię wiadomość, iż istnieje ona w dalszym ciągu. Jednocześnie ostrzegam cię, byś nie nadużywał mej wspaniałomyślności, która spoczywa teraz w moim wskazującym palcu. Chcesz mnie powiesić, a ponieważ nic gorszego nie może mnie już spotkać, bez obawy powiększę mój rachunek przez rozlanie twojej brudnej krwi.

Odrzucił łaskę uwalniając w ten sposób lewą rękę.

– Bądź łaskaw dać mi swoje ramię, pułkowniku. Dalej no, dalej, dawaj tu rękę!

Przynaglony rozkazującym tonem korsarza, jego przenikliwym spojrzeniem i błyszczącą lufą pistoletu, Bishop usłuchał bez oporu. Niedawny potok obelżywych słów został powstrzymany. Teraz gubernator nie ważył się nawet odezwać. Kapitan Blood wsunął lewą rękę pod prawe ramię pułkownika, a pistolet schował z powrotem za pazuchę.

– Choć niewidoczny, pistolet ten jest wycelowany w ciebie, i na mój honor! zastrzelę cię jak psa za najmniejszą prowokację ze strony twojej czy kogo innego. Proszę pamiętać o tym, lordzie Julianie. A teraz, tłusty oprawco, stąpaj żywo i dziarsko, a zachowuj się tak naturalnie, jak potrafisz, albo za chwilą będziesz oglądał czarne wody Lety.⁸³

Ramię w ramię przeszli przez dom do ogrodu, gdzie Arabella oczekiwała powrotu Piotra Blooda.

Słowa pożegnania wywołały początkowo chaos w jej głowie, a później wyjaśniły jej prawdziwy powód śmierci Levasseura. Zrozumiała, że można było wyciągnąć te same wnioski z uratowania przez niego Mary Traill, jakie wyciągnięto w sprawie panny d'Ogeron. Kiedy mężczyzna ryzykuje życie dla kobiety, łatwo o pochopne przypuszczenie, niewiele bowiem ludzi potrafiłoby narażać się na niebezpieczeństwo bez nadziei na osobiste

korzyści. Blood jednak był jednym z tych niewielu, jak to się okazało w wypadku Mary Traill.

Bez dalszych wyjaśnień dziewczyna pojęła, jaką potworną krzywdę mu wyrządziła. Przypomniała sobie słowa kapitana, podsłuchane na pokładzie okrętu, który nosił przecież jej imię, w hoc po uratowaniu ich z niewoli hiszpańskiej; słowa wypowiedziane w chwili, gdy panna pochwaliła decyzję przyjęcia nominacji; wreszcie słowa zasłyszane tego ranka, które tak ją oburzyły. Wszystko to po odrzuceniu nieuzasadnionych przypuszczeń zabarwiło się nowym znaczeniem.

Dlatego też Arabella oczekiwała Blooda w ogrodzie, chcąc go przeprosić i zakończyć wszelkie nieporozumienia. Cierpliwość jej została jednak wystawiona na próbę, gdyż Blood przybył wreszcie, ale w niezwykle bliskim i serdecznym towarzystwie jej stryja. Z zalem zrozumiała, że wyjaśnienia muszą zostać odłożone. Dobrze, że nie wiedziała, na jak długo, gdyż wtedy żal jej zamieniłby się w rozpacz.

Blood wyszedł z gubernatorem z wonnego ogrodu na dziedziniec twierdzy. Komendant jej, który przedtem otrzymał instrukcje aresztowania kapitana, teraz ze zdziwieniem spozierał na gubernatora Jamajki przechadzającego się pod rękę, najwidoczniej w doskonałej komitywie, z niedoszłym więźniem. Gdy bowiem mijali dziedziniec, Blood opowiadał coś żywo i śmiał się wesoło.

Gubernator i pirat wyszli bez przeszkód z fortu i zbliżyli się do nabrzeża, gdzie oczekiwała szalupa z „Arabelli”. Usiedli obok siebie na tylnej ławce, w najlepszej zgodzie, i tak ich powieziono do wielkiego czerwonego okrętu, gdzie Jeremiasz Pitt niecierpliwie wyglądał swego kapitana.

Zdziwił się niepomiernie ujrawszy gubernatora gramolącego się po trapie, a za nim sylwetkę Blooda.

– Miałeś rację, Jeremiaszu – pozdrowił go Blood – rzeczywiście wpadłem w sidła, lecz wydostałem się z nich znowu i przywiodłem ze sobą myśliwego. Jakżeż przywiązany do życia jest ten łotr!

Pułkownik Bishop stał na pokładzie z ziemistą twarzą i obwisłymi wargami. Obawiał się niemal spojrzeć na tęgich drabów, zgrupowanych wokół głównego luku.

Blood zawołał do bosmana, który stał teraz oparty o ścianę przedniego kasztelu:

– Przerzuć no linkę z zaciągającą się pętlą przez blok na rei. Tylko się nie lękaj, luby pułkowniku! To zabezpieczenie na wypadek, gdybyś okazał się nierozsądny, o co cię nie posądzam. Omówimy sprawy w czasie obiadu, gdyż nie odmówisz mi chyba zaszczytu spożycia go w twoim towarzystwie.

Odprowadził bezwolnego, zastraszonego tyrana do salonu. Czarny steward Benjamin, w białych spodniach i bawełnianej koszuli, popędzany przez kapitana, podał obiad.

Pułkownik upadł na kufer stojący pod otworem rufowym i przemówił po raz pierwszy:

– Czy mogę zapytać, co... co zamierzasz?

– O, nic strasznego, pułkowniku. Chociaż zasługujesz na stryczek, użyję go tylko jako ostatecznego argumentu. Powiedziałeś, że lord Julian popełnił błąd wręczając mi nominację w imieniu sekretarza stanu. Jestem skłonny zgodzić się z tobą, dlatego też udaję się znów na morze. *Cras ingens iterabimus aequor*⁸⁴. Zobaczysz, jakim się staniesz dobrym łacinnikiem, zanim się z tobą rozprawię. Wracam teraz do Tortugi i do piratów, którzy są przynajmniej dobrymi, uczciwymi chłopcami. Ciebie zaś zabieram ze sobą jako zakładnika.

– Mój. Boże! – jęknął gubernator. – Nie... nie chcesz chyba powiedzieć, że zabierasz mnie do Tortugi? Blood parsknął śmiechem.

– O, nigdy bym nie zrobił ci takiego brzydkiego kawału. Nie, nie! Chcę tylko zapewnić sobie bezpieczne wyjście z portu i jeśli będziesz rozsądny, tym razem nie każę ci nawet wracać wplaw do lądu. Dałeś pewne rozkazy kapitanowi portu, a inne znów komendantowi tego zadzumionego fortu. Bądź łaskaw wezwać ich obu na pokład i zawiadomić w mojej obecności, iż „Arabella” wychodzi dziś w morze w służbie królewskiej i nie należy stawiać jej żadnych przeszkód. Dla pewności zabiorę ich na małą przejażdżkę. Oto przybory do pisania. A teraz pisz, chyba że wolisz znaleźć się na rei.

Pułkownik podniósł się hamując gniew.

– Niewolisz mnie gwałtem... – zaczął.

– Dajże spokój – przerwał Blood – wcale cię nie niewolę. Daję Ci najzupełniej wolny wybór między piórem a powrozem. Wybieraj!

Bishop łypnął na niego okiem, po czym, ociągając się, wziął pióro i usiadł przy stole. Niepewną ręką napisał wezwanie do swoich oficerów. Blood wysłał je na ląd i zaprosił niechętnego gościa do stołu.

– Spodziewam się, pułkowniku, iż apetyt dopisze panu jak zwykle.

– Zgnębiony Bishop zajął wskazane mu miejsce, jadł jednak z przymusem, co zresztą było naturalne u człowieka w jego położeniu. Blood widział to i wcale go nie namawiał, choć sam pałaszował ze smakiem. Zanim jednak obiad dobiegł do połowy, nadszedł Hayton i zameldował przybycie lorda Juliana, który chciał natychmiast zobaczyć się z kapitanem.

– Spodziewałem się tego – rzekł Blood. – Wprowadź go do salonu.

Lord Julian zjawił się, sztywny i dostoyny. Gdy Blood podniósł się; na powitanie, lord momentalnie ocenił sytuację.

– Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony, milordzie, że przyłącza się pan do nas – zaczął pirat.

– Kapitanie Blood – rzekł lord szorstko – twój dowcip jest nie na miejscu. Nie wiem, co postanowiłeś i czy wiesz, na jakie ryzyko się wystawiasz?

– A ja nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się narażasz, milordzie, przybywając na okręt, czego się zresztą spodziewałem.

– Co to ma znaczyć, sir?

Blood dał znak Beniaminowi stojącemu za krzesłem Bishopa.

– Podaj milordowi krzesło. Haytonie, odeślij łódź jego lordowskiej mości na ląd. Powiedz, że lord Wade na razie tu pozostaje.

– Co takiego? – krzyknął lord. – Niech mnie gromy spalą! Czy chcesz mnie zaaresztować? Czyś oszalał?

– Lepiej wstrzymaj się jeszcze chwilę, Haytonie, na wypadek gdyby jego lordowska mość uciekł się do gwałtów – rzekł Blood, – Słyszałeś moje polecenie, Beniaminie? Idź i przekaż je!

– Może mi wreszcie powiesz, co zamierzasz – zawołał lord trzęsąc się ze złości.

– Chcę tylko zabezpieczyć siebie i moich chłopców przed szubienicą gubernatora. Znając twoją rycerskość, wiedziałem, że nie opuścisz pułkownika w tarapatkach i zjawisz się tutaj. Wysłałem też na ląd list pisany ręką gubernatora, wzywający na mój okręt kapitana portu i komendanta twierdzy. Skoro ci jeszcze zjawią się na pokładzie, będę miał w rękę wszystkich potrzebnych zakładników.

– Ty łotrze! – syknął przez zęby arystokrata.

– Skądże znowu, milordzie, to zależy całkowicie od punktu widzenia –

odparł Blood. – W innych warunkach nie puściłbym płazem takiej obelgi, lecz ponieważ z własnej chęci wyrzuciłeś mi już raz przysługę, a teraz prawdopodobnie oddasz mi mimo woli drugą, pomnę milczeniem twoją nieuprzejmość.

– Ty głupcze! – zawołał ze śmiechem lord. – Czy wyobrażasz sobie, że przyszedłem tu, na pokład twego pirackiego okrętu, nie podejmując żadnych środków ostrożności? Opowiedziałem dokładnie komendantowi twierdzy, w jaki sposób zmusiłeś gubernatora do udania się z tobą. Sam teraz pomyśl, czy kapitan portu i komendant usłuchają twych wezwań i czy pozwolą ci opuścić Port Royal?

Blood spoważniał.

– Bardzo mi przykro, żeś to zrobił – rzekł.

– Spodziewam się tego – uśmiechnął się lord.

– O, tu nie chodzi o mnie. Przykro mi ze względu na gubernatora. Czy rozumiesz, coś uczynił? To tak, jakbyś powiesił pułkownika Bishopa!

– Mój Boże! – zawołał Bishop w nagłym przypiływie przerażenia.

– Jeżeli choć jeden strzał padnie przed dziobem mojego okrętu, gubernator zawiśnie na rei. Twoja jedyna nadzieja, pułkownik Bishop, leży w tym, że zawiadomię ich o moim zamiarze. Abyś mógł naprawić swój błąd, milordzie, osobiście zawieszysz im tę wiadomość.

– Prędzej ujrzę cię w piekle – pieniał się lord.

– Cóż, to nierozsądne i nie przemyślane, lecz jeśli nie chcesz, inny wysłannik zrobi to równie dobrze, a jeszcze jeden zakładnik na okręcie to dodatkowy atut w moim ręku.

Lord Julian wytrzeszczył na kapitana oczy, nagle pojmując, co właściwie odrzucił.

– Może ci teraz bardziej przypadła do gustu moja propozycja, kiedyś ją wreszcie zrozumiał? – dodał Blood.

– Na Boga, milordzie – wybełkotał Bishop – jedź już i zmusz ich do posłuszeństwa. Ten przekłety pirat trzyma mnie za gardło.

Lord spojrzał na niego bez zbytniego szacunku.

– Dobrze – zaczął – jeśli sobie tego życzysz. – A później wzruszył ramionami i zwrócił się znów do Blooda: – Chyba żadna krzywda nie spotka pułkownika Bishopa, gdy pozwolimy ci wypłynąć z portu?

– Masz na to moje słowo, milordzie – odrzekł Blood – obiecuję odesłać go

na ład całego i zdrowego.

Lord Julian sztywno uklonił się przerażonemu gubernatorowi.

– Pamiętaj – rzekł chłodno – że czynię według twojej woli.

– Ależ tak, ależ tak – przyświadczył pośpiesznie Bishop.

– A więc dobrze. – Lord Julian skłonił się raz jeszcze i odszedł. Blood odprowadził go do trapu, przy którego podeście kołysała się jeszcze szalupa „Arabelli”.

– Żegnam cię, milordzie – rzekł – i jeszcze jedna rzecz. – Tu wyciągnął z kieszeni pergamin. – Oto nominacja. Bishop miał rację. To była pomyłka.

Lord, Julian spojrział na niego łagodnie.

– Bardzo żałuję – rzekł szczerze.

– W innych okolicznościach... – zaczął Blood. – Ale zresztą sam chyba rozumiesz, milordzie. Łódź czeka.

Z nogą na pierwszym szczeblu trapu lord Julian zawahał się jeszcze.

– Niech mnie kule biją! – rzekł. – W dalszym ciągu nie rozumiem, czemuś nie znalazł kogo innego do odwiezienia pisma na ład i czemuś mnie nie zatrzymał na pokładzie jako dodatkowego załadnika.

Żywe oczy Blooda napotkały jasne i uczciwe wejrzenie Wade’a. Pirat uśmiechnął się w zamyśleniu. Przez moment wahał się, a potem wyjaśnił zupełnie szczerze:

– Czemu nie miałbym ci powiedzieć? Z tego samego powodu szukałem z tobą zwady, licząc, iż uda mi się wrazić w twą pierś kilka stóp zimnej stali. Przyjąłem twoją nominację, by zrehabilitować się w oczach panny Bishop. Zrobiłem to, jak się domyślasz, tylko ze względu na nią. Rehabilitacja okazała się jednak niemożliwa. Powinienem był o tym wiedzieć. Dziewczyna zdecydowanie wybrała ciebie. Wydaje mi się, że zrobiła dobry wybór, dlatego też nie chcę narażać twojego życia zatrzymując cię na pokładzie, a wysyłając na ład kogoś, kto pewno nic by tam nie wskórał. Teraz mnie może zrozumiesz.

Lord Julian spoglądał nań osłupiały. Jego pociągła, arystokratyczna twarz pobladła.

– Mój Boże! – rzekł wreszcie. – I ty mi to mówisz?

– Mówię ci, ponieważ... O, niech to diabli wezmą! byś jej to powtórzył, by wreszcie zrozumiała, iż coś z nieszczęśliwego i szlachetnego człowieka zostało jeszcze w złodzieju i piracie, za jakiego mnie uważa, i że nie pragnę

nic oprócz jej szczęścia. Wiedząc o tym może... jako żywo, może wspomni o mnie kiedyś, choćby tylko w modlitwach. To wszystko, milordzie.

Lord Julian patrzył w dalszym ciągu w milczeniu na pirata. W milczeniu też wyciągnął rękę, którą Blood uściskał bez słowa.

– Zastanawiam się, czyś się nie omylił i czy z nas dwóch ty nie jesteś więcej wart? – powiedział lord.

– Jeżeli o nią chodzi, na pewno ja mam rację. Żegnam cię.

Lord Julian uściskał mu rękę, zszedł po trapie i został odwieziony na ląd, skąd powiewał jeszcze na pożegnanie Bloodowi, który oparty o nadburcie obserwował niktą łódź.

„Arabella” odpłynęła w ciągu godziny, powoli popychana leniwą bryzą. Fort milczał, a eskadra również nie zdradzała zamiaru zatrzymania statku.

Lord Julian przekazał pismo i poparł je własnym rozkazem.

XXIV

WOJNA

Gdy w odległości pięciu mil od Port Royal kontury Jamajki zaczęły się zacierać, „Arabella” stanęła w dryf, a do burty podciągnięto holowaną szalupę.

Kapitan Blood odprowadził swego przymusowego gościa do szczytu trapu. Pułkownik Bishop, który spędził przeszło dwie godziny w śmiertelnym strachu, odetchnął nareszcie swobodnie. Wreszcie z ustąpieniem obawy wezbrała w nim znowu fala głęboko zakorzonej nienawiści do tego zuchwałego pirata. Zachowywał się jednak oględnie i jeśli nawet w głębi serca obiecywał sobie po powrocie do Port Royal nie szczędzić żadnego wysiłku i nie spocząć, dopóki nie przywiezie Blooda na ławę oskarżonych, nie zdradzał się z tym postanowieniem.

Piotr Blood nie miał żadnych iluzji; nie był i nigdy nie będzie prawdziwym piratem. Na Morzu Karaibskim nie znalazłby się drugi korsarz zdolny odmówić sobie przyjemności powieszenia pułkownika Bishopa na rei, przekreślenia w ten sposób planów mściwego plantatora i zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Lecz Blood nie był taki. W stosunku do pułkownika Bishopa miał jeszcze jedną przyczynę szczególnej powściągliwości. Gubernator był stryjem Arabelli, jego życie było więc święte dla Blooda.

Dlatego też kapitan spojrzał z uśmiechem w tłustą, nalaną twarz gubernatora i jego małe, bezsprzecznie złośliwe oczka.

– Życzę ci przyjemnej podróży do domu, drogi pułkowniczku – rzekł na

pożegnanie. Jego swobodne i wesołe zachowanie dobrze maskowało ból rozdzierający mu pierś. – Po raz drugi już służysz mi za zakładnika. Nie radzę ci próbować tego po raz trzeci. Nie przynoszę ci szczęścia. Powinieneś to zrozumieć.

U boku kapitana stał nawigator Pitt i posępnie spozierał na oddalającego się wicegubernatora. Za nim tłoczyła się grupa ponurych, krzepkich, ogorzałych piratów, których od zgniecenia Bishopa jak pchły powstrzymywała tylko uległość wobec dowódcy. Dowiedzieli się od Pitta jeszcze w Port Royal o niebezpieczeństwie grożącym ich kapitanowi i choć podobnie jak Blood gotowi byli zrzec się narzuconej im służby królewskiej, nie podobał im się sposób, w jaki zmuszono ich kapitana do rezygnacji. Dlatego też dziwili się jego opanowaniu w stosunku do Bishopa. Wicegubernator oglądał się wokół i wszędzie spotykał wrogie błyski tych groźnych oczu. Instykt ostrzegał go o możliwości utraty życia i upewniał, że jedno nierozważne słowo może wywołać wybuch nienawiści, od którego nie uratuje go żadna moc ludzka. Dlatego wołał się nie odzywać. Skłonił w milczeniu głowę przed kapitanem i potykając się, zeszedł po trapie do szalupy, gdzie czekała już murzyńska załoga.

Marynarze odepchnęli żaglówkę od czerwonego kadłuba „Arabelii”, pochylili się nad wiosłami, a później podnieśli żagiel i skierowali łódź z powrotem do Port Royal, zamierzając dopłynąć do lądu przed zmierzchem. Bishop skurczył się na tylnej ławeczce i siedział cicho ze ściągniętymi brwiami i wydętymi wargami. Na twarzy jego nie malował się już strach, lecz przepełniający go gniew i żądza zemsty. Gubernator zdążył zapomnieć, jak mało brakowało, by zawisnął na przerzuconej przez reję pętli.

Na nabrzeżu w Port Royal oczekiwali go pod niską, warowną ścianą fortu major Mallard i lord Julian, którzy z ulgą pomogli Bishopowi wyjść z szalupy.

Major Mallard zaczął się usprawiedliwiać.

– Ciesz się, że uniknąłeś niebezpieczeństwa, sir – rzekł – zatopiłbym okręt Blooda mimo obecności waszej ekscelencji na pokładzie, gdyby nie rozkazy doręczone mi przez lorda Juliana i zapewnienie jego lordowskiej mości, iż Blood zaręczył swym słowem za bezpieczeństwo waszej ekscelencji, jeśli przepuścimy jego okręt. Moim zdaniem, milord nieco zbyt pochopnie zaufał temu przekłętemu piratowi...

– Przekonałem się, że słowo Blooda jest warte tyle co każde inne – odparł lord przecinając potok wymowy komendanta. Mówił z tak lodowatą wyniosłością, na jaką się tylko mógł zdobyć. Był w wyjątkowo złym humorze. Napisał do sekretarza stanu tryumfalny list o pomyślnym wywiązaniu się ze swej misji, a teraz będzie musiał wysłać nowe pismo i przyznać się do krótkotrwałości tego sukcesu. Ponieważ zaś kędzierzawe wąsy majora Mallarda uniosły się w szyderczym uśmiechu na wzmiankę o wartości słowa danego przez pirata, lord dodał jeszcze ostrzej:

– Potwierdzenie moich słów widzę tu w osobie gubernatora, który powrócił żywy i zdrowy. Wobec tego, sir, opinia twoja mało znaczy. Powinieneś to zrozumieć.

– Wasza lordowska mość ma rację – zgodził się ironicznie major. – Tu jest pułkownik cały i zdrowy, a na morzu jest kapitan Blood, również żywy i zdrowy, gotów powrócić do pirackiego rzemiosła.

– Nie zamierzam omawiać tego z tobą, majorze.

– To zresztą nie na długo – warknął Bishop odzyskując wreszcie mowę. – Nie, do... – Tu gubernator poparł swoje zapewnienie niecenzuralnym przekleństwem. – Choćbym miał stracić mój majątek do ostatniego szylinga i jamajską eskadrę do ostatniego okrętu, nie spocznę, dopóki nie założę temu łotrowi konopnego krawata. Długo to nie potrwa!

Pod wpływem gniewu żyły na czole nabrzmiały mu jak powrozy, a twarz stała się szkarłatna. Wreszcie się opanował.

– Dobrześ zrobił wykonując instrukcje lorda Juliana – powiedział majorowi, po czym odwrócił się i ujął lorda pod ramię.

– Chodźmy, milordzie. Musimy we dwóch zastanowić się nad sytuacją.

Minęli razem redutę, dziedziniec i ogród i skierowali się do domu, gdzie Arabella czekała na nich z niecierpliwością. Widok stryja przyniósł jej ogromną ulgę nie tylko ze względu na niego, lecz i na kapitana Blooda.

– Naraziłeś się na wielkie niebezpieczeństwo, panie – rzekła panna poważnie do lorda Juliana po wymianie zwykłych powitań.

Lecz lord odpowiedział jej to samo co majorowi Mallardowi:

– Nie ryzykowałem nic.

Dziewczyna spojrzała nań zdumiona. Szczupła, arystokratyczna twarz lorda była bardziej melancholijna i zamyślona niż zwykle. Wade odpowiedział na jej pytający wzrok:

– Skoro okręt Blooda nie był ostrzeliwany przez fort, żadna krzywda nie mogła stać się pułkownikowi. Blood zaręczył mi za to słowem.

Uśmiech pojawił się na jej wargach, dotychczas zaciśniętych w zadumie, a lekki rumieniec zabarwił policzki. Chętnie byłaby przedłużyła tę rozmowę, lecz zły humor gubernatora na to nie pozwalał. Bishop krzywił się i mruzczał niechętnie na wzmiankę o wartości, słowa pirata, zapominając, że właśnie temu słowu zawdzięczał życie.

Przy kolacji i długo jeszcze po niej gubernator mówił wyłącznie o Bloodzie i o tym, jak to powiesi go za nogi i jakie straszliwe rzeczy będzie wyczyniać z jego ciałem. A ponieważ pił bez umiaru, mowa jego stawała się coraz plugawszą, a groźby coraz okropniejsze. W końcu Arabella podniosła się i odeszła, blada, z trudem powstrzymując łzy. Rzadko zdarzało się, by Bishop tak całkowicie obnażał przed bratanicą swoją prawdziwą naturę. Dziwna rzecz: ten szorstki, pyszałkowaty plantator czuł jakby obawę przed wiotką dziewczyną. Wyglądało to, jakby szacunek, zawsze okazywany jej ojcu przez pułkownika, przeszedł w dziedzictwie na nią. Lordowi Julianowi zachowanie Bishopsa wydało się odrażające i nieznośne, toteż wkrótce pożegnał zebranych i wyszedł za damą. Jak sądził, okoliczności sprzyjały teraz powtórzeniu pannie słów Blooda. Lecz Arabella udała się już na spoczynek i lord musiał powściągnąć swą, teraz już prawdziwą, niecierpliwość do następnego dnia.

Nazajutrz wczesnym rankiem, zanim jeszcze skwar dnia nie stał się nieznośny, lord wypatrzył przez okno dziewczynę, gdy przechadzała się w ogrodzie wśród azalii. Było to piękne tło dla panny, równie dlań uroczej i niezwyklej wśród kobiet jak azalia wśród kwiatów. Pośpieszył więc ku niej, a gdy obudzona z zamyślenia powitała go szczerym i otwartym uśmiechem, młody człowiek oznajmił, że przybywa z polecenia kapitana Blooda.

Arabella zdawała się zaskoczona. Wargi jej drżały lekko, twarz była blada, pod oczyma widniały cienie, a w całej postaci dawała się zauważyć niezwykle zaduma, która poprzedniej nocy uszła jego uwagi.

Wyszli razem na jeden z tarasów, gdzie pergola⁸⁵ z drzew pomarańczowych stanowiła wonne i chłodne miejsce przechadzek. Lord spozierał z podziwem na pannę i nie mógł pojąć, czemu dotychczas nie zauważył jej niezwyklego wdzięku, wiotkości i uroku. Czar takiej kobiety mógł opromienić życie mężczyzny i zamienić codzienną szarzyznę

w czarodziejską baśń.

Zauważył połysk jej złocisto-kasztanowatych włosów, których ciężkie pasmo wiło się na smukłym, białym karku. Panna nosiła suknię z lśniącego, szarego jedwabiu, a do piersi miała przypiętą świeżo zerwaną różę, szkarłatną jak plama krwi. Ilekroć później próbował wywołać obraz dziewczyny, zawsze stawała przed nim taka, jaką była owego poranka, gdy po raz pierwszy ujrzał ją w nowym świetle.

W milczeniu kroczyli zacienioną ścieżką. Panna zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

– Mówiłeś o jakimś poselstwie – przypomniała zdradzając niecierpliwość.

Zaambarasowany, lord bawił się lokami peruki, niepewny, co powiedzieć i jak zacząć rozmowę.

– Prosił mnie – rzekł w końcu – abym przekazał ci jego słowa, które dowiodą, iż pozostało w nim coś jeszcze z owego nieszczęśliwego i szlachetnego człowieka, jakim... jakim znałaś go niegdyś.

– Jest to już teraz niepotrzebne – odparła poważnie panna.

Wade nie zrozumiał oczywiście sensu jej słów, nie wiedząc, jak wiele wyjaśnił jej dzień poprzedni.

– Chyba... nie, z całą pewnością czynisz mu pani krzywdę – zauważył.

Nie spuszczać z niego orzechowych oczu Arabella odparła:

– Gdy przekazesz mi jego słowa, będę mogła wydać sąd.

Wade zmieszał się i nie zdobył na natychmiastową odpowiedź. Doszedł do przekonania, że nie dobrał jeszcze odpowiednich słów, a sprawa była przecież nader delikatna i należało ją właściwie przedstawić. Bardziej zresztą, niż przekazać słowa Blooda, pragnął w trakcie tej rozmowy rozstrzygnąć swój los. Lord dobrze znał kobiety i zwykle swobodnie czuł się w towarzystwie pań z wielkiego świata, lecz teraz dziwnie był zażenowany wobec tej szczerzej i pełnej prostoty bratanicy kolonialnego plantatora.

Jakby za obopólnym porozumieniem poszli w kierunku nasłonecznionego miejsca, gdzie pergolę przecinała aleja prowadząca do domu. Przez tę smugę światła frunął wspaniały, aksamitny, szkarłatnoczarny motyl wielkości męskiej dłoni. Lord śledził go jakiś czas w zadumie i dopiero po dłuższej chwili odpowiedział:

– To nie takie proste. Niech mnie kule biją! Ten człowiek zasługuje na coś

więcej. Między nami mówiąc, zmarnowaliśmy mu widoki powodzenia: stryj pani, bo nie chciał zapomnieć urazy, ty sama, bo... bo powiedziałaś, że w służbie królewskiej będzie mógł się zrehabilitować, a później nie chciałaś go uznać za zrehabilitowanego, choć przyjął nominację głównie dlatego, by ciebie uratować.

W tym momencie odwróciła się do niego plecami, nie mógł więc widzieć jej twarzy.

– Wiem. Teraz już wiem – rzekła cicho, a po chwili zapytała: – A ty, milordzie? Jakież jest twój udział w tej sprawie, skoro oskarżasz i siebie?

– Mój udział? – Lord zawahał się i nagle uczynił krok, którego się tak obawiał. – Jeśli ja go dobrze zrozumiałem i jeżeli Blood dobrze zrozumiał sam siebie, mój udział, wprawdzie bierny, odegrał też swoją rolę. Błagam jednak, pani, pamiętaj, że powtarzam tylko jego słowa i nie dodaję nic od siebie.

Niezwykła nerwowość jego lordowskiej mości ciągle wzrastała.

– Blood myślał więc, a przynajmniej tak mi powiedział, iż to moja obecność uniemożliwiła jego rehabilitację w pani oczach, a tylko taka rehabilitacja miała dla niego znaczenie. O inną nie dbał.

Spojrzała mu w twarz, marszcząc w zdziwieniu brwi nad posmutniałymi oczyma.

– Myślał, iż to twoja obecność na to wpłynęła? – zapytała jak echo. Najwyraźniej czekała wyjaśnienia.

Lord brnął więc dalej, by go udzielić, lecz w wejrzeniu jego malowało się zakłopotanie, a policzki płonęły.

– Tak. I powiedział mi o czymś, czego pragnę ponad wszystko na świecie, w co jednak boję się uwierzyć, gdyż, na Boga, nie jestem fircykiem, Arabello. Blood powiedział... Lecz pozwól mi najpierw wyjaśnić, jak się to stało. Poszedłem na pokład jego okrętu i zażądałem natychmiastowego wydania twego stryja, lecz Blood mnie wyśmiał. Postanowił zatrzymać pułkownika Bishopa jako zakładnika. Udając się tam pochopnie, dałem mu w mojej osobie drugiego zakładnika, co najmniej równie wartościowego jak pułkownik. Jednakże Blood prosił mnie o opuszczenie statku nie z obawy przed konsekwencjami, gdyż człowiek ten nie zna lęku, a również nie z jakiejś szczególnej sympatii, gdyż wyznał, że żywi do mnie abominację z tej właśnie przyczyny, dla której troszczył się o moje bezpieczeństwo.

– Nie rozumiem tego – rzekła panna, kiedy lord przerwał. – Czyż to samo w sobie nie jest sprzecznością?

– Tak się tylko wydaje. W rzeczywistości, Arabello, ten nieszczęśliwy człowiek miał... czelność cię pokochać.

Wydała okrzyk i przycisnęła ręce do falujących piersi. Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczyma.

– Widzę... widzę, że zaskoczyłem cię, pani – rzekł zatroskany – obawiałem się tego. Lecz to było konieczne, abyś mogła zrozumieć.

– Mów dalej – poprosiła.

– Dobrze więc. Widział we mnie przeszkodę na drodze do zdobycia ciebie. Dlatego byłby mnie z satysfakcją zabił. Lecz ponieważ moja śmierć mogłaby sprawić ci ból, ponieważ nade wszystko pragnie twego szczęścia, zrzekł się bezpieczeństwa, jakie gwarantowała moja obecność na statku. Gdyby mu przeszkodzono opuścić port i ja postradałbym życie, może... może płakałabyś po mnie. Blood nie chciał do tego dopuścić. Powiedział, że uważałaś go za złodzieja i pirata, i dodał, że gdybyś z nas dwóch wybrała mnie, czego się zresztą spodziewał, jego zdaniem wybrałabyś mądrze. Dlatego kazał mi opuścić okręt i powrócić na ląd.

Popatrzyła na niego przez łzy. Wstrzymując oddech, lord zbliżył się do dziewczyny o krok i wyciągnął rękę.

– Czy Blood miał rację, Arabello? Szczęście mojego życia zależy od twojej odpowiedzi!

Lecz panna nie przestawała spoglądać nań w milczeniu, a on, lękał się odezwać nie otrzymawszy odpowiedzi. Opadły go męczące wątpliwości. Kiedy wreszcie przemówiła, lord przekonał się, jak niezawodny był instynkt, który zrodził jego wahania. Słowa jej dowiodły, iż ze wszystkiego, co mówił, jedno tylko dotarło do jej świadomości i zagłuszyło wszystko inne, a mianowicie postępowanie Blooda w stosunku do niej.

– Tak powiedział! Tak uczynił! Och!

Odwróciła się i poprzez grupy smukłych drzew pomarańczowych, tworzących aleję, i roziskrzone wody wielkiego portu spojrzała na odległe góry. Przez chwilę lord stał sztywno, z obawą oczekując odpowiedzi. Nadeszła wreszcie cicha, wypowiedziana z namysłem, na wpół zduszonym głosem:

– Gdy ostatniej nocy stryj mój dał upust uczuciom mściwości

i nienawiści, zrodziło się we mnie przekonanie, że tak zawzięty może być tylko krzywdziciel. Ludzie doprowadzają się umyślnie do takiego szafu, by usprawiedliwić swoje złe namiętności. Gdybym nawet nie wiedziała tego przedtem, zrozumiałabym wczoraj, jak bezpodstawnie wierzyłam w okropności przypisywane Bloodowi. Przed rozmową z wami sam opowiedział mi tę historię z Levasseurem, którą słyszałaś w St. Nicholas. A teraz to... to potwierdza tylko prawdziwość jego słów. Gdyby Blood był łotrem, za jakiego zbyt pochopnie go uważałam, nie postąpiłby w ten sposób.

– Jestem też tego zdania – powiedział łagodnie lord.

– To niewątpliwe. Lecz nawet gdyby było inaczej, nie ma to już teraz znaczenia. Wączę, o jakże wielką i bolesną! przywiązuję do myśli, iż gdybym go wczoraj nie odepchnęła, mógłby być jeszcze uratowany. Gdybym tylko mogła się z nim rozmówić, zanim odszedł! Czekałam nań, lecz stryj mu towarzyszył i nie podejrzewałam nawet, by odchodził na zawsze. A teraz jest zgubiony, powrócił do bezprawia, do piractwa i w końcu zostanie ujęty i stracony. A wina jest moja, moja!

– Czemu to mówisz, pani? Winę ponosi tu tylko wrogość twego stryja i własny upór Blooda, nie znający kompromisu. Pani nie jesteś niczemu winna.

Odwróciła się do niego niecierpliwie. Z oczu jej płynęły łzy.

– I ty to mówisz, milordzie, choć przekazałaś mi jego słowa, które jasno wskazują, jak bardzo jestem godna potępienia. To moje zachowanie, to wyzwiska rzucone przeze mnie popchnęły go do tego. Powiedział ci to przecież. Ja wiem, że to prawda.

– Nie masz się czego wstydzic, pani – odparł lord. – A co do twego smutku, cóż, jeżeli cię to zdoła pocieszyć, wiedz, że zawsze możesz liczyć na mnie. Uczynię wszystko, by wydobyć go z tego położenia.

– Uczynisz to! – zawołała dziewczyna oddychając gwałtownie, z nagłym przeblaskiem nadziei. – Przrzekasz mi? – Wyciągnęła do niego odruchowo rękę. Lord ujął ją w obie dłonie. – Przrzekam – odparł i nie puszczając jej zapytał łagodnie: – Arabello, nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi w tej drugiej sprawie.

– Drugiej sprawie? – zapytała powątpiewając o jego zdrowych zmysłach. Cóż bowiem innego mogło mieć teraz znaczenie?

– Dotyczy ono mnie i całej mojej przyszłości. Czy to, co myślał Blood, co

powodowało nim... że... nie jestem ci obojętny...

Ujrzał, jak piękna twarz panny okryła się bladością i smutkiem.

– Że nie jesteś mi obojętny? – zapytała. – Ależ nie, oczywiście nie! Byliśmy dobrymi przyjaciółmi i takimi zostaniemy nadal, milordzie.

– Przyjaciółmi? Dobrymi przyjaciółmi? – powtórzył z żalem i goryczą. – Pragnę czegoś więcej niż twojej przyjaźni, Arabello. Słyszałaś, com ci mówił powtarzając słowa Blooda. Czyżby Blood się mylił?

– Panna usiłowała łagodnie wyzwolić swą rękę z jego dłoni. Na obliczu jej malowało się coraz większe zakłopotanie. Przez chwilę młody człowiek opierał się, lecz pojąwszy niewłaściwość tego, co czynił, rozluźnił uścisk.

– Arabello! – zawołał z nagłym bólem.

– Żywię dla ciebie przyjaźń, milordzie, lecz tylko przyjaźń.

Zamki na lodzie, wzniesione przez Wade'a, runęły pozostawiając tylko oszołomienie. Jak powiedział, nie był fircykiem, jednakże czegoś tu nie mógł zrozumieć. Dziewczyna darzyła go przyjaźnią, a on mógł zapewnić jej pozycję w świecie, o jakiej bratanica kolonialnego plantatora, jakkolwiek bogata, nie mogłaby nawet marzyć. Panna odrzuciła go, mówiąc jednocześnie o przyjaźni. Blood musiał się więc pomylić, lecz w jakiej mierze? Czy mylił się równie zdecydowanie w ocenie uczuć panny względem siebie, jak niewątpliwie mylił się w ocenie jej uczuć wobec lorda? W takim razie... Tu przestał snuć refleksje, gdyż rozmyślać dalej – znaczyłoby na próżno ranić miłość własną. Musi wreszcie wiedzieć prawdę. Dlatego też spytał z ponurą szczerością:

– Czy to... Piotr Blood?

– Piotr Blood? – powtórzyła jak echo.

Z początkiem nie zrozumiała sensu pytania, a gdy go pojęła, twarz jej oblała się rumieńcem.

– Nie wiem – odpowiedziała z lekkim wahaniem.

Nie była to prawda. Tego ranka jakby zasłona spadła jej z oczu ukazując stosunek Blooda do ludzi, a widok ten, spóźniony o dwadzieścia cztery godziny, napełnił ją żalem, smutkiem i boleścią.

Lord Julian dostatecznie znał kobiety, toteż nie miał już żadnych wątpliwości. Skłonił się na pożegnanie, by ukryć płonący w oczach gniew, którego jako człowiek honoru się wstydził, a jako zwykły śmiertelnik nie umiał stłumić.

A ponieważ, jak w każdym, instynkty naturalne okazały się w nim silniejsze niż wychowanie, od tej chwili lord zaczął, chyba na przekór sobie, postępować w sposób nieomal nikczemny. Przykro pisać to o kimś, kto zyskał już pewnie szacunek czytelnika. W rzeczywistości jednak chęć zwyciężenia i zniszczenia rywala stłumiła w nim resztki względów dla Blooda. Obiecał wprawdzie Arabelli użyć swego wpływu, by pomóc kapitanowi, muszę jednak zanotować, że nie tylko zapomniał o tym przyrzeczeniu, lecz zaczął nawet w tajemnicy pomagać jej stryjowi w układaniu planów pojmania i zgładzenia pirata. Gdyby mu to zarzucono, powiedziałyby, iż wypełnia jedynie swój obowiązek. W tym wypadku jednak obowiązek był niewolnikiem zazdrości.

Kiedy w kilka dni później eskadra jamajska wyszła w morze, lord Julian żeglował razem z Bishopem na flagowym okręcie wiceadmirała Crauforda. Żaden z nich nie musiał udawać się z eskadrą. Przeciwnie, obowiązki wicegubernatora wymagały przebywania na lądzie, a lord Julian, jak wiemy, był na okręcie zupełnie bezużyteczny. Jednakże obaj wybrali się w pościg za kapitanem Bloodem, motywując osobiste porachunki obowiązkiem. Wspólny cel stał się łączącym ich ogniwem i zawiązała się jakby przyjaźń, niemożliwa w innych okolicznościach między ludźmi o tak odrębnych charakterach i dążeniach.

Rozpoczęła się pogoń. Krążyli w pobliżu Hispanioli, strzegąc Cieśniny Wiatru i znosząc niewygody związane z porą deszczową. Lecz krążyli nadaremnie i po miesiącu wrócili z pustymi rękoma do Port Royal, gdzie oczekiwały ich bardzo niepokojące wieści ze Starego Świata.

Megalomania Ludwika XIV rozpałała w Europie pożar wojny.

Francuskie pułki pustoszyły prowincje nadreńskie, a Hiszpania przyłączyła się do ligi państw, stworzonej w obronie przed dzikimi ambicjami króla Francji. Co gorsza, szerzyły się pogłoski o wojnie domowej w Anglii, gdzie lud uprzykrzył sobie bigoteryjną tyranię króla Jakuba. Podobno wezwano nawet do Anglii Wilhelma Orańskiego.

Tygodnie mijały, a każdy statek z kraju przywoził dodatkowe nowiny. W marcu 1689 dowiedziano się na Jamajce, że Wilhelm wylądował w Anglii i przyjął koronę, a Jakub rzucił się w objęcia króla Francji, szukając pomocy.

Dla krewnego Sunderlanda były to naprawdę niepokojące pogłoski. W ślad za nimi przyszły pisma od sekretarza stanu króla Wilhelma,

informujące pułkownika Bishopa o wojnie z Francją. Ponieważ zmieniała ona także sytuację w koloniach, do Indii Zachodnich miał przybyć gubernator generalny w osobie lorda Willoughby, a z nim eskadra pod komendą admirała van der Kuylena, by na wszelki wypadek wzmocnić flotę jamajską.

Bishop wiedział, iż nawet gdyby nadal pozostał wicegubernatorem w Port Royal, nieograniczona jego władza już się skończyła. Lord Julian nie był, ze względu na brak bezpośrednich wiadomości, pewien, co się z nim stanie, lecz z myślą o Arabelli pozostawał z Bishopem w wielkiej zażyłości. Pułkownik zaś teraz, kiedy wydarzenia polityczne mogły spowodować jego dymisję, życzył sobie bardziej niż kiedykolwiek koligacji z osobą tak wpływową jak Wade.

Doszli w tej sprawie do całkowitego porozumienia i lord Julian opowiedział, co mu o niej było wiadomo.

– Jest na naszej drodze jedna przeszkoda – rzekł lord – kapitan Blood. Dziewczyna jest w nim zakochana.

– Chyba oszalałeś, milordzie – zawołał Bishop odzyskawszy mowę.

– Zupełnie usprawiedliwione przypuszczenie – odparł smutnie lord Julian – lecz ja przypadkowo jestem przy zdrowych zmysłach i wiem, co mówię.

– Naprawdę?

– Arabella sama mi to wyznała.

– Bezczelna! Na Boga, ja ją nauczę rozumu!

Przemawiał przez niego w tej chwili poganiacz niewolników, nawykły do rządzenia biczem.

– Nie bądź głupi. – Pogarda jego lordowskiej mości szybciej niż jakiegokolwiek argumenty uspokoiła pułkownika. – To nie jest sposób na dziewczynę o usposobieniu Arabelli. Jeśli nie chcesz zaprzepaścić moich szans raz na zawsze, winienesz milczeć i nie wtrącać się do niczego.

– Nie wtrącać się? Mój Boże, cóż więc robić?

– Słuchaj no. Nie znasz jeszcze swojej bratanicy. Arabella jest stała. Póki Blood żyje, będzie na niego czekać.

– A więc może po jego śmierci nieco zmądrzeje.

– Teraz zaczynasz wykazywać inteligencję – pochwalił go lord Julian. – To pierwszy, ważny krok.

– Obecnie nadarza się właśnie dobra sposobność – wybuchnął z entuzjazmem Bishop. – Wojna z Francją usuwa wszelkie zastrzeżenia w stosunku do wyprawy na Tortugę. Mamy prawo napaść na tę wyspę w służbie korony. Jeżeli odniesiemy tam zwycięstwo, zaskarbimy sobie łaski nowego rządu.

– Aha! – odparł lord Julian wydymając w zamyśleniu wargi.

– Widzę, że mnie rozumiesz – zaśmiał się szorstko Bishop.

– Dwie pieczenie przy jednym ogniu, co? Dobierzemy się do tego łotra w jego kryjówce, pod samym nosem króla Francji, i tym razem schwytamy go, nawet gdybyśmy mieli obrócić Tortugę w kupę gruzów.

Pożeglowali tam obaj w dwa dni później, zabierając ze sobą całą eskadrę i kilka mniejszych statków jako pomoc. Arabelli i całemu światu oznajmili, iż urządzają najazd na francuską Hiszpanię, co zresztą stanowiło jedyny motyw zdolny usprawiedliwić nieobecność Bishopa na Jamajce w tak niespokojnym czasie. Poczucie obowiązku winno było zatrzymać go w Port Royal, lecz nienawiść, ta najbardziej bezpłodna i niszcząca spośród wszystkich namiętności, odniosła zwycięstwo. W wielkiej kabinie „Imperatora”, flagowego okrętu wiceadmirała Crauforda, Bishop upił się tej nocy, rozradowany przekonaniem o rychłym końcu kariery kapitana Blooda.

XXV

W SŁUŻBIE KRÓLA LUDWIKA

Tymczasem na jakieś trzy miesiące przed wyruszeniem Bishopa na Tortugę zrozpaczony i wściekły kapitan Blood, pędzony przez wichry zimowe, zawinął do tej przystani na dwa dni przed Wolverstone'em, który wypłynął z Port Royal dzień wcześniej.

Na bezpiecznej, osłoniętej redzie kapitan znalazł oczekującą go flotę: cztery statki rozproszone przez sztorm koło Małych Antyli i około siedmiuset członków załogi. Piraci, zaniepokojeni już jego długą nieobecnością, powitali go tym serdeczniej. Na jego cześć oddano saluty z dział i wywieszono flagi. Poruszone przez hałas w porcie miasto wyległo na nabrzeże, a wielki tłum mężczyzn i kobiet wszystkich wyznań i narodowości zebrał się, ciekaw ujrzeć wejście sławnego pirata na ląd.

Kapitan Blood opuścił okręt prawdopodobnie tylko dlatego, by nie zawieść powszechnego oczekiwania. Był milczący, a twarz miał ponurą i szyderczą. Niech tylko Wolverstone przybędzie do portu, całe to uwielbienie dla bohatera zmieni się w nienawiść. Kapitanowie Blooda, Hagthorpe, Christian i Yberville, oraz kilkuset korsarzy powitali go na molo. Przeciął krótko ich powitania, a nudzony pytaniami, gdzie tak długo przebywał, kazał im czekać przyjazdu Wolverstone'a, który zaspokoi ich ciekawość. Odczepiwszy się w ten sposób od towarzyszy, zaczął przeciskać się z trudem przez barwną zbieraninę, złożoną z zapobiegliwych kupców narodowości angielskiej, francuskiej i holenderskiej, z plantatorów

i marynarzy różnych stopni, z piratów, z hispaniolskich bukanierów zajmujących się łowiectwem i bukanierów otwarcie uprawiających piractwo, z drwali i Indian, z handlujących owocami Metysów i niewolników murzyńskich, wreszcie z dam wątpliwej konduity i zwykłych ulicznic ze Starego Świata, a nadto rozmaitych innych przedstawicieli rodzaju ludzkiego, ściągających złą sławę na tę istną wieżę Babel.

Przebiwszy się w końcu, przez ciżbę, kapitan Blood udał się do pięknego domu d'Ogerona, by złożyć zaprzyjaźnionemu gubernatorowi i jego rodzinie należne uszanowanie.

Z początku piraci przypuszczali, iż Wolverstone przybędzie z jakimiś cennymi łupami, lecz uzyskane stopniowo od zmniejszonej załogi „Arabelli” pogłoski zmieniły ich radość w osłupienie. Powodowana częściowo lojalnością dla kapitana, częściowo zaś przekonaniem, że jeżeli kapitan winien był odstępstwa, to i oni ponosili tę winę, załoga „Arabelli” nie opowiadała zbyt dużo przed przybyciem Wolverstone’a do Tortugi. Piraci też woleli milczeć, bo jako prości ludzie nie zawsze rozumieli posunięcia Blooda. Mimo to jednak nie zachowali pełnej dyskrecji i po porcie rozeszły się różne nieprzyjemne pogłoski oraz dziwaczne historie o kompromitującym z punktu widzenia piratów postępowaniu Blooda.

Gdyby Wolverstone nie przybył na czas, może doszłoby do wybuchu. Kiedy jednakże w dwa dni później Stary Wilk rzucił kotwicę w zatoce, wszyscy zwrócili się do niego po wyjaśnienia, których inaczej zażądałiby od Blooda.

Wolverstone miał tylko jedno oko, lecz dostrzegał nim więcej niż inni dwoma i mimo siwiejącej głowy, malowniczo owiniętej zielono-czerwonym turbanem, miał w piersi serce dziecka, a w nim sporo miłości dla Piotra Blooda.

Gdy Wolverstone opływał skalisty cypel, z wzniesionym na nim fortem, zadziwił go widok stojącej na kotwicy „Arabelli”. W zdumieniu przetarł swoje jedyne oko, aby się upewnić, że nic mu go nie przesłania, i spojrział znowu. Ale nie uwierzył, dopóki stojący obok Dyke nie wykrzyknął:

– W imię Boże! Czy to „Arabella”, czy jej duch?

Stary Wilk potoczył okiem w stronę Dyke’a i otworzył usta, ale zaraz zamknął je nie rzekłszy słowa. Stary marynarz był wielce ostrożny, szczególnie w sprawach trudnych do zrozumienia. Bez wątplenia widział

„Arabelle”, a jeśli to była ona, należało się naprzód zastanowić, a dopiero później mówić. Co, u diabła, miała tu do roboty „Arabella”, którą opuścił przecież na Jamajce? I czy dowodził nią kapitan Blood, czy też reszta załogi uciekła z okrętem, pozostawiając Blooda w Port Royal?

Dyke powtórzył swoje pytanie. Tym razem Wolverstone odpowiedział:

– Ty masz dwoje oczu, a pytasz mnie jednookiego, co właściwie widzisz?

– Lecz ja widzę „Arabelle”!

– Oczywiście, skoro kołysz się tam na falach. A czegoś się spodziewał?

– Spodziewał? – Dyke gapił się na przyjaciela z otwartymi ustami. – Czy ty, czy spodziewałeś się ujrzeć tu „Arabelle”?

Wolverstone spojrzał nań z pogardą, po czym roześmiał się i rzekł tak głośno, by wszyscy mogli usłyszeć:

– Oczywiście! Czegóż miałem się spodziewać? – I zaśmiał się znowu, jakby kpiąc z Dyke’a. Po chwili uwaga Wolverstone’a skupiła się na przygotowaniach do rzucenia kotwicy.

Gdy wreszcie zeszedł na ląd, z pytań piratów zorientował się dokładnie, jak sprawy stały, i pojął, że albo z braku odwagi, albo z innego powodu Blood nie zdał nikomu sprawy z tego, co się działo po odłączeniu „Arabelli” od towarzyszących jej okrętów. Mógł pogratulować sobie dyskrecji okazanej w rozmowie z Dyke’em.

– Kapitan Blood był zawsze człowiekiem skromnym – wyjaśnił Hagthorpe’owi i innym. – Samochwalstwo nie leży w jego naturze. A było to tak: Natknęliśmy się na starego don Miguela i zdobyliśmy jego okręt, skąd wzięliśmy na pokład londyńskiego rajfura wysłanego przez sekretarza stanu z królewską nominacją dla kapitana Blooda, pod warunkiem, iż porzuci piractwo i będzie się porządnie sprawować. Kapitan posłał go do diabła, ale właśnie wtedy wpadliśmy na eskadrę jamajską pod dowództwem tego starego czarta Bishopa. Byłby już z nami wszystkimi koniec, z kapitanem Bloodem i każdym z naszych chłopaków. Poszedłem więc do kapitana i mówię mu: „Przyjmij tę cholerną nominację, idź na służbę królewską i ocal nasze karki”. Blood usłuchał i ten londyński rajfur dał mu od razu nominację. Bishop mało nie pękł ze złości, kiedy się o tym dowiedział. Lecz co się stało, to się stało i Bishop musiał przełknąć ten kasek. Staliśmy się wszyscy sługami królewskimi i wpłynęliśmy do Port Royal razem z Bishopem. Ale pułkownik nam nie ufał. Za dużo wiedział. Gdyby nie ten

lord z Londynu, powiesiłby Blooda razem z jego nominacją. Blood byłby zwiął z Port Royal tej samej nocy, lecz ten pies Bishop dał rozkaz i fort baczenie czuwał. W końcu, chociaż zajęło to dwa tygodnie i Blood nabił go w butelkę. Wysłał mnie i większość załogi zakupioną w tym celu fregatą. Jak mi w tajemnicy powiedział, zamierzał użyć jakiegoś fortelu i wymknąć się za nami. Nie wiem, jak sobie dał radę, ale widzę, że znalazł się tu przede mną, tak jak tego oczekiwałem.

Świat niewątpliwie stracił w Wolverstone'ie wielkiego historyka. Umiał on zdać sobie sprawę z tego, jak daleko można bezpiecznie odejść od rzeczywistości i w jakim stopniu zabarwić prawdę lub zmienić jej kształt dla własnych celów.

Po opowiedzeniu tej mieszaniny prawdy i fałszu, gdy w ten sposób dodał jeszcze jeden liść laurowy do wieńca kapitana, pirat zapytał, gdzie można znaleźć Blooda. Dowiedziawszy się, iż kapitan przebywa na swym okręcie, Wolverstone zeszedł do łodzi i popłynął na „Arabelle”, by zameldować się dowódcy.

Tu w wielkiej kabinie znalazł Piotra Blooda, samotnego i dobrze już podpitego, choć w tym stanie nigdy dawniej go nie widziano. Kiedy Wolverstone wszedł, kapitan spojrzał nań krwią nabiegłymi oczyma. Na chwilę wzrok jego odzyskał ostrość, a oczy zogniskowały się na gościu, lecz później zaśmiał się z cieniem szyderstwa.

– Ach, Stary Wilk! – zawołał. – Dobrnąłeś tu w końcu, co? A co zamierzasz teraz ze mną zrobić? – Głośna czkawka wstrząsnęła nim i kapitan bezwładnie zwałił się na fotel.

Stary Wolverstone spozierał na niego w posępnym milczeniu. Na wiele już w życiu okropności patrzył spokojnie, lecz stan, w jakim znajdował się Blood, napełnił go nagłym bólem. Pragnąc dać wyraz swym uczuciom, zaklął siarczyście. Był to jedyny sposób, w jaki wyrażał wszystkie swoje wzruszenia. Potem przybliżył się i upadł na krzesło przy stole patrząc kapitanowi w twarz.

– Mój Boże, Piotrze, co to takiego?

– Rum – odpowiedział Piotr. – Rum z Jamajki. – Posunął butelkę i szklankę w stronę Wolverstone'a, lecz pirat nie zwrócił na to uwagi.

– Pytam się, co ci dolega? – ryknął.

– Rum – powtórzył Blood i zaśmiał się. – Właśni rum. Odpowiadam na

twoje pytania, czemu więc nie odpowiadasz na moje? Co masz zamiar ze mną zrobić?

– Już to zrobiłem – powiedział Wolverstone. – Dzięki Bogu, miałeś choć tyle rozsądku, że trzymałeś język za zębami, aż do mego przybycia. Czy jesteś dość trzeźwy, by mnie rozumieć?

– Pijany czy trzeźwy, zawsze cię rozumiem!

– To słuchaj. – I tu powtórzył całą zmyśloną przez siebie historię. Kapitan z trudem zdołał się w tym połapać.

– To równie dobre jak prawda – powiedział wysłuchawszy do końca. – I... och, mniejsza o to! Dzięki ci, Stary Wilku, wierny Stary Wilku! Ale czy to warte zachodu? Nie jestem już teraz piratem, nigdy już więcej nie będę piratem. Ssskończone! – Walnął pięścią w stół, a w oczach jego zamigotały groźne błyski.

– Przyjdę porozmawiać z tobą znowu, kiedy ci rum wywietrzeje z głowy – rzekł Wolverstone wstając. – Tymczasem zapamiętaj sobie tę bajeczkę i nie mów nic, co by zadawało kłam moim słowom. Wszyscy mi uwierzyli, nawet ludzie, którzy przybyli ze mną z Port Royal. Mam ich teraz w garści. Gdyby się dowiedzieli, że naprawdę przyjąłeś nominację królewską i zamierzałeś pójść śladem Morgana, wiesz, co by się mogło stać.

– Piekło by się rozpełtało – odparł Blood – a to właśnie byłoby odpowiednie dla mnie miejsce.

– Rozebrało cię – warknął Wolverstone. – Jutro o tym pogadamy.

Tak się też stało, lecz z niewielkim skutkiem, zarówno następnego dnia, jak i nazajutrz, i przez długi czas jeszcze, dopóki trwały deszcze zimowe. Sprytny Wolverstone pojął wkrótce, iż nie rum był przyczyną usposobienia Blooda. Rum był tylko skutkiem, a w żadnym razie nie przyczyną głębokiej apatii kapitana. Widocznie miał jakiegoś robaka w sercu, a Stary Wilk wiedział już dość, by móc odgadnąć przyczynę tej zgryzoty. Przeklinał wszystkie podwiki i znając świat, oczekiwał końca choroby.

Lecz choroba nie przechodziła. Blood pił i grał w kości w tawernach Tortugi w towarzystwie ludzi niegdyś pogardzanych lub też zamykał się w swojej kabinie na „Arabelli” i tkwił tam, nie przestając z nikim. Zdziwiona taką zmianą rodzina gubernatora starała się jakoś Blooda rozerwać. Panna d’Ogeron była szczególnie zmartwiona i niemal codziennie przysyłała mu zaproszenia, z których jednak rzadko korzystał.

Gdy pora deszczowa zaczęła przemijać, odwiedzali go jego kapitanowie z propozycjami zyskownych wypraw na kolonie hiszpańskie. Lecz że Blood pozostał obojętny na wszystko, najpierw wywołało to ich zniecierpliwienie, a później gniew.

Christian, dowódca „Kioto”, wpadł pewnego dnia wzburzony, czyniąc mu wyrzuty z powodu bezczynności i żądając, aby Blood rozkazał, co należy robić.

– Idź do diabła! – odpowiedział na to Blood.

Christian wyszedł pieniąc się z wściekłości i następnego ranka jego okręt podniósł kotwicę i odpłynął, dając przykład dezercji. Nawet lojalni wobec Blooda kapitanowie nie mogli już dłużej powstrzymać niecierpliwości swoich załóg.

Niekiedy Blood zastanawiał się, czemu w ogóle wrócił do Tortugi. Przejęty myślą o Arabelli i jej pogardą dla złodzieja i pirata, poprzysiągł sobie skończyć już z piractwem. Czemu więc tkwił tutaj? Na to pytanie mógł tylko odpowiedzieć innym: Dokąd właściwie miał się udać? Sytuacja zdawała się bez wyjścia.

W oczach wszystkich chylił się teraz ku upadkowi. Stracił swą niemal przesadną dbałość o wygląd i stał się prawie niechlujny. Na niegdyś tak starannie wygolonych policzkach rosła teraz czarna broda, a długie, gęste, ciemne włosy, dawniej uwodzicielsko trefione, zwisały teraz potargane wokół twarzy, już nie smagłej, lecz chorobliwie ziemistej. Nawet niegdyś żywe i ujmujące niebieskie oczy stały się teraz mętne i matowe.

Tylko Wolverstone znał przyczyny jego upadku i spróbował raz, lecz jeden jedyny raz, zagadnąć go otwarcie:

– Na Boga! Piotrze, czyż nigdy nie będzie temu końca? Czy zamierzasz dokonać życia w opilstwie i przygnębieniu, bo jakąś głupia gładkolica dziewczyna z Port Royal nie chce się z tobą zadawać? Do stu piorunów! Jeśli chcesz mieć tę dziewczkę, czemu u diabła nie weźmiesz jej sobie?

Niebieskie oczy błysnęły spod czarnych jak smoła brwi i zamigotał w nich dawny ogień. Lecz Wolverstone niebaczenie mówił dalej:

– Ja jestem miły dla dziewczyny tak długo, jak to otwiera mi jej ramiona, lecz niech mnie kule biją, gdybym miał zalewać się rumem dla czegoś takiego w spódnicy. Stary Wilk nie uznaje takich zwyczajów. Jeżeli nie nęci cię żadna inna wyprawa, czemu nie Port Royal właśnie? Cóż to, u diabła, za

różnica, że to brytyjska kolonia? Komendantem jest tam pułkownik Bishop, a w twojej załodze nie brak zuchów, którzy poszliby za tobą do piekła, żeby tylko móc złapać go za gardło. To da się zrobić, powiadam ci. Należy tylko wypatrzeć moment, kiedy eskadra jamajska znajduje się na morzu. Dostyc jest łupów w mieście, by znęcić chłopców, a dla ciebie jest dziewczucha. Czy mam przepytać, co o tym myślą?

Blood skoczył na równe nogi. Jego oczy pałały, a żywa, ruchliwa twarz była wykrzywiona.

– Opuść moją kabinę w tej chwili albo, na Boga, zwłoki twoje stąd wyniosą! Ty parszywy psie, jak śmiesz przychodzić do mnie z takimi propozycjami?

Zaczął rugać wiernego oficera z niespotykaną u niego zajadłością, aż przerażony tym wybuchem Wolverstone wybiegł bez słowa. Sprawy tej nie poruszano już więcej i pozwolono kapitanowi oddawać się bezczynności.

Wreszcie, gdy jego piraci zaczęli popadać w rozpacz, coś stało się, za sprawą przyjaciela Blooda, pana d'Ogerona. Pewnego słonecznego poranka gubernator Tortugi zjawił się na pokładzie „Arabelli” w towarzystwie małego grubego gentlemiana o miłym wyglądzie, zachowującego się uprzejmie i z wielką pewnością siebie.

– Kapitanie – zaczął d'Ogeron – przyprowadzam pana de Cussy, gubernatora francuskiej Hispanioli. Pragnie zamienić z tobą kilka słów.

Z szacunkiem dla przyjaciela Blood wyjął z ust fajkę, otrząsnął się nieco z oparów rumu, powstał i uklonił się panu de Cussy.

– Do usług! – rzekł.

Pan de Cussy odwzajemnił się uklonem i usiadł na skrzyni pod oknem.

– Dowodzisz znaczną siłą, kapitanie – rzekł.

– Jakichś ośmiuset ludzi.

– Wyobrażam sobie, jak niecierpliwi ich ta bezczynność.

– Mogą iść do diabła, jeżeli im się nie podoba. Pan de Cussy delikatnie zażył tabaki.

– Ja mam dla nich lepszą propozycję – rzekł.

– No to proponuj sobie – odparł Blood bez zainteresowania.

Pan de Cussy spojrział na d'Ogerona i uniósł nieco brwi. Kapitan Blood nie wydał mu się zachęcający. Lecz d'Ogeron żywo kiwał gościowi głową i gubernator Hispanioli przystąpił do sprawy.

– Doszły nas z Francji wiadomości o wojnie z Hiszpanią.

– To mają być wiadomości? – warknął Blood.

– Mówię teraz oficjalnie, mój kapitanie. Nie wspominam o nieoficjalnych utarczkach i tolerowanych przez nas łupieżczych wyprawach. Teraz jest wojna, prawdziwa wojna w Europie między Hiszpanią a Francją. Francja ma zamiar przenieść działania wojenne również do Nowego Świata. Z Brestu wyszła w tym właśnie celu flota pod dowództwem admirała de Rivarol. Otrzymałem od niego pisma z żądaniem uzbrojenia dodatkowej eskadry i zebrania co najmniej tysiąca ludzi, by wesprzeć jego siły. Zgodnie z propozycją naszego dobrego przyjaciela, pana d'Ogerona, chciałem cię, kapitanie, zaciągnąć wraz z twymi ludźmi i okrętami pod flagę francuskiego admirała.

Blood spojrział na niego z budzącym się zaciekawieniem.

– Proponujesz przejście na służbę francuską, monsieur? – zapytał. – Na jakich warunkach?

– Otrzymasz rangę komandora, a twoi oficerowie stopnie odpowiednio niższe. Będziecie otrzymywać żołd zależnie od rangi, a oprócz tego dziesiątą część wszystkich łupów.

– Moje załogi nie będą uważały tej oferty za szczodłą. Powiedzą ci, że mogą wypłynąć stąd jutro, wypatroszyć jakąś hiszpańską kolonię i zatrzymać całą zdobycz dla siebie.

– O tak, lecz poniosą też ryzyko związane z piractwem. Z nami stanowisko twoje będzie określone i oficjalne, a u boku potężnej floty pana de Rivarol będziecie mogli przedsięwziąć wyprawy na znacznie większą skalę niż własnymi siłami. W tym wypadku jedna dziesiąta łupów może być większa niż kiedy indziej całość.

Kapitan Blood zastanawiał się. Proponowana służba nie była przynajmniej piractwem, lecz zaszczytną wojaczką pod sztandarem króla Francji.

– Muszę poradzić się moich oficerów – powiedział Blood i posłał po nich.

Zjawili się wkrótce i sam pan de Cussy przedstawił im warunki. Hagthorpe od razu poparł propozycję jako korzystną. Ludzie narzekali na przedłużającą się beczynność i niewątpliwie zgodzą się przejść na żołd francuski. Mówiąc to Hagthorpe patrzył na Blooda. Kapitan skinął ponuro na znak zgody. Ośmieleni tym oficerowie zaczęli omawiać szczegóły.

Yberville, młody francuski flibustier, miał zaszczyt wytknąć panu de Cussy, iż udział ofiarowany piratom był zbyt mały. Tylko za jedną piątą łupów, a nie mniej, oficerowie będą mogli zgodzić się w imieniu podwładnych.

Pan de Cussy był zmartwiony. Otrzymał wyraźną instrukcję i wziąłby na siebie wielką odpowiedzialność, gdyby ją przekroczył. Korsarze byli jednak uparci. Nie ma o czym mówić, dopóki pan de Cussy nie zgodzi się na jedną piątą. Gdy ostatecznie gubernator francuskiej Hispanioli zgodził się przekroczyć swoje instrukcje, umowę ułożono i podpisano tego samego dnia. Flibustierzy mieli stawić się w Petit Goave w końcu stycznia, na kiedy to spodziewano się przybycia pana de Rivarol.

Po tej wizycie nastąpiły w Tortudze pracowite dni. Uszczelniano kadłuby okrętów, wędzono mięsa i przygotowywano zapasy. Wszystkie te zajęcia pochłonełyby niegdyś kapitana Blooda, lecz teraz nie brał w nich udziału. Pozostał obojętny i samotny. Jeżeli udzielił swej zgody na przedsięwzięcie, a raczej dał się w nie wciągnąć oficerom, to tylko dlatego, że zaofiarowano mu zaszczytną regularną służbę, nie związaną z piractwem, z którym w głębi serca przysiągł sobie skończyć już na zawsze. Lecz przyzwolenie jego pozostało bierne. Służba nie budziła w nim zapału. Jak powiedział Hagthorpe'owi, było mu całkiem obojętne, czy udadzą się do Petit Goave czy do Hadesu⁸⁶ i czy będą służyć Ludwikowi XIV czy diabłu.

XXVI

PAN DE RIVAROL

Kapitan Blood odpłynął w tym ponurym usposobieniu z Tortugi i w podobnym nastroju przyprowadził swoje okręty na redę w zatoce Petit Goave. Humor nie poprawił mu się nawet przy powitaniu pana barona de Rivarol. Dostojnik ten przybył wraz z eskadrą złożoną z pięciu okrętów wojennych, które w połowie lutego rzuciły kotwicę w pobliżu statków pirackich. Francuz był w podróży sześć tygodni, opóźniony przez niepomyślną pogodę.

Kapitan Blood został wezwany na audiencję do zamku Petit Goave. Baron, wysoki, czterdziestoletni mężczyzna o sępiej twarzy, chłodny i wyniosły, zmierzył go wzrokiem z widoczną dezaprobatą. Na Hagthorpe'a, Yberville'a i Wolverstone'a, stojących w szeregu za dowódcą, nie zwrócił najmniejszej uwagi. Pan de Cussy poprosił kapitana Blooda, by usiadł.

– Chwileczkę, panie de Cussy – rzekł Blood. – Pan baron nie zauważył chyba, iż nie jestem sam. Niech pan pozwoli przedstawić sobie moich towarzyszy: kapitana Hagthorpe'a, dowódcę „Elżbiety”, kapitana Wolverstone'a dowódcę „Atropos”, i kapitana Yberville'a, dowódcę „Lachezis”.

Baron spojrzał twardo i butnie na Blooda, a później lekko i niedbale skinął głową każdemu z trzech oficerów. Zachowanie jego miało na celu okazanie im pogardy. Podziałało to dziwnie na korsarza. Obudził się w nim diabeł, a jednocześnie ocknęło się drzemiące od pewnego czasu poczucie

godności osobistej. Zawstydział się nagle swego nieporządnego i niechlujnego wyglądu i stał się tym bardziej zuchwały. Znaczącym ruchem poprawił pas, odsłaniając rzeźbioną rękojeść ostrego rapiera. Wskazał swoim kapitanom krzesła stojące w pobliżu.

– Siądźcie przy stole, chłopcy. Pan baron czeka.

Oficerowie usłuchali, a Wolverstone uśmiechnął się, zrozumiałwszy intencję kapitana. Spojrzenie barona stało się jeszcze wynioślejsze. Poczytywał sobie za dyshonor zasiadanie z tymi rozbójnikami przy jednym stole. Uważał, iż z wyjątkiem może kapitana Blooda oficerowie winni wysłuchiwać jego instrukcji stojąc, jak przystało ludziom ich kondycji w obecności takiego dostojnika. Zrobił więc ostatnią rzecz, która miała podkreślić różnicę między nim a piratami. Włożył na głowę kapelusz.

– Bardzo mądrze z pańskiej strony – zauważył uprzejmie Blood – ja sam czuję przeciąg. – To mówiąc włożył na głowę swój ozdobiony strusim piórem kapelusz.

Pan de Rivarol poczerwieniał i wyraźnie zadygotał z gniewu. Przez chwilę starał się opanować, zanim znowu otworzył usta. Pan de Cussy był najwidoczniej zakłopotany.

Sir – rzekł baron lodowatym tonem – muszę ci przypomnieć, że piastujesz rangę komandora i znajdujesz się w obecności generała, dowódcy wszystkich lądowych i morskich wojsk Francji w Ameryce. Muszę również zwrócić ci uwagę, że winienesz mi szacunek jako przełożonemu.

– Mam zaszczyt zapewnić cię, panie – rzekł kapitan Blood – iż jest to zbyteczne. Uważam się za gentemana, choć może nie wyglądam na to w tej chwili, a nie byłbym nim, gdybym nie okazywał szacunku ludziom postawionym przez los wyżej ode mnie albo tym, którzy stojąc niżej ode mnie, nie mogą mi się odplacić za jego brak.

Był to zręczny przycinek i pan de Rivarol przygryzł wargi. Nie dając mu czasu na odpowiedź kapitan Blood zakończył:

– Skorośmy to wyjaśnili, może przystąpimy do sprawy?

Pan de Rivarol patrzył na niego przez chwilę twardym wzrokiem.

– Może tak będzie najlepiej – odparł biorąc do rąk dokument. – Mam tu odpis umowy zawartej przez was z panem de Cussy. Zanim przejdziemy dalej, muszę skarcić pana de Cussy za przekroczenie instrukcji i obiecanie wam jednej piątej łupów. Miał prawo przyznać wam tylko jedną dziesiątą.

- To już zechcesz załatwić z panem de Cussy, generale.
 - O nie, to kwestia do załatwienia między mną a wami.
 - Za pozwoleniem, generale. Umowa jest podpisana. O ile to nas dotyczy, sprawa jest załatwiona. Ze względu na pana de Cussy nie chcielibyśmy słyszeć, jak udzielasz mu nagany.
 - Nie powinno was obchodzić, co mam do powiedzenia panu de Cussy.
 - Właśnie powtarzam to przez cały czas, generale.
 - *Nom de Dieu!* Ale obchodzi cię zapewne, że nie możemy dać wam więcej niż jedną dziesiątą łupów! – Rozwścieczony pan de Rivarol walnął pięścią w stół. Ten pirat był piekielnie zręcznym szermierzem.
 - Czy jesteś zupełnie tego pewien, generale?
 - Z całą pewnością nie dam więcej.
- Kapitan Blood wzruszył ramionami i spuścił oczy.
- W takim razie – rzekł – pozostaje mi tylko przedstawić mały rachunek za nasze wydatki i ustalić sumę kompensaty za stratę naszego czasu i trud przybycia tutaj. Kiedy to załatwimy, rozstaniemy się jak przyjaciele, baronie. Nic się złego nie stało.
 - O czym, u diabła, myślisz? – Baron skoczył na równe nogi i przechylił się przez stół.
 - Czyżbym się niejasno wyrażał? Moja francuszczyzna zapewne nie jest najlepsza...
 - Nie, twoja francuszczyzna jest dość płynna, chwilami aż nadto płynna, jeśli wolno mi zauważyć. A teraz posłuchaj, panie korsarzu. Nie jestem ja człowiekiem, z którym można bezpiecznie grać w durnia, o czym wkrótce się przekonasz. Zaciągnąłeś się na służbę króla Francji, ty i twoi ludzie; otrzymałeś nominację i gażę komandora, a ci twoi oficerowie stopnie poruczników. Rangi te są połączone z pewnymi obowiązkami i karami za niewykonanie ich. Jedne i drugie powinieneś już być poznać. Niekiedy kary są bardzo surowe. Pierwszym obowiązkiem oficera jest posłuszeństwo. Zwracam ci na to uwagę. Nie uważaj siebie, jak widocznie masz zamiar, za mojego sprzymierzeńca w różnych przedsięwzięciach, lecz za mojego podwładnego. Musisz uznać we mnie dowódcę, a nie towarzysza lub równego sobie. Chyba mnie zrozumiałeś.
 - Tak, zrozumiałem doskonale – roześmiał się głośno kapitan Blood.
- Tak podniecającym wpływem utarczki słownej wracał szybko do

normalnego stanu. Humor psuła mu jedynie świadomość, iż jest nie ogolony.

Ja nie zapominam o niczym, zapewniam cię, generale. Nie zapominam na przykład, tak jak ty, że podstawą naszej służby jest podpisana przez nas umowa, a ta przewiduje dla nas jedną piątą łupów. Jeśli jej nie wypełnisz, stanie się ona nieważna; unieważnij ją, a pozbędziesz się naszych usług. Od tej chwili nie będziemy już mieli zaszczytu piastowania żadnych rang we flocie króla Francji.

Trzej jego kapitanowie mruknęli z uznaniem.

Rivarol patrzył na nich zbity z tropu.

– W rezultacie... – zaczął nieśmiało pan de Cussy.

– W rezultacie, monsieur, to twoja robota – rzucił się na niego admirał, rad, że znalazł kozła ofiarnego. – Ty odpowiesz za wszystko. Ty kompromitujesz służbę królewską, ty stawiasz mnie, przedstawiciela jego królewskiej mości, w sytuacji nie do zniesienia.

– Czy istotnie nie istnieje możliwość przyznania nam piątej części łupów? – zapytał Blood jedwabistym głosem. – W takim wypadku nie ma potrzeby się gorączkować i obrażać pana de Cussy. On wie, że nie zgodzilibyśmy się na mniej. Jeśli ty nie możesz nam dać więcej, odpływamy i wszystko pozostaje tak, jak gdyby pan de Cussy trzymał się sztywno swoich instrukcji. Dowiodłem chyba ku twojemu zadowoleniu, baronie, iż w wypadku zerwania przez ciebie umowy nie masz prawa żądać od nas pełnienia służby ani przeszkadzać naszemu odejściu, bo nie licowałoby to z honorem.

– Z honorem? Do diabła z twoją bezczelnością! Czy posądzasz mnie, że mógłbym uczynić coś niezgodnego z honorem?

– Bynajmniej. I tak nie byłoby to możliwe – odparł Blood. Dopilnowalibyśmy już tego. Czekamy tylko na twą odpowiedź, czy unieważniasz umowę, generale.

Baron usiadł.

– Pomyślę jeszcze o tym – rzekł pochmurnie. – Powiadomię was o mojej decyzji.

Kapitan Blood powstał, a z nim jego oficerowie.

– Baronie! – Blood złożył ukłon, po czym wraz z piratami odszedł sprzed dostojnego i gniewnego oblicza generała francuskich królewskich armii

lądowych i morskich w Ameryce.

Pan de Cussy przeżył następnie bardzo przykry kwadrans. W istocie rzeczy powinien on zasługiwać na naszą sympatię. Jego pewność siebie uleciała pod wpływem pychy barona, jak puszek ostu ulatuje pod powiewem wiatru jesiennego. Generał królewskich armii zwymyślał jego, gubernatora Hispanioli, jak pierwszego lepszego lokaja. Pan de Cussy bronił się tym, co kapitan Blood już tak świetnie wyjaśnił, a mianowicie, że nic złego się nie stanie, jeśli warunki, na jakich ugodził się z piratami, nie zostaną zatwierdzone. Pan de Rivarol zastraszył go i zmusił do milczenia.

Wyczerpawszy obelgi, baron przeszedł do czynów. Ponieważ, jego zdaniem, pan de Cussy okazał się niegodny zajmowanego stanowiska, pan de Rivarol przejął obowiązki gubernatora na czas pobytu na Hispanioli i aby lepiej je wypełniać, ściągnął żołnierzy z okrętów i obsadził własną załogą zamek pana de Cussy.

Spowodowało to wkrótce przykre następstwa. Gdy następnego ranka Wolverstone udał się na ląd w swoim malowniczym stroju, został wykpiony przez francuskiego oficera. Nie przyzwyczajony do tego, by być przedmiotem żartów, Wolverstone zareagował energicznie, oddając wet za wet. Oficer przeszedł do obelg, na co pirat jednym ciosem obalił go i pozbawił przytomności. W ciągu godziny zaraportowano o tym panu de Rivarol i na mocy jego rozkazu jeszcze przed południem Wolverstone został zaaresztowany i uwięziony w zamku.

Baron zasiadł właśnie do obiadu w towarzystwie pana de Cussy, kiedy posługujący przy stole Murzyn zameldował kapitana Blooda. Baron gniewnie kazał go wprowadzić i ujrzał schludnego, modnie odzianego gentlemana, wystrojonego bogato, lecz nie krzykliwie, w czerń i srebro. Smągła ostro zarysowana twarz przybyłego była gładko ogolona, a jego długie, czarne włosy spadały w kędziorach na kołnierz z wytwornej koronki. W prawej ręce trzymał szeroki, czarny kapelusz ze szkarłatnym strusim piórem, a w lewej hebanową laskę. Pęki wstąg maskowały podwiązki u jedwabnych pończoch, a czarne sprzączki butów były misternie ozdobione złotem.

Przez chwilę pan de Rivarol nie mógł poznać gościa, gdyż Blood wyglądał o dziesięć lat młodziej niż poprzedniego dnia. Lecz trudno było zapomnieć żywe niebieskie oczy, ocienione gęstymi, czarnymi brwiami, i one to

przypomniały baronowi, do kogo należą, zanim jeszcze Blood zdążył przemówić. Odrodzona дума kapitana kazała mu postawić się na równej stopie z generałem i podkreślić tę równość wyglądem zewnętrznym.

– Przychodzę nie w porę – sumitował się Blood. – Najmocniej przepraszam, lecz mam sprawę nie cierpiącą zwłoki. Dotyczy to, panie de Cussy, kapitana Wolverstone’a z „Lachezis”, którego kazałeś aresztować.

– To ja kazałem go aresztować – odezwał się pan de Rivarol.

– Doprawdy? A ja myślałem, że to pan de Cussy jest gubernatorem Hiszpanii.

– Gdy ja przebywam tutaj, jestem najwyższą władzą. Powinieneś to przyjąć do wiadomości.

– Doskonale, lecz zapewne nie wiesz, generale, o popełnionej dziś omyłce.

– Omyłce, powiadasz?

– Przez grzeczność nazywam to omyłką. Jest to wygodne słowo i oszczędzi nam dyskusji. Twój żołnierz, generale, aresztował nie tego, kogo należało. Zamiast dopuszczającego się ordynarnej prowokacji francuskiego oficera aresztowano kapitana Wolverstone’a. Proszę załatwić tę sprawę bez zwłoki.

Sępa twarz pana de Rivarol stała się szkarłatna, a oczy omal nie wylazły mu z orbit.

– Panie! Jesteś... jesteś bezczelny! Twoja bezczelność jest nieznośna! – Normalne opanowanie do tego stopnia opuściło barona, że zaczął się jąkać.

– Nie traćmy słów, baronie. To jest Nowy Świat, nie tylko nowy, ale i niezrozumiały dla kogoś, kto wychował się wśród przesądów Starego Świata. Nie rozumiałeś jeszcze zapewne odrębności tutejszych warunków życia i dlatego pominę obelżywy epitet, którego użyłeś. Lecz sprawiedliwość jest sprawiedliwością zarówno w Nowym Świecie, jak i w Starym, a niesprawiedliwość nie może być tolerowana ani tam, ani tu. Otóż sprawiedliwość wymaga uwolnienia mojego oficera, a zaaresztowania i ukarania twojego. Proszę uprzejmie o wymierzenie sprawiedliwości.

– Uprzejmie – zadrwił wściekle baron.

– Najuprzejmiej, generale. Lecz jednocześnie chciałem ci przypomnieć, iż moje załogi liczą ośmiuset ludzi, a twoje pięciuset, pan de Cussy zaś poinformuje cię o interesującym fakcie, że w boju jeden korsarz wart jest co

najmniej trzech żołnierzy liniowych.

Mówię z tobą zupełnie szczerze, baronie, by zaoszczędzić czasu i uniknąć nieprzyjemnych słów. Albo kapitan Wolverstone zostanie natychmiast wypuszczony na wolność, albo też my poczynimy odpowiednie kroki w kierunku uwolnienia go własnymi siłami. Skutki tego mogą być przykre. Lecz stanie się, jak zechcesz, baronie. Ty jesteś tu najwyższą władzą i decyzja należy do ciebie. Baronowi zbieleły wargi. Nigdy dotychczas nikt tak zuchwale z nim nie rozmawiał. Po chwili jednak opanował się zupełnie.

– Zrób mi tę łaskę i poczekaj w przedpokoju, kapitanie. Chciałem rozmówić się z panem de Cussy. Zawiadomię cię niezwłocznie o decyzji.

Gdy drzwi zamknęły się za korsarzem, baron wyładował swoją wściekłość na głowę pana de Cussy.

– A więc to takich ludzi zaciągnąłeś na służbę królewską, ludzi, którzy mają służyć pod moją komendą, a nie służą, lecz dyktują, i to zanim jeszcze przystąpiliśmy do właściwego naszego zadania! Co masz na swoje usprawiedliwienie, panie de Cussy? Ostrzegam, że nie jestem z ciebie zadowolony. W istocie jestem nawet mocno rozgniewany.

Gubernator jakby otrząsnął z siebie jowialność, podniósł się i wyprostował.

– Twoja ranga, monsieur, nie uprawnia cię do udzielania mi nagany, nie uprawniają też do tego fakty. Zaciągnąłem wskazanych przez ciebie ludzi, generale. To nie moja wina, iż nie umiesz sobie z nimi dać rady. Jak ci już kapitan Blood powiedział, to jest Nowy Świat.

– Dobrze więc – uśmiechnął się złośliwie pan de Rivarol – nie tylko nie usprawiedliwiasz się, lecz próbujesz przypisać mi winę. Podziwiam twoją zuchwałość. Ale dobrze! – Machnął lekceważąco ręką. – Tu jest, jak mówisz, Nowy Świat, a nowe kraje to nowe obyczaje. Z czasem może przystosuję moje pojęcia do tego nowego świata albo też nagnę ten nowy świat do moich pojęć. – W głosie jego brzmiała groźba. – W tej chwili jednak muszę pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy, a ty jako doświadczony w tych dzikich metodach, powinienesz doradzić mi, jak mam postępować.

– Baronie! Aresztowanie korsarskiego kapitana, było szaleństwem, a upieranie się przy tym szaleństwie byłoby obłędem. Nie mamy dość sił, aby przeciwstawić się korsarzom.

– W takim wypadku, monsieur, może mi powiesz, co mamy robić na

przyszłość? Czy na każdym kroku ulegać rozkazom tego Blooda? Czy to on ma kierować naszą wyprawą? Czy, krótko mówiąc, ja, przedstawiciel króla francuskiego w Ameryce, mam być na łasce tych łotrów?

– Och, żadną miarą! Werbuję tu ochotników na Hispanioli i tworzę oddział Murzynów. Skoro tego dokonam, będziemy mieli, oprócz korsarzy, jakiś tysiąc ludzi.

– Lecz w takim razie, czemu ich nie odprawić?

– Gdyż korsarze pozostaną zawsze ostrzem każdej wykutej przez nas broni. Są oni tak doświadczeni w rodzaju wojny, jaką będziemy prowadzić, że słowa kapitana Blooda nie były wcale przesadą. Korsarz jest wart trzech liniowych żołnierzy. Jednocześnie jednak będziemy mieli dostateczną siłę, by trzymać piratów w szachu. Poza tym ludzie ci mają pewne poczucie honoru. Jeśli potraktujemy ich sprawiedliwie, to i oni będą postępować lojalnie i nie sprawią nam kłopotów. Znam ich dobrze i mogę za nich ręczyć.

Pan de Rivarol dał się wreszcie przekonać. Zależało mu na zachowaniu autorytetu, a gubernator w pewnym stopniu to umożliwiał i dawał niejaką gwarancję na przyszłość w postaci formujących się oddziałów murzyńskich.

– Bardzo dobrze – odparł baron – bądź tak uprzejmy i zawołaj tu tego kapitana Blooda.

Blood wszedł pewny siebie i pełen godności. Baronowi wydał się odrażający i nie do zniesienia, lecz nie dał tego po sobie poznać.

– Kapitanie – rzekł – naradziłem się z panem gubernatorem. Z tego, co mi powiedział, wynika, że przypuszczalnie popełniłmy omyłkę. Sprawiedliwość zostanie wymierzona, bądź tego pewien. Ja sam obejmę przewodnictwo trybunału, złożonego z dwóch moich starszych oficerów, ciebie, kapitanie, i jednego twojego oficera. Ten trybunał przeprowadzi natychmiast bezstronne śledztwo i winowajca, człowiek, który dopuścił się prowokacji, zostanie ukarany.

Kapitan Blood skłonił się. Nie chciał przeciągać struny.

– Doskonale, baronie. Miałeś też całą noc na zastanawianie się nad naszą umową. Czy potwierdzasz ją, czy też unieważniasz?

Pan baron przymrużył oczy. Myślał wciąż o słowach pana de Cussy, że ci piraci będą ostrzem każdej wykutej przezeń broni. Nie mógł się bez nich obejść. Zrozumiał taktyczny błąd, jaki popełnił zamierzając zmniejszyć udział w łupach. Wycofanie się z takiej pozycji jest zawsze połączone

z utratą autorytetu. Lecz byli jeszcze ci ochotnicy, których pan de Cussy werbował dla wzmocnienia sił królewskiego generała. Ich obecność pozwoli w przyszłości na nowo podnieść tę kwestię. Na razie należy się wycofać możliwie jak najbardziej honorowo.

– Myślałem również i o tym – oznajmił więc – i chociaż moja opinia pozostaje nie zmieniona, to jednak skoro pan de Cussy złożył zobowiązanie, powinien je wypełnić. Zatwierdzam naszą umowę.

Kapitan Blood skłonił się ponownie. Pan de Rivarol na próżno szukał najmniejszych śladów zwycięskiego uśmiechu na jego zaciśniętych ustach. Twarz korsarza wyrażała głęboką powagę.

Wolverstone został uwolniony tegoż popołudnia, a jego napastnik skazany na dwa miesiące aresztu. Tak więc przywrócono zgodę, lecz początek nie był obiecujący i wkrótce miały przyjść podobne nieporozumienia.

Blood i jego oficerowie zostali w tydzień później zwołani na naradę celem ułożenia planu działania przeciwko Hiszpanii. Pan de Rivarol przedstawił zebrany projekt wyprawy na bogate hiszpańskie miasto Cartagenę. Kapitan Blood wyraził zdziwienie. Baron niechętnie poprosił go o wyjaśnienie przyczyn tego zdumienia, co też korsarz uczynił z całkowitą szczerością.

– Gdybym był generałem królewskich armii w Ameryce – rzekł – nie miałbym najmniejszych wątpliwości ani wahań co do najlepszego sposobu służenia mojemu królowi i narodowi francuskiemu. Podobnie jak i ja pan de Cussy przyzna, że powinniśmy natychmiast wyruszać na hiszpańską Hispaniolę i zająć tę całą wspaniałą i urodzajną wyspę na rzecz króla Francji.

– To zrobimy później – rzekł pan de Rivarol – moim życzeniem jest zacząć od Cartageny.

– A więc chcesz, panie, żeglować przez całe Morze Karaibskie na awanturniczą wyprawę, a zaniedbywać to, co leży pod nosem? W naszej nieobecności Hiszpanie mogą napaść na francuską Hispaniolę. Jeżeli zaczniemy od wyparcia z wyspy Hiszpanów zaradzimy temu niebezpieczeństwu. Ozdobimy koronę Francji najcenniejszą posiadłością Indii Zachodnich. Przedsięwzięcie nie przedstawia żadnych szczególnych trudności, można go wprędce dokonać, a później mieć czas na dalsze wyprawy. Wydaje mi się, iż nasza kampania winna przebiegać w takiej

właśnie logicznej kolejności.

Blood skończył i zapadło milczenie. Pan de Rivarol rozparł się w fotelu gryząc koniec pióra. Wreszcie chrząknął i zapytał:

– Czy jeszcze ktoś podziela opinię kapitana Blooda?

Nikt mu nie odpowiedział. Francuscy oficerowie z obawy przed nim, a piraci Blooda, gdyż spodziewali się zdobyć w Cartagenie bogate łupy, a z drugiej strony lojalność wobec dowódcy nakazywała im milczenie.

– Widocznie nikt nie podziela tego zdania – zauważył baron z kwaśnym uśmiechem.

Kapitan Blood roześmiał się głośno, bo w tej chwili przejrzał barona. Postawa francuskiego generała i jego wyniosłość tak zaimponowały Bloodowi, że dopiero teraz zdołał dojrzeć w nim kramarskiego ducha. Dlatego też roześmiał się; cóż mu bowiem pozostało? Lecz w śmiechu jego brzmiało więcej gniewu niż pogardy. Miał bowiem nadzieję skończyć już z piractwem. Do przyjęcia służby francuskiej skłoniła go też przede wszystkim myśl, że nie będzie musiał uprawiać rozboju. A teraz ten butny, wyniosły arystokrata, nazywający się generałem francuskich armii, zaproponował rabunkową, złodziejską wyprawę, która odarta z maski regularnej wojny, była najjaskrawszym przejawem piractwa.

Zaintrygowany tym śmiechem, pan de Rivarol mruknął niechętnie:

– Z czego się śmiejesz, kapitanie?

– Śmieję się, ponieważ odkryłem tu bardzo zabawny przykład ironii losu. Pan, baronie i generale francuskich królewskich armii lądowych i morskich w Ameryce, proponujesz wyprawę o czysto pirackim charakterze, podczas gdy ja, pirat, występuję z planem mającym ratować honor Francji. Rozumiesz chyba komizm tej sytuacji.

Lecz pan de Rivarol nie widział nic podobnego. Przeciwnie, rozgniewał się bardzo, zerwał się na równe nogi, a za nim wszyscy inni, oprócz pana de Cussy, który siedział z ponurym uśmiechem na twarzy. On również czytał w myślach barona jak w otwartej księdze i gardził nim.

– Panie piracie – zawołał baron ochryłym głosem – czy muszę ci znowu przypomnieć, że jestem twoim przełożonym?

– Moim przełożonym? Ty, baronie? Boże wielki! Ty jesteś przecież pospolitym piratem! Ale teraz usłyszysz prawdę, i to w obecności wszystkich gentlemanów mających zaszczyt służenia królowi Francji! I to ja, pirat

i rozbójnik morski, muszę stać tu i mówić ci, co leży w interesie francuskiego honoru i francuskiej korony! A tymczasem ty, mianowany przez króla generał, nie zważasz na to i zamierzasz marnować siły królewskie zdobywając odległą i bez żadnego znaczenia osadę, przelewać na próżno krew francuską dla zdobycia miasta, którego i tak nie będzie można utrzymać. A czynisz to, gdyż wiesz, jak wiele złota znajduje się w Cartagenie, i chcesz się tam wzbogacić! Jest to zaprawdę godne kramarza, który próbował się targować o nasze udziały w łupach i obciąć je już po podpisaniu umowy. Jeśli się mylę, niech zabierze głos pan de Cussy. Jeśli się mylę, dowiedz mi tego, a przeproszę cię. Tymczasem, panowie, opuszczam tę naradę. Nie chcę bowiem brać udziału w waszych rozważaniach. Wstąpiłem na służbę króla Francji i chciałem ją szanować. Nie mogę tego jednak uczynić udzielając zgody na marnowanie życia ludzkiego i materiału wojennego w wyprawach na nieważne osady, wyprawach organizowanych jedynie w celach rabunkowych! Odpowiedzialność za takie decyzje musi spoczywać na tobie i tylko na tobie. Żądam, aby pan de Cussy doniósł o mojej opinii ministrom Francji. Poza tym do pana należy wydawać mi rozkazy. Oczekuję ich na pokładzie mojego okrętu, zarówno jak i konsekwencji natury osobistej, jeśli zechcesz wyciągnąć takowe ze słów, których musiałem użyć na tej naradzie. Mam zaszczyt pożegnać cię, panie baronie!

Wyszedł dumnie, a za nim trzej lojalni kapitanowie, tym razem bliscy przekonania, że oszalał.

Ośłupiały pan de Rivarol dyszał ciężko jak ryba wyrzucona na ląd. Gorzkie słowa prawdy odebrały mu mowę. Opanowawszy się, podziękował gorąco Bogu, że kapitan Blood z własnej woli opuścił naradę. W sercu palił go wstyd i wściekłość. Zerwano mu maskę i podano w powszechną wzgardę jego, generała królewskich lądowych i morskich armii w Ameryce.

Mimo to w połowie marca okręty popłynęły do Cartageny. Ochotnicy i Murzyni, w liczbie tysiąca dwustu ludzi, uzupełnili oddziały znajdujące się bezpośrednio pod dowództwem pana barona. Z taką siłą można już myśleć o utrzymaniu piratów w posłuszeństwie.

Okręty tworzyły razem imponującą flotę. Prowadził ją flagowiec admirała „Niezwyciężony”, potężna jednostka, o osiemdziesięciu działach. Każdy z czterech pozostałych francuskich okrętów był silniejszy od czterdziestodziałowej „Arabelli”. Za nim płynęły mniejsze okręty pirackie.

„Elżbieta”, „Atropos” i „Lachezis”, a oprócz tego z tuzin stateczków z zapasami żywności oraz czółna i małe łodzie prowadzone na holu.

W dwa dni po wyruszeniu pana de Rivarol na południe flota jego o mało nie natknęła się na eskadrę jamajską, żeglującą pod dowództwem pułkownika Bishopa na północ od Tortugi.

XXVII

CARTAGENA

Flota francuska przepłynęła Morze Karaibskie walcząc z przeciwnymi wiatrami i dopiero na początku kwietnia stanęła w dryf koło Cartageny. Pan de Rivarol zwołał na swoim flagowym okręcie naradę mającą ustalić plan akcji.

– Ważne jest, panowie – oświadczył zebrany generał – byśmy zdobyli miasto przez zaskoczenie, nie tylko zanim Hiszpanie przygotowują się do obrony, lecz i zanim zdołają wywieźć złoto w głąb kraju. Proponuję wysadzić dziś wieczór na ląd na północ od miasta desant, dość silny, by to wykonać. – Następnie wyłożył szczegółowo obmyślony przez siebie plan działania.

Francuscy oficerowie słuchali go z szacunkiem i aprobatą, kapitan Blood ze wzgardą, a inni korsarze obojętnie.

Blood, który dotychczas odmawiał uczestnictwa w naradach określających cele wyprawy, brał udział w tym posiedzeniu i jedyny spośród obecnych tu ludzi dobrze wiedział, co ich czeka. Dwa lata temu planował wyprawę na to samo miasto i wtedy szczegółowo zbadał jego położenie, o czym teraz chciał powiadomić zebranych.

Plan barona był właśnie taki, jakiego można było oczekiwać od dowódcy znajdującego Cartagenę tylko z mapy.

Z geograficznego i strategicznego punktu widzenia położenie miasta jest niezwykle. Stanowi ono czworokąt osłonięty od wschodu i północy górami, a frontem zwraca się na południe, w kierunku dwóch zatok, przez

które można doń podpłynąć. Wejście do zewnętrznej zatoki, tworzącej właściwie lagunę o trzech milach średnicy, prowadzi przez wąski przesmyk, zwany Boca Chica lub Małe Ujście, i jest bronione przez fort. Długi, gęsto zalesiony przylądek, wysunięty na zachód, gra tu rolę naturalnego falochronu. Przy wejściu do wewnętrznej zatoki ciągnie się na wschód od niego, w kierunku lądu, inny półwysep. Od kontynentu oddziela go głęboki, lecz bardzo wąski kanał, prawdziwa brama wiodąca do bezpiecznej i osłoniętej wewnętrznej przystani. Przesmyku tego broni drugi fort. Na wschód i północ od Cartageny leży ląd nie odgrywający specjalnego znaczenia. Natomiast na zachód i północo-zachód miasto – tak dobrze osłonięte z innych stron – otwiera się ku morzu, od którego dzieli je tylko plaża półmilowej szerokości. Oprócz silnych murów warownych Cartagena wydaje się od tej strony, nie licząc plaży, niczym nie osłonięta. Lecz te pozory są złudne. Zmyliły też barona, kiedy układał swój plan.

Kapitan Blood został zmuszony do wskazania na trudności, gdy pan de Rivarol zawiadomił go, iż zaszczyt rozpoczęcia napadu przypada, zgodnie z jego projektem, korsarzom.

Blood uśmiechnął się sardonicznie, oceniając rolę wyznaczoną jego ludziom. Tego właśnie oczekiwał: niebezpieczeństwo dla korsarzy, a sława i zyski dla barona.

– Muszę jednak zrezygnować z tego zaszczytu – rzekł chłodno.

Wolverstone mruknął przytwierdzająco, a Hagthorpe skinął głową. Yberville'a, nie mniej niż innych oficerów, gniewała buta jego dostojnego rodaka, nigdy też nie zawahał się w swej lojalności wobec Blooda. Francuscy oficerowie, a było ich na naradzie sześciu, patrzyli na przywódcę korsarzy z pogardliwym zdumieniem, baron zaś wyzywająco zaatakował Blooda pytaniem:

– Jakżesz to? Rezygnujesz pan? Nie chcesz słuchać rozkazów?

– Myślałem, panie baronie, że zebrałeś nas tu, byśmy rozważyli sposoby walki.

– To źle myślałeś, kapitanie. Jesteś tu, aby wysłuchać moich rozkazów. Ja już rozważyłem i powziąłem decyzję. Czy mnie rozumiesz?

– Och tak, rozumiem – roześmiał się Blood. – Zastanawiam się jednak, czy ty rozumiesz sytuację? – I nie dając baronowi czasu na rzucenie cisnącego się na usta gniewnego pytania, mówił dalej: – Twierdzisz, iż

rozważyłeś wszystko i powziąłeś decyzję. Lecz jeśli postanowienie twoje nie wynika z chęci wytracenia moich ludzi, zmienisz je natychmiast, gdy usłyszysz, co ci powiem. Cartagena wydaje się zupełnie bezbronna od północy, bo jest pozornie odsłonięta od strony morza. Z drugiej strony, jak wytłumaczyć, że Hiszpanie, budując i z takim trudem obwarowując miasto od południa, pozostawili je tak łatwe do zdobycia od północy?

To pytanie zaskoczyło barona.

– Hiszpanie – mówił dalej Blood – nie są takimi głupcami, za jakich ich uważasz. Dwa lata temu, panowie, badałem położenie Cartageny, przygotowując się do napadu na nią. Zjawiłem się tu z kilku zaprzyjaźnionymi Indianami i w indiańskim przebraniu spędziłem tydzień w mieście, studiując starannie prowadzące doń drogi. Od strony morza, gdzie jak się wydaje, miasto nęci do szturm, rozciąga się na przestrzeni pół mili pas mielizn. Wystarczy to zupełnie, by nie dopuścić żadnego statku na odległość strzału armatniego. Nie można bezpiecznie zbliżyć się do lądu na mniej niż trzy czwarte mili.

– Ale my będziemy wysadzać desant w czółnach, pirogach i małych łodziach – zawołał niecierpliwie jeden z oficerów.

– Nawet w najspokojniejszej porze roku przybój uniemożliwi taką operację. Należy też pamiętać, że nawet gdyby, jak to mówicie, lądowanie było możliwe, oddziały desantowe nie byłyby osłonięte ogniem dział okrętowych. Przeciwnie, desantowi groziłoby ostrzelanie przez własną artylerię.

– Jeśli stosownie do mojej propozycji przeprowadzimy atak w nocy, osłona ogniowa będzie niepotrzebna. Wyjdziecie na brzeg, zanim Hiszpanie spostrzegą, co zamierzacie.

– Sądzisz, generale, że Cartagena jest miastem ślepców i że akurat w tej chwili nie liczą oni naszych żagli i nie zastanawiają się, kim jesteśmy i po co przybywamy?

– Lecz skoro Hiszpanie czują się zabezpieczeni od północy, jak sam w nas wmawiasz – zawołał niecierpliwie baron – to będą właśnie uśpieni poczuciem bezpieczeństwa.

– Być może. Bo też są bezpieczni. Jakakolwiek próba lądowania z tej strony skazana jest na niepowodzenie przez samą przyrodę.

– A jednak my ją uczynimy – odparł z uporem baron, któremu pycha nie

pozwalala ustąpić w obecności oficerów.

– Jeśli po tym, co usłyszałeś ode mnie, nie zmieniasz swego postanowienia, baronie, to oczywiście masz prawo decydować. Lecz ja nie poprowadzę moich ludzi na niepotrzebną zagładę.

– Na mój rozkaz... – zaczął baron, ale Blood przerwał mu bezceremonialnie:

– Panie baronie, kiedy pan de Cussy werbował nas w twoim imieniu, brał pod uwagę zarówno nasze doświadczenie i naszą umiejętność w prowadzeniu wojny na morzu, jak i naszą siłę. Postawiłem w tym wypadku moją wiedzę i doświadczenie do twojej dyspozycji. Chciałbym dodać, iż niegdyś sam porzuciłem plan napadu na Cartagenę, gdyż nie miałem wtedy dostatecznej siły, by sforsować wejście do zatoki, które jest jedyną drogą do miasta. Twoje obecne siły zupełnie do tego wystarczą.

– Lecz w czasie naszego ataku Hiszpanie zdążą ukryć wielką część swoich skarbów. Musimy ich zaskoczyć.

Kapitan Blood wzruszył ramionami.

– Jeżeli to tylko piracka wyprawa, ten wzgląd jest naturalnie najważniejszy. Taki też był dla mnie. Jeśli jednak zamierzacie ukrócić dumę Hiszpanii i zatknąć sztandar z liliami Burbonów na forcie tej kolonii, to strata części łupów nie może mieć w tej sytuacji wielkiego znaczenia.

Pan de Rivarol zagryzł markotnie wargi. Jego oczy płonęły ponuro na widok opanowanego, pewnego siebie korsarza.

– A skoro jednak rozkażę ci spróbować? – zapytał. – Odpowiedz mi; określmy już raz na zawsze nasze stanowiska i wyjaśnijmy, kto dowodzi tą wyprawą.

– Nudzisz mnie, baronie – odrzekł Blood i zwrócił się do pana de Cussy, który siedział z zaciśniętymi ustami, nie wiedząc, co ze sobą począć: – Apeluję do ciebie, gubernatorze, byś wytłumaczył mnie przed generałem.

Pan de Cussy otrząsnął się z ponurych rozważań, odchrząknął i zaczął ze zdenerwowaniem:

– Wobec tego, co powiedział kapitan Blood...

– Do diabła z tym wszystkim! – wybuchnął baron. – Widocznie jestem otoczony tchórzami Słuchaj no, kapitanie, ponieważ ty się boisz tego przedsięwzięcia, ja sam je wykonam. Morze jest spokojne, więc liczę na pomyślne lądowanie. Jeżeli mi się to uda i dowiodę, iż nie masz racji,

usłyszysz jutro ode mnie kilka nieprzyjemnych słów. Jestem wspaniałomyślny wobec ciebie, mój panie – uczynił ręką królewski gest – możesz odejść.

Powodowany tylko uporem i pychą, generał otrzymał zasłużoną lekcję. Flota zbliżyła się w ciągu popołudnia do wybrzeża na odległość mili i pod osłoną ciemności trzystu ludzi podwieszono do wybrzeża czółnami, pirogami i szalupami okrętowymi. W ich liczbie znajdowało się dwustu Murzynów, gdyż cały ich oddział zmuszono do wzięcia udziału w ataku. Duma Rivarola kazała mu osobiście objąć dowództwo nad tą akcją, choć nie zdradzał do tego zbyt chętnie.

Pierwsze sześć łodzi zostało pochwycone przez przybój i rozbite w drzazgi, zanim załogi zdołały się z nich wydostać. Grzmot bałwanów i krzyki rozbitków ostrzegły innych i uchroniły ich przed podobnym losem. Na pośpieszny rozkaz barona desant wycofał się z niebezpiecznej strefy i zaczął wyławiać tonących. W akcji tej stracono około pięćdziesięciu ludzi i sześć łodzi z amunicją i lekkimi działami.

Baron wrócił na okręt flagowy wściekły, lecz nie nauczony doświadczeniem. Mądrość, nawet bolesna, zdobyta przez doświadczenie, jest nie dla takich jak pan de Rivarol. Jego wściekłość zwróciła się przeciw wszystkim, lecz ześrodkowała się głównie na kapitanie korsarzy, gdyż przez jakiś wypaczony proces myślowy uznał Blooda winnym swego niepowodzenia. Poszedł do łóżka rozmyślając gniewnie, co mu powie nazajutrz.

O świcie zbudził barona dochodzący z dala grzmot dział. Wyszedł na mostek w pantoflach i szlafmocy i ujrzał coś, co spotęgowało jeszcze jego nierozsądną i niesłuszną pasję. Cztery korsarskie okręty wykonywały jakieś skomplikowane manewry pod pełnymi żaglami o pół mili od Boca Chica i nieco dalej niż pół mili od reszty floty. Z burt ich wykwiwały płomienie i dym za każdą salwą oddaną do wielkiego, okrągłego fortu, strzegącego wąskiego przesmyku. Fort odpowiadał wściekłym ogniem, lecz korsarze strzelali w momencie, gdy oblężeni ładowali działa. Kiedy Hiszpanie odpowiadali ogniem, okręty korsarskie obracały się, pozostając ciągle ruchomym celem, a nadto ustawiając się do fortu to dziobami, to rufami, tak by maszty kryły się jeden za drugim, co w chwilach najsilniejszej kanonady zmniejszało cel dla armat przeciwnika.

Pan de Rivarol stał klnąc i złorzecząc i obserwował akcję, tak zuchwale i na własną odpowiedzialność podjętą przez Blooda. Oficerowie „Niezwycięzonego” zgrupowali się wokół dowódcy, zjawił się też pan de Cussy i wtedy dopiero baron dał folgę swej wściekłości. Burzę wywołał sam pan de Cussy zacierając ręce i ciesząc się z energii zwerbowanych przez siebie ludzi.

– No i co, baronie? – wykrzykiwał gubernator Hispanioli. – Ten kapitan Blood zna się na rzeczy! Z pewnością zatknie francuską flagę na forcie jeszcze przed śniadaniem.

Baron odwrócił się do niego z gniewem:

– Zna się na rzeczy, co? Pozwól sobie powiedzieć, panie de Cussy, że jego sprawą jest słuchać moich rozkazów, a ja takiego rozkazu nie wydałem. Na Boga! Niech się to skończy, a rozprawię się z nim za tę przekłętą niekarność.

– Jeśli mu się powiesz, panie baronie, z pewnością zostanie usprawiedliwiony.

– Usprawiedliwiony! Ach, parbleu! Czyż żołnierz może być usprawiedliwiony działając bez rozkazu? – Generał szalał z wściekłości, podtrzymywanej przez niechętnych Bloodowi oficerów.

Tymczasem bitwa wrzała. Fort poniósł wielkie straty, a i korsarze, mimo zręcznego manewrowania, też nie uniknęli szkód., Prawostronne nadburcia „Atropos” zostały rozbite w drzazgi, a kula armatnia przebiła pokład nadbudówki rufowej. „Elżbieta” miała strzaskany przedni kasztel, „Arabella” straciła bocianie gniazdo na grotmaszcie, a „Lachezis” wyszła z walki ze strzaskanym sterem, który naprędce zastąpiono wielkim wiosłem.

Groźne oczy niedorzecznego generała zabłysły zadowoleniem.

– Oby niebo zatopiło wszystkie te piekielne okręty! – zawołał wściekle.

Lecz niebo go nie wysłuchało. Zaledwie zdążył wymówić te słowa, gdy rozległ się straszliwy wybuch i połowa fortu wyleciała w powietrze. Celny strzał korsarzy wysadził prochownię.

W kilka godzin później kapitan Blood, wytworny i spokojny, jakby wracał z przyjęcia, wstąpił na rufę „Niezwycięzonego”, aby spotkać się z baronem, który jeszcze ciągle był w szlafmocy i pantoflach.

– Admirale! Melduję zdobycie fortu Boca Chica. Sztandar Francji powiewa na szczytkach wieży, a droga do zewnętrznej zatoki jest otwarta dla twojej floty.

Pan de Rivarol musiał przełknąć dławiącą go wściekłość. Ogromna radość jego oficerów nie pozwoliła mu dokończyć wyrzutów. Lecz oczy barona błyszczały złością, a twarz była blada z gniewu.

– Masz szczęście, panie Blood, że odniosłeś sukces – rzekł. – Porażka nie wyszłaby ci na zdrowie. Na drugi raz bądź łaskaw czekać na moje rozkazy, bo los może ci kiedyś nie użyć takiej szansy jak dzisiaj.

Blood błysnął w uśmiechu bielą zębów i skłonił się.

– Oczekuję twoich rozkazów, generale, które pozwolą wykorzystać nasze zwycięstwo. Szybkość natarcia jest pierwszym warunkiem sukcesu.

Rivarol oniemiał ze zdziwienia. Zajęty bowiem swoim nierozsądnym gniewem nie zdążył jeszcze o niczym pomyśleć. Opamiętał się jednak natychmiast.

– Proszę do mojej kabiny – rozkazał stanowczo i odwrócił się wskazując drogę. Blood zatrzymał go.

– Za pozwoleniem, generale, zostańmy lepiej tutaj. Cała scena naszej przyszłej akcji rozpościera się tu przed nami jak mapa. – Ruchem ręki wskazał lagunę, otaczającą ją ląd i spore miasto, odsunięte nieco od wybrzeża. – Jeżeli wolno mi będzie zaproponować... – Tu wstrzymał się na chwilę.

Pan de Rivarol spojrzał nań ostro, podejrzewając ironię, lecz smągła twarz korsarza była łagodna, a bystre oczy – spokojne.

– Posłuchamy tej propozycji – zgodził się.

Blood wskazał na fort przy ujściu wewnętrznej zatoki, ledwie widoczny ponad palmami porastającymi cypel, i oznajmił, że uzbrojenie tej warowni jest słabsze niż zdobytej już twierdzy, lecz przesmyk jest też o wiele węższy niż Boca Chica i zanim spróbuje się go sforsować, należy najpierw uniemożliwić jego obronę. Zgodnie z propozycją Blooda francuskie okręty miały wejść do zewnętrznej zatoki i natychmiast zacząć bombardowanie. Przez ten czas on sam wysadzi desant na ląd na wschód od laguny, za wysepkami tonącymi w wonnych sadach, uginających się teraz pod ciężarem owoców. Grupa desantowa, złożona z trzystu korsarzy i dział, miała szturmować fort od tyłu. W ten sposób, oblężony z dwóch stron na raz i przerażony klęską silniejszej warowni, fort nie powinien się długo opierać. Wówczas pan de Rivarol obsadzi twierdzę swoimi ludźmi, a kapitan Blood rzuci się z korsarzami naprzód i zdobędzie kościół Nuestra Señora de la

Poupa, widoczny na wzgórzu na wschód od miasta. Zapewni to nie tylko cenne i oczywiste korzyści strategiczne, lecz również panowanie nad jedyną drogą prowadzącą z wnętrza wyspy do Cartageny. Po zdobyciu tego wzgórza Hiszpanie nie będą mieli możliwości wywiezienia skarbów z miasta.

Kapitan Blood wiedział, jak decydujące znaczenie będzie miał dla barona ten ostatni argument. Pan de Rivarol, choć dotąd zachowywał się butnie i dotknięty we własnej próżności traktował plany korsarza bardzo krytycznie, zmienił się nagle. Ożywił się, nabrał energii i posunął swą łaskawość do tego stopnia, że przyjął plan Blooda i rozkazał natychmiast przystąpić do ataku.

Zbyteczne byłoby dokładne przedstawianie przebiegu tej akcji. Błędy popełnione przez Francuzów nie pozwoliły na gładkie przeprowadzenie zamierzeń, a nieumiejętne manewrowanie okrętami ułatwiło nieprzyjacielowi w ciągu tego popołudnia zatopienie dwóch jednostek ogniem działowym. Ale wieczorem, głównie na skutek niepowstrzymanej wściekłości, z jaką korsarze szturmowali twierdzę od strony lądu, musiała się ona poddać i zanim zapadł zmrok, oddział Blooda wraz z przetransportowanymi na mułach działami panował nad miastem ze wzgórza Nuestra Señora de la Poupa.

Następnego dnia w południe pozbawione obrony i zagrożone bombardowaniem miasto wysłało do barona delegację dla omówienia warunków kapitulacji.

Nadęty pychą z powodu zwycięstwa, które poczytywał za własną zasługę, baron podyktował swoje warunki. Zażądał wydania wszelkiego dobra publicznego i ksiąg wszystkich urzędów oraz pieniędzy i towarów przechowywanych przez kupców na rachunek wierzycieli. Mieszkańcy mogli albo pozostać w mieście, albo też je opuścić po uprzednim oddaniu całego dobytku najeźdźcom. Kto zostawał, musiał oddać połowę majątku i przyjąć poddaństwo francuskie. Klasztory i kościoły miano oszczędzić po przedstawieniu przez nie spisów posiadanych funduszków i kosztowności.

Cartagena przyjęła te warunki, gdyż nie miała innego wyboru, i nazajutrz, dnia 5 kwietnia, pan de Rivarol zajął miasto proklamując Cartagenę kolonią francuską. Pan de Cussy został mianowany gubernatorem. Następnie zwycięzca udał się do katedry, gdzie z należnymi ceremoniami odśpiewano „Te Deum”. Po tym akcie pobożności pan de

Rivarol zabrał się do łupienia miasta. Jediną różnicę między najazdem Francuzów a zwykłym napadem piratów stanowiło rozporządzenie grożące żołnierzowi najsurowszymi karami za wchodzenie do domów prywatnych. Lecz to pozorne poszanowanie własności i bezpieczeństwa mieszkańców opierało się w rzeczywistości tylko na obawie barona, by ani o jedną sztukę złota nie umniejszono potoku bogactw płynących do skarbcza otwartego przezeń w imieniu króla Francji. Kiedy ten złoty potok przestał płynąć, pan de Rivarol zniósł wszelkie ograniczenia i wydał miasto na łup żołdactwu, a ono odarło mieszkańców z tej części, której nietykalność była im zagwarantowana pod warunkiem przyjęcia poddaństwa francuskiego. Zagrabione skarby były olbrzymie. W ciągu czterech dni ponad sto obładowanych złotem mułów wyprowadzono z miasta i przeniesiono skarby do łodzi, które czekały przy brzegu, by przewieźć zdobycz na okręty.

XXVIII

HONOR PANA DE RIVAROL

Podczas kapitulacji i przez parę dni po niej kapitan Blood z większością swoich ludzi trwał na posterunku na wzgórzu Nuestra Senora de la Poupa, nic nie wiedząc o zajściach w mieście. Choć głównie kapitanowi Bloodowi zawdzięczano szybkie zdobycie Cartageny, tego prawdziwego skarbcza, nie okazano mu jednak żadnych względów, nie zaproszono nawet na naradę oficerów, na której ustalono pod przewodnictwem pana de Rivarol warunki kapitulacji.

Kiedy indziej Blood nie zniósłby takiej obelgi nawet przez chwilę. Teraz jednak, gdy już pożegnał się z piractwem, był w szczególnym nastroju i uśmiechem tylko wyrażał swoją głęboką wzdargę dla francuskiego generała. Inaczej jednak odnosili się do tej sprawy jego oficerowie i reszta załóg. W duszach ich tliło się przez jakiś czas rozgoryczenie, by przy końcu tygodnia gwałtownie wybuchnąć. Kapitan z trudem ich uspokoił, po czym udał się na poszukiwanie Rivarola.

Znalazł go w mieście, w kantorze, gdzie pracował cały sztab pisarzy rejestrujących znoszone skarby i sprawdzających księgi rachunkowe z zamiarem dokładnego ustalenia brakujących sum. Baron siedział tu przeglądając księgi jak dobry kupiec i sprawdzając rachunki, aby upewnić się, czy nie brakowało choć jednego peso. Zaiste było to odpowiednie zajęcie dla generała lądowych i morskich sił króla Francji. Baron spojrział gniewnie na kapitana, który przerwał to dostojne zajęcie.

– Panie baronie – powitał go korsarz – chcę szczerze z tobą pomówić; winieneś mnie wysłuchać. Moi ludzie są bliscy buntu.

Pan de Rivarol spojrział na przybyłego, z lekka uniósłszy brwi.

– Kapitanie – rzekł – ja też będę mówił szczerze i także proszę, byś mnie wysłuchał. Gdyby wybuchł bunt, ty i twoi oficerowie będziecie osobiście za to odpowiedzialni. Popelniasz błąd występując wobec mnie jako sprzymierzeniec, podczas gdy jasno dałem ci od pierwszej chwili do zrozumienia, iż służysz tylko pod moją komendą. Jeśli to zrozumiesz, oszczędzisz nam wiele niepotrzebnych słów.

Blood z trudem zdołał się opanować. Myślał, że któregoś pięknego dnia trzeba będzie dla dobra ludzkości obciąć grzebień temu butnemu aroganckiemu kogutowi.

– Możesz określić nasz stosunek, jak sobie życzysz, generale – odparł – chciałbym ci jednak przypomnieć, iż istota rzeczy nie zmienia się przez nadanie jej innej nazwy. Mnie obchodzą tylko fakty, a zwłaszcza fakt zawarcia z tobą umowy o podziale łupów. Moi ludzie domagają się dotrzymania jej. Są niezadowoleni.

– A z czegoż to są niezadowoleni? – zapytał generał.

– Z twojej nieuczciwości, baronie.

Uderzenie w twarz nie zdumiałoby bardziej Francuza. Zesztywniał, wyprostował się, oczy jego zapłonęły, a oblicze pokryło się śmiertelną bladością. Pisarze poodkładali pióra i w przerażeniu oczekiwali wybuchu.

Przez długą chwilę panowało milczenie. Później wielki dostojnik ulżył sobie wołając w szalonym gniewie:

– Czy rzeczywiście pozwalacie sobie na tę zuchwałość, ty i twoi złodzieje? Święty Boże! Odpowiesz mi za te słowa, choć pojedynek z tobą poczytuję sobie za jeszcze większy dyshonor. Tfu!

– Chciałem ci przypomnieć – rzekł Blood – iż nie przemawiam we własnym imieniu, lecz w imieniu moich ludzi. To oni są niezadowoleni i oni grożą, że jeśli nie zadośćuczynisz ich żądaniom, i to szybko, sami wymierzą sobie sprawiedliwość.

– Sami sobie? – zawołał Rivarol dygocąc z gniewu i wściekłości. – Niech tylko spróbują, a...

Nie unosź się baronie. Mają do tego prawo, o czym sam wiesz doskonale. Chcą wreszcie usłyszeć, kiedy odbędzie się podział zdobyczy i kiedy

otrzymają należną im piątą część łupu.

– Boże, daj mi cierpliwość! Jakże możemy dzielić zdobycz, zanim jeszcze została zebrana?

– Moi ludzie mają powody przypuszczać, iż zdobycz została już zgromadzona. W każdym razie patrzą podejrzliwie, jak ładujecie skarby tylko na francuskie okręty, pozostawiając je wyłącznie pod swoją opieką. Obawiają się, by później nie było za trudno ustalić, ile w rzeczywistości łupy te wynoszą.

– Ależ ja sam prowadzę rachunki. Wszyscy mogą je sprawdzić.

– Korsarze nie chcą zaglądać do ksiąg. Większość z nich nie umie czytać. Chcą widzieć łupy, a nie papier. Zmuszasz mnie do postawienia sprawy jasno. Otóż słyszeli o fałszowaniu przez ciebie rachunków. Zdobycz zapisana w twoich księgach wynosi jakieś dziesięć milionów liwrów⁸⁷, a moi naprawdę doświadczeni w tych sprawach chłopcy oceniają sumę zdobytą w Cartagenie na przeszło czterdzieści milionów. Chcą oni zobaczyć skarby i patrzeć, jak się je waży, zgodnie ze zwyczajami Braci Wybrzeża.

– Nie znam flibustierskich zwyczajów – odezwał się pogardliwie baron.

– Ale uczysz się ich szybko.

– Co masz na myśli, ty łotrze? Jestem wodzem armii, a nie plądrujących rozbójników.

– Ależ oczywiście! – Niebieskie oczy Blooda nie ukrywały ironii. – Jednakże czymkolwiek jesteś, jeśli nie spełnisz żądania, które ja uważam za słuszne i dlatego podtrzymuję, spotka cię niejeden kłopot i wcale bym się nie zdziwił, gdybyś nigdy już nie odpłynął z Cartageny i nie zawiózł ani sztuki złota do Francji.

– *Pardieu!* Czy to ma być groźba?

– Spokojnie, baronie! Ostrzegam cię tylko przed przykrościami, których możesz uniknąć przy odrobinie rozwagi. Nie wiesz nawet, na jakim wulkanie siedzisz. Nie znasz jeszcze bukanierów. Jeżeli będziesz się upierał, Cartagena spłynie krwią i niezależnie od rezultatu, ta walka nie przysporzy chwały królowi Francji.

Słowa te przeniosły przedmiot sporu na mniej wrogi grunt. Dyskusja trwała jeszcze jakiś czas, po czym baron niechętnie przystał na żądania korsarzy, zdając sobie sprawę, jakim niebezpieczeństwem groziła dalsza zwłoka. W boju Francuzi mogliby pokonać zwolenników Blooda, lecz wynik

był niepewny. Nawet zwycięstwo przyniosłoby baronowi straty w ludziach, a to nie pozwoliłoby utrzymać w posiadaniu zdobytego miasta.

Wreszcie generał obiecał natychmiast poczynić niezbędne przygotowania i pokazać nazajutrz Bloodowi i jego oficerom skarby na pokładzie „Niezwycięzonego”, zważyć je w ich obecności i przekazać piątą część korsarzom.

Tej nocy wśród flibustierów panowała wielka radość z powodu nagłej ustępliwości barona, lecz rano wyjaśnił jej powody. Jedynymi pozostałymi w porcie okrętami były „Arabella” i „Elżbieta”, kotwiczące się na kotwicach, oraz „Atropos” i „Lachezis”, wyciągnięte na ląd celem naprawy szkód wyrządzonych przez artylerię wroga. Okręty francuskie znikły. Pod osłoną nocy wyholowano je w tajemnicy z portu. Po królewskiej eskadrze pozostał tylko ślad w postaci trzech nikonących na zachodzie żagli. Baron zabrał ze sobą wszystkie skarby oraz żołnierzy i marynarzy przywiezionych z Francji. Oprócz korsarzy zostawił jeszcze w Cartagenie pana de Cussy razem z ochotnikami i Murzynami z Hiszpanii, których tak samo oszukał.

Zjednoczone przez wspólną złość, obie te grupy wywarły swój straszliwy gniew na mieszkańcach nieszczęsnego miasta. Nowe gwałty i okrucieństwa przewyższały wszystko, co działo się dotychczas.

Sam tylko kapitan Blood zachował spokój, opanowując swe głębokie zniechęcenie. Już dawniej obiecał porachować się z baronem przed rozstaniem za wszystkie afronty i obelgi, jakich doznał od tego nieprawdopodobnego bufona i jak się teraz okazało, zwykłego szubrawca.

– Musimy go ścigać – zdecydował Blood. – Doścignąć i ukarać!

Z początku rozkaz ten wywołał ogólny entuzjazm, lecz później zastanowiono się, że tylko dwa okręty zdolne były do żeglugi, a te nie mogły pomieścić wszystkich korsarzy. Zapasy, były też na razie niewystarczające na dłuższą podróż. Załogi „Lachezis” i „Atropos” wraz ze swoimi kapitanami, Wolverstone’em i Yberville’em, pierwsze odstąpiły od tego zamiaru. Dostyc jeszcze przecie pozostało ukrytych skarbów w Cartagenie. Wolą więc zostać w mieście i w czasie naprawy uszkodzonych statków wycisnąć z mieszkańców resztki ich majątku. Niech Blood, Hagthorpe i ich zwolennicy robią, co im się podoba.

Wtedy dopiero Blood zrozumiał nieopatrzność swego rozkazu i chcąc go cofnąć o mało nie wywołał bitwy między dwoma partiami korsarzy.

A tymczasem francuskie żagle z każdą chwilą nikły na horyzoncie. Blood popadł w rozpacz. Gdyby odpłynął teraz z Cartageny, kto wie, co stałoby się z miastem wydanym na łup doprowadzonych do wściekłości piratów. Gdyby pozostał, załogi jego i Hagthorpe'a przyłączyłyby się po prostu do orgii i bezceństw, które rozszaleją się niewątpliwie w mieście. Niezdolny do powzięcia decyzji, Blood dał się powodować załogom pragnącym doścignąć barona. Należało nie tylko ukarać go za podstępne oszustwo, lecz odebrać niezmiernie bogactwa i potraktować francuskiego dowódcę, który zdradziecko złamał przymierze, jak nieprzyjaciela.

Gdy rozdierany wątpliwościami Blood wahał się jeszcze, korsarze, niemal siłą zaprowadzili go na pokład „Arabelli”.

W ciągu godziny napełniono beczki słodką wodą i „Arabella” wraz z „Elżbietą” puściły się we wściekłą pogoń.

„Kiedy byliśmy już na pełnym morzu i kurs „Arabelli” został wykreślony – notuje Pitt w swoim dzienniku okrętowym – udałem się do kapitana, znajdującego się w głębokiej rozterce z powodu ostatnich wydarzeń. Siedział w kabinie, z głową opartą na rękach i niewidzącymi, udręczonymi oczyma”.

– Co znowu, Piotrze? – zawołał nawigator. – Boże mój, człowieku, co cię tak gnębi? Chyba nie myśl o Rivarolu? – Nie – odparł ochryple Blood i po raz pierwszy zaczął się zwierzać przyjacielowi. Może musiał podzielić się z kimś przytłaczającym go ciężarem, aby nie oszaleć. A Pitt był przecież jego przyjacielem i kochał go, więc można mu była się zwierzyć.

– Gdyby ona wiedziała! Gdyby ona tylko wiedziała! O Boże! Wydawało mi się, że skończyłem z piractwem, skończyłem na zawsze. A jednak ten łotr wciągnął mnie w najgorszy rozbój, jakim kiedykolwiek się splamiłem. Pomyśleć tylko o Cartagenie! Pomyśleć tylko o tym, co te diabły wyprawiają tam teraz! I ja muszę to wszystko brać na swoje sumienie!

– Nie, Piotrze, obciąża to sumienie nie twoje, lecz Rivarola. To ten plugawy złodziej doprowadził nas do tego. Jak mogłeś temu zapobiec?

– Zostałbym tam, gdybym coś mógł poradzić.

– Nic nie mógłbyś poradzić, wiesz o tym dobrze, czemu więc robisz sobie wyrzuty?

– To nie tylko o to chodzi – jęczał Blood.– Co będzie dalej? Co nam pozostało? Uniemożliwiono mi uczciwą służbę dla Anglii. Uczciwa służba dla, Francji doprowadziła mnie do takiego oto końca i na przyszłość jest

również niemożliwa. Co mi teraz pozostaje? Piractwo? Już z tym skończyłem. Jako żywo, jeśli mam żyć uczciwie, nie pozostaje mi nic innego jak tylko oddać mą szpadę na usługi Hiszpanii.

Lecz pozostało jeszcze jedno wyjście, które nigdy nie przyszłoby mu do głowy, coś, czego się nie spodziewał, a ku czemu szybko zdążał żeglując po tropikalnym morzu. To wszystko, na co tak gorzko narzekał, było tylko niezbędnym etapem, wiodącym go ku niezwykłemu przeznaczeniu.

Wzięli kurs na Hiszpanię, ponieważ według wszelkich przypuszczeń Rivarol powinien był udać się tam dla naprawy swoich okrętów przed puszczaniem się przez Atlantyk do Francji. „Arabella” i „Elżbieta” rażno prudy wodę, popędzane dość pomyślnym wiatrem. Płynęły na północ przez dwa dni i dwie noce, nie widząc ani śladu ściganych. Trzeci dzień przyniósł ze sobą mgłę, która zmniejszyła widzialność do dwóch czy trzech mil i pogłębiła rosnący niepokój i obawę, że jednak pan de Rivarol może im ująć.

Pozycja okrętów wynosiła, zgodnie z dziennikiem okrętowym, w przybliżeniu 17° 45' szerokości północnej i 75° 30' długości zachodniej, wobec czego Jamajka znajdowała się po ich lewej burcie, na trawersie, jakie trzydzieści mil na zachód. I rzeczywiście na horyzoncie w kierunku północno-zachodnim można było dostrzec niejasny, podobny do chmur zarys grzbietów Gór Błękitnych, wyraźnie widoczny na tle jasnego nieba ponad ławicami mgły. Sterowali bejdedwindem, a zachodni wiatr przynosił z oddali grzmoty, które mniej doświadczonym uszom mogłyby się wydawać rykiem fal przyboju, uderzającego o podwietrzny ląd. –Działa!– rzekł stojący na rufie obok Blooda Pitt. Blood skinął nasłuchując. – Dziesięć mil od nas, może piętnaście, gdzieś w pobliżu Port Royal – dodał Pitt, a później spojrzał na swego kapitana i zapytał: – Czy to nas obchodzi?

– Armaty koło Port Royal... to pewno dzieło pułkownika Bishopa, a przeciw komu miałyby one grzmieć, jak nie przeciw naszym przyjaciom? Sprawa ta może nas dotyczyć. W każdym razie trzeba ją zbadać. Każ dać ster na burtę.

Obrasowano⁸⁸ żagle bliżej do wiatru i skierowano się ostrym bejdedwindem w kierunku grzmotu dział, który rósł i stawał się wyraźniejszy, w miarę jak się zbliżali. Płynęli tak przez godzinę, aż wreszcie, gdy Blood starał się przebić wzrokiem mgłę za pomocą lunety w nadziei, iż lada chwila dojrzy walczące okręty, armaty nagle zamilkły.

Korsarze sterowali jednak tym samym kursem. Cała załoga wyszła na pokład i skwapliwie obserwowała morze przed dziobem. Wreszcie w oddali zamajaczył jakiś kształt, który z bliska okazał się płonącym okrętem. Kiedy „Arabella” i „Elżbieta” podeszły doń północno-zachodnim kursem, kontury statku stały się wyraźniejsze. Maszty zarysowały się ostrymi, czarnymi kreskami ponad chmurą dymu i Blood przez lunetę wyraźnie dojrzał powiewający z grotmasztu wimpel świętego Jerzego.

– Okręt angielski! – zawołał.

Na próżno szukał wzrokiem na horyzoncie zwycięzcy w tej ponurej bitwie, aż wreszcie, zbliżywszy się do tonącego okrętu, ujrzał w odległości trzech czy czterech mil mgliste sylwety trzech wysokich okrętów, zdążających do Port Royal. Blood sądził początkowo, że odpływające okręty należą do eskadry jamajskiej, a płonie jakiś statek piracki. Dlatego też zwiększono szybkość idąc na ratunek szalupom kołyszącym się nie opodal tonącego kadłuba. Lecz Pitt, który obserwował odchodzącą eskadrę przez lunetę, bacząc na szczegóły dostępne tylko oku wytrawnego marynarza, zrobił nieprawdopodobne odkrycie, że największy z tych statków to „Niewyciężony” Rivarola.

Zwinięto część żagli i postawiono statek w dryf, zbliżając się do przeładowanych rozbitkami łodzi. Należało też ratować ludzi pływających wokół i czepiających się masztów, rej i innych szczątków okrętu.

XXIX

W SŁUŻBIE KRÓLA WILHELMA

Jedna z łodzi ratunkowych uderzyła o burtę „Arabelli” i po trapie wszedł najpierw szczupły, wytworny, mały gentleman w kaftanie z fioletowej satyny lamowanej złotem. Jego zwiędła, żółtawa, nieco zgryźliwa twarz była okolona czarną, wielką peruką. Modny i kosztowny strój przybyłego nie ucierpiał na skutek przebytej przygody. Swobodny i pełen godności sposób bycia wskazywał na znaczną osobistość. Z pewnością nie był to pirat. W ślad za nim postępował mężczyzna, który pod każdym względem, wyjąwszy wiek, stanowił jego przeciwieństwo. Był to otyły, rubaszny i żywy człowiek o pełnej, ogorzalej, wysmaganej wiatrami twarzy, wesołych ustach i niebieskich, ironicznie przymrużonych oczach. Strój przybyłego odznaczał się prostotą, a zachowanie świadczyło o energii i powadze.

Mały człowieczek zeszedł z trapu na główny pokład, gdzie oczekiwał go kapitan Blood. Po drodze uważnie obserwował małymi, penetrującymi oczyma dziki tłum korsarzy zgromadzonych na pokładzie „Arabella”.

– A gdzież to ja teraz jestem, u diabła? – zapytał z irytacją. – Anglik jesteś czy ki diabeł?

– Ja sam mam zaszczyt być Irlandczykiem, panie. Na imię mi Blood, kapitan Blood, a to mój okręt „Arabella”.

– Blood! – krzyknął przenikliwie mały człowieczek. – Do stu diabłów! Pirat! – zwrócił się do stojącego za nim olbrzyma – przeklęty pirat, van der Kuylen. Niech mnie usieką, wpadliśmy z deszczu pod rynnę.

– Czyżpy? – zapytał tamten gardłowym głosem i jeszcze raz powtórzył: – Czyżpy? – A później roześmiał się, reagując w ten sposób na humor sytuacji.

– Niech mnie pioruny! Z czego się śmiejesz, ty delfinie jeden? – zagrzemiał właściciel fioletowego kaftana. – Będziemy mieli czym się pochwalić w domu, ani słowa! Najpierw admirał van der Kuylen gubi swoją flotę po nocy, potem francuska eskadra pali mu flagowy okręt, a na koniec piraci biorą jego samego do niewoli. Cieszy mnie, że widzisz w tym powód do śmiechu. Ja, choć zostałem skazany za grzechy na przebywanie z tobą, nie mogę się na to zdobyć.

– Pozwolę sobie zauważyć, iż zaszło tu nieporozumienie – wtrącił spokojnie Blood. – Nie jesteście wzięci do niewoli, panowie; jesteście uratowani. Kiedy zdacie sobie z tego sprawę, może docenicie ofiarowaną wam gościnę. Jest ona wprawdzie uboga, lecz to wszystko, co mam do dyspozycji.

Groźny, mały gentleman uważnie spojrzał na Blooda.

– Do diabła! Czy pozwalasz sobie na kpiny? – zapytał gniewnie, i prawdopodobnie, by im zapobiec, przedstawił się: – Jestem lord Willoughby, generalny gubernator Indii Zachodnich, delegowany przez króla Wilhelma, a to jest admirał van der Kuylen, dowódca zachodnio-indyjskiej floty jego królewskiej mości, rozproszonej chwilowo po tym przeklętym Morzu Karaibskim.

– Król Wilhelm? – zapytał Blood, zdziwiony nie mniej niż stojący za nim Pitt i Dyke. – A kimże jest ten król Wilhelm i gdzie panuje?

– Co takiego? – zawołał lord Willoughby jeszcze bardziej zdumiony od korsarza. – Mam na myśli jego królewską mość króla Wilhelma III, Wilhelma Orańskiego, który razem z królową Marią panuje w Anglii już od przeszło dwóch miesięcy.

Upłynęła chwila milczenia, zanim Blood zrozumiał właściwy sens tych słów.

– Czy to ma znaczyć, panie, iż tam, w domu, otrząśnięto się wreszcie z beczynności i wyrzucono z kraju tego nikczemnika Jakuba razem z jego bandą łotrów.

Admirał van der Kuylen trącił lorda, a w jego niebieskich oczach zabłyśły figlarne ogniki.

– Ztaje mi się, że jego orientacja polityczna jest bardzo ztrowa – mruknął.

Lord uśmiechnął się, co pogłębiło jeszcze zmarszczki na jego twarzy.

– Na Boga! Czyś o tym nie słyszał? Gdzieś ty, u diabła, był, człowieku?

– Nie miałem kontaktu ze światem przez ostatnie trzy miesiące – odpowiedział Blood.

– Niech mnie usieką! Widać to. A w ciągu tych trzech miesięcy zaszły na świecie pewne zmiany. – Pokrótce opowiedział, co się stało. Król Jakub uciekł do Francji pod opieką króla Ludwika, co między innymi stało się powodem wstąpienia Anglii do ligi państw walczących z Francją. Dlatego też flagowy okręt holenderskiego admirała został rano zaatakowany przez eskadrę Rivarola, który widocznie musiał dowiedzieć się o sytuacji politycznej od jakiegoś statku napotkanego w czasie podróży z Cartageny.

Potem kapitan Blood ponowił oświadczenie, że na pokładzie „Arabelli” przybyli będą traktowani z należnymi honorami, i zaprowadził ich do kabiny. Przez ten czas ratowano pozostałych rozbitków. Zasłyszane wiadomości wzburzyły Blooda. Jeżeli król Jakub został zdetronizowany i wygnany, nadszedł kres jego własnej banicji za rzekomy udział we wcześniejszej próbie wypędzenia tyrana. Mógł teraz wrócić do domu i podjąć na nowo tak niefortunnie cztery lata temu przerwane życie. Oszołamiała go otwierająca się tak nagle przed nim nowa perspektywa. Wypełniła wszystkie jego myśli i poruszyła go do głębi, każąc dać wyraz wzbierającym uczuciom. Posłuszny tym nakazom, Blood wyjawiał śledzącemu go bacznie, przebiegłemu małemu człowiekowi znacznie więcej, niż zamierzał.

– Wracaj do domu, jeśli chcesz – rzekł lord, kiedy kapitan zamilkł. – Nikt cię nie będzie prześladował za twoją piracką przeszłość, biorąc pod uwagę, co cię do niej skłoniło. Lecz czemu się śpieszysz? Słyszeliśmy o tobie i wiemy, co potrafisz zdziałać na morzu. Skoro uprzykrzyłeś sobie piractwo, dajemy ci wielką szansę. Gdybyś zdecydował się służyć królowi Wilhelmowi w czasie tej wojny, twoja znajomość Indii Zachodnich oddałaby wielkie usługi rządowi jego królewskiej mości, który potrafi okazać swoją wdzięczność. Zastanów się nad tym. Niech mnie kule biją, powtarzam, daję ci wyjątkową okazję.

– Daje mi ją wasza lordowska mość – uzupełnił Blood – za co jestem bardzo wdzięczny. Na razie jednak nie mogę myśleć o niczym innym, jak o tej wielkiej nowinie. Zmienia ona postać świata. Muszę się przyzwyczać

do tego nowego świata, zanim potrafię wybrać sobie na nim miejsce.

Pitt wszedł i zameldował, że zakończono ratowanie rozbitków i umieszczono czterdziestu pięciu ocalonych na pokładach obu korsarskich okrętów. Prosił o dalsze rozkazy. Blood powstał.

– Myśląc o sobie, zaniedbałem sprawy waszej lordowskiej mości. Czy życzysz sobie, milordzie, wylądować w Port Royal?

– W Port Royal? – Mały człowieczek aż podskoczył z gniewu na krześle i z oburzeniem opowiedział Bloodowi długą historię, jak to ostatniego wieczoru zawinięto do Port Royal tylko po to, by dowiedzieć się o nieobecności wicegubernatora. – Wyruszył na jakąś niedorzeczną wyprawę do Tortugi w pogoni za korsarzami i zabrał ze sobą całą flotę.

Blood patrzył nań w zdumieniu, po czym wybuchnął śmiechem.

– Wyruszył chyba, zanim doszły go wieści, o zmianie rządu i wojnie z Francją?

– Nic podobnego – odburknął Willoughby – zanim wyruszył, został poinformowany o tym wszystkim, jak również o moim przybyciu.

– To niemożliwe!

– Mnie się też tak zdawało, lecz otrzymałem takie informacje od majora Mallarda. Major rządzi w Port Royal w zastępstwie tego durnia.

– Czyż Bishop oszalał opuszczając twierdzę w takiej chwili? – zdumiał się Blood.

– Co gorsza zabrał ze sobą całą flotę i wystawił miasto na atak Francuzów. Tego rodzaju wicegubernatorów wyznaczał poprzedni rząd. Oto w skrócie cały stuartowski nierząd, niech mnie kule biją! Zostawia Port Royal tylko pod ochroną tego walącego się fortu, który można w ciągu godziny obrócić w gruzy. Niech mnie usieką! To nie do wiary!

Uśmiech zniknął z twarzy Blooda.

– Czy Rivarol wie o tym? – zapytał ostro.

– Czy f przeciwnym razie szedłpy do Port Royal? – odpowiedział holenderski admirał. – Pan de Rifarol wziął do niefoli kilku naszych ludzi, mógł się dofiedzieć ot nich fszystkiego, mógł zmusić ich do mófienia. To dla niego wielka sposobność.

Lord prychnął jak żbik.

– Ten łotr Bishop odpowie głową, jeśli jakakolwiek szkoda wyniknie z jego nieobecności na posterunku. A co, gdyby to zrobił naumyślnie? Może

jest bardziej nikczemny niż głupi? Kto wie, czy nie w ten sposób służy królowi Jakubowi, od którego otrzymał nominację?

Kapitan Blood był wspaniałomyślny:

– Wątpię. Raczej mściwość była motywem jego postępowania. To mnie tak ściga w Tortudze. Ale póki on jest tam, ja najlepiej zrobię, milordzie, pilnując Jamajki dla króla Wilhelma. – Tu roześmiał się weselej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. – Wyznacz kurs na Port Royal, Jeremiaszu, i pędź całą szybkością. Dognamy jeszcze pana barona i wyrównamy z nim nasze stare porachunki.

Zarówno lord Willoughby, jak i admirał skoczyli na równe nogi.

– Przecież oni mają przewagę, niech mnie kule biją! – zawołał lord. – Każdy z tych trzech francuskich okrętów da radę obydwu twoim, człowieku.

– Co do liczby dział, i owszem – odrzekł Blood z uśmiechem – ale nie tylko działa grają tu rolę. Jeśli wasza lordowska mość chce zobaczyć, jak powinna być stoczona bitwa morska, będziesz mógł to teraz uczynić. Obydwaj spojrzeli nań ze zdziwieniem.

– Przeciwno takiej przewadze – upierał się lord.

– To niemożliwe – dodał van der Kuylen. – Sztuka żeglarska to wielka rzecz, lecz armaty to armaty.

– Jeżeli nie potrafię go pobić, mogę zatopić jeden z moich okrętów w kanale wyjściowym i zablokować go do chwili powrotu Bishopa z polowania lub nadejścia waszej floty.

– I cóż komu z tego przyjdzie? – zapytał Willoughby.

– Zaraz to wyjaśnię. Rivarol jest głupcem, że pcha się tutaj, wzięwszy pod uwagę to, co ma na okrętach. Zabrał bowiem na nie zrabowane w Cartagenie złoto o wartości czterdziestu milionów liwrow. – Obaj dostojnicy podskoczyli na wzmiankę o takiej sumie. – Płynie z tym złotem do Port Royal. Czy zwycięży mnie, czy nie, nie wyjdzie już z portu i wcześniej czy później skarby te zawędrują do kufrów króla Wilhelma, po odliczeniu, dajmy na to, jednej piątej dla moich korsarzy. Czy zgoda, milordzie?

Lord powstał i odrzucając koronkę mankietu wyciągnął delikatną, białą dłoń.

– Kapitanie Blood, jest pan wielkim człowiekiem – powiedział.

– To milord swoim byстрыm spojrzeniem dostrzegł wszystko – zaśmiał się Blood.

- Toprze, toprze! Lecz jak to uczynić? – burknął admirał.
- Chodźcie, panowie, na pokład, a pokażę wam niejedno, zanim ten dzień dobiegnie końca.

XXX

OSTATNI BÓJ „ARABELLI”

– Na cóż czekasz, mój brzyjacielu? – zapytał van der Kuylen.

– Dalej, w imię Boże! – zagrzewał Willoughby.

Było to popołudnie tego samego dnia. Dwa korsarskie okręty kołysały się łagodnie, z obwisłymi żaglami, na podwietrznej przylądka, który tworzył wielką, naturalną przystań w Port Royal. Były oddalone tylko o jaką milę od prowadzących do portu farwaterów, nad którymi panowała twierdza. Ponad dwie godziny temu statki podeszły tu niepostrzeżenie, nie zwracając uwagi na twierdzy ani eskadry Rivarola. Przez cały czas powietrze drżało od grzmotu dział z morza i lądu, oznajmiających bitwę między Francuzami a obrońcami Port Royal. Długie, bezczynne czekanie niecierpliwiło zarówno admirała, jak i generalnego gubernatora.

– Pofiedziałeś, że pokażesz nam łatne rzeczy, kapitanie. Gdzież one są? – zapytywał admirał.

Blood stał przed nim uśmiechnięty i pewny siebie, ubrany do bitwy w zbroję z czarnej stali.

– Niedługo już będę wystawiał waszą cierpliwość na próbę, panowie. Wyczuwam bowiem, że ogień słabnie. Ale sprawa wygląda tak: na pośpiechu nie zyskam nic, a odwrotnie, mogę niejedno wygrać zwlekając, co wkrótce panom pokażę.

Lord Willoughby spojrzał nań podejrzliwie.

– Czy liczysz na powrót w tym czasie Bishopa lub floty admirała van der

Kuylena?

– Skądże znowu, nie spodziewam się niczego podobnego. Uważam natomiast, że w pojedynku z fortem ten szczur lądowy, pan de Rivarol, poniesie pewne straty, co wyrówna trochę nasze szanse. Dostyc będzie czasu na przyłączenie się do bitwy, gdy fort wystrzela swoje pociski.

– Bardzo słusznie! – przytwierdził ochryplym głosem generalny gubernator. – Rozumiem cię i przyznaję ci rację. Masz zadatki na wielkiego dowódcę, kapitanie. Wybacz, iż cię z początku nie rozumiałem.

– Bardzo to ładnie przyznać się do czegoś podobnego, milordzie. Jak widzisz, mam niejaki doświadczenie w tego rodzaju akcjach i wprawdzie gotów jestem na każde konieczne ryzyko, lecz nie narażam się nigdy na niepotrzebne. Ale... – przerwał, by posłuchać. – Tak jest, miałem rację. Ogień słabnie. Oznacza to koniec oporu Malarda w forcie. Hej tam, Jeremiaszu!

Przechylił się przez rzeźbiony reling i ostrym tonem wydał rozkazy. Przenikliwie zabrzmiał gwizdek bosmana i po chwili jakby drzemiący okręt zbudził się do życia. Słysząc było tupot nóg na pokładach, skrzypienie bloków i trzepotanie rozwijanych żagli. Położono ster na burtę i za chwilę statek ruszył; za nim poszła „Elżbieta” posłuszna sygnałom z „Arabelli”. Tymczasem wezwany na rufę kanonier Ogle otrzymał od Blooda ostateczne instrukcje, przed powrotem na posterunek na pokładzie bateryjnym.

W ciągu kwadransa okręty Blooda opłynęły przylądek i stanęły w wejściu do portu na odległość wystrzału armatniego od eskadry Rivarola, która dopiero teraz je spostrzegła.

Na miejscu fortu widać było tylko kupy dymiących gruzów, a zwycięskie statki francuskie, z flagami burbońskimi na masztach, pędziły naprzód, by zagarnąć bogatą zdobycz w stojącym otworem mieście.

Blood przyjrzał im się i zachichotał z zadowoleniem. „Niewyciężony” i „Meduza” były zaledwie lekko uszkodzone, lecz „Wieloryb” przechylał się mocno na bakbort, by utrzymać nad wodą wybitą w sterborcie dziurę. Ten był już niezdolny do walki.

– Widzicie, panowie! – zawołał do admirała i nie czekając na aprobujący pomruk Holendra, zawołał: – Ster lewo na burtę!

Widok wielkiego, czerwonego okrętu ze złożonym dziobem i otwartymi strzelnicami, odwracającego się burtą, musiał pohamować nieco uczucie tryumfu uskrzydlające barona. Ale zanim zdołał wydać rozkaz, zanim zdążył

zastanowić się, jaki rozkaz należy wydać, wulkany ognia i metalu buchnęły z okrętów korsarskich i pokłady „Niewzycięzonego” zostały wymiecione przez mordercze salwy armatnie. „Arabella” szła dalej tym samym kursem, ustępując miejsca „Elżbiecie”, która z kolei wykonała ten sam manewr. Gdy ogarnięci paniką i przerażeni niespodziewanym atakiem Francuzi jeszcze zwlekali, „Arabella” zrobiła zwrot i tą samą co poprzednio drogą, oddała następną salwę z dział burtowych. Nastąpiła jeszcze druga salwa z „Elżbiety”, po czym trębacz „Arabelii” dał sygnał Hagthorpe’owi.

– Naprzód, Jeremiaszu! – zawołał Blood. – Wal prosto na nich, zanim się opamiętają. Gotuj się tam! Gotuj się do abordażu! Hayton... haki abordażowe. Powiedz kanonierom na dziobie, niech strzelają tak szybko, jak mogą!

Odrzucił zdobny strusim piórem kapelusz i włożył na głowę stalowy hełm przyniesiony przez Murzyna. Miał zamiar osobiście poprowadzić drużynę abordażową. Pośpiesznie wyjaśnił gościom swój plan.

– Jedyna nasza szansa to iść na abordaż. Przeciwnik ma zbyt wielką przewagę w działach.

Okazało się to już za chwilę. Francuzi opamiętali się w końcu; oba okręty odwróciły się burtami i skoncentrowały ogień na „Arabelii” jako bliższym i większym, a więc tym samym niebezpieczniejszym z przeciwników. Oba też równocześnie oddały salwę.

O ile jednak korsarze mierzyli ponad pokład, aby unieruchomić przeciwników, Francuzi celowali nisko, pragnąc strzaskać kadłub napastnika. „Arabella” chwiała się i drżała pod straszliwymi ciosami, chociaż Pitt stale zwracał ją dziobem do Francuzów, zmniejszając w ten sposób cel. Przez chwilę okręt jakby się wahał, po czym rzucił się naprzód z rozbitym w drzazgi dziobem, ze strzaskanym przednim kasztelem dziurą ziejącą w kadłubie tuż nad linią wodną. Aby uchronić okręt od zatonięcia, Blood rozkazał wyrzucić natychmiast za burtę działo dziobowe, kotwice, baryłki z wodą i wszystko, co można było ruszyć z miejsca.

Tymczasem okręty francuskie zrobiły zwrot i zgotowały podobne przyjęcie „Elżbiecie”. „Arabella”, bez wiatru w żaglach, zbliżała się z wolna, dążąc do szepienia z nieprzyjacielskim okrętem. Lecz zanim tego dopięła, „Niewzycięzony” znowu nabił sterbortowe działa i z małej odległości grzmotnął drugą salwą do zbliżającego się nieprzyjaciela. Wśród ryku dział,

trzasku łamanego drewna i wrzasków rannych na wpół rozbita „Arabella” parła naprzód przez zakrywającą przeciwnika chmurę dymu. Nagle Hayton krzyknął, że statek tonie, zanurzając się dziobem.

Kapitanowi serce zamarło. I właśnie w chwili, kiedy ogarnęło go zwątpienie, ujrzał poprzez dym niebiesko-złotą burtę „Niewycięzonego”. Choć widok ten dodał mu ducha, Blood zrozumiał, jak powoli posuwa się teraz „Arabella” i jak z każdą sekundą szybkość jej maleje. Niechybnie zatoną, zanim zblizą się do nieprzyjaciela.

Holenderski admirał potwierdził to przekonanie przekleństwem, a lord Willoughby zganił kapitana za postawienie wszystkiego na jedną kartę i pójscie na abordaż.

– Nie miałem innego wyjścia! – krzyknął Blood w zapamiętaniu. – Nazywacie takie posunięcie rozpaczliwym i szaleńczym. Dobrze, niech i tak będzie. Lecz sytuacja wymagała tego. Padam pokonany o krok od zwycięstwa!

Lecz nie była to jeszcze zupełna klęska. Hayton i ze dwudziestu tęgich zuchów, przywołanych jego gwizdkiem, kryło się w szczątkach rozbitego przedniego kasztelu z przygotowanymi hakami abordażowymi. W odległości sześciu czy siedmiu metrów, od „Niewycięzonego”, gdy zdawało się już, że „Arabella” stanęła, a przedni pokład zanurzał się w wodę na oczach tryumfujących szyderczo Francuzów, ludzie ci podskoczyli w górę i rzucili haki przez wodę. Z czterech dwa haki uwięzły w pokładzie nieprzyjacielskiego statku. Krzepcy i doświadczeni korsarze wzięli się wtedy do dzieła z szybkością błyskawicy. Nie zwlekając, puścili jeden z haków i wszyscy rzucili się do łańcucha drugiego z nich. Zaczęli ciągnąć go z całych sił, aby zblizyc do siebie oba okręty. Blood widział to z rufy i kazał dać sygnał.

– Muszkietrzy na dziób!

Muszkietrzy, którzy czekali na stanowiskach bojowych na głównym pokładzie, usłuchali go z szybkością ludzi świadomych, że jedyna nadzieja ratunku leży w natychmiastowym wykonaniu rozkazów. Pięćdziesięciu z nich rzuciło się naprzód i ze szczątków przedniego kasztelu otworzyło ponad głowami ludzi Haytona ogień do francuskich żołnierzy. Francuzi, nie mogąc oderwać haka, głęboko wczepionego w poszycie „Niewycięzonego”, przygotowali się do ostrzeliwania ciągnących za łańcuch korsarzy.

Z ogłuszającym trzaskiem zwarły się teraz sterbortami oba okręty. Blood

znajdował się już na głównym pokładzie, oceniając sytuację i działając z huraganową szybkością. Spuszczono żagle, przecinając liny, które podtrzymywały reje. Na rufę skierowano awangardę drużyny abordażowej, złożoną ze stu korsarzy, i rozstawiono ludzi z hakami, by zarzucili żelaza w momencie zderzenia. W rezultacie tonąca „Arabella” została dosłownie utrzymana na powierzchni przez sześć haków uczepionych do „Niewycięzonego”.

Willoughby i van der Kuylen z zapartym tchem obserwowali z rufy szybkość i dokładność, z jaką Blood i jego desperacka załoga ratowali swój okręt. Teraz kapitan pędził naprzód z wzywającym do ataku trębaczem, a za nim runęły główne siły korsarzy. Wypędzona z pokładu bateryjnego przez wdzierającą się wodę, awangarda pod dowództwem kanoniera Ogle wskoczyła z wrzaskiem na dziób „Niewycięzonego”, gdyż do tego poziomu obniżyła się zalewana wodą nadbudówka rufowa „Arabelli”. Prowadzeni teraz przez samego Blooda, piraci rzucili się na Francuzów jak ogary na osaczonego jelenia. Za nimi nadbiegli inni, aż wreszcie, oprócz gubernatora i admirała, nikt nie pozostał na opuszczonych pokładach „Arabelli”.

Przez pół godziny szalał bój na francuskim okręcie. Zaczął się na dziobie, przetoczył później przez przedni kasztel na główny pokład, gdzie dosięgnął szczytu zaciekłości. Francuzi walczyli mężnie, ufni w swoją liczebną przewagę. Lecz mimo zaciętego oporu wypierano ich ze wszystkich pokładów, przechylonych na sterbort pod ciężarem przyczepionej „Arabelli”. Korsarze nacierali z furią ludzi pozbawionych odwrotu, gdyż nie mieli już okrętu, na który mogliby się schronić. Musieli zdobyć „Niewycięzonego” lub zginąć.

Zdobyli go też w końcu kosztem niemal połowy ludzi. Pozostali przy życiu obrońcy „Niewycięzonego”, pędzeni na rufę i zagrzewani do boju przez rozszalałego Rivarola, opierali się jakiś czas rozpaczliwie. Wreszcie Rivarol padł z głową przebitą kulą, a Francuzi, może ze dwudziestu zdolnych do walki żołnierzy, poprosili o litość.

Jednak nawet wtedy załodze Blooda nie dane było odpocząć. „Elżbieta” i „Meduza” szczyły się również, a ludzi Hagthorpe’a już po raz drugi wypierano na ich własny okręt. Należało działać szybko. Gdy Pitt z marynarzami zabrali się do żagli, a Ogle z kanonierami poszedł na pokład bateryjny, Blood kazał natychmiast zrzucić haki abordażowe. Ponieważ lord

Willoughby i admirał znajdowali się już na pokładzie „Niewyciężonego”, zrobił on zwrot i podążył na pomoc Hagthorpe’owi. Blood stając na rufie „Niewyciężonego”, rzucił ostatnie spojrzenie na okręt, który służył mu tak wiernie, który stał się niemal częścią jego samego. „Arabella”, odczepiona teraz od przytrzymującego ją „Niewyciężonego”, kołysała się przez chwilę, a później wolno, cał po calu poszła na dno. Woda bulgotała i wirowała wokół masztów, jedynych już teraz śladów znaczących miejsce, gdzie zginęła.

Gdy kapitan stał tak na zawalonym ułamkami drzewa i trupami poległych pokładzie „Niewyciężonego”, usłyszał za sobą głos:

– Myślę, kapitanie, że winienem cię przeprosić po raz drugi. Nigdy przedtem nie widziałem, by dzięki pomysłowości i waleczności dokonano rzeczy niemożliwej i zamieniono klęskę w zwycięstwo.

Blood odwrócił się do lorda Willoughby. Wyglądał strasznie, bez hełmu, w pogiętej zbroi, z rękawem rozdartym od barku ukazującym nagie ramię. Od stóp do głowy obryzgany był krwią, która sączyła się również z lekkiej rany na głowie, a zlepiając włosy i mieszając się na twarzy z prochem, zmieniała ją do nie= poznania.

Lecz z tej straszliwej maski wyzierała para ożywionych, niezwykle jasno błyszczących oczu. Z oczu tych płynęły łzy, żłobiąc bruzdy na okrytych brudem i krwią policzkach.

XXXI

JEGO EKSCJELNCJA GUBERNATOR

Zwycięstwo to opłacono wielkimi stratami. Z trzystu dwudziestu korsarzy, którzy opuścili Cartagenę z kapitanem Bloodem, zaledwie setka została całych i zdrowych. „Elżbieta” odniosła tak poważne uszkodzenia, że wątpliwe było, czy kiedykolwiek jeszcze będzie zdolna do żeglugi. Hagthorpe, tak dzielnie dowodzący okrętem w ostatniej bitwie, poległ. Po drugiej stronie bilansu można było zanotować fakt, iż o wiele mniejszymi siłami tylko dzięki sprawności i rozpaczliwemu męstwu, piraci Blooda ocalili Jamajkę przed ruiną i grabieżą, pojmali eskadrę Rivarola oraz zdobyli na rzecz króla Wilhelma olbrzymi skarb znajdujący się na francuskich okrętach.

Dopiero następnego dnia wieczorem zjawiała się zagubiona flota van der Kuylena, a jej oficerowie, zarówno Holendrzy, jak i Anglicy, wysłuchali opinii admirała na temat ich umiejętności żeglarskich.

Sześć okrętów z tej floty przygotowano natychmiast do dalszych podróży. Nowy generalny gubernator musiał przeprowadzić jeszcze szereg inspekcji w innych koloniach zachodnio-indyjskich i śpieszył z wyruszeniem na Antyle.

– A tymczasem – skarżył się lord admirałowi – muszę tu czekać z powodu nieobecności tego durnia, gubernatora Jamajki.

– Tak? – zapytał van der Kuylen – ale czemu ma cię to zatrzymywać, milordzie?

Bo muszę ukarać tego pana, jak na to zasługuje, i mianować, jego

następcą człowieka z poczuciem obowiązku i zdolnego ten obowiązek wypełnić.

– Aha! Ale czy naprawdę musisz tu pozostać z tego powodu! A brzez ten czas Francuzi będą mieli oko na słapo proniony Parpados. Masz tu przecie człowieka, jakiego potrzebujemy. Ten sobie poradzi bez instrukcji. Sam będzie fiedział lepiej od ciebie i ode mnie, jak umocnić Port Royal.

– Masz na myśli Blooda?

– Oczywiście. Któż byłby lepszy? Fidziałeś co ten człowiek potrafi.

– Ty też tak uważasz, co? Jako żywo! Myślałem już o tym i niech mnie gromy biją! Czemu nie? Blood jest lepszy od Morgana, którego przecież zrobiono gubernatorem.

Posłano po Blooda. Nadszedł ubrany starannie i wytwornie, jak dawniej zaopatrzywszy się w stroje w Port Royal. Zaszczytna propozycja lorda Willoughby zaskoczyła go nieco. Przewyższało to jego najśmielsze marzenia. Opadły go też wątpliwości, czy podała tak odpowiedzialnemu zadaniu.

– Niech mnie kule biją! – warknął Willoughby. – Czyżbym ci zaproponował takie stanowisko, gdybym nie doceniał twoich zdolności? Czy to jedyny powód do sprzeciwu?

– Nie, nie tylko, milordzie. Liczyłem na to, że wrócę do domu. Tęskno mi za zielonymi łąkami Anglii – tu westchnął – jabłonie kwitną teraz w sadach Somersetu.

– Jabłonie kwitną! – Głos lorda wystrzelił jak rakietą i załamał się na tych słowach. – Co, u diabła? Jabłonie! – Spojrzał na admirała. Ten uniósł brwi, wydał grube wargi, a w jego zmrużonych oczach zabłyśły figlarne ogniki.

– Tak... – powiedział. – Pardzo boetyczne. Lord obruszył się wściekle na Blooda:

– Ty musisz przede wszystkim wymazać swoją przeszłość, człowieku! – napomniał go. – Przyznaję, iż zrobiłeś już coś niecoś w tym kierunku i okazałeś swoje zdolności. Dlatego też daję ci w imieniu jego królewskiej mości stanowisko gubernatora Jamajki. Uważam cię bowiem za najodpowiedniejszego człowieka, jakiego spotkałem.

Blood skłonił się nisko.

– Jesteś bardzo łaskaw dla mnie, milordzie, ale...

– Nie ma tu żadnego „ale”. Jeśli chcesz wymazać swą przeszłość i zabezpieczyć sobie przyszłość, masz oto okazję. Nie powinieneś jej

lekceważyć dla kwitnących jabłoni czy innych sentymentalnych bzdur. Tu cię woła obowiązek, przynajmniej na czas wojny. Po skończeniu jej możesz sobie wracać do Somersetu i jabłecznika lub też do swojej ojczystej Irlandii i samogonu, lecz na razie musisz się zadowolić Jamajką i rumem.

Van der Kuylen zarechotał, lecz Blood nie uśmiechnął się nawet słuchając tych dowcipów. Pozostał uroczysty, a nawet ponury. Myślał o pannie Bishop. Znajdowała się gdzieś w tym samym co i on domu, lecz nie widział jej jeszcze od czasu przybycia. Gdyby okazała mu choć odrobinę współczucia...

Wtem zagrzmiął znów chropawy głos lorda, wyrzucając Bloodowi wahanie i wytykając niewiarogodną głupotę, z jaką odrzucał taką nadzwyczajną okazję. Blood zeszywniał i skłonił się.

– Masz rację, milordzie. Jestem głupcem. Lecz proszę nie uważać mnie w dodatku za niewdzięcznika. Jeśli się zawahałem, to z pewnych względów, którymi nie chciałbym nudzić waszej lordowskiej mości.

– Kwitnące jabłonie, co? – burknął Willoughby.

Tym razem Blood uśmiechnął się, lecz w jego oczach błąkał się jeszcze smutek.

– Uczynię, jak zechcesz, milordzie, i zapewniam cię, że uczynię to z najgłębszą wdzięcznością. Będę wiedział, jak zasłużyć na zadowolenie jego królewskiej mości. Możesz liczyć na moją lojalność.

– Gdybym nie był o niej przekonany, nie wyznaczałbym cię gubernatorem.

Tak więc sprawa została załatwiona. Wypisano nominację Blooda i przypieczętowano dokument w obecności Mallarda, komendanta twierdzy i innych oficerów garnizonu, którzy patrzyli na to oczyma okrągłymi ze zdumienia, ale nie wyrażali głośno swych myśli.

– Teraz możemy zająć się naszymi sprafami – rzekł admirał.

– Odpływamy jutro rano – oznajmił lord.

– A co z pułkownikiem Bishopem? – zapytał zdziwiony Blood.

– To już twoja rzecz. Ty jesteś teraz gubernatorem. Załatwisz się z nim po jego powrocie, jak będziesz uważał za stosowne. Powieś go na rei jego własnego statku. Zasługuje na to.

– To dosyć niewdzięczne zadanie – rozważał Blood.

– Bardzo dobrze, zresztą zostawię ci list dla Bishopa. Mam nadzieję, iż

będzie zeń zadowolony.

Kapitan Blood natychmiast przystąpił do wykonywania swoich obowiązków. Po tym, co się stało, wiele trzeba było pracy, aby obwarować Port Royal. Zrobił inspekcję zburzonego fortu i polecił natychmiast przystąpić do jego odbudowy. Następnie zarządził przechylenie i naprawę francuskich okrętów, by znowu mogły podjąć żeglugę. W końcu, za pozwoleniem lorda, wezwał swoich korsarzy i rozdzielił między nich jedną piątą zdobytych łupów. Pozwolono im albo opuścić wyspę, albo zaciągnąć się w służbę króla Wilhelma.

Ze dwudziestu korsarzy wybrało tę ostatnią możliwość, a między nimi Jeremiasz Pitt, Ogle i Dyke, dla których banicja zakończyła się, podobnie jak dla Blooda, z detronizacją króla Jakuba. Z wyjątkiem przebywającego w Cartagenie Wolverstone'a byli to ostatni pozostali przy życiu z gromady buntowników, która przed trzema laty opuściła Barbados na okręcie „Pięć Ran”.

Następnego ranka, gdy flota van der Kuylena przygotowywała się do wyjścia w morze, a Blood siedział w obszernym gabinecie gubernatora, Mallard zawiadomił go, że widać już eskadrę Bishopa zdążającą do portu. – To bardzo dobrze – rzekł Blood. – Cieszy mnie, iż Bishop przybywa, zanim jeszcze lord Willoughby zdążył odpłynąć. Rozkazuję ci, majorze, zaaresztować go zaraz po wejściu na ląd. Potem przyprowadź go tu do mnie. Chwileczkę... – Pośpiesznie napisał kilka słów. – To dla lorda Willoughby, który znajduje się na pokładzie flagowego okrętu admirała van der Kuylena.

Major Mallard zasalutował i odszedł. Piotr Blood przechylił się na oparcie krzesła i marszcząc czoło utkwiał wzrok w suficie. Czas mijał. Zastukano do drzwi. Wszedł stary Murzyn, skłonił się przed gubernatorem i zapytał, czy jego ekscelencja będzie łaskaw przyjąć pannę Bishop.

Jego ekscelencja zbladł. Siedział bez słowa, patrząc przez chwilę na Murzyna i czując, jak dziko wali mu tętno w skroniach. Po chwili spokojnie wyraził zgodę.

Powstał, gdy panna weszła. Kapitan z pewnością był równie bladły jak ona, a jeśli tego nie było widać, to tylko dzięki jego opaleniznie. Przez jakiś czas patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Arabella podeszła bliżej i poczęła mówić zacinając się niepewnie, co było rzadkością u tej tak zazwyczaj opanowanej damy.

– Ja... Ja... Major Mallard powiedział mi właśnie...

– Major Mallard przekroczył swoje obowiązki – odrzekł Blood starając się nadać głosowi normalny ton, co powodowało, że brzmiał jeszcze bardziej ochryple i głośno.

Ponieważ panna stropiła się i zamilkła, dodał natychmiast. – Niepotrzebnie obawiasz się, pani. Choć wiele złego doznałem od stryja pani, z pewnością nie pójdę za jego przykładem.

Nie nadużyję mego stanowiska dla załatwienia osobistych porachunków. Przeciwnie, nadużyję mej władzy, aby go ochronić. Lord Willoughby polecił mi traktować go bez litości. Ja chcę odesłać go z powrotem na plantację na Barbados. Panna zbliżyła się powoli.

– Cieszy mnie takie postanowienie. Cieszy mnie głównie ze względu na ciebie. – Wyciągnęła do niego dłoń.

Spojrzał krytycznie na tę rękę, a potem skłonił się nad nią.

– Nie śmiem ujmować tej dłoni w ręce pirata i złodzieja – rzekł z goryczą.

– Nie jesteś nim już przecie – odrzekła próbując się uśmiechnąć.

– Nie jestem. Lecz nie tobie, pani, to zawdzięczam – powiedział. – Zresztą nie będziemy o tym więcej mówić. Chciałbym tylko dodać, że lord Julian również nie potrzebuje się niczego obawiać z mojej strony. To niewątpliwie przywróci pani spokój ducha.

– Ze względu na ciebie, tak, lecz tylko ze względu na ciebie. Nie chciałabym, abyś uczynił coś niktzemnego lub niezgodnego z honorem.

– Mimo że jestem złodziejem i piratem?

Zacisnęła pięści, czyniąc gest rozpacz i zniecierpliwienia.

– Czyż nigdy nie wybaczysz mi tych słów?

– Rzeczywiście, przychodzi mi to z trudnością. A zresztą, jakie to ma teraz znaczenie, skoro wszystko zostało już dawno temu omówione?

Jasne, orzechowe oczy spojrzały na niego żałośnie, po czym wyciągnęła doń ponownie rękę.

– Idę już, kapitanie. Skoro jesteś tak wspaniałomyślny wobec mego stryja, wracam z nim na Barbados. Nie spotkamy się chyba już nigdy. Czyż nie moglibyśmy rozstać się jak przyjaciele? Kiedyś skrzywdziłam cię, wiem o tym. Przeprosiłam już za to. Czy nie chcesz... czy nie chcesz się ze mną pożegnać?

Blood jakby oprzytomniał i odrzucił maskę umyślniej szorstkości.

Zatrzymał rękę panny w swojej i spojrzał na dziewczynę ze smutkiem.

– Wracasz na Barbados? – zapytał z wolna. – Czy lord Julian jedzie z tobą?

– Czemu o to pytasz? – zapytała śmiało.

– Bo chciałbym wiedzieć, czy lord Julian przekazał ci moje słowa, czy też je przekręcił.

– Nie. Nie przekręcił ich. Powtórzył mi je wiernie. Wzruszyły mnie głęboko. Ujrzałam wyraźnie, że omyliłam się i byłam niesprawiedliwa. Winnam ci to wyznanie jako zadośćuczynienie. Osądziłam cię zbyt surowo, i to w wypadku, gdzie w ogóle nie należało sądzić.

Trzymał ją jeszcze za rękę.

– A lord Julian? – zapytał i śledził ją bacznie oczyma błyszczącymi jak szafiry w opalanej na brąz twarzy.

– Lord Julian niewątpliwie powróci do Anglii. Nie ma tu już nic więcej do roboty.

– Czyż nie prosił cię, pani, byś mu towarzyszyła?

– Owszem, prosił. Wybaczam ci to zuchwałe pytanie.

Obudziła się w nim dzika nadzieja.

– A ty? Nie powiesz mi chyba, że nie chciałaś zostać żoną lorda, kiedy...

– Och, nieznośny jesteś! – Wyrwała mu rękę i cofnęła się do tyłu. – Nie powinnam była tu przychodzić... Żegnaj! – Pobiegła do drzwi, lecz Blood skoczył i pochwycił ją. Twarz dziewczyny płonęła, a oczy uderzyły weń jak sztylety.

– To są pirackie zwyczaje! Proszę mnie puścić!

– Arabello! – zawołał błagalnie. – Czy mówisz to poważnie? Czy muszę cię puścić? Czy mam pozwolić ci odejść i nie ujrzeć cię nigdy więcej? Czyż nie możesz zostać ze mną i umilać mi to wygnanie, zanim nie wrócimy razem do domu? O, płaczesz teraz! Cóżem ci powiedział, że płaczesz ukochana?

– Ja... sądziłam, że nigdy tego nie wypowiesz – sztydziła przez łzy.

– No, widzisz, był tu przecie lord Julian, wytworny kawaler...

– Nigdy nie było nikogo oprócz ciebie, Piotrze.

Mieli sobie jeszcze wiele do powiedzenia, usiedli więc, aby wszystko omówić. Czas płynął, a gubernator Blood zapomniał o obowiązkach swego urzędu. Nareszcie był w domu. Jego Odyseja dobiegła końca.

Tymczasem eskadra pułkownika Bishopa rzuciła kotwicę i pułkownik

wyszedł na molo. Tego zawiedzionego człowieka oczekiwał teraz jeszcze większy zawód. Towarzyszył mu lord Julian.

Pluton wartę oczekiwał go na nabrzeżu. Przed szeregiem stał major Mallard i dwóch nieznanomych ludzi. Jeden z nich był szczupły i wytworny, drugi wielki i muskularny.

Major Mallard zbliżył się.

– Pułkowniku Bishop – rzekł – mam rozkaz aresztować cię. Proszę o szpadę.

Bishop wytrzeszczył oczy, a twarz jego oblała się purpurą.

– Co u diabła? Aresztować mnie, powiadasz? Aresztować mnie?

– Na rozkaz gubernatora Jamajki – odezwał się zza pleców majora elegancki, mały człowieczek. Pułkownik odwrócił się do niego.

– Gubernatora? Oszalałeś chyba! – krzyknął patrząc to na jednego, to na drugiego. – Ja jestem gubernatorem Jamajki!

– Byłeś – odparł sucho mały człowieczek – lecz zmieniliśmy to w czasie twojej nieobecności. Jesteś odprawiony za opuszczenie swego stanowiska bez usprawiedliwiającej przyczyny i wy stawienie w ten sposób na szwank oddanej pod twą opiekę kolonii. To poważna sprawa, pułkowniku Bishop. Przekonasz się o tym wkrótce. Ponieważ otrzymałeś swe stanowisko od rządu króla Jakuba, możesz być nawet oskarżony o zdradę. Od twojego następcy zależy, czy będziesz wisiał, czy też nie.

Bishop zaklął potężnie, a potem, rażony nagłą myślą, zawołał:

– A kimże, u diabła, jesteś?

– Jestem lordem Willoughby, generalnym gubernatorem kolonii jego królewskiej mości w Indiach Zachodnich. Prawdopodobnie zawiadomiono cię o moim przybyciu.

Resztki gniewu spadły z Bishopa jak płaszcz. Zimny pot oblał go ze strachu. Twarz stojącego za nim lorda Juliana stała się nagle blada i zgnębiona.

– Ależ milordzie... – zaczął pułkownik.

– Twoje racje nic mnie nie obchodzą – przerwał mu szorstko lord. – Odjeżdżam za chwilę i nie mam czasu. Gubernator cię wysłucha i bez wątpienia sprawiedliwie cię osądzi.

Skinął ręką majorowi Mallardowi, a przerażony, złamany na duchu Bishop dał się odprowadzić straży. Gdy przyszedł trochę do siebie, rzekł

przez zęby do lorda Juliana, który szedł za nim, ponieważ nikt mu tego nie zabraniał:

– Jeszcze jedna pozycja na rachunku tego łotra Blooda. Mój Boże, cóż to za porachunki będą, kiedy się wreszcie spotkamy!

Major Mallard odwrócił twarz, by ukryć śmiech, i bez dalszych wyjaśnień odprowadził więźnia do domu gubernatora, będącego tak długo rezydencją Bishopa. Kazano mu czekać pod strażą w przedpokoju, podczas gdy major Mallard poszedł go zameldować.

Gdy major wszedł, panna siedziała jeszcze z Bloodem. Jego meldunek skierował ich myśli ku rzeczywistości.

– Bądź litościwy dla niego. O ile możliwości, oszczędź go ze względu na mnie, Piotrze – prosiła.

– Z pewnością – odparł Blood – lecz obawiam się, iż okoliczności go nie oszczędzą.

Panna wycofała się do ogrodu, a major Mallard poszedł po pułkownika.

– Jego ekscelencja gubernator przyjmie cię teraz, pułkowniku – rzekł i otworzył drzwi na oścież.

Bishop wszedł chwiejnym krokiem i stanął nieruchomo w oczekiwaniu.

Przy stole siedział pochylony mężczyzna. Widać było tylko jego czarne, starannie trefione włosy. Po chwili podniósł głowę, a para niebieskich oczu spojrzała poważnie na więźnia. Pułkownik Bishop chrząknął i skamieniały ze zdumienia, wlepił oczy w twarz jego ekscelencji gubernatora Jamajki, w twarz człowieka, za którym na swoje nieszczęście uganiał się po morzu aż do Tortugi.

Najlepiej określił sytuację van der Kuylen, gdy przymrużając żartobliwie niebieskie oczy rzekł do lorda Willoughby wchodząc z nim na pokład swego flagowego okrętu:

– To bardzo boetyczne! Kapitan Blood lubi poezję... pamiętasz, milordzie, kfitnące jabłonie? Tak? Cha! Cha! Cha!

Przypisy:

1. Mowa o księciu Monmouth. W lipcu 1685 wystąpił na czele protestanckiej burżuazji przeciw królowi Jakubowi II Stuartowi, który usiłował przywrócić w Anglii władzę absolutną i skłaniał się ku katolicyzmowi.

2. Papista – zwolennik władzy papieskiej. W protestanckiej Anglii mianem tym nazywano pogardliwie każdego katolika.

3. *Quo, quo, scelesti, ruitis?* (łac). – Dokąd, dokąd, szaleńcy, pędzicie?

4. Wigowie i torysi – stronnictwa polityczne w Anglii (XVII-XIX w.). Wigowie, głównie kupcy, bankierzy i przemysłowcy, bronili swobód parlamentarnych; torysi, wielcy właściciele ziemscy, popierali absolutną władzę królewską.

5. Kolet – kurtka do konnej jazdy uszyta z sukna lub ze skóry łosiowej.

6. Botforty – buty z cholewami używane do konnej jazdy.

7. *Medicinae baccalaureus* (łac.) – bakałarz medycyny. (Bakałarz – najniższy tytuł naukowy uzyskiwany na uniwersytetach średniowiecznych).

8. Galeon lub galeona – wielki okręt wojenny używany w Hiszpanii i Portugalii w XV-XVIII w.

9. Takielunek – omasztowanie, ożaglowanie i olinowanie okrętu.

10. Luk – otwór w pokładzie statku, przez który ładuje się i wyładowuje towary; małe luki służą załodze lub pasażerom do przechodzenia z jednego pokładu na drugi.

11. Kwadrant – przyrząd nawigacyjny służący do określania pozycji statku z obserwacji ciał niebieskich.

12. Klepsydra – przyrząd do mierzenia czasu złożony z dwóch szklanych naczyń stożkowych połączonych wąskim kanalikiem, przez który przesącza się woda lub suchy piasek. Opróżnienie jednego z naczyń następuje w ściśle określonym czasie.

13. Log – przyrząd do mierzenia szybkości statku.

14. Fregata – żaglowiec o trzech masztach rejowych; pierwowzór krążownika.

15. Bryza – wiatr morski, który w dzień wieje od morza w kierunku lądu, a w nocy odwrotnie.

16. Kasztel rufowy – charakterystycznie podniesiona rufa w dawnych żaglowcach.

17. Galion – rzeźba na przodzie okrętu.

18. Farwater – droga stanowiąca bezpieczne przejście dla okrętów, wytyczona zakotwiczonymi znakami.

19. Bukszpryt – rodzaj pochyłego masztu.

20. Kabel – miara morska równa 182,5 m.

21. Grotżagiel – żagiel drugiego z kolei masztu.

22. Zwrot przez sztag – zwrot wykonany dziobem na wiatr.

23. *Perro ingles!* (hiszp.) – Ty psie angielski!

24. Rufa – tylna część statku.

25. Dulka – rodzaj krytych widełek przymocowanych do burty łodzi, między którymi porusza się wiosło.

26. Trap – każde schody na okręcie (również przenośne).

27. Reling – poręcz, nadburcie okrętu.

28. *Y estos son los usos de Catilla y de Leon.* (hiszp.) – I takie są zwyczaje w Kastylii i Leonie.

29. Wytyk – belka zawieszona prostopadle do burty; cumuje się do niej łodzie okrętowe w czasie postoju na kotwicy. Po wytyku załoga dostaje się na statek lub go opuszcza.

30. Kabestan – kołowrót służący do podnoszenia kotwic okrętowych lub innych ciężarów.

31. Reja – poprzeczne drzewce masztu służące do umocowywania czworokątnego żagla.

32. Wyblinka – liniowe szczeble drabinki wantowej.

33. Podwietrzna – strona przeciwległa tej, z której wieje wiatr, to jest przeciwległa stronie nawietrznej.

34. Morze Hiszpańskie – mowa o Oceanie Atlantyckim.

35. Nord-nord-west – północny północny-zachód.

36. Nord-ten-west – północ ku zachodowi. Bardzo dokładne określenie kursu statku lub kierunku na różne widoczne z okrętu obiekty na lądzie albo ciała niebieskie.

37. Trawers – kierunek prostopadły do kursu okrętu, czyli jego płaszczyzny symetrii. Znajdować się na trawersie jakiegokolwiek obiektu oznacza, że obserwator z okrętu widzi dany obiekt w kierunku

prostopadłym do kursu okrętu.

38. Naktuz – rodzaj szafki służącej za podstawę kompasu okrętowego.

39. Bejdedwind – nazwa wiatru wiejącego pod kątem mniej niż 90° w stosunku do kursu statku.

40. Hispaniola – jedna z wysp Archipelagu Wielkich Antyli nazwana przez Kolumba „Wyspą Hiszpańską”. Dzisiejsza Haiti.

41. Bezanżagiel – żagiel na tylnym maszcie.

42. Rumb – jednostka miary kątowej równa $11,25^\circ$. W rumbach podaje się kurs statku.

43. Grotmaszt – na statkach dwumasztowych maszt większy (zwykle przedni), na statkach trzymasztowych zwykle maszt środkowy.

44. Abordaż – dobijanie okrętu do burty przeciwnika w celu przeprowadzenia walki wręcz.

45. Stawać w dryf – ustawić okręt do wiatru w ten sposób, aby żagle wzajemnie sobie przeciwdziały i utrzymywały statek mniej więcej na tym samym miejscu.

46. *Pedro Sangre* (hiszp.) – Piotr Krew. Dosłowne tłumaczenie angielskiego nazwiska Blood (czyt. Bład). Podobnie *Le Sang* jest dosłownym tłumaczeniem nazwiska Krew na francuski.

47. *Benedicamus Domino* (łac.) – błogosławmy Panu.

48. *Ex hoc nunc et usque in seculum* (łac.) – teraz i na wieki.

49. *Virgen santissima!* (hiszp.) – Panno Najświętsza!

50. Flibustierzy – piraci, rozbójnicy morscy. W XVII w. piraci angielscy, francuscy, holenderscy walczący z hiszpańskim panowaniem w Indiach Zachodnich.

51. Kaper – korsarz w XVI-XVIII w. pozostający pod opieką króla, który nadawał mu prawo łupienia wrogich okrętów.

52. *Fata viam invenerunt* (łac.) – losy wskazały nam drogę.

53. *C'est vous qu'on apelle Le Sang?* (franc.) – Czy to ciebie nazywają Le Sang?

54. Brygantyną – lekki dwumasztowy okręt.

55. Bukanier – rozbójnik morski.

56. Peso – dawna jednostka monetarna w niektórych krajach Ameryki Południowej.

57. Bryg – dwumasztowy żaglowiec rejoy.

58. przybój – fala bijąca o brzeg.
59. Sterbort – prawa strona statku.
60. Wanty – liny służące do umocnienia masztów.
61. Dublon – dawna złota moneta hiszpańska zawierająca ok. 7,5 g czystego złota; podwójny dukat.
62. Laguna – płytki zalew lub zatoka odcięta od morza przez wał z piasku, materiału skalnego lub formacji koralowych.
63. Pendent – pas biegnący przez ramię, na którym nosi się szablę lub szpadę.
64. *Ah, sangdieu! Tu ris, animal?* (franc.) – Do kroćset! Śmiejesz się, zwierzaku?
65. *Audaces fortuna iuvat* (łac.) – szczęście sprzyja śmiałym.
66. Bakburta – lewa burta statku.
67. Kliwer – przedni żagiel trójkątny.
68. Brander – jednostka pływająca załadowana materiałami łatwo palnymi i wybuchowymi, służąca do podpalania floty nieprzyjacielskiej.
69. Rumpel – sterownica, dźwignia do poruszania steru.
70. Waterlinia – linia przecięcia płaszczyzny wodnej i kadłuba okrętu przy jego normalnym zanurzeniu.
71. *Bon voyage* (franc.) – szczęśliwej podróży.
72. *Adieu* (franc.) – żegnaj.
73. Wympel – długa, wąska flaga, podnoszona na grotmaszcie okrętu wojennego.
74. Parki – w mitologii rzymskiej trzy boginie rządzące losami ludzkimi.
75. Topsel – żagiel trójkątny zawieszony szczytem w dół nad żaglem czworokątnym.
76. Fokmaszt – pierwszy maszt na okręcie licząc od dziobu do rufy.
77. Bezanmaszt – tylny, niższy maszt na statku żaglowym.
78. Półwiatr – wiatr wiejący prostopadle do kursu statku.
79. Przedni kasztel – pomieszczenie dla załogi w części dziobowej okrętu.
80. Szwabry – strzępy starych lin umocowane na kiju. Służą do mycia pokładu okrętowego.
81. *Levius fit patientia quicquid corrigere est nefas* (łac.) – sama cierpliwość osłodzi, czego się ludziom zmieniać nie godzi.
82. Piazza (wł.) – plac.

83. Lete – w mitologii greckiej rzeka w państwie podziemnym, której woda miała dawać duszom zmarłych zapomnienie przeżytych na ziemi cierpień.

84. *Cras ingens iterabimus aequor* (łac.) – Jutro wypłyniemy na ogromne morze.

85. Pergola – aleja, nad którą gałęzie drzew i pnącza czynią jakby dach chroniący przed słońcem.

86. Hades – w mitologii greckiej świat pozagrobowy, królestwo zmarłych.

87. Liwr – srebrna moneta francuska z końca XVII w., nieco mniejsza od franka.

88. Obrasować żagle do wiatru – ustawić żagle do wiatru przy pomocy brasów; bras – urządzenie składające się z lin i bloków umocowane na końcach rei, służące do obracania jej w płaszczyźnie poziomej.

Spis treści

I WYŚŁANNIK

II DRAGONI KIRKE'A

III LORD PRZEWODNICZĄCY TRYBUNAŁU KRÓLEWSKIEGO

IV ŻYWY TOWAR

V ARABELLA BISHOP

VI PLANY UCIECZKI

VII KORSARZE

VIII HISZPANIE

IX SKAZAŃCY

X DON DIEGO

XI MIŁOŚĆ SYNOWSKA

XII DON PEDRO SANGRE

XIII TORTUGA

XIV BALLADA LEVASSEURA

XV OKUP

XVI PUŁAPKA

XVII OSZUKANI

XVIII „CUDOWNA”

XIX SPOTKANIE

XX ZŁODZIEJ I PIRAT

XXI W SŁUŻBIE KRÓLA JAKUBA

XXII WROGOWIE

XXIII ZAKŁADNICY

XXIV WOJNA

XXV W SŁUŻBIE KRÓLA LUDWIKA

XXVI PAN DE RIVAROL

XXVII CARTAGENA

XXVIII HONOR PANA DE RIVAROL

XXIX W SŁUŻBIE KRÓLA WILHELMA

XXX OSTATNI BÓJ „ARABELLI”

XXXI JEGO EKSCELENCIA GUBERNATOR